

Wyższa konieczność

Crichton Michael



calibre 0.9.27

Michael Crichton

WYŻSZA KONIECZNOŚĆ

Sposób życia urządzić będę chorym podług sił moich i zdolności, nigdy nie zaniedbując tego. Nigdy nikomu ani na żądanie, ani na prośby niczyje nie podam lekarstwa śmiertelnego, ani też sam nie poweźmę takiego zamiaru, jak również nie udzielę żadnej niewieście środka poronnego.

Życie moje zachowam w czystości i niewinności...

Fragment Przysięgi Hipokratesa składanej przez każdego lekarza przed rozpoczęciem wykonywania zawodu

Nie ma moralnego obowiązku ochrony DNA.

Oarrett Hardin

A: 22-6712 RANDALL, KAREN

OSTRY DYŻUR

KARTA PACJENTA

Reakcja uczuleniowa oceniona na cztery plus (4+), zgon nastąpił o 4.23 rano. Pacjentka wypisana o 4.34 rano.

Diagnoza:

1. Krwotok pochwoy 2° wskutek poronienia.
2. Anafilaksja uogólniona po podaniu domięśniowo penicyliny G.

dr John B. Williamson

Poniedziałek, 10 października

Wszyscy chirurdzy to skurwiele, a Conway nie jest wyjątkiem. Wparował

do pracowni patologicznej wpół do dziewiątej rano, wciąż ubrany w zielony fartuch i wściekły jak diabli. Kiedy Conway wpada w furię, zaciska zęby i cedzi słowa. Jego twarz robi się czerwona, a na skroniach nabrzmiewają fioletowe żyły.

- Kretyni - syknął. - Skończeni durnie.

Walnął pięścią w ścianę; buteleczki w oszklonej szafie zagrzechotały niebezpiecznie.

Wszyscy wiedzieliśmy, co się stało. Conway przeprowadza codziennie dwie operacje na otwartym

sercu, a pierwszą zaczyna o szóstej trzydziści.

Jeśli pojawia się w pracowni patologicznej dwie godziny później, to tylko z jednego powodu.

- Skretyniały fajłapowaty bałwan - wycedził i kopnął kosz na śmieci, który poturlał się z łoskotem w kąt.

- Ma sieczkę zamiast mózgu, pieprzoną sieczkę - ciągnął, krzywiąc się i wbijając wzrok w sufit, jakby zwracał się do Boga.

Najwyższy, tak jak i my wszyscy, widział i słyszał to już wiele razy - złość, zaciśnięte zęby, walenie pięścią w ścianę, przekleństwa. Conway zawsze wściekał się tak samo, był jak powtórka filmu w telewizji - nigdy nie zawodził widzów.

Czasami wściekał się na któregoś z asystentów, czasami na pielęgniarki lub technicznego od płucoserca. Jednak dziwnym zbiegiem okoliczności, nigdy nie miał nic do zarzucenia samemu sobie.

- Nawet gdybym dożył setki - wysyczał - nie znalazłbym porządnego

anestezjologa. Takich po prostu nie ma. Tępe zasrane dranie. Do diabła z nimi wszystkimi.

Popatrzyliśmy po sobie znacząco, tym razem wina spadła na Herbiego.

Mniej więcej cztery razy do roku Conway złorzeczył właśnie jemu. Przez resztę czasu byli dobrymi kumplami. Conway wysławiał Herbiego pod niebiosa, nazywał najlepszym anestezjologiem w kraju, lepszym od Sondericka z Brigham, lepszym od Lewisa z Mayo, lepszym od każdego.

Ale cztery razy w roku Herbert Landsman stawał się odpowiedzialny za

„zet-en-es” - zgon na stole operacyjnym. W chirurgii serca zdarza się to bardzo często, większości kardiochirurgów umiera pod nożem piętnaście procent pacjentów. W przypadku Conwaya było to osiem procent.

Ponieważ Frank Conway był dobry, ponieważ był „ośmioprocentowcem”, człowiekiem o złotych rękach i iskrze bożej, wszyscy przymykali oko na jego wybuchy. Pewnego razu przewrócił kopniakiem mikroskop. Jego naprawa kosztowała ponad sto dolarów, ale nikt nawet nie mrugnął, właśnie ze względu na te osiem procent.

W lekarskich kręgach Bostonu słyszało się to i owo o tym, w jaki sposób Conway utrzymuje procent zgonów na tak niskim poziomie. Mówiło się, że unika przypadków z komplikacjami, że nie bierze na stół ludzi starych, że nigdy nie decyduje się na wykonanie nowatorskiego i niebezpiecznego zabiegu. To wszystko było oczywiście wyssane z palca. Pacjenci umierali Conwayowi tak rzadko po prostu dlatego, że Conway był świetnym

chirurgiem. Ot i cały sekret.

Fakt, że był przy tym upierdliwym dupkiem, traktowano jako sprawę drugorzędną.

-Niedouczony śmierdzący imbecyl - syczał Conway, rozglądając się gniewnie po laboratorium. - Kto tu dzisiaj dowodzi?

- Ja - powiedziałem. Jako starszy patolog miałem tego dnia dyżur, więc wszystkie sprawy związane z autopsjami trzeba było uzgadniać właśnie ze mną. - Chcesz stół?

- Jasne, kurwa.

-Na kiedy?

- Dziś wieczór.

Taki już Conway miał zwyczaj. Zawsze przeprowadzał sekcje zwłok wieczorem i często siedział do późna w nocy. Jakby chciał się w ten sposób ukarać. Nigdy nie pozwalał nikomu, nawet własnym rezydentom, uczestniczyć w sekcji. Niektórzy mówili, że wtedy płacze, inni, że zaśmiewa się do łez. Ale tak naprawdę nikt tego nie wiedział. Oprócz samego Conwaya.

- Przekażę to dyżurce. Zostawimy ci otwartą szafkę.

- Dobra, kurwa. - Walnął pięścią w stół. - Matka czworga dzieci, do jasnej cholery.

- Dyżurka wszystkim się zajmie.

- Serce stanęło, nim dobraliśmy się do komory. Przez trzydzieści pięć minut robiliśmy masaż i nic. Po prostu nic!

- Jak się nazywała? - zapytałem. Musiałem podać nazwisko dyżurce.

- McPherson - burknął Conway. - Pani McPherson.

Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się przy drzwiach. Wyglądał, jakby uleciało z niego powietrze. Przygarbił się, spuścił głowę i westchnął

ciężko.

- Jezu - jęknął - miała czworo dzieci. Co ja, do cholery, powiem mężowi?

Gestem rasowego chirurga uniósł ręce i wbił oskarżycielskie spojrzenie w swoje dłonie, jakby to one go zawiodły. Może w pewnym sensie

rzeczywiście tak było.

- Jezu - powtórzył. - Powinienem być zostać dermatologiem.

Dermatologom nikt nigdy nie umiera.

Otworzył kopniakiem drzwi i wyszedł.

Kiedy zostaliśmy sami, jeden z rezydentów, blady jak ściana, zapytał:

- Czy on tak zawsze?

- Tak - odparłem. - Zawsze.

Odwróciłem się i wyjrzałem przez okno na paździenikową mżawkę i sunące ulicą samochody. Byłoby mi łatwiej współczuć Conwayowi,

gdybym nie wiedział, że odgrywa to samo przedstawienie zawsze, ilekroć straci pacjenta. Robił to wyłącznie dla siebie, to był jego prywatny rytuał.

Pewnie rzeczywiście go potrzebował, ale większość z nas, patologów, wolałaby, żeby reagował jak Delong z Dallas, który rozwiązuje francuskie krzyżówki, albo Archer z Chicago, który zawsze po zet-en-esie idzie do fryzjera.

Conway nie tylko robił bałagan w laboratorium, ale przede wszystkim odrywał nas od pracy. Najgorzej było właśnie rano, ponieważ mieliśmy do przeprowadzenia badania śródoperacyjne i zwykle ledwo się

wyrabialiśmy.

Odwróciłem wzrok od okna i podniosłem następny wycinek tkanki. Mamy w pracowni specjalną technikę przyspieszającą robotę. Każdy

patolog stoi przed zamocowanym na wysokości pasa blatem, na którym dokonuje oględzin próbek. Przy każdym stanowisku z sufitu zwisa mikrofon, który można włączyć i wyłączyć za pomocą pedału. Dzięki temu mamy wolne ręce; przydeptyjemy pedał i mówimy. Wszystko

nagrywa się na magnetofon, a potem sekretarki przepisują to na maszynie i dołączają do kart pacjentów.

Od tygodnia starałem się rzucić palenie, a próbka, którą właśnie wziąłem do ręki, tylko utwierdziła mnie w tym zamiarze: był to białawy guz wycięty z płuca. Na doczepionej różowej karteczce widniało nazwisko pacjenta, który leżał teraz z otwartą klatką piersiową na stole operacyjnym.

Chirurdzy czekali na diagnozę histopatologiczną przed przystąpieniem do dalszej części zabiegu. Jeżeli guz okaże się łagodny, usuną jeden płat płuca.

Jeśli okaże się złośliwy, wytną całe płuco i węzły chłonne.

Nadepnąłem na pedał.

- Pacjent AO cztery-pięć-dwa-trzy-trzy-sześć. Joseph Magnuson. Próbka pochodzi z górnego płatu prawego płuca i mierzy... - zdjąłem stopę z pedału i dokonałem pomiaru -.. pięć na siedem i pół centymetra. Tkanka płuca jest jasnoróżowa i wykazuje krepitację*. Powierzchnia opłucnej jest gładka i lśniąca, nie widać śladów materii włóknistej ani zrostów.

Niewielki krwotok. W mięszu znajduje się nieregularny w kształcie, twardy białawy guz... - zmierzyłem go -... o średnicy około dwóch centymetrów. Wstępne oględziny nie wskazują na obecność włóknistej kapsuły, a tkanka okalająca jest zniekształcona. Diagnoza... rak płuca, prawdopodobnie złośliwy, znak zapytania, z przerzutami. Kropka, podpis, John Berry.

Odciałem kawałek białego guza i zamroziłem go. Był tylko jeden sposób, żeby przekonać się, czy guz jest rzeczywiście złośliwy - zbadać go pod mikroskopem. Zamrożenie próbki pozwala na szybkie przygotowanie

preparatu. Normalnie wycinek tkanki trzeba by było poddać sześciu albo siedmiu kąpielom w formalinie, co trwa co najmniej sześć godzin, a czasami nawet parę dni. Chirurdzy nie mogli jednak czekać tak długo.

Kiedy tkanka zamarzła, odciałem kawałek mikrotomem i zaniósłem pod mikroskop. Nie musiałem nawet zmieniać soczewki na mocniejszą. Bez trudu rozpoznałem misterną sieć woreczków pęcherzykowych i

pęcherzyków płucnych, służących do wymiany gazów między krwią a powietrzem, a także zupełnie inną tkankę guza.

Nadepnąłem na pedał.

* Krepitacja oznacza, że ściśnięta palcami tkanka lub pęcherzyki płucne wydają charakterystyczny trzeszczący dźwięk. Jest to normalne i świadczy o tym, że płuco jest napowietrzone.

- Badanie mikroskopowe zamrożonego preparatu. Biaława tkanka guza składa się z niezróżnicowanych komórek mięszu. W wielu komórkach występują nieregularne hiperchromatyczne jądra, można również

zaobserwować komórki olbrzymie wielojądrowe. Widoczne figury

podziału mitotycznego. Brak kapsuły. Diagnoza: złośliwy rak płuc. Zwraca uwagę znaczny stopień anthracosis w okalającej tkance.

Anthracosis, czyli pylica węglowa, to odkładanie się drobin węgla w płucach. Kiedy węgiel dostanie się do środka, czy to razem z dymem papierosowym, czy z miejskim smogiem, ciało już nigdy się go nie pozbędzie.

Zadzwonił telefon. Wiedziałem, że to Scanlon z sali operacyjnej, który zaczyna trząść portkami, ponieważ nie odezwałem się do niego w ciągu trzydziestu sekund. Scanlon jest jak wszyscy chirurdzy. Jeżeli nie rozcina jakiegoś ciała skalpelem, czuje się nieszczęśliwy. Nienawidzi czekania na diagnozę patologiczną i wpatrywania się beczynnym w wielką krwawą dziurę, którą wyciął przed chwilą w jakimś nieszczęśniku. Nigdy nie przychodzi mu do głowy, że po tym, jak dokona biopsji i włoży próbkę do stalowej miseczki, trzeba ją przenieść z jednego skrzydła szpitala do drugiego. Nie bierze również pod uwagę faktu, że w pozostałych jedenastu salach operacyjnych od siódmej do jedenastej przed południem bez przerwy uwijają się inni chirurdzy. W pracowni mamy o tej porze

czterech patologów, ale i tak często są opóźnienia. Nic na to nie można poradzić, chyba że ktoś chce zaryzykować postawienie złej diagnozy.

Ale nikomu się to nie uśmiecha. Chirurdzy po prostu lubią sobie ponarzekać, jak Conway. Dzięki temu mają się czym zająć.

Podchodząc do telefonu, zdjąłem gumową rękawiczkę. Wytarłem spoconą dłoń o spodnie i podniosłem słuchawkę. Uważamy na telefon, ale na wszelki wypadek pod koniec każdego dnia pracy czyścimy go jeszcze alkoholem i formaliną.

- Tu Berry.

- Berry, co się tam, u licha, dzieje?

Po scenie, którą odstawił Conway, chętnie wygarnąłbym Scanlonowi, co o nim myślę. Powstrzymałem się jednak i powiedziałem tylko:

- Masz złośliwego raka.

- Tak właśnie myślałem - mruknął, jakby cała moja praca była stratą czasu.

No - burknąłem i odłożyłem słuchawkę.

. Przy śniadaniu wypaliłem tylko jednego, a zwykle palę trzy.

Wróciłem do stolika, gdzie czekały na mnie trzy następne próbki: nerka, woreczek żółciowy i wyrostek robaczkowy. Właśnie zabrałem się do wkładania rękawiczki, gdy rozległ się trzask interkomu.

- Czy jest doktor Berry?

- Tak, słucham?

Mikrofon interkomu jest bardzo czuły. Można do niego mówić z każdego miejsca w laboratorium i nie trzeba podnosić głosu. A dziewczyna po drugiej stronie świetnie wszystko słyszy. Umocowano go pod samym sufitem, ponieważ nowi rezydenci podbiegali do niego i krzyczeli na całe gardło, nie zdając sobie sprawy, że osobie na drugim końcu linii pękają od tego bębenki.

- Doktorze Berry, pańska żona dzwoni.

Dziwne. Mamy z Judith umowę: żadnych telefonów przed południem. Od siódmej do jedenastej jestem bez przerwy zajęty, i tak przez sześć, a czasami, jeśli zachoruje któryś z kolegów, siedem dni w tygodniu. Żona przestrzega tego zakazu. Nie zadzwoniła nawet wtedy, kiedy mały Johnny wjechał na rowerku w tył ciężarówki i trzeba mu było założyć na czole piętnaście szwów.

- Dobrze, odbiorę. - Zdjąłem do połowy włożoną rękawiczkę i podszedłem do telefonu.

- Halo?

- John? - Głos jej drżał. Od lat nie słyszałem, żeby tak mówiła. Ostatnio zdarzyło się to, kiedy umarł jej ojciec.

- Co się stało?

- John, dzwonił właśnie Artur Lee.

Artur Lee to nasz przyjaciel, był drużbą na naszym ślubie. Pracuje jako lekarz położnik.

-I co?

- Zadzwoił, bo potrzebuje twojej pomocy. Ma kłopoty.

- Jakie kłopoty? - Rozmawiając, skinąłem na jednego z rezydentów, żeby zajął moje miejsce przy stole. Nie mogliśmy sobie pozwolić na żadne przestoje.

- Nie wiem - odparła Judith - ale siedzi w areszcie. Uznałem, że to jakaś pomyłka.

- Jesteś pewna?

- Tak. Właśnie dzwonił. John, czy to może mieć coś wspólnego z...

- Nie mam pojęcia. Wiem tyle, co ty. - Wetknąłem słuchawkę między brodę i bark, zdjęłem drugą rękawiczkę, a następnie wrzuciłem obie do kosza. - Zaraz do niego pojedę. Nie martw się. To pewnie nic poważnego.

Może po prostu znowu się upił.

- Dobrze - powiedziała zduszonym głosem.

- Nie martw się - powtórzyłem.

- Dobrze.

- Wkrótce się odezwę. Pa.

Odłożyłem słuchawkę, zdjęłem fartuch i powiesiłem na wieszaku przy drzwiach. Następnie wyszedłem na korytarz i ruszyłem w stronę gabinetu Sandersona. Sanderson był ordynatorem pracowni patologicznych i wyglądał niezwykle dystyngowanie. Miał czterdzieści osiem lat, siwiejące na skroniach włosy i poważną zamyśloną twarz. Poza tym, tak samo jak ja, miał powody do obaw.

- Art siedzi w areszcie - oznajmiłem. Czytał właśnie wyniki autopsji.

- Co się stało? - zapytał, odkładając dokument.

-Nie wiem. Jadę do niego.

- Chcesz, żebym z tobą pojechał?

-Nie - odparłem. - Będzie lepiej, jeśli odwiedzę go sam.

- Zadzwoń, kiedy się czegoś dowiesz - poprosił, spoglądając na mnie znad oprawek okularów.

- Dobra.

Pokiwał głową. Kiedy wychodziłem, wrócił do lektury. Jeżeli wiadomość o aresztowaniu Artura wzbudziła w nim niepokój, to nie dał tego po sobie poznać. Sanderson zawsze zresztą sprawia wrażenie opanowanego.

W szpitalnym holu sięgnąłem do kieszeni po kluczyki od samochodu i nagle zdałem sobie sprawę, że nie wiem, gdzie przetrzymują Artura.

Podszedłem więc do biurka informacji, żeby zadzwonić do Judith. Sally Pianek, recepcjonistka, miła dziewczyna o blond włosach, wykręciła za mnie numer i podała mi słuchawkę. Okazało się, że Judith nie pomyślała o tym, żeby zapytać Artę, na który komisariat go zawieźli. Zadzwoiłem więc do jego żony Betty, pięknej i zaradnej dziewczyny z doktoratem z biochemii Uniwersytetu Stanforda. Jeszcze parę lat temu Betty prowadziła badania na Harvardzie, ale zwolniła się po urodzeniu trzeciego dziecka.

Zwykle była uosobieniem spokoju. Tylko raz widziałem ją zdenerwowaną-

kiedy George Kovacs upił się i zasikał jej całe patio.

Betty była w szoku. Powiedziała, że Artura zabrali na komisariat w centrum, na Charles Street. Zabrano go z domu, kiedy wybierał się jak co rano do pracy. Dzieciaki bardzo się przejęły, więc pozwoliła im nie iść do szkoły, a teraz nie wie, co z nimi zrobić. Jak ma im to wszystko wytłumaczyć, na litość boską?

Poradziłem jej, żeby powiedziała, że to zwykła pomyłka i odłożyłem słuchawkę.

Wyjechałem volkswagenem z parkingu dla pracowników, mijając po

drodze kilkanaście lśniących cadillaców. Wszystkie wielkie limuzyny należały do lekarzy prowadzących własne praktyki; patologom płaci szpital i nie stać ich na porządną brykę.

Była za kwadrans dziewiąta, czyli godzina szczytu. W Bostonie to istny koszmar. Mamy najwyższy wskaźnik wypadków samochodowych w

całych Stanach, wyższy nawet niż w Los Angeles, co może poświadczyć każdy lekarz z ostrego dyżuru. Albo patolog. Często robimy sekcje ofiar karamboli. Tutejsi kierowcy jeżdżą jak wariaci. Kiedy się siedzi na ostrym dyżurze i patrzy, jak przywożą rannych, ma się wrażenie, że na ulicach toczy się wojna. Judith mówi, że to dlatego, że bostończycy rzadko poddają się psychoanalizie. Artur

natomiast zawsze twierdził, iż to dlatego, że są katolikami i uważają, że kiedy wyprzedzają na drugiego, czuwa nad nimi Bóg. Art jest cynikiem. Pewnego razu na imprezie lekarskiej jakiś chirurg tłumaczył, jak to się dzieje, że tyle osób traci w wypadkach oczu.

Wszystkiemu winne są figurki mocowane na deskach rozdzielczych.

Podczas zderzenia kierowcę rzuca do przodu, a jego oko nadziewa się na dwunastocentymetrową plastikową Madonnę. Takie przypadki wcale nie należą do rzadkości. Art uznał, że to najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszał.

Aż się popłakał ze śmiechu. „Oślepieni przez wiarę”, powtarzał, rechocząc, zgięty w pół. „Oślepieni przez wiarę”.

Chirurg, który o tym opowiadał, nie widział w tym nic śmiesznego.

Pewnie dlatego, że musiał operować zbyt wiele takich wykolonych oczu.

Ale Art nie mógł się opanować.

Większość ludzi na imprezie była zaskoczona jego reakcją. Uznali, że stanowczo przesadził. Przypuszczam, że tylko ja zdawałem sobie sprawę ze znaczenia, jakie miał dla Arta ten dowcip. Tylko ja wiedziałem, pod jak wielką presją pracuje.

Artur jest moim przyjacielem z czasów studiów. To bystry facet i dobry lekarz, który wierzy w to, co robi. Jak większość klinicystów uważa, że zawsze wie, co jest najlepsze, a przecież każdy od czasu do czasu się myli.

Może jest zbyt autorytatywny, ale trudno mi go krytykować. W końcu ktoś w okolicy musi dokonywać aborcji.

Nie potrafię powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Pewnie przyszło mu to do głowy niedługo po tym, jak rozpoczął samodzielną praktykę jako

ginekolog. Skrobanka nie jest zbyt skomplikowanym zabiegiem - może ją zrobić nawet dobrze wyszkolona pielęgniarka. Jest tylko jeden problem.

Aborcje są nielegalne.

Doskonale pamiętam dzień, w którym się o wszystkim dowiedziałem. Moi rezydenci zaczęli gadać o doktorze Lee: dostawali sporo próbek po wyskrobaniu macicy, które wypadły pozytywnie. Takie zabiegi były zalecane na różne dolegliwości - nieregularną miesiączkę, bóle, krwawienia śródmiesiączkowe - ale w wielu próbkach śluzówki widać było oznaki ciąży. Zaniepokoiłem się, ponieważ rezydenci byli młodzi i lekkomyślni. Zrugłem ich i powiedziałem, że takim gadaniem mogą zepsuć lekarzowi reputację. Przestali. Potem poszedłem zobaczyć się z Arturem. Znalazłem go w szpitalnej kafeterii.

- Art - zacząłem - mam problem.

Był akurat w doskonałym nastroju, jadł pączka i popijał kawę.

- Oby tylko nie ginekologiczny - zażartował.

-Nie, ale jesteś blisko. Słyszałem, jak rezydenci gadali o ponad pięciu próbkach śluzówki z oznakami ciąży tylko w ubiegłym miesiącu. Dostałeś ostrzeżenie?

Dobry humor natychmiast go opuścił.

- Tak - odparł - dostałem.

- Po prostu chciałem się upewnić, że wiesz. W komisji histologicznej mogą się pojawić problemy, jeśli coś takiego wyjdzie na jaw, i... Pokręcił

głową.

-Nie przejmuj się. Nie będzie żadnych problemów.

- No, dobra. W każdym razie wiesz, jak to wygląda.

- Tak, mogą podejrzewać, że przeprowadzam aborcje. Powiedział to cicho i śmiertelnie poważnie. Patrzył mi prosto w oczy. Poczułem się trochę dziwnie.

- Chyba musimy porozmawiać - dodał. - Może skoczmy dzisiaj na drinka? Koło szóstej?

-Nie widzę przeszkód.

- W takim razie spotkajmy się na parkingu. A jeśli uda ci się wykroić po południu trochę czasu, rzuć okiem na jeden z moich przypadków, dobra?

- Dobra - odparłem, marszcząc brwi.

- Pacjentka nazywa się Suzanne Black. Jej numer to AO dwa-dwa--jeden-trzy-sześć-pięć.

Zapisałem dane na serwetce, zastanawiając się, dlaczego Artur zapamiętał

numer szpitalny pacjentki. Lekarze pamiętają wiele szczegółów

dotyczących ich podopiecznych, ale rzadko są wśród tych informacji takie biurokratyczne detale.

- Dobrze się przyjrzyj tej sprawie - poprosił. -I nie wspominaj o niej nikomu, dopóki się ze mną nie zobaczysz.

Zdziwiony tym, co powiedział, wróciłem do laboratorium. Miałem tego dnia sekcję, więc skończyłem pracę dopiero o czwartej. Wtedy

poszedłem do archiwum i wyciągnąłem kartę Suzanne Black.

Przeczytałem ją na miejscu - nie było tego dużo. Została przyjęta przez doktora Lee w wieku dwudziestu lat, kiedy studiowała na drugim roku w miejscowym college'u. Główną dolegliwością, na jaką się skarżyła, było nieregularne miesiączkowanie. W trakcie wywiadu okazało się, że niedawno przeszła różyczkę, czuła się zmęczona i została przebadana przez uczelnianego lekarza na okoliczność nadmiaru monocytów we krwi.

Poinformowała, że od dwóch miesięcy, w odstępach od siedmiu do

dziesięciu dni, występuje u niej krwawienie, ale normalnej miesiączki nie ma. Poza tym wciąż czuła się zmęczona i senna.

Badanie nie wykazało niczego niepokojącego poza tym, że pacjentka miała lekką gorączkę. Wyniki badania krwi także nie odbiegały zbyt od normy, jeśli nie liczyć dość niskiego poziomu hematokrytu.

Doktor Lee wykonał wyłyżeczkowanie macicy, aby uregulować cykl

menstruacyjny. Było to w 1956 roku, czyli przed opracowaniem terapii estrogenowej. Przebadana błona śluzowa w normie - brak objawów guzów lub ciąży. Zdawało się, że dziewczyna dobrze zareagowała na leczenie.

Została poddana trzymiesięcznej obserwacji i podczas tego okresu zaczęła regularnie miesiączkować.

Przypadek wyglądał na prosty i banalny. Choroba albo stres potrafi rozregulować kobiecy zegar biologiczny i zaburzyć cykl menstruacyjny.

Łyżeczkowanie macicy przywraca tę równowagę. Nie rozumiałem,

dłaczego Art chciał, żebym się przyjrzał tej sprawie. Sprawdziłem raport z analizy tkanki. Badanie wykonał doktor Sanderson. Diagnoza była krótka i węzłowata: wszystko w normie.

Odłożyłem kartę na miejsce i poszedłem do laboratorium. Wciąż nie mogłem zrozumieć, na czym polega problem. Nie będąc w stanie się skoncentrować, brałem się do tego i owego, aż w końcu zasiadłem do pisania raportu z sekcji zwłok.

Nie wiem, co sprawiło, że pomyślałem o preparacie.

Podobnie jak w większości szpitali, w Lincolnie przechowuje się wszystkie próbki mikroskopowe, więc nawet po dwudziestu lub

trzydziestu latach można je powtórnie zbadać. Składuje się w szafkach podobnych do kartotek bibliotecznych. Mieliśmy cały pokój takich szafek.

Podszedłem do odpowiedniej szuflady i odnalazłem preparat 1365. Na naklejce widniał numer

szpitalny pacjentki, inicjały doktora Sandersona, a także adnotacja R i W.

Wziąłem próbkę i zaniósłem do sali obok, gdzie stało w rzędzie dziesięć mikroskopów. Jeden z nich był wolny. Zamocowałem preparat na stoliku i przyjrzałem mu się.

Od razu zorientowałem się, że coś nie gra.

Tkanka rzeczywiście pochodziła z macicy. Rozpoznałem zupełnie zdrową błonę śluzową w fazie płodności, ale zdumiało mnie jej barwienie.

Preparat zabarwiono formolem Z, co nadało mu niebieskozielony kolor.

Problem w tym, że takie barwienie stosuje się zazwyczaj przy

szczególnych problemach diagnostycznych.

Przy zwykłym rutynowym badaniu używa się hematoksyliny i eozyny, które barwią tkanki na różowo i fioletowo. Jeżeli patolog zabarwił preparat inaczej, powinien się z tego faktu wytłumaczyć w raporcie.

Jednak doktor Sanderson w ogóle nie odnotował, że użył formolu Z.

Wniosek był oczywisty - preparaty podmieniono. Zerknąłem na naklejkę z opisem. Charakter pisma należał bez wątpienia do Sandersona. Co się w takim razie stało?

Natychmiast przyszło mi do głowy kilka możliwości. Sanderson

zapomniał odnotować, że zastosował niestandardowe barwienie. Albo spreparował dwie próbki, jedną z hematoksyliną i eozyną, a drugą z formolem Z, ale tylko ta ostatnia została oddana do przechowania. Albo też doszło do przypadkowej zamiany preparatów.

Żadne z tych wyjaśnień nie było zbyt przekonujące. Nie dawało mi to spokoju i z niecierpliwością czekałem na szóstą, kiedy to spotkałem się z Arturem na parkingu i wsiadłem do jego samochodu. Chciał pojechać gdzieś dalej od szpitala, gdzie można by było spokojnie porozmawiać.

Przekręciwszy kluczyk w stacyjce, zapytał:

- Zapoznałeś się ze sprawą?

- Tak, bardzo interesująca.

- Obejrzałeś preparat?

- Tak. Czy to oryginał?

- Pytasz, czy tkanka należy do Suzanne Black? Nie.

- Powinieneś być bardziej uważać. Barwienie jest nietypowe. Przez coś takiego możesz napytać sobie biedy. Skąd wytrzasnąłeś tę próbkę? Art uśmiechnął się łobuzersko.

- To pomoc naukowa. „Próbka normalnej błony śluzowej macicy”.

-Kto ją podłożył?

- Sanderson. Obaj dopiero zaczynaliśmy. To on wpadł na pomysł, żeby podłożyć fałszywy preparat i opisać go jako normalny. Teraz mamy oczywiście subtelniejsze metody. Za każdym razem, kiedy Sanderson dostaje próbkę zdrowej śluzówki, robi parę dodatkowych preparatów i zachowuje je na przyszłość.

-Nie rozumiem. To znaczy, że Sanderson z tobą współpracuje?

- Tak. Od kilku lat.

Sanderson był bardzo mądrym, uczynnym i porządnym facetem.

- Bo widzisz - podjął Artur - cała karta szpitalna jest lipna. Dziewczyna rzeczywiście miała dwadzieścia lat i dopiero co przeszła różyczkę. I rzeczywiście miała zaburzenia menstruacyjne, ale dlatego, że zaszła w ciążę. Wpadła, świętując zakończenie sezonu futbolowego z chłopakiem, którego kochała i za którego zamierzała wyjść. Tyle że najpierw chciała skończyć college, a dziecko mogło jej w tym przeszkodzić. Poza tym w pierwszym semestrze zachorowała na różyczkę. Biedaczka nie była specjalnie bystra, ale zdawała sobie sprawę z tego, co to może oznaczać.

Kiedy do mnie przyszła, była poważnie zaniepokojona. Na początku próbowała mnie zwodzić, owijała w bawełnę, ale w końcu wyznała, o co jej chodzi, i poprosiła o aborcję. Byłem wstrząśnięty. Właśnie rozpocząłem samodzielną praktykę i wciąż patrzyłem na świat i zawód lekarza przez okulary idealisty. Dziewczyna zachowywała się jednak tak, jakby całe jej życie miało legnąć w gruzach. W pewnym sensie tak mogło się zdarzyć.

Myślała tylko o problemach, jakie ją czekają, była przekonana, że zostanie niewykształconą matką zdeformowanego bękarta. Zrobiło mi się jej żal, bo wydała się sympatyczna, ale odmówiłem. Z ciężkim sercem wyjaśniłem, że mam związane ręce.

Wtedy zapytała, czy usunięcie ciąży jest niebezpieczne. Sądziłem, że ma zamiar samodzielnie zrobić sobie skrobankę, więc powiedziałem, że tak. A ona mi na to, że zna faceta z North End, który może to zrobić za dwieście dolców. Był sanitariuszem w piechocie morskiej czy kimś takim.

Oświadczyła, że skoro się nie zgadzam, to uda się do niego, a potem sobie poszła. - Artur westchnął i pokręcił głową. - Kiedy wróciłem tamtego dnia do domu, czułem się naprawdę podle.

Nienawidziłem jej. Miałem jej za złe, że zburzyła mój spokój, że wdarła się w moje życie i zakwestionowała wartości, w które wierzyłem. Nienawidziłem jej za to, że poddała mnie takiej presji. Nie mogłem zasnąć, wciąż o niej myślałem. Wyobrażałem sobie, jak wchodzi do jakiegoś śmierdzącego obskurnego pokoju i wita się z niedouczonego cwaniakiem, który może ją skrzywdzić, a nawet zabić.

Pomyślałem o Betty, o naszym dziecku i o tym, jak wspaniale wygląda nasze życie. A potem przypomniały mi się efekty amatorskich skrobanek, które widziałem podczas stażu; wykrwawiające się dziewczyny

przywożone na pogotowie o trzeciej nad ranem. No i przypominałem sobie, jak się denerwowałem, kiedy chodziłem do college'u. Raz

czekaliśmy z Betty sześć tygodni, aż dostanie miesiączki. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że każda kobieta może zajść przypadkowo w ciążę. Wcale o to nietrudno, ale nie powinno się tego traktować jak zbrodni.

Zapaliłem papierosa i milczałem.

- Wstałem więc w środku nocy i z gałami wlepionymi w kuchenną ścianę wlałem w siebie sześć kubków kawy, bijąc się z myślami. O świcie doszedłem do wniosku, że prawo jest niesprawiedliwe. Uznałem, że lekarz może się zabawiać w Boga na wiele paskudnych sposobów, ale ten jest akurat całkiem dobry. Przyszła do mnie pacjentka w potrzebie, a ja jej nie pomogłem, mimo że było to w mojej mocy. To mnie właśnie dręczyło -

odmówiłem jej leczenia. To tak, jakbym odmówił choremu penicyliny.

Wydało mi się to okrutne i bezsensowne. Poszedłem więc do Sandersona.

Wiedziałem, że ma liberalne poglądy na wiele spraw. Wyjaśniłem mu sytuację i powiedziałem, że chcę zrobić skrobankę. Sanderson się zgodził i obiecał, że załatwi badanie patologiczne. No i tak to się zaczęło.

-I od tamtej pory przeprowadzasz aborcje?

- Tak - odparł Art. - Kiedy uważam, że to bezpieczne.

Pojechaliśmy do baru w North End. Był to przeciętny lokal, w którym roiło się od włoskich i niemieckich robotników. Arturowi zebrało się na zwierzenia.

- Często zastanawiam się, jak wyglądałaby medycyna, gdyby większość w tym kraju stanowili scjentyści*. Oczywiście w przeszłości nie miałyby to większego znaczenia, bo medycyna była wtedy prymitywna i

nieskuteczna. Ale przypuśćmy, że scjentyzm byłby równie powszechny w czasach penicyliny i antybiotyków. Przypuśćmy, że działałyby silne grupy nacisku, żądające zakazu podawania tych leków. Przypuśćmy, że w takim społeczeństwie byłiby chorzy, którzy doskonale zdawaliby sobie sprawę, że nie muszą umierać i że istnieje lek, dzięki któremu mogą wyzdrowieć.

Czy nie rozkwitłby wtedy czarny rynek? Czy ludzie nie umieraliby od nieprawidłowego dawkowania zakazanych lekarstw, których skład i pochodzenie byłyby na dodatek nieznanne? Czy nie zapanowałby wtedy straszliwy chaos?

- Rozumiem, o co ci chodzi - odparłem - ale nie mogę się z tobą zgodzić.

- Posłuchaj - nie dawał za wygraną Artur - etyka musi nadążać za technologią, bo jeśli ktoś staje wobec wyboru: moralność i śmierć albo grzech i życie, zawsze wybierze to drugie. Ludzie dzisiaj wiedzą, że usunięcie ciąży jest bezpieczne i łatwe. Zdają sobie sprawę, że nie jest to skomplikowana, długa i zagrażająca zdrowiu operacja. Dlatego kiedy

* Scjentyści, Nauka Chrystusowa (ang. Christian Science) - kościół

założony w 1879 roku przez Mary Baker Eddy. Jego wyznawcy wierzą w możliwość leczenia wszelkich chorób ćwiczeniami duchowymi i

modlitwą(przyp. tłum.).

stwierdzają, że nie chcą dziecka, domagają się jej. I w ten czy inny sposób stawiają na swoim. Jeżeli są bogaci, jadą do Japonii albo Puerto Rico, a jeśli nie dysponują większymi funduszami, idą na przykład do człowieka, który podaje się za sanitariusza z piechoty morskiej. Jednak tak czy inaczej kobiety zawsze pozbywają się niechcianej ciąży.

- Ale, Arturze... - próbowałem przemówić mu do rozsądku - to jest nielegalne.

Uśmiechnął się ironicznie.

-Nie wiedziałem, że masz taki szacunek dla prawa.

Miał na myśli moją przeszłość. Po ukończeniu college'u zapisałem się na prawo i studiowałem tam przez półtora roku, a kiedy przekonałem się, że tego nienawidzę, przerzuciłem się na medycynę. W międzyczasie odbyłem służbę wojskową.

- Ale to co innego - zaproponowałem. - Jeśli cię złapią, pójdziesz do więzienia i stracisz prawo do wykonywania zawodu. Przecież wiesz.

- Robię, co muszę.

-Nie bądź durniem.

- Wierzę, że to, co robię, jest słuszne.

Patrząc mu w oczy, nie miałem wątpliwości, że mówi szczerze. Minęło trochę czasu i sam zetknąłem się z kilkoma ciężkimi przypadkami, w których aborcja wydawała się jedynym humanitarnym rozwiązaniem. Art się nimi zajął, a ja dołączyłem do doktora Sandersona i zacząłem fałszować badania patologiczne. Załatwialiśmy wszystko w taki sposób, żeby komisja histologiczna nigdy się nie połapała. Było to konieczne, ponieważ w Lincolnie składała się ona z ordynatorów wszystkich

oddziałów i sześciu innych, zmieniających się lekarzy. Średnia wieku w komisji wynosiła sześćdziesiąt jeden lat, a zawsze co najmniej jedną trzecią stanowili katolicy.

Oczywiście nie utrzymywaliśmy wszystkiego w całkowitej tajemnicy.

Wielu młodych lekarzy wiedziało, czym zajmuje się Art, i większość zgadzała się z nim, ponieważ nim zdecydował się na przeprowadzenie zabiegu, ocenił przypadek w sposób rozsądny i wyważony.

Byli jednak tacy, którzy nie pochwalali jego działań. Na przykład Whipple i Gluck. Byli na tyle niewrażliwi, pozbawieni rozsądku i zaślepieni religią, że chętnie donieśliby na Artura, gdyby tylko starczyło im na to odwagi. Ich rozwój psychiczny zatrzymał się na fazie analnej.

Przez długi czas przejmowałem się takimi Whipple'ami i Gluckami, ale w końcu zacząłem ignorować ich jadowite porozumiewawcze spojrzenia i dziobate, wykrzywione dezaprobatą gęby. Może na tym polegał mój błąd.

Bo teraz Art siedział w areszcie, a jeśli stanie przed sądem, to samo nie ominie również Sandersona. No i mnie.

Na parkingu przed komisariatem nie było miejsca. W końcu udało mi się zaparkować samochód na chodniku cztery przecznice dalej. Szybkim krokiem ruszyłem na posterunek, żeby dowiedzieć się, dlaczego Artur Lee został aresztowany.

Kiedy kilka lat temu byłem w wojsku, służyłem w Tokio jako żandarm i wiele mnie to nauczyło. Byliśmy najbardziej nienawidzonymi ludźmi w mieście. Dla Japończyków nasze białe hełmy symbolizowały ucisk obcej władzy. Upijającym się sake lub whisky amerykańskim żołnierzom nasze mundury przypominały o frustrującej surowości wojskowego regulaminu.

Na wszystkich działaliśmy jak płachta na byka i wielu z moich kolegów wpakowało się w kłopoty. Jednemu wykłuto nożem oko, innego zabito.

Oczywiście mieliśmy broń. Jeszcze dziś pamiętam, jak wydano nam pistolety. Kapitan powiedział: „Macie już spluwy, a teraz dam wam dobrą radę. Strzelicie w samoobronie do zapijaczanego gościa, a później okaże się, że jego wujek jest kongresmanem albo generałem. Nie zapominajcie, że macie gnata, ale trzymajcie go w kaburze. To by było na tyle. Spocznij”.

Nauczyliśmy się więc blefować we wszystkich trudnych sytuacjach.

Wszyscy gliniarze muszą się tego nauczyć.

Przypomniała mi się ta lekcja, kiedy stanąłem przed burkliwym sierżantem z posterunku na Charles Street. Facet spojrzał na mnie, jakby miał ochotę roztrzaskać mi czaszkę.

-Taa... Czego?

- Przyszedłem zobaczyć się z doktorem Lee. Uśmiechnął się

wszechwiedząco.

- Mały żółtek zaczyna się denerwować, co? Kiepska sprawa.

- Chcę się z nim zobaczyć - powtórzyłem.

-Nie da rady.

Spuścił wzrok i zaczął przeglądać jakieś papiery, dając mi do zrozumienia, że rozmowa skończona.

- Mógłby to pan wyjaśnić?

- Nie - odrzekł. - Nie mógłbym. Wyciągnąłem długopis i notes.

- W takim razie poproszę o numer pańskiej odznaki.

- Co pan? Błaznujesz? Spadaj, facet.

- Prawo nakazuje panu podanie obywatelowi numeru odznaki, jeśli ten wyrazi taką prośbę.

-Niezła gadka.

Zerknąłem na jego koszulę, udając, że zapisuję numer, a następnie odwróciłem się na pięcie i ruszyłem do drzwi.

- Wybiera się pan dokądś? - zapytał, jakby nigdy nic.

- Na zewnątrz jest budka telefoniczna.

- No i co?

- Przykra sprawa. Założę się, że pańskiej żonie przyszywanie tych belek do munduru zajęło parę godzin. Odpruwa się w dziesięć sekund. Używają do tego żyłki. Nawet ślad po nich nie zostanie.

Ociągnąwszy się, sierżant wstał zza biurka.

- Po co pan tu przyszedł?

- Chcę się zobaczyć z doktorem Lee.

- Jest pan jego adwokatem?

- Właśnie.

- Kurczę, od razu trzeba było tak mówić. - Wyciągnął z szuflady pęk kluczy. - Proszę za mną. - Uśmiechnął się, ale w jego oczach wciąż tliła się wrogość.

Poprowadził mnie na tyły komisariatu. Nie powiedział ani słowa, tylko chrząknął parę razy. Wreszcie obejrzał się przez ramię.

-Nie może mnie pan winić za taką ostrożność. W końcu morderstwo to morderstwo.

- Oczywiście - odparłem.

Art siedział w dobrej celi. Była czysta i specjalnie nie śmierdziała. Swoją drogą, w Bostonie mamy chyba najlepsze areszty w Ameryce. Nie może być inaczej, ponieważ ląduje tu sporo sławnych ludzi. Burmistrzowie, wysocy urzędnicy państwowi i tym podobni. Trudno oczekiwać, żeby facet prowadził porządną kampanię wyborczą, siedząc w parszywej celi, prawda? To by bardzo źle wyglądało.

Art siedział na pryczy i gapił się na zapalonego papierosa. Na kamiennej posadzce walały się rozdeptane pety i popiół. Kiedy stanąłem w drzwiach, podniósł wzrok.

-John!

- Ma pan dziesięć minut - poinformował sierżant. Wszedłem do celi.

Policjant zamknął za mną kratę, a potem oparł się o nią plecami.

- Dziękuję - powiedziałem. - Może się pan oddalić. Posłał mi jadowite spojrzenie, ale poszedł sobie, dzwoniąc ostentacyjnie kluczami.

- Trzymasz się? - zapytałem Artura, kiedy zostaliśmy sami.

- Jakoś się trzymam.

Art jest drobnym pedantycznym mężczyzną, który przywiązuje wielką wagę do ubioru. Pochodzi z San Francisco z rodziny lekarzy i prawników.

Jego matka była Amerykanką i Artur nie wygląda na Chińczyka. Ma oliwkową, a nie żółtą cerę, jego oczy są tylko lekko skośne, a poza tym nie jest szatynem, tylko brunetem. Do tego ma żywy temperament i gdy mówi, wymachuje energicznie rękami. W sumie wygląda raczej na Latynosa niż Azjatę.

Teraz był blady i spięty. Wstał z pryczy i zaczął nerwowo przechadzać się po celi.

- Cieszę się, że przyszedłeś.

- Jakby co, reprezentuję twojego adwokata. Inaczej by mnie nie wpuścili. -

Wyciągnąłem notes. - A propos, zadzwoniłeś do adwokata?

-Nie, jeszcze nie.

-Dlaczego?

- Nie wiem. - Potarł ręką czoło. - Nie potrafię trzeźwo myśleć. To wszystko nie ma sensu...

- Powiedz, jak się nazywa twój adwokat.

Zapisałem nazwisko, które mi podał. Art miał dobrego prawnika. Zdawał

sobie pewnie sprawę, że wcześniej czy później będzie go potrzebował.

- Zadzwoń do niego. A teraz mów, co się stało.

- Zostałem aresztowany za morderstwo.

- Właśnie słyszałem. Dlaczego do mnie zadzwoniłeś?

- Bo wiem, że znasz się na takich sprawach.

- Namorderstwach? Raczej średnio.

- Studiowałeś prawo.

- Przez rok - przypomniałem mu. - A do tego dziesięć lat temu. Ledwo zdałem egzaminy i niczego już nie pamiętam.

- John, to problem medyczny i prawny jednocześnie. Potrzebuję twojej pomocy.

- Lepiej zacznij od początku.

- John, nie zrobiłem tego. Przysięgam. W ogóle nie dotknąłem tej dziewczyny.

Chodził po celi coraz szybszym krokiem. Chwyciłem go za ramię.

- Usiądź i opowiedz mi wszystko od początku. Bardzo powoli.

Pokręcił głową i zgasił papierosa. Natychmiast zapalił następnego i zaczął

mówić:

- Przyszli rano, koło siódmej. Zabrali mnie na komisariat i zaczęli przesłuchiwać. Na początku zapewniali, że to tylko rutynowe działanie, cokolwiek to znaczy. Ale potem stali się napastliwi.

- Ilu ich było?

- Dwóch. Czasami trzech.

- Byli brutalni? Bili cię? Świecili w oczy?

- Nie, nic z tych rzeczy.

- Powiedzieli, że możesz zadzwonić do adwokata?

- Tak. Ale dopiero później, kiedy poinformowali mnie o moich prawach. -

Uśmiechnął się ze smutną ironią. - Bo na początku to miało być tylko rutynowe zeznanie. Dlatego nie przyszło mi do głowy, żeby domagać się adwokata. Niczego nie zrobiłem. Rozmawiali ze mną ponad godzinę, nim w ogóle wspomnieli o dziewczynie.

- Jakiej dziewczynie?

- Karen Randall.

- Chyba nie mówisz o tej Karen. . . Pokiwał głową.

- Właśnie o tej. O córce J.D. Randalla.

-Jezu...

- Pytali, co o niej wiem, czy była moją pacjentką i takie tam.

Powiedziałem, że przyszła do mnie na konsultację tydzień temu. Skarżyła się na brak miesiączki.

-Od jak dawna?

-Od czterech miesięcy.

- Powiedziałeś im o tym?

- Nie, nie pytali.

- Dobrze.

- Pytali o inne szczegóły jej wizyty. Czy przyszła tylko z tym problemem, jak się zachowywała. Odmówiłem odpowiedzi. Powołałem się na

tajemnicę lekarską. Wtedy zmienili taktykę: zapytali, gdzie byłem wczoraj wieczorem. Odpowiedziałem, że jak co dzień miałem obchód w Lincolnie, a potem wybrałem się na spacer po parku. Zapytali, czy nie wróciłem potem do swojego gabinetu. Ja na to, że nie. Zapytali więc, czy ktoś widział mnie w parku tamtego wieczoru. Odparłem, że raczej nie, w każdym razie nikt znajomy.

Art zaciągnął się głęboko papierosem. Drżały mu ręce.

-Wtedy zaczęli mnie przyciskać. Dopytywali się, czy jestem pewien, że nie wróciłem do gabinetu. Co robiłem po obchodzie? Czy na pewno nie widziałem Karen od zeszłego tygodnia? Nie rozumiałem, o co im chodzi.

- A o co chodziło?

- O czwartej nad ranem Karen Randall trafiła na ostry dyżur szpitala Memorial. Miała krwotok, a właściwie wykrwawiała się, i była w szoku.

Nie wiem, jakie zastosowano leczenie, ale w każdym razie zmarła. Policja uważa, że wczoraj wieczorem zrobiłem jej skrobankę.

Zmarszczyłem brwi. To nie miało sensu.

- Skąd mogą być tacy pewni?

-Nie powiedzieli. Pytałem ich o to wielokrotnie. Może bredziła i wspomniała moje nazwisko w szpitalu. Nie mam pojęcia. Pokręciłem głową.

- Art, gliniarze boją się nieuzasadnionego aresztowania jak plagi. Jeżeli zatrzymali cię, a nie potrafią podać dobrego powodu, mogą wylecieć z roboty. Jesteś szanowanym członkiem bostońskiego środowiska

lekarskiego, a nie jakimś bezdomnym pijakiem bez przyjaciół i grosza przy duszy. Masz dostęp do dobrej ochrony prawnej i wiedzą, że z niej skorzystasz. Nie odważyliby się ciebie aresztować, gdyby nie mieli mocnych argumentów.

Artur machnął z irytacją ręką.

- Może są po prostu głupi.

- Oczywiście, że są, ale nie aż tak.

- Tak czy siak, nie wiem, co na mnie mają.

- Musisz wiedzieć.

- Ale nie wiem - powtórzył i zaczął znowu krążyć po celi. - Nawet się nie domyślam.

Patrzyłem na niego przez chwilę, zastanawiając się, kiedy zadać pytanie, na które wcześniej czy później będę musiał poznać odpowiedź. Zauważył

moją minę.

- Nie - oświadczył.

-Co?

- Nie, nie zrobiłem tego. I przestań się tak na mnie gapić. - Usiadł i zabębnił palcami o materac. - Chryste, szkoda, że nie mogę golnąć sobie kielicha.

- Lepiej o tym zapomnij.

- Och, na litość boską...

- Pijesz tylko w towarzystwie - powiedziałem - i w ograniczonych ilościach.

- Sądzą mnie za charakter i nawyki czy za...

- W ogóle cię na razie nie sądzą i lepiej, żeby nigdy do tego nie doszło.

Artur prychnął zniecierpliwiony.

- Opowiedz mi o wizycie Karen - poprosiłem.

- Właściwie nie ma o czym mówić. Chciała, żebym zrobił jej aborcję, ale odmówiłem, bo była już w czwartym miesiącu. Wyjaśniłem jej, dlaczego nie mogę się tego podjąć, że przy tak zaawansowanej ciąży musiałbym ją rozcinać.

- Zgodziła się z tobą?

- Wydawało mi się, że tak.

- Co zapisałeś w karcie?

-Nic. W ogóle jej nie otworzyłem. Westchnąłem.

-Niedobrze. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Ponieważ nie przyszła na leczenie. Nie stała się moją pacjentką.

Wiedziałem, że więcej jej nie zobaczę, więc uznałem, że nie ma po co zakładać jej karty.

- Jak zamierzasz wytłumaczyć to policji?

- Słuchaj, gdybym przypuszczał, że mnie przez to aresztują, wiele rzeczy zrobiłbym inaczej.

Zapaliłem papierosa i oparłem się o zimną, kamienną ścianę. Nie miałem już wątpliwości, że sprawa jest popaprana, a szczegóły, które w innym kontekście wydawałyby się zupełnie niewinne, mogą teraz nabrać

kluczowego znaczenia.

- Kto ją do ciebie skierował?

- Chyba Peter.

- Peter Randall?

-Tak. Był jej lekarzem.

- Nie zapytałeś Karen, kto ją przysłał? - Art zwykle przywiązywał do tego dużą wagę.

- Nie. Zjawiała się dość późno i byłem zmęczony. Poza tym od razu przeszła do sedna; była bardzo bezpośrednią młodą damą. Kiedy

opowiedziała, jak wygląda sytuacja, uznałem, że Peter skierował ją do mnie, żebym jej wszystko wyjaśnił, bo na aborcję było już rzeczywiście za późno.

- Dlaczego tak pomyślałeś? Wzruszył ramionami.

-Nie wiem. To było spontaniczne.

Coś tu nie grało. Odniosłem wrażenie, że Artur nie mówi mi wszystkiego.

- Czy zgłaszali się do ciebie inni członkowie rodziny Randallów?

- Co masz na myśli?

- To, co powiedziałem.

-Nie sędzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Może tak, a może nie.

- Zapewniam cię, nie ma.

Westchnąłem i zaciągnąłem się papierosem. Wiedziałem, że Art potrafi być uparty jak osioł.

-No dobrze - westchnąłem. - Opowiedz mi więcej o Karen.

- Co chcesz wiedzieć?

- Widziałeś ją wcześniej?

-Nie.

-Nie poznałeś jej na żadnej imprezie?

-Nie.

- Jak możesz być tego taki pewien?

- A niech cię. Nie mogę być tego pewien, ale bardzo wątpię. Miała dopiero osiemnaście lat.

- Dobrze, już dobrze - uspokoiłem go. Art raczej mówił prawdę.

Wiedziałem, że pomagał w usunięciu ciąży przede wszystkim mężatkom przed trzydziestką. Często dawał mi do zrozumienia, że nie chce robić aborcji młodszym, chociaż od czasu do czasu mu się to zdarzało. Kobiety starsze i zamężne były znacznie bezpieczniejsze, potrafiły trzymać język za zębami i miały bardziej realistyczne spojrzenie na świat. Wiedziałem jednak, że ostatnio coraz częściej wykonywał zabiegi młodszym

dziewczynom, ponieważ, jak mi powiedział, uznał, że ograniczenie się do mężatek oznaczałoby

dyskryminację. Po części żartował, a po części nie.

-Opisz mi ją. Jak się zachowywała, kiedy do ciebie przyszła?

- Sprawiała wrażenie miłej dziewczyny. Ładna, inteligentna, dobrze wychowana. Bardzo bezpośrednia, jak już wspomniałem. Weszła do

gabinetu, usiadła, skrzyżowała ręce na brzuchu i wyłożyła kawę na ławę.

Używała terminów medycznych, jak amenorrhea*. Zresztą trudno się dziwić, w końcu pochodzi z lekarskiej rodziny.

- Wyglądała na zdenerwowaną?

- Tak - odparł. - Ale one wszystkie się denerwują. Dlatego tak trudno o rozpoznanie różnicowe. Przy braku miesiączki, zwłaszcza u młodych dziewcząt, trzeba wziąć pod uwagę nerwicę jako

etiologiczną możliwość. Kobiety często cierpią na zaburzenia cyklu menstruacyjnego na tle nerwowym.

-Ale cztery miesiące?

- Cóż, mało prawdopodobne. Poza tym przybrała na wadze.

- Dużo?

- Pięć i pół kilo.

* Amenhorrea (łac.) - brak miesiączki (przyp. tłum.).

- To jeszcze nic nie znaczy - zauważyłem.

- Nie - przyznał - ale daje do myślenia.

- Przebadałeś ją?

-Nie. Zaproponowałem, ale odmówiła. Przyszła, żeby usunąć ciążę, a kiedy się nie zgodziłem, pożegnała się i wyszła.

- Mówiła, jakie ma plany?

- Tak. Wzruszyła ramionami i powiedziała: „W takim razie zdaje się, że będę miała dziecko”.

- Więc uznałeś, że nie zwróci się do nikogo innego?

- Właśnie. Wydawała się bardzo inteligentna i spostrzegawcza. Doskonale zrozumiała moje wyjaśnienia. Zawsze tak postępuję w podobnych

przypadkach: staram się wytłumaczyć kobiecie, dlaczego nie można dokonać bezpiecznej aborcji i że musi się pogodzić z myślą o urodzeniu dziecka.

- Wygląda na to, że zmieniła jednak zdanie.

-No.

- Ciekawe dlaczego.

- Poznałeś jej rodziców? - roześmiał się Artur.

-Nie - przyznałem, a potem, korzystając z okazji, zapytałem: -A ty?

W geście uznania skinął lekko głową i powiedział:

-Nie, nigdy. Ale wiele o nich słyszałem.

- A konkretnie?

Właśnie w tym momencie zjawił się sierżant i zazgrzytał kluczem w zamku.

- Czas minął - oznajmił.

- Jeszcze pięć minut- poprosiłem.

- Czas minął.

- Rozmawiałaś z Betty? - zapytał Art.

- Tak. Nie przejmuj się. Jak tylko stąd wyjdę, zadzwonię do niej i powiem, że nic ci nie jest.

- Będzie się martwiła.

- Judith z nią zostanie. Jakoś przez to przebrniemy. Art uśmiechnął się smutno.

- Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotów.

- Nie ma sprawy. - Zerknąłem na sierżanta, który czekał, przytrzymując mi okratowane drzwi. - Policja nie może cię przetrzymywać. Wypuszczą cię jeszcze przed wieczorem.

Sierżant splunął na posadzkę.

Uścisnąłem Arturowi rękę.

- A tak przy okazji - przypomniało mi się - gdzie jest teraz ciało?

- Chyba w Memorialu. Ale równie dobrze mogli je już zabrać do

Miejskiego.

- Sprawdzę to. Niczym się nie przejmuj.

Wyszedłem z celi i sierżant zamknął za mną kratę. Nie odzywał się przez całą drogę do dyżurki, po czym oznajmił:

- Kapitan chce się z panem widzieć.

- W porządku. Niech pan prowadzi.

Na tabliczce przytwierdzonej do pomalowanych łuszczącą się zieloną farbą drzwi widniał napis ZABÓJSTWA, a na doklejonej poniżej karteczce ktoś dopisał ręcznie: Kapitan Peterson. Detektyw okazał się

powściągliwym krzepkim mężczyzną o ostrzyżonych najeża szpakowatych włosach. Kiedy wyszedł zza biurka, żeby uścisnąć mi dłoń, zauważyłem, że utyka na prawą nogę. Nie starał się tego ukryć, przeciwnie, odniosłem wrażenie, że ostentacyjnie szura butem po podłodze. Gliniarze, podobnie jak żołnierze, często okazują dumę ze swoich ran. Nie miałem

wątpliwości, że Peterson nie stracił władzy w nodze wskutek zwykłego wypadku samochodowego.

Próbowałem określić przyczynę jego kontuzji i uznałem, że była nią prawdopodobnie kula z pistoletu, ponieważ rzadko można spotkać ludzi dźgniętych nożem w łydkę. Wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

- Kapitan Peterson.

- John Berry.

Uścisnął mi energicznie dłoń, ale jego oczy były badawcze i zimne.

Wskazał mi krzesło.

- Sierżant powiedział, że nigdy wcześniej pana nie widział, więc pomyślałem, że powinniśmy się poznać. Znamy większość prawników od spraw karnych w Bostonie.

- Ma pan na myśli adwokatów sądowych?

- Oczywiście - odparł spokojnie. - Adwokatów sądowych. - Popatrzył na mnie wyczekująco.

Nie odezwałem się ani słowem. Po chwili ciszy Peterson zapytał:

- Jaką kancelarię pan reprezentuje?

- Kancelarię?

-Tak.

-Nie jestem adwokatem i nie wiem, skąd przyszło to panu do głowy. Udał zaskoczenie.

- Sierżant odniósł zupełnie inne wrażenie.

-Tak?

- Tak. Mówił, że przedstawił się pan jako prawnik.

-Czyżby?

- Tak - powtórzył Peterson, kładąc ręce na biurku.

- Kto tak twierdzi?

-On.

- W takim razie się myli.

Kapitan odchylił się do tyłu i obdarzył mnie bardzo uprzejmym uśmiechem typu „nie ma się czym denerwować”.

- Gdybyśmy wiedzieli, że nie jest pan adwokatem, nie pozwolilibyśmy panu na spotkanie z doktorem Lee.

- Możliwe. Ale z drugiej strony nie zapytano mnie ani o nazwisko, ani o zawód. Nie poproszono nawet, żebym wpisał się na listę odwiedzających.

- Sierżant musiał się pogubić.

- Wcale mnie to nie dziwi - zauważyłem. - Poznałem sierżanta.

Peterson uśmiechnął się obojętnie. Wtedy wiedziałem już, z kim mam do czynienia. Znałem ten typ gliniarzy: policjant z osiągnięciami, który nauczył się, kiedy puszczać płazem kąśliwe docinki, a kiedy reagować wrogością. Miał zmysł dyplomatyczny i był uprzejmy, dopóki sytuacja nie wymykała mu się spod kontroli.

- Więc? - zapytał w końcu.

- Jestem kolegą doktora Lee.

Jeżeli był zaskoczony, to nie dał tego po sobie poznać.

-Lekarz?

- Zgadza się.

- No, no, wy lekarze naprawdę trzymacie się razem - zauważył z tym samym uśmiechem na ustach. Przez ostatnie dwie minuty uśmiechał się zapewne więcej niż przez ostatnie dwa lata.

-Niespecjalnie.

Uśmiech zaczął blednąć, pewnie rzadko używane mięśnie nie wytrzymały.

- Jeżeli jest pan lekarzem - podjął Peterson - to radzę panu trzymać się jak najdalej od tej sprawy i doktora Lee. Zła prasa może zaszkodzić pańskiej praktyce.

- Jaka zła prasa?

- Z procesu sądowego.

- Będzie proces?

- Tak - odparł Peterson. - A zła prasa może zaszkodzić pańskiej praktyce.

-Nie prowadzę praktyki - oznajmiłem.

- Jest pan naukowcem?

-Nie, anatomopatologiem.

Zaintrygowałem go. Pochylił się do przodu, ale szybko zreflektował się i opadł z powrotem na oparcie krzesła.

- Anatomopatologiem - powtórzył.

- Tak. Przeprowadzam w szpitalach sekcje i takie tam. Peterson milczał

przez chwilę. Zmarszczył brwi, podrapał się po ramieniu i wbił wzrok w blat biurka. W końcu powiedział:

-Nie wiem, co zamierza pan osiągnąć, doktorze Berry, ale nie

potrzebujemy pańskiej pomocy, a Lee jest tak pogrążony, że...

-To się jeszcze okaże. Peterson pokręcił głową.

- Proszę nie udawać, że nie rozumie pan sytuacji.

- Obawiam się, że naprawdę nie rozumiem.

- Wie pan, jakiego odszkodowania może zażądać lekarz za nieuzasadnione aresztowanie?

- Milion dolarów - odparłem.
- Cóż, powiedzmy, że pięćset tysięcy. To zresztą bez znaczenia. Istota sprawy pozostaje ta sama.
- Uważacie, że macie wystarczające dowody?
- Jesteśmy tego pewni. - Peterson znowu się uśmiechnął. - O, naturalnie doktor Lee może powołać pana na świadka. Wiemy o tym. I może pan wystrzelić w przysięgłych cały arsenał wielkich słów i naukowych terminów, żeby zrobić na nich wrażenie. Ale nie uda się panu jedno - po prostu nie będzie pan w stanie zaprzeczyć faktom.

-A jakie to fakty?

-Dzisiaj rano wskutek nielegalnej aborcji dziewczyna wykrwawiła się na śmierć w szpitalu Memorial. Takie są fakty.

-I o dokonanie zabiegu posądzacie doktora Lee?

- Wskazuje na to materiał dowodowy - oznajmił obojętnie Peterson.

- Oby te dowody były dostatecznie mocne, bo doktor Lee jest

renomowanym i powszechnie szanowanym lekarzem.

- Słuchaj pan - przerwał mi Peterson, po raz pierwszy okazując

zniecierpliwienie. - Ta dziewczyna nie była jakąś tam kurewką za dziesięć dolarów. Była ładna, miła, bystra, pochodziła z dobrej rodziny. I została za-szlachtowana. Ale nie poszła do jakiejś podpitej akuszerki z Roxbury ani do rzeźnika z North Endu. Miała na to za dużo rozumu i za dużo pieniędzy.

- Skąd przypuszczenie, że aborcji dokonał doktor Lee?

- To nie pańska sprawa. Wzruszyłem ramionami.

- Adwokat doktora Lee zada panu to samo pytanie i będzie mu pan musiał

odpowiedzieć. A jeśli pańskie dowody okażą się za słabe...

- Mamy dobre dowody.

Czekałem. W pewnym sensie ciekawiło mnie, czy potrafi się opanować i zachować dyplomatyczną dyskrecję. Peterson nie musiał mi niczego mówić. Nie miał takiego obowiązku. Gdyby jednak puścił parę z ust, popełniłby błąd.

- Mamy świadka, który zeznał, że dziewczyna wskazała doktora Lee.

- Karen Randall przywieziono do szpitala w głębokim szoku, bredziła i majaczyła. To, co powiedziała, stanowi bardzo słaby dowód.

- Kiedy to mówiła, nie była jeszcze w szoku. To było znacznie wcześniej.

- To komu to powiedziała?

- Swojej macosze. - Peterson uśmiechnął się z satysfakcją. - Powiedziała jej, że to robota doktora Lee, kiedy jechały do szpitala, i pani Randall zezna to w sądzie.

Staralem się grać według reguł Petersona. Próbowałem zachować

kamienną twarz. Na szczęście w medycynie często trzeba udawać, że nic człowieka nie dziwi, miałem więc wprawę. Uczy się nas nie okazywać zaskoczenia, kiedy pacjent mówi na przykład, że uprawia seks dziesięć razy dziennie albo śni o tym, jak zabija własne dzieci, albo że potrafi wlać w siebie hektolitry wódki. Lekarz musi sprawiać wrażenie, że nic nie jest w stanie go zadziwić. To część naszego fachu.

- Rozumiem - mruknąłem. Peterson pokiwał głową.

- To wiarygodny świadek. Dojrzała kobieta, opanowana, wyważona w sądach. I bardzo atrakcyjna. Zrobi na przysięgłych doskonałe wrażenie.

- Być może.

- A teraz, skoro byłem z panem szczerzy - powiedział Peterson - może zechce mi pan wyjawić, dlaczego tak się pan interesuje doktorem Lee.

- To po prostu mój przyjaciel.

- Zadzwoił do pana, jeszcze zanim skontaktował się z adwokatem.

- Ma prawo do dwóch telefonów.

- Tak - przyznał Peterson - ale większość aresztantów dzwoni do żony i prawnika.

- Chciał porozmawiać ze mną.

-Tak. Ale pytanie brzmi: dlaczego?

- Ponieważ dysponuję zarówno pewną wiedzą prawniczą, jak i doświadczeniem medycznym.

- Skończył pan prawo?

-Nie.

Peterson zabębnił palcami o biurko.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

-Nie musi pan.

- A może jest pan w jakiś sposób zaangażowany w całą tę sprawę?

- Wszystko jest możliwe - odparłem.

- Czy to znaczy „tak”?

-Nie, to znaczy, że wszystko jest możliwe. Przyglądał mi się przez chwilę.

- Obrał pan sobie niełatwą postawę, doktorze Berry.

- Wolę zachować sceptycyzm.

- To dlaczego jest pan tak bardzo przekonany o niewinności doktora Lee?

-Nie jestem jego obrońcą.

- Przecież zdaje pan sobie sprawę - powiedział Peterson - że każdemu zdarzają się błędy. Nawet lekarzowi.

Kiedy wyszedłem na paździenikową mżawkę, uznałem, że okoliczności cholernie nie sprzyjają rzucaniu palenia. Peterson wyprowadził mnie z równowagi. Wypaliłem dwa papierosy w drodze do sklepu, żeby kupić następną paczkę. Myślałem, że detektyw okaże się tępym sadystą.

Pomyliłem się jednak. Jeżeli to, co powiedział, było prawdą, dysponował

mocnym materiałem dowodowym. W pewnym sensie Peterson znalazł się między młotem a kowadłem. Z jednej strony aresztowanie doktora Lee było ryzykowne, ale z drugiej strony błędem byłoby niearesztowanie go, jeśli dowody wydawały się dostatecznie przekonujące. Kapitan został

zmuszony do podjęcia decyzji i rzeczywiście ją podjął. Teraz będzie przy niej obstawał tak długo, jak to będzie możliwe. A do tego zostawił sobie otwartą furtkę na wypadek, gdyby sprawa potoczyła się nie po jego myśli.

W razie czego mógł zrzucić winę na panią Randall, tłumacząc, podobnie jak to czyni wielu lekarzy, że wykonywał tylko swoją robotę. Dowody wydawały się dostatecznie mocne, aby aresztować, a czy było to

sprawiedliwe, czy

nie, nie miało większego znaczenia. Peterson był więc kryty - niczym nie ryzykował.

W medycynie też często się tak zdarza. Na przykład pacjent ma gorączkę, podwyższony poziom białych krwinek i odczuwa ból w dolnej prawej części brzucha. Oczywiście diagnoza w tym wypadku to zapalenie wyrostka robaczkowego. W trakcie operacji może się jednak okazać, że wyrostek jest normalny, lecz mimo to chirurg, o ile nie wykazał się zbytnim pośpiechem, jest usprawiedliwiony, ponieważ objawy wskazywały na zapalenie ślepej кишки, a wszelka zwłoka w takim wypadku może okazać się fatalna w skutkach.

Wszedłem do sklepu, kupiłem dwie paczki papierosów, a następnie wykonałem kilka telefonów z automatu. Najpierw zadzwoniłem do

laboratorium i oznajmiłem, że nie wrócę tego dnia do pracy. Następnie zadzwoniłem do Judith i poprosiłem, żeby pojechała do Betty i

podtrzymała jąna duchu. Chciała się dowiedzieć, czy widziałem się z Arturem. Odpowiedziałem, że tak. Kiedy spytała, czy wszystko u niego w porządku, odparłem, że nie ma się czym przejmować i że na pewno za jakąś godzinę wypuszczą go na wolność.

Zwykle nie ukrywam przed nią prawdy. Może tylko w jednej lub dwóch ważnych sprawach. Nie powiedziałem jej na przykład, co Cameron

Jackson zrobił na konferencji Amerykańskiego Towarzystwa

Chirurgicznego kilka lat temu. Wiedziałem, że zdenerwowałyby się, czując solidarność z żoną Jacksona - tak samo jak zeszłej wiosny, kiedy się rozwiedli. Sam rozwód należał do wielu tak zwanych rozwodów

lekarskich i nie miał nic wspólnego z konwencjami. Cameron był zajęтым i pracowitym ortopedą. Nic więc dziwnego, że coraz rzadziej zjawiał się w domu na obiady i kolacje. Po jakimś czasie jego żona nie mogła już tego znieść. Najpierw znenawidziła ortopedię, a potem samego Camerona.

Przyznano jej opiekę nad dziećmi i alimenty w wysokości trzystu dolarów tygodniowo, ale i tak jest nieszczęśliwa. Tak naprawdę chciałyby Camerona - tylko bez medycyny.

Często myślę o Cameronie Jacksonie i ludziach, których spotkało coś podobnego. Zwykle przypominam sobie o nich wieczorami, kiedy okazuje się, że muszę zostać do późna w laboratorium, a jestem zbyt zajęty, żeby zadzwonić do Judith.

Rozmawiałem raz na ten temat z Artem, który podsumował to cynicznie:

„Zaczynam rozumieć, dlaczego księża się nie żenią”.

W małżeństwie Artura panuje niemal dusząca stabilność. Podejrzewam, że ma to związek z jego chińskim pochodzeniem, chociaż to pewnie tylko część prawdy. On i Betty są ludźmi wykształconymi i nie widać,

żeby przywiązywali jakąkolwiek wagę do tradycji. Myślę jednak, że obojgu nie udało się tak całkiem z nią zerwać. Art ciągle czuje się winny, że nie spędza dość czasu z rodziną, i dlatego rozpieszcza

dzieci drogimi prezentami. Uwielbia swoje dzieci. Kiedy zaczyna o nich mówić, tak się rozkręca, że trudno go powstrzymać. Jego stosunek do żony jest bardziej skomplikowany i niejednoznaczny. Czasami sprawia wrażenie, jakby chciał, żeby skakała wokół niego jak służąca, a ona wydaje się pragnąć tego równie mocno. Częściej jednak stara się być niezależna.

Betty Lee to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie znam. Filigranowa, łagodna i pełna gracji. W porównaniu z nią Judith wydaje się wielka, głośna i niemal męska.

Pobraliśmy się z Judith osiem lat temu. Poznałem ją, kiedy studiowałem jeszcze medycynę, a ona była na ostatnim roku w College'u Smitha.

Wychowała się na farmie w Vermont i jest tak zaradna, jak tylko ładne dziewczyny być potrafią.

-Zajmij się Betty-powiedziałem.

- Dobrze.

- Uspokój ją.

- W porządku.

-I trzymaj ją z daleka od dziennikarzy.

- Zjawią się dziennikarze?

-Nie wiem. Ale jeśli tak, to trzymaj ich na dystans.

Obiecała, że tak zrobi, i odłożyła słuchawkę.

Następnie zadzwoniłem do George'a Bradforda, adwokata Artura.

Bradford był solidnym prawnikiem i legitymował się wszystkimi odpowiednimi koneksjami; był starszym wspólnikiem w kancelarii

Bradford, Stone i Whitlaw. Nie zastałem go w biurze, więc zostawiłem wiadomość.

Wreszcie zadzwoniłem do Lewisa Carra, profesora medycyny klinicznej w szpitalu Memorial. Musiałem poczekać, aż sekretarka zawiadomi go przez pager. Po chwili usłyszałem znajomy głos.

- Lewis Carr, słucham.

- Lew, tu John Berry.

- Cześć, John. W czym problem?

To było typowe dla Carra. Większość lekarzy w telefonicznych

rozmowach z kolegami po fachu przestrzega swoistego rytuału: najpierw trzeba zapytać o samopoczucie rozmówcy, potem o jego pracę, a potem o rodzinę. Carr łamał ten i wiele innych konwenansów.

- Dzwonię w sprawie Karen Randall - odparłem.

- A konkretnie? - zapytał podejrzliwie. Śmierć Karen Randall musiała być w Memorialu bardzo drażliwym tematem.

- Interesuje mnie wszystko, co wiesz na ten temat. Wszystko, co obięło ci się o uszy.

- Słuchaj, John-odparł-jej ojciec jest tu wielką szychą. Słyszałem wszystko i nic. A dlaczego pytasz?

- Interesuje mnie to.

- Ciebie osobiście?

-Tak.

- Dlaczego?

- Przyjaźnię się z Artem Lee.

- Przyskrzynili go za to? Słyszałem o tym, ale nie chciało mi się wierzyć.

Zawsze wydawało mi się, że Lee jest na coś takiego za mądry...

- Lew, co się stało wczoraj w nocy? Carr westchnął.

- Chryste, to jeden wielki bajzel. Na ostrym dyżurze kompletnie spieprzyli sprawę.

- Jak to?

- Nie mogę teraz rozmawiać. Przyjedź do mnie, pogadamy w cztery oczy.

- Dobra - powiedziałem. - Gdzie jest teraz ciało? Twój ludzie ciągle je mają?

-Nie, przewieziono je do Miejskiego.

- Przeprowadzili już sekcję?

-Nie mam pojęcia.

- Dobra. Wpadnę za parę godzin. Myślisz, że mogę zerknąć w jej kartę?

- Wątpię. Stary ma ją u siebie.

-Nie odda jej w najbliższym czasie?

- Raczej nie.

- Dobra, to na razie.

Odwiesiłem słuchawkę, wrzuciłem kolejną dziesięciocentówkę i

wykręciłem numer kostnicy Szpitala Miejskiego. Sekretarka o imieniu Alice potwierdziła, że przywieziono ciało Karen Randall. Alice cierpi na niedoczynność tarczycy i mówi takim głosem, jakby połknęła kontrabas.

-Zrobili już sekcję zwłok?

- Właśnie zaczynają.

- Mogą poczekać? Chciałbym przy tym być.

- Wątpię, żeby to było możliwe - zadudniła Alice. - Memorial prosi o pośpiech.

Poradziła, żebym przyjechał jak najszybciej do szpitala. Powiedziałem, że tak zrobię.

Bostończycy uważają, że mają najlepszą służbę zdrowia na świecie. Jest to opinia zakorzeniona tak głęboko, że w ogóle nikt się o to nie spiera.

Za to kwestia, który szpital w Bostonie jest najlepszy, wzbudza gorące kontrowersje i namiętne debaty. W rywalizacji o ten zaszczytny tytuł liczą się właściwie trzy placówki: Szpital Główny, Birgham oraz Memorial.

Zwolennicy Memoriala powiedzą wam, że Główny jest za duży, a

Birgham za mały, że w Głównym panuje zimna kliniczna atmosfera, a Birgham odstręcza zbyt naukowym podejściem, że w Głównym przecenia się chirurgię kosztem leczenia nieinwazyjnego, a w Birgham na odwrót.

Wreszcie zwolennicy Memoriala z całą powagą oświadczą, że lekarze Głównego i Birgham są po prostu gorzej wykształceni i głębsi od personelu medycznego Memoriala.

Jednak na każdej liście Bostoński Szpital Miejski sytuuje się na samym dole. Jadąc w jego kierunku, minąłem Prudential Center, dumę

miejscowych polityków, którzy nazywają tę dzielnicę nowym Bostonem.

Jest to rozległy nowoczesny kompleks drapaczy chmur, hoteli i

luksusowych sklepów poprzedzielanych schludnymi placami z zielenią i fontannami. Za ledwie parę kilometrów dalej znajduje się rozpustna dzielnica czerwonych latarni, która nie jest ani nowa, ani nowoczesna, ale podobnie jak Prudential Center, pełni w życiu miasta ważną funkcję.

Dzielnica czerwonych latarni graniczy z kolei z murzyńskimi slumsami, czyli Roxbury, a między nimi stoi Bostoński Szpital Miejski. Podskakując na dziurawej jezdni, pomyślałem, że znalazłem się bardzo daleko od terytorium Randallów.

Fakt, że Randallowie pracują w Memorialu, wydawał się zupełnie

oczywisty. Była to jedna z najstarszych bostońskich rodzin, co oznaczało, że jej członkowie mogą się poszczycić tym, iż ich pulę genów wzbogacił

co najmniej jeden cierpiący na chorobę morską Pielgrzym, który przybył

tu jeszcze na pokładzie statku „Mayflower”. Randallowie są rodziną lekarzy od setek lat - w 1776 roku Wilson Randall zginął pod Bunker Hill*.

W mniej odległej przeszłości ród ten wydał długą linię wybitnych lekarzy.

Joshua Randall był słynnym neurochirurgiem, który na początku

dwudziestego stulecia zrobił dla tej gałęzi medycyny w Ameryce co najmniej tyle, co sam Cushing. Był to podobno człowiek niezwykle zasadniczy

* Bunker Hill - miejsce jednej z najważniejszych bitew wojny o

niepodległość (17 VI 1775). Koloniści, broniąc Bostonu, odparli dwa ataki Brytyjczyków. W rezultacie trzeciego Brytyjczycy zajęli umocnienia (przyp. red.).

i ponury; do środowiskowej tradycji przeszła sławna, choć apokryficzna opowieść na jego temat.

Joshua Randall, podobnie jak większość chirurgów w jego czasach, nie pozwalał żadnemu z podległych mu rezydentów na ożenek. Pewnego razu jeden z jego podwładnych złamał jednak to prawo i wziął po cichu ślub.

Kilka miesięcy później Randall odkrył prawdę i zwołał rezydentów na zebranie. Kazał im ustawić się w rzędzie i powiedział: „Panie Jones, proszę wystąpić naprzód”.

Świadom swej winy lekarz wykonał rozkaz, drżąc przy tym ze strachu.

- Rozumiem, że wziął pan ślub, doktorze Jones - rzekł Randal i takim głosem, jakby chodziło o jakąś paskudną chorobę.

- Tak, proszę pana.

- Czy zanim zwolnię pana z pracy pod moim kierownictwem, chciałby pan powiedzieć coś na swoją obronę?

Młody lekarz zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

- Tak, proszę pana. Obiecuję, że już więcej tego nie zrobię.

Historia głosi, że Randalla tak rozśmieszyła odpowiedź rezydenta, iż mimo wszystko pozwolił mu zostać.

Po J.D. Randallu był Winthrop Randall, chirurg klatki piersiowej. J.D.

Randall, ojciec Karen, specjalizował się w chirurgii serca, a zwłaszcza w wymianie zastawek. Nigdy go nie poznałem, ale widziałem go raz czy dwa

- był typem surowego patriarchy o gęstych siwych włosach i władczej posturze. Napawał strachem rezydentów, którzy zabiegali o to, by się u niego uczyć, lecz jednocześnie nienawidzili go z głębi serca.

Jego brat, Peter, internista, prowadził własną praktykę niedaleko Commons. Był bardzo modny, bardzo ekskluzywny i podobno bardzo dobry, chociaż nie znałem go od tej strony.

J.D. miał syna, brata Karen, który studiował medycynę na Harvardzie. Rok temu krążyła plotka, że chłopak ledwo sobie radzi. Ostatnio było na ten temat cicho.

W innym mieście i w innych czasach mogłoby się wydać dziwne, że młodzieniec pochodzący z rodziny o tak wielkich lekarskich tradycjach wybrał ten sam zawód. Ale nie w Bostonie. Dla tutejszych elit liczą się tylko dwie profesje - medycyna i prawo. Jedyne wyjątek robi się dla kariery akademickiej i to tylko dla profesorów Harvardu.

Jednak Randallowie nie byli ani rodziną uczonych, ani rodziną prawników.

Byli rodziną lekarzy, a każdy Randall, który skończył szkołę medyczną, starał się o stanowisko rezydenta lub młodszego asystenta w Memorialu.

Gdy chodziło o Randallów, zarówno akademia medyczna,

jak i szpital przymykały w przeszłości oko na kiepskie oceny, jednak rodzina odpłaciła za pokładane w niej zaufanie z nawiązką. W medycynie Randall okazywał się zwykle bardzo dobrym wyborem.

To wszystko, co wiedziałem o Randallach, oprócz tego, że byli bardzo zamożni, oddani wierze katolickiej, zaangażowani w sprawy publiczne, szanowani i niezwykle wpływowi.

Zdałem sobie sprawę, że muszę się dowiedzieć więcej.

Trzy przecznice od szpitala przejechałem przez Strefę Walki, róg alei Mass i Columbus. Wieczorem to miejsce zaludnia się dziwkami, alfonsami, ćpunami i kieszonkowcami. Nazwa Strefa Walki została nadana przez lekarzy Szpitala Miejskiego, którzy przyjmują stąd tyle ofiar strzelanin i walk na noże, że uznają ten obszar za teren wojny.

Sam szpital to olbrzymi kompleks budynków, ciągnących się na trzy przecznice wszerz i wzdłuż. Jest tu ponad tysiąc trzysta pięćdziesiąt łóżek, w których leżą głównie alkoholicy i bezdomni. W

lekarskim środowisku Bostonu o Miejskim mówi się „Gówniany” z powodu jego klienteli.

Uważa się go jednak za bardzo dobrą placówkę szkoleniową, ponieważ rezydent lub stażysta może się tu zetknąć z chorobami, o których w bogatszych szpitalach nawet nie słyszano. Dobrym przykładem jest szkorbut. Mało kto w Ameryce cierpi na tę chorobę. Aby się jej nabawić, trzeba być ogólnie niedożywionym i nie jeść żadnych owoców przez co najmniej pięć miesięcy. Zdarza się to tak rzadko, że w większości szpitali pacjent ze szkorbutem trafia się raz na trzy lata. Jednak w Bostońskim Szpitalu Miejskim leczy się około sześciu przypadków rocznie, zwykle na wiosnę, w „sezonie szkorbutowym”.

Można podać również inne przykłady: zaawansowaną gruźlicę, kiłę trzeciorzędową, rany postrzałowe, pchnięcia nożem czy samookaleczenia.

W Miejskim widuje się więcej rodzajów chorób i obrażeń, i w bardziej zaawansowanym stadium niż gdziekolwiek indziej.

Częstotliwość występowania dziwnych przypadków oznacza, że każdy lekarz ma spory zapas medycznych anegdot. Jeden z chirurgów uwielbia opowiadać, jak podczas dyżuru na urazówce przywieziono dwie ofiary wypadku samochodowego. Jedna z nich straciła nogę od kolana w dół.

Druga miała okropną ranę klatki piersiowej, a obfity krwotok uniemożliwił

szybkie ustalenie skali obrażeń. Po zrobieniu rentgena okazało się, że w klatce piersiowej mężczyzny utkwiała stopa i łydka drugiej ofiary.

Wnętrze Miejskiego wygląda jak labirynt zbudowany przez wariata.

Niekończące się korytarze nad i pod ziemią łączą tuzin oddzielnych gmachów. Na każdym rogu wiszą duże zielone tablice wskazujące drogę, ale niewiele to pomaga; naprawdę trudno się w tym wszystkim połapać.

Kiedy przemierzałem jeden korytarz za drugim, przypominał mi się mój staż. Wróciły znajome zapachy i obrazy. Dziwne tanie mydło o

szczególnej woni, którego nie używano nigdzie indziej. Papierowe torby wiszące przy każdej umywalce; jedna na jednorazowe ręczniki, a druga na gumowe rękawiczki - z przyczyn ekonomicznych szpital mył i

wykorzystywał je ponownie. Plastikowe identyfikatory z czarnymi, niebieskimi lub czerwonymi ramkami przydzielanymi w zależności do funkcji i specjalności. Przepracowałem w Miejskim dwanaście miesięcy i w tym czasie wykonałem kilka sekcji dla koronera.

Sekcja zwłok jest wymagana przez prawo w czterech przypadkach. Każdy patolog zna je wszystkie na pamięć:

Jeśli pacjent zmarł w niezwykłych lub związanych z przemocą

okolicznościach.

Jeśli zgon nastąpił w chwili przyjęcia do szpitala.

Jeśli pacjent zmarł w ciągu dwudziestu czterech godzin od przyjęcia.

Jeśli pacjent zmarł poza szpitalem i nie znajdował się w tym czasie pod opieką medyczną.

W każdym z tych czterech przypadków autopsję wykonuje się w

Miejskim. Boston, podobnie jak wiele innych miast, nie ma oddzielnej kostnicy policyjnej. Pierwsze piętro Budynku Mallory'ego, siedziby patologii, jest przeznaczone dla koronera. W standardowych przypadkach sekcję zwłok przeprowadzają najmłodszy rezydenci patologii ze szpitala, z którego pochodzi pacjent. Dla żółtodziobów, którzy pracują w szpitalu mniej niż rok i wciąż się denerwują, autopsja dla koronera to bardzo stresująca sprawa.

Nowicjusz nie wie jeszcze, jak wygląda na przykład ofiara zatrucia lub porażenia prądem elektrycznym, i obawia się, że przeoczy coś ważnego.

Przekazywana wśród rezydentów z pokolenia na pokolenia rada, jak uporać się z tym problemem, brzmi: trzeba sporządzić jak najpełniejszą dokumentację - robić dokładne notatki, jak najwięcej zdjęć i „wszystko przechowywać”, czyli sporządzić preparaty tkanek wszystkich organów wewnętrznych i zachować je na wypadek, gdyby doszło do procesu, w którym wyniki okażą się istotne.

„Przechowywanie wszystkiego” to oczywiście bardzo kosztowny interes. Trzeba mieć dodatkowe naczynia, dodatkowy utrwalacz i dodatkowe miejsce w zamrażarce. Kiedy jednak chodzi o autopsje dla policji, rezydenci bez mrugnięcia okiem zadają sobie ten trud.

Ale nawet przy tych wszystkich środkach ostrożności człowiek się denerwuje. Kiedy dokonuje się sekcji zwłok, zawsze gdzieś głęboko tli się strach, ta przerażająca obawa, że prokurator albo obrońca zażąda rozstrzygnięcia jakiejś kluczowej kwestii, której nie wzięto się pod uwagę, ponieważ nie rozważyło się wszystkich hipotez.

Z jakiegoś tajemniczego powodu, którego nikt już nie pamięta, tuż za drzwiami do Budynku Mallory'ego stoją dwa nieduże kamienne sfinksy.

Za każdym razem, kiedy je widzę, ciarki przechodzą mi po plecach: sfinksy na patologii trącą mi egipskimi komnatami do balsamowania zwłok. Albo czymś podobnym.

Poszedłem na pierwsze piętro, żeby rozmówić się z Alice. Była nie w sosie; autopsja jeszcze się nie rozpoczęła, doszło do jakiegoś opóźnienia; w ogóle wszystko brali diabli. Zapytała mnie, czy wiem, że w zimie czeka nas epidemia grypy?

Powiedziałem, że wiem.

- Kto robi sekcję Karen Randall? Alice skrzywiła się z niesmakiem.

- Przyszli kogoś z Memoriała. Nazywa się Hendricks, jeśli się nie mylę.

Zaskoczyło mnie to. Spodziewałem się, że przydzielią do tej sprawy kogoś doświadczonego.

- Jest w środku? - spytałem, kiwając głową w stronę drzwi w głębi korytarza.

- Ehe - mruknęła.

Otworzyłem podwójne drzwi i, minawszy rząd chłodni, w których

przechowywano zwłoki, doszedłem do tabliczki z napisem: WSTĘP

TYLKO DLA PERSONELU. Pchnąłem drewniane, pozbawione okna

drzwi wiodące do prosektorium. W kącie rozmawiali dwaj mężczyźni.

Sala była duża, pomalowana na mdły pistacjowy kolor. Pod niskim sufitem biegły nieosłonięte rury, za posadzkę służyła betonowa wylewka; w takim miejscu nie wydaje się pieniędzy na wystrój wewnątrz. Pośrodku, w równym rzędku, stało pięć stołów z nierdzewnej stali, każdy długi na sto osiemdziesiąt centymetrów. Po lekko pochylonych blatach spływała do zainstalowanych poniżej zlewów woda, która podczas sekcji zmywa krew i strzępy tkanki. Wbudowany w okno z matową szybą wielki wentylator był włączony. Podobnie jak chemiczny odświeżacz powietrza, rozpylający erzac zapachu świerku.

Z boku mieściła się szatnia, w której patolodzy mogli się przebrać. Przy ścianie zamontowano cztery duże umywalki, nad jedną z nich widniał

napis: TYLKO DO MYCIA RĄK. W pozostałych myło się instrumenty

chirurgiczne i wyjęte organy. Pod ścianą w głębi stał rząd prostych szafek ze słoikami na preparaty, utrwalaczami, gumowymi rękawiczkami oraz aparatem fotograficznym. Bardziej osobliwe organy często fotografuje się przed usunięciem.

Kiedy wszedłem, dwaj mężczyźni odwrócili głowy w moją stronę.

Rozmawiali o leżących na najdalszym stole zwłokach. Rozpoznałem jednego z nich, rezydenta o nazwisku Gaffen. Znałem go trochę. Był

bardzo bystry i dość złośliwy. Drugiego mężczyzny jeszcze nigdy nie spotkałem. Zgadywałem, że to Hendricks.

- Cześć, John - powitał mnie Gaffen. - Co cię tu sprowadza?

- Sekcja Karen Randall.

- Zaraz się zaczniesz. Chcesz się przebrać?

- Nie, dzięki - odparłem. - Będę się tylko przyglądał.

Tak naprawdę chętnie bym się przebrał, ale uznałem, że to kiepski pomysł.

Tylko w jeden sposób mogłem utrzymać status obserwatora -pozostając w zwykłych ciuchach. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, było przyjęcie roli aktywnego uczestnika sekcji, który ma wpływ na jej wyniki.

- Chyba się nie znamy - powiedziałem do Hendricksa. - Jestem John Berry.

- Jack Hendricks. - Uśmiechnął się, ale nie podał mi dłoni. Miał

rękawiczki, a przedtem dotykał ciała leżącego na stole za jego plecami.

- Właśnie pokazywałem Hendricksowi kilka interesujących znalezisk -

zagadnął Gaffen, kiwając głową w stronę zwłok. Odsunął się, żebym mógł

się przyjrzeć. Była to młoda Murzynka. Musiała być bardzo atrakcyjna, zanim ktoś nie wpakował w jej klatkę piersiową i brzuch trzech pocisków.

- Hendricks cały czas siedzi w Memorialu - wytłumaczył Gaffen -i rzadko widuje takie przypadki. Przed chwilą właśnie zastanawialiśmy się, skąd wzięty się te maleńkie rany.

Gaffen wskazał poszarpaną skórę na ramionach i łydkach.

- Myślę, że to mogą być zadrapania po drucie kolczastym - zasugerował

Hendricks.

Gaffen uśmiechnął się smutno.

- Drut kolczasty - powtórzył.

Milczałem. Wiedziałem, jak powstały te rany, ale zdawałem sobie również sprawę, że ktoś, komu brakuje doświadczenia, nigdy się tego nie domyśli.

- Kiedy ją przywieziono? - zapytałem. Gaffen zerknął na Hendricksa, a potem odparł:

-O piątej rano. Ale zdaje się, że zgon nastąpił około północy. -Zwrócił się do Hendricksa. - Czy coś ci to mówi?

Młody rezydent pokręcił głową i przygryzł wargę. Gaffen zamierzał

udowodnić mu jego głupotę. Mogłem to ukrócić, ale znęcanie się nad młodszymi często uchodzi w medycynie za nauczanie. Hendricks to wiedział, ja to wiedziałem i wiedział to Gaffen.

- Jak myślisz - podjął Gaffen - gdzie leżała przez te pięć godzin?

-Nie wiem - przyznał zawstydzony Hendricks.

-Zgadnij.

-W łóżku?

-Niemożliwe. Zwróć uwagę na plamy opadowe. Nie leżała na żadnej płaskiej powierzchni. Była zgięta w pół i leżała na boku. Hendricks popatrzył na zwłoki i znowu pokręcił głową.

-Znaleźli ją w rynsztoku - oświecił go Gaffen. -Na Charleston Street, dwie przecznice od Strefy Walki. W rynsztoku.

-Aha.

- Więc - podjął Gaffen - skąd wzięły się te rany? Hendricks pokręcił

głową. Wiedziałem, że może to trwać całą wieczność, Gaffen nie

zamierzał odpuścić. Chrząknąłem i powiedziałem:

-To ugryzienia szczurów. Są bardzo charakterystyczne. Zwróć uwagę na wcięcie z jednej strony i wyszarpane ciało. Mają kształt klina.

- Ugryzienia szczurów - powtórzył z niedowierzaniem Hendricks.

- Uczymy się całe życie - powiedział sentencjonalnie Gaffen, po czym spojrział na zegarek. - Muszę lecieć. Miło cię było znowu zobaczyć, John. -

Zdjął rękawiczki, umył ręce, a potem podszedł do Hendricksa, który wciąż wpatrywał się w rany postrzałowe i ugryzienia.

- Leżała w rynsztoku pięć godzin?

- I policja jej nie znalazła?

- W końcu znalazła.

- Kto jej to zrobił?

-Ty mi powiedz - zachnął się Gaffen. -Leczono ją w tym szpitalu na rzeżączkę, pięć razy. A kiedy ją znaleziono, miała czterdzieści dolców wetkniętych w stanik. - Spojrział na Hendricksa, pokręcił głową i wyszedł.

- Wciąż nie rozumiem - wyznał Hendricks, kiedy zostaliśmy sami. -Czy to znaczy, że była prostytutką?

- Tak - odrzekłem. - Została zastrzelona i pięć godzin przeleżała w rynsztoku, gdzie dobrały się do niej szczury.

-Aha.

- To się zdarza. Nawet często.

Właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi i pielęgniarz wwiózł nakryte białym prześcieradłem ciało. Popatrzył na nas i zapytał:

- Karen Randall?

- Tak - odparł Hendricks.

- Który stół pan sobie życzy?

- Środkowy.

- Dobra. - Przysunął wózek, a potem ułożył ciało na stalowym blacie.

Najpierw głowę, potem nogi. Zwłoki zdążyły już stężeć. Szybkim ruchem zdjął białą płachtę, złożył ją i rzucił na wózek.

- Musi pan podpisać - zwrócił się do Hendricksa, podając mu formularz.

- Nie jestem w tym zbyt dobry - wyznał rezydent po złożeniu swojego podpisu. - Do tej pory wykonałem tylko jedną autopsję dla koronera, ale chodziło o wypadek w pracy. Robotnikowi spadło coś na głowę. Ale jeszcze nigdy nie miałem do czynienia z czymś takim...

- Jak to się stało, że wybrali właśnie ciebie? - zapytałem.

- Chyba przypadkiem. Słyszałem, że Weston miał się tym zająć, ale zdaje się, że coś mu wypadło.

-Leland Weston?

-Tak.

Weston był ordynatorem patologii Szpitala Miejskiego i prawdopodobnie najlepszym patologiem w Bostonie.

- Cóż - westchnął Hendricks. - Chyba możemy zaczynać.

Podszedł do umywalki i zaczął dokładnie szorować ręce. Patolodzy, którzy się myją przed sekcją zwłok, zawsze mnie wkurzają. Przypominają parodię chirurgów: facet w uniformie chirurga - luźnych zielonych spodniach i koszuli z krótkimi rękawami - skrupulatnie szoruje dłonie przed przystąpieniem do zoperowania pacjenta, któremu już wcale nie zależy na higienie.

Jednak w przypadku Hendricksa było to zrozumiałe, chłopak po prostu się denerwował.

Sekcje nigdy nie należą do przyjemności, ale są szczególnie przykre, gdy zmarła osoba jest tak młoda

i atrakcyjna, jak Karen Randall. Leżała nago na plecach, kosmyki jej blond włosów nasiąkały spływającą po blacie wodą, a szkliste błękitne oczy wpatrywały się nieruchomo w sufit. Kiedy Hendricks mył ręce, przyjrzałem się ciału i dotknąłem skóry. Była zimna i wiotka. Miała barwę przybrudzonej kredy. Dokładnie taką, jakiej należałoby oczekiwać po dziewczynie, która wykrwawiła się na śmierć.

Hendricks sprawdził film w aparacie, a potem machnął ręką, żebym się odsunął, i zrobił trzy zdjęcia pod różnymi kątami.

- Masz jej kartę? - zagadnąłem.

-Nie. Stary ją trzyma. Dostałem tylko streszczenie wypisu ze szpitala.

-I co?

-Zgon nastąpił wskutek krwotoku z pochwy powiązanego z anafilaksją-

- Anafilaksja? Na co była uczulona?

-Nie mam pojęcia. Coś się stało na ostrym dyżurze, ale nie zdołałem dowiedzieć się, co.

- Ciekawe - mruknąłem.

Hendricks skończył robić zdjęcia i podszedł do tablicy. W większości pracowni patologicznych wisi tablica, na której patolog może zapisywać swoje obserwacje z każdego etapu badania - wygląd ciała, wagę, stan organów wewnętrznych i tak dalej. Hendricks wziął kredę i napisał: Randall K. i numer szpitalny.

W tym momencie do sali wszedł mężczyzna. Od razu rozpoznałem

zgarbioną sylwetkę Lelanda Westona. Miał sześćdziesiąt kilka lat i przygotowywał się do przejścia na emeryturę, wciąż jednak emanował

energią i wigorem. Nie tracąc czasu, uścisnął rękę najpierw mnie, a potem Hendricksowi, który wyglądał na bardzo uradowanego jego przybyciem.

Weston wziął autopsję na siebie. Zaczął w ten sam sposób, co zawsze -

obchodząc kilkakrotnie ciało, przyglądając mu się uważnie i mrużąc coś pod nosem. Wreszcie zatrzymał się i łypnął na mnie spode łba.

- Obejrzałeś ją, John?

-Tak.

-I co?

- Niedawno przybrała na wadze - odparłem. - Na udach i piersiach widać rozstępy. Poza tym ma nadwagę.

- Dobrze - pochwalił mnie Weston. - Coś jeszcze?

- Tak. Moją uwagę zwróciło jej owłosienie. Była blondynką, ale na górnej wardze i ramionach widać ciemniejsze włoski. Są rzadkie i wyglądają na nowe.

- Dobrze. - Weston pokiwał głową i obdarzył mnie lekkim krzywym uśmiechem. Był kiedyś moim nauczycielem. Wyszkolił zresztą większość patologów w Bostonie. - Ale - dodał - zapomniałeś o najważniejszym.

Wskazał palcem łono, które było świeżo ogolone.

- O tym - oświadczył.

- Ale przecież miała skrobankę - zaproponował Hendricks. - Wszyscy to wiemy.

- Nikt - odrzekł surowo Weston - nie wie niczego, dopóki nie zakończymy sekcji. Nie możemy sobie pozwolić na przedwczesną diagnozę.

- Uśmiechnął się krzywo. - To sport dla klinicystów. - Włożył rękawiczki i ciągnął: - Ta autopsja będzie najlepsza i najbardziej skrupulatna, na jaką nas stać. Mamy jak w banku, że J.D. Randall będzie czytał nasz raport z lupą w rękę. No dobrze. - Obejrzał z bliska wzgórek łonowy. - Ustalenie przyczyny ogolenia włosów łonowych jest bardzo trudne. Może to

świadczyc o przejściu zabiegu chirurgicznego, ale niektórzy pacjenci robią to z czysto osobistych pobudek. W tym przypadku możemy zauważyć brak jakichkolwiek zacięć czy choćby zadrapań. To ważne, bo nie ma na świecie pielęgniarki, która ogoliłaby pacjenta przed operacją, nie zraniwszy go ani razu. Pielęgniarki się śpieszą, a niewielkie zacięcia nie mają znaczenia. A więc...

- Ogołiła się sama - podrzucił Hendricks.

- Prawdopodobnie - przyznał Weston. - To oczywiście nie wyklucza operacji. Ale powinniśmy o tym pamiętać.

Następnie zabrał się do sekcji zwłok, pracując szybko i precyzyjnie.

Zmierzył dziewczynę - miała metr sześćdziesiąt i ważyła pięćdziesiąt dwa kilo. Biorąc pod uwagę, ile straciła krwi, było to dość dużo. Weston zapisał

wyniki na tablicy i zrobił pierwsze nacięcie.

Standardowe nacięcie przy autopsji ma kształt litery Y. Na początku rozcina się ukośnie klatkę piersiową tak, aby cięcia biegły od barków do splotu słonecznego, a następnie jednym ruchem tnąc się brzuch aż do kości łonowej. Wtedy odchyła się skórę i mięśnie, a potem przepiłowuje żebra, żeby odsłonić płuca i serce. Następnie odsłania się jamę brzuszną, podwiązuje się i przecina tętnice szyjne

oraz okrężnicę, tnie tchawicę i gardło, aby potem jednym ruchem wyjąć całe trzewia, serce, płuca, żołądek, wątrobę, śledzionę, nerki oraz jelita.

Tak wypatroszone ciało zostaje zaszyte. Wyjęte organy można zbadać później i przygotować preparaty mikroskopowe. Kiedy patolog się tym zajmuje, laborant sekcyjny przepiłowuje i otwiera czaszkę, żeby wyjąć mózg, o ile rodzina zmarłej osoby wyraziła zgodę na jego zbadanie.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie ma laboranta sekcyjnego, i zapytałem o to Westona.

- Zgadza się - odparł. - Tę sekcję robimy samodzielnie. Zupełnie samodzielnie.

Patrzyłem, jak Weston rozcina ciało. Jego ręka drżała lekko, ale wciąż pracował zaskakująco szybko i skutecznie. Kiedy otworzył jamę brzuszną, wylała się krew.

- Szybko - rzucił. - Odessać.

Płyn żołądkowy - ciemnoczerwony, z dużą ilością krwi - został odessany i zmierzony w butelce. W sumie było go prawie trzy litry.

- Szkoda, że nie mamy karty - powiedział Weston. - Chciałbym wiedzieć, ile jednostek podali jej na ostrym dyżurze.

Pokiwałem głową. Normalnie organizm ludzki ma mniej więcej pięć litrów krwi. Znalezienie aż takiej jej ilości w jamie brzusznej sugerowało, że gdzieś nastąpiła perforacja.

Po odessaniu płynu Weston wyjął organy i włożył je do miski z

nierdzewnej stali. Następnie zaniósł je do umywalki i zaczął oglądać.

- Dziwne - mrucał pod nosem, trzymając w dłoni tarczycę. - Musi ważyć około piętnastu gramów.

Zdrowa tarczyca waży od dwudziestu do trzydziestu gramów.

- Ale to pewnie zwykła różnica osobnicza - zauważył. Naciął ją i obejrzał

dokładnie tkankę. Wyglądała zupełnie normalnie.

Następnie rozciął tchawicę, odsłaniając płuca, które były rozdęte i miały białawy, a nie normalny różowofioletowy kolor.

- Anafilaksja - orzekł. - Wiesz, na co była uczulona?

-Nie-odparłem.

Hendricks robił notatki. Weston zręcznie podążył za oskrzelami w głąb płuc, a potem otworzył tętnice płucne i żyły.

Przeszedł do serca, które również otworzył, robiąc dwa określone nacięcia po bokach i odsłaniając obie komory i przedsionki.

- Całkowicie zdrowe.

Następnie rozciął tętnice wieńcowe, które także okazały się normalne, z lekką arteriosklerozą.

Wszystkie inne organy wyglądały zdrowo, aż do momentu, gdy dotarliśmy do macicy. Była fioletowa od krwi i niezbyt duża, miała rozmiar i kształt zbliżony do żarówki. Kiedy Weston obrócił ją w dłoni, ujrzelśmy przebitą błonę śluzową! mięśnie. To tłumaczyło obecność krwi w jamie brzusznej.

Jednak zaniepokoiła mnie jej wielkość. Nie wyglądała na macicę kobiety w ciąży, zwłaszcza w czwartym miesiącu. W tym okresie płód ma już zwykle dwanaście centymetrów długości i bijące serce, zaczynają się kształtować rysy twarzy, oczy i kości. Macica powinna być znacznie powiększona.

Weston pomyślał o tym samym.

- Oczywiście musiała dostać w szpitalu oksytocynę*, ale to i tak cholernie dziwne.

Rozciął ścianę macicy i zajrzał do środka. Wnętrze zostało całkiem dobrze i dokładnie wyskrobane, do perforacji musiało dojść pod koniec zabiegu.

Teraz macica była pełna krwi, w której pływały liczne półprzeźroczyste żółtawe grudki.

- Oczka rosołowe* - zauważył Weston, zwracając uwagę na jedną z oznak zgonu.

Oczyścił macicę z krwi i przyjrzał się błonie śluzowej.

- Zabiegu nie wykonał całkowity amator - oświadczył. - To musiał być ktoś, kto zna przynajmniej podstawowe zasady wyłyżczkowania macicy po aborcji.

- Jeśli nie liczyć tego, że ją przebił.

- Tak - zgodził się Weston. - Jeśli nie liczyć przebicia macicy. - Cóż - dodał

po chwili - wiemy teraz przynajmniej jedno: nie zrobiła sobie tego sama.

Była to ważna uwaga. Przyczyną większości ostrych krwotoków tego typu są próby samodzielnego usunięcia ciąży przez kobiety, które używają do tego celu rozmaitych leków, roztworów soli, mydła, szydełek lub innych przyrządów. Jednak Karen nie byłaby w stanie sama tak się wyskrobać.

Taki zabieg wymagał całkowitego znieczulenia.

- Czy to ci wygląda na macicę brzemiennej kobiety? - zapytałem.

- Raczej nie - odparł Weston. - Sprawdźmy jajniki.

Weston rozciął je, szukając corpus luteum, ciała żółtego, które pozostaje po uwolnieniu jajeczka. Nie znalazł go. Samo w sobie niczego to jeszcze nie dowodziło: ciało żółte zaczyna się rozkładać po trzech miesiącach ciąży, a dziewczyna była już rzekomo w czwartym.

Do sali wszedł laborant sekcyjny.

- Zacząć ją zaszywać? - zapytał Westona.

- Tak. Nie widzę przeszkód. Laborant zabrał się do pracy.

- Nie zamierzasz zbadać mózgu? - zwróciłem się do Westona.

- Nie mam zezwolenia rodziny.

Koroner, mimo iż żądał sekcji zwłok, zwykle nie upierał się przy badaniu mózgu, chyba że sytuacja wskazywała na możliwość neuropatii.

- Myślałem, że kto jak kto, ale Randallowie, z taką lekarską tradycją...

* Lek wywołujący skurcz macicy, stosowany głównie do wywoływania porodu i zatrzymywania krwotoku macicznego.

** Zob. Dodatek I: Kuchnia patologa.

- Och, J.D. chętnie by się zgodził, ale jego żona bardzo nalegała. Wyraziła zdecydowany sprzeciw. Znasz ją? Pokręciłem głową.

- Niezwykła kobieta - zauważył obojętnie, a następnie zajął się badaniem układu trawiennego od przełyku do odbytnicy. Wyglądał zupełnie

normalnie. Wyszedłem, nim skończył. Zobaczyłem już wszystko, co chciałem, i wiedziałem, że na podstawie oględzin nie można było jednoznacznie stwierdzić, czy Karen Randall rzeczywiście była w ciąży.

Dziwna sprawa.

Mam kłopoty z wykupieniem ubezpieczenia na życie. Większość

patologów jest w podobnej sytuacji. Wystarczy, że agent raz rzuci na nas okiem i już zaczyna się trząść: ciągły kontakt z gruźlicą, guzami złośliwymi i śmiertelnymi chorobami zakaźnymi sprawia, iż stanowimy grupę wysokiego ryzyka. Jedyнным znanym mi facetem, który ma jeszcze większe problemy z ubezpieczeniem, jest biochemik Jim Murphy.

W młodości Murphy grał na pozycji łapacza w drużynie Uniwersytetu Yale i został wybrany do reprezentacji Wschodniego Wybrzeża. Już samo w sobie jest to olbrzymim osiągnięciem, ale w przypadku Murphy'ego po prostu trudno w to uwierzyć. Murphy jest właściwie prawie ślepy. Nosi okulary o soczewkach grubych na dwa centymetry i chodzi z pochyloną głową, jakby nie potrafił

unieść ciężaru szkieł. W zwykłych

okolicznościach jakoś sobie radzi, ale kiedy się zdenerwuje, często wpada na meble i inne przedmioty.

Na pierwszy rzut oka Murphy nie ma zadatków na gracza w futbol, nawet w Yale. Żeby poznać jego sekret, trzeba zobaczyć go w ruchu. Jest nieprawdopodobnie szybki. A do tego ma niesamowity zmysł równowagi.

Koledzy z drużyny opracowali specjalnie dla niego serię zagrywek i manewrów, w których rozgrywający podawał mu piłkę i wskazywał

właściwy kierunek. Zwykle szło to całkiem nieźle, chociaż kilkakrotnie Murphy po błyskotliwych akcjach wybiegał na aut.

Zawsze pociągały go sporty, do których pozornie się nie nadawał. W

wieku trzydziestu lat zainteresował się wspinaczką. Bardzo mu się spodobała, ale żadna firma nie chciała go ubezpieczyć. Przerzucił się więc na wyścigi samochodowe i odniósł znaczne sukcesy, do czasu, gdy wyjechał lotusem z toru, przekoziółkował nim cztery razy i złamał obie kości obojczykowe w kilku miejscach. Po tym wypadku uznał, że woli być raczej ubezpieczony niż aktywny, i dał sobie spokój ze sportami ekstremalnymi.

Murphy jest zresztą szybki nie tylko w ruchach, ale także w mowie.

Komunikuje się z ludźmi dziwnie skrótowymi zdaniami, jakby brakowało mu cierpliwości, żeby wymówić wszystkie rzeczowniki i zaimki.

Doprowadza asystentów i sekretarki do szewskiej pasji nie tylko sposobem wyrażania się, ale także manią otwierania okien. Murphy jest niezłomnym wrogiem „złego powietrza” i nie pozwala zamknąć okien nawet w zimie.

Kiedy wszedłem do jego laboratorium w Bostońskim Szpitalu

Położniczym, wszędzie leżały jabłka - w lodówkach, na krzesłach i biurkach, gdzie służyły za przyciski do papieru. Laboranci, w fartuchach włożonych na grube swetry, jedli jabłka.

- Od żony - wytłumaczył Murphy, ściskając mi dłoń. - Z sadu. Chcesz?

Dzisiaj mam delicje i cortlandy.

-Nie, dzięki - odparłem.

Energicznym ruchem wytarł jabłko o rękaw i ugryzł.

- Dobrze. Serio.

-Nie mam czasu- wyjaśniłem.

- Zawsze w biegu - zauważył Murphy. - Zawsze w biegu. Nie widziałem was z Judith od miesiący. Co porabiacie? Terry gra w Belmont jako obrońca.

Wziął z biurka zdjęcie w ramce i przytknął je do nosa. Przedstawiało jego syna w stroju futbolisty, robiącego groźną minę do obiektywu. Wyglądał

jak Murph - mały, ale twardziel.

- Musimy się jakoś spotkać - powiedziałem - i pogadać o rodzinie.

- Ammmmm. - Murph pożarł jabłko w nieprawdopodobnym tempie. -

Dobra. Może brydzyk? Dostaliśmy z żonaniemłego łupnia w zeszły

weekend. Graliśmy z...

- Murph - wpadłem mu w słowo. - Mam problem.

- Pewnie wrzody - zauważył, sięgając po następne jabłko. - Największy nerwus, jakiego znam. Zawsze w biegu.

- Właściwie to sprawa z twojej działki. Uśmiechnął się, nagle zaciekawiony.

- Sterydy? Jesteś pierwszym patologiem w historii zainteresowanym sterydami. Słowo daję. - Usiadł za biurkiem i położył nogi na blacie.

-Zamieniam się w słuch. Wal.

Murph zajmował się badaniem wytwarzania sterydów u brzemiennych kobiet i embrionów. Ulokował laboratorium w szpitalu położniczym z czysto praktycznego i dość przerażającego powodu - musiał być w pobliżu źródła materiału badawczego, czyli kobiet w ciąży i martwych

noworodków, które od czasu do czasu mu przydzielano. Martwe

noworodki i płody, a także łożyska są w Bostońskim Szpitalu Położniczym obiektami

pożądania kilkunastu zespołów badawczych zajmujących się hormonami.

Czasami wybuchają dość bezpardonowe kłótnie o to, kto najbardziej potrzebuje martwego dziecka.

- Możesz stwierdzić na podstawie badań hormonalnych, czy martwa dziewczyna była w ciąży? - zapytałem. Podrapał się po głowie.

- Jasne. Czemu nie. A komu na tym zależy"?

- Mnie.

- Nie możesz tego stwierdzić na podstawie sekcji zwłok? - zdziwił się.

-Nie. W tym przypadku nie. To dość skomplikowane.

- Cóż, nie ma akceptowanego testu, ale myślę, że da się to zrobić. Jak była zaawansowana?

- Podobno w czwartym miesiącu.

- W czwartym miesiącu? I nie widać po macicy?

-Murph...

- Tak, jasne, da się zrobić - powtórzył. - Nie przyda się w sądzie, ale da się zrobić.

- A możesz się tego podjąć?

-Nie mamy w laboratorium niczego innego - odparł. - Wszystko do badania sterydów. Co masz?

Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Pokręciłem głową.

- Krew czy mocz?

- Ach, krew. - Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem fiolkę krwi, którą brałem przy sekcji. Weston nie miał nic przeciwko temu. Murph wziął

fiolkę i popatrzył na nią pod światło.

- Potrzeba dwóch centymetrów sześciennych - oznajmił. - Tu jest więcej -

dodał, potrząsając fiolką. -Nie ma problemu.

- Kiedy możesz mieć wyniki?

- Za dwa dni. To krew post mortem?

-Tak. Bałem się, że hormony mogą się zdenaturować czy coś takiego...

Murph westchnął.

-Mało się pamięta, co? Tylko proteiny mogą się zdenaturować, a sterydy nie są proteinami, prawda? Nie ma problemu. Widzisz, standardowy test mierzy poziom gonadotropiny łożyskowej w moczu. Ale w tym

laboratorium mamy też sprzęt do mierzenia poziomu progesteronu i każdej innej jedenaście-beta-hydroksylazy sterydowej. W czasie ciąży poziom progesteronu podnosi się dziesięciokrotnie, a estriolu aż tysiąc razy.

Możemy zmierzyć taki skok, nie ma sprawy. - Zerknął na laborantów. -

Nawet w tym laboratorium.

Jedna z asystentek podjęła wyzwanie.

- Byłam bardzo dokładna - powiedziała - dopóki nie odmroziłam sobie palców.

- Ciągłe tylko wykręty - uśmiechnął się Murphy. Odwrócił się w moją stronę i podniósł fiolkę z krwią. - To będzie łatwizna. Możemy zrobić dwa niezależne testy, na wypadek, gdyby jeden się schrzanił. Od kogo to?

- Słucham?

Pomachał niecierpliwie fiolką.

- Czyja to krew?

- A, po prostu mam taki przypadek - odparłem, wzruszając ramionami.

- Czteromiesięczna ciąża i nie masz pewności? Ech, Johnny, nie zdradzisz nic staremu kumplowi?

- Będzie lepiej, jeśli dowiesz się później.

- Dobra, dobra, nie jestem wścibski. Ale potem mi powiesz?

- Obiecuję.

- W obietnicy patologa - zauważył, wstając - pobrzmiwa głos wieczności.

Kiedy ostatnio to liczono, znano dwadzieścia pięć tysięcy ludzkich chorób, z czego tylko pięć tysięcy uleczalnych. Mimo to każdy młody lekarz marzy o tym, by odkryć nową. To najszybszy i najpewniejszy sposób, żeby uzyskać poważanie w medycznym świecie. Z czysto praktycznego punktu widzenia znacznie lepiej jest odkryć nową chorobę niż wynaleźć sposób na wyleczenie starej. Nowa terapia stanie się obiektem testów, debat i sporów na całe lata, podczas gdy odkrycie nowej choroby akceptuje się niemal natychmiast.

Lewis Carr wygrał los na loterii i odkrył nową chorobę, kiedy był jeszcze na stażu. Było to bardzo rzadkie schorzenie - dziedziczna

dysgammaglobulinemia dotycząca znikomym ułamek populacji. Carr

natknął się na nią czteroosobowej rodziny. Nie miało to jednak większego znaczenia. Liczył się fakt, że Lewis ją odkrył, opisał i opublikował wyniki w „Przeglądzie Medycznym Nowej Anglii”.

Sześć lat później został profesorem medycyny klinicznej w Memorialu.

Nikt nigdy nie wątpił, że zajmie to zaszczytne stanowisko. Było to tylko kwestią czasu; wystarczyło poczekać, aż ktoś z profesorów przejdzie na emeryturę.

Carr miał w Memorialu gabinet idealnie pasujący do młodego ambitnego internisty. Po pierwsze, był ciasny i zavalony naukowymi czasopismami i książkami. Po drugie, był brudny i stary, wciśnięty w odległy róg Budynku Caldera, obok siedziby zespołu badań nad wątrobą. I wreszcie, pośród tego bałaganu siedziała piękna sekretarka wyglądająca ponętnie, profesjonalnie i sprawiająca wrażenie kobiety absolutnie niedostępnej - niefunkcjonalne piękno kontrastujące z funkcjonalną brzydotą gabinetu.

- Profesor Carr ma właśnie obchód - poinformowała mnie chłodno.

- Poprosił, żeby zaczekał pan w środku.

Wszedłem więc i usiadłem na krześle, z którego zdjąłem najpierw stertę

„Amerykańskiego Przeglądu Biologii Eksperymentalnej”. Po kilku minutach zjawił się Carr ubrany w rozpięty biały fartuch (profesor klinicysta nigdy nie zapina fartucha) i ze stetoskopem na szyi. Kołnierz jego koszuli był wytarty ze starości (profesorom klinicystom niewiele się płaci), ale czarne buty lśniły czystością (profesor klinicysta przywiązuje wagę do spraw, które się naprawdę liczą). Jak zwykle był opanowany, uprzejmy i taktowny.

Niechętni mu ludzie ze środowiska mówili, że Carr jest nie tyle taktowny, ile raczej bezwstydnie podlizuje się zwierzchnikom. Jednak wynikało to w dużej mierze z zawiści, jaką budził jego szybki sukces i pewność siebie.

Carr miał okrągłą dziecianną twarz o gładkich i rumianych policzkach, a także uroczy chłopięcy uśmiech, który z miejsca zjednywał mu sympatię pacjentek. Mnie również obdarzył takim uśmiechem.

- Cześć, John. - Zamknął drzwi i usiadł za biurkiem. Ledwo widziałem go zza sterty czasopism. Zdjął z szyi stetoskop i włożył do kieszeni, a potem popatrzył na mnie wyczekująco.

To było nie do uniknięcia. Każdy praktykujący lekarz, kiedy siada za biurkiem, przybiera określoną pozę, która jest denerwująca, jeżeli nic ci akurat nie dolega. Lewis Carr tak się właśnie zachował.

- Szukasz informacji o Karen Randall - powiedział takim głosem, jakby powiadamiał mnie, że cierpię na jakąś poważną chorobę.

- Właśnie.

- Z powodów osobistych?

Tak

-I wszystko, co ci powiem, zostanie między nami?

-Tak.

- Dobra, powiem ci. Nie było mnie przy tym, ale przyjrzałem się dokładnie całej sprawie.

Wiedziałem, że to robi. Lewis Carr przyglądał się w Memorialu

wszystkiemu. Znał więcej plotek niż jakakolwiek pielęgniarka. Zdobywał

wiedzę w sposób spontaniczny, tak jak inni oddychają.

- Dziewczyna została przywieziona o czwartej nad ranem. Była konająca.

Kiedy przyniesiono nosze, majaczyła. Miała obfity krwotok pochwowy, trzydzieści dziewięć stopni gorączki, suchą skórę o obniżonej sprężystości, płytki oddech, przyspieszony puls i niskie ciśnienie krwi. Skarżyła się, że chce jej się pić*. - Carr wziął głęboki oddech. - Stażysta na dyżurze od razu zlecił badanie grupy krwi, żeby można było jak najszybciej zacząć transfuzję. Pobrał krew do zbadania poziomu białych i czerwonych ciałek i wstrzyknął pacjentce litr pięcioprocentowego roztworu glukozy. Próbował

też zlokalizować źródło krwotoku, ale bezskutecznie. Podał więc oksytocynę, żeby wywołać skurcz macicy, i założył tymczasowy

opatrunek. Wtedy dowiedział się, kim jest dziewczyna, i spanikował.

Wezwał rezydenta, a w międzyczasie wstrzyknął jej profilaktyczną dawkę penicyliny. Niestety, zrobił to, nie przeczytawszy karty ani nie spytawszy pani Randall o reakcje alergiczne.

- Była uczulona.

- I to bardzo - powiedział Carr. - Dziesięć minut po podaniu domięśniowo penicyliny zaczęła się dusić. Do tego czasu ściągnięto już jej kartę i stażysta zdał sobie sprawę z tego, co narobił.

Wstrzyknął jej więc domięśniowo miligram epinefryny. Kiedy nie nastąpiła poprawa, podpiął

ją do kroplówki z benadrylem, kortizonem i aminofiliną. Podano tlen. Ale zrobiła się sina, dostała konwulsji i zmarła w przeciągu dwudziestu minut.

Zapaliłem papierosa i pomyślałem, że nie chciałbym być teraz w skórze tego stażysty.

- Najprawdopodobniej - podjął Carr - dziewczyna i tak by zmarła. Nie możemy tego wiedzieć na pewno, ale wszystko wskazuje na to, że w momencie przyjęcia straciła już około pięćdziesięciu procent krwi. Jak wiesz, w takich sytuacjach szok jest nieodwracalny. Więc pewnie i tak byśmy ją stracili. Ale oczywiście niczego to nie zmienia.

- Dlaczego w ogóle podano penicylinę?

- Taka reguła obowiązuje w Memorialu - odparł. - Zwykle kiedy

przyjmujemy dziewczynę z krwotokiem pochwowym i wysoką gorączką, a więc zachodzi podejrzenie infekcji, wykonujemy łyżeczowanie macicy, kładziemy ją do łóżka i dajemy zastrzyk z

antybiotykiem. Następnego dnia wypuszczamy ją najczęściej do domu, a w karcie zapisujemy, że poroniła.

- Czy to ostateczna diagnoza w aktach Karen Randall? Poronienie?

* Pragnienie jest ważnym objawem szoku. Z niewyjaśnionych przyczyn występuje tylko w ostrym szoku wynikłym z utraty płynów w organizmie i stanowi złowróbnny znak.

Carr pokiwał głową.

- Tak. Zapisujemy to w ten sposób, żeby nie użerać się z policją. Często trafiają nam się samodzielne lub nielegalne aborcje. Czasami dziewczyny aplikują sobie tyle mydła, że pienią się jak przeładowane zmywarki do naczyń. Kiedy indziej krwawią. Ale za każdym razem pacjentka

histeryzuje i opowiada nieprawdopodobne historie. A my po cichu doprowadzamy ją do porządku i wysyłamy z powrotem do domu,

-I nigdy nie zgłaszacie tego policji?

-Jesteśmy lekarzami, a nie stróżami prawa. Co roku mamy około stu takich przypadków. Gdybyśmy zgłaszali każdy z nich, cały czas musielibyśmy spędzać w sądach zamiast leczyć.

- Ale prawo wymaga...

- Oczywiście - dodał prędko Carr. - Prawo wymaga, żebyśmy wszystko zgłaszali. Tak samo każe nam zgłaszać pobicia, ale gdybyśmy donosili władzom o każdym, kto wdał się w barze w pijacką bijatykę, nigdy byśmy się z tego nie wygrzebali. Żaden szpital nie zgłasza wszystkiego, co powinien. W ten sposób nie da się po prostu funkcjonować.

-Alejeśli doszło do aborcji...

- Spójrz na to logicznie - powiedział Carr. - Spory procent takich spraw to rzeczywiście spontaniczne poronienia. W wielu przypadkach jest inaczej, ale nie ma powodu, by traktować je inaczej. Przypuśćmy, że wiesz z całą pewnością, że daną aborcję wykonał Barceloński Rzeźnik, i dzwoniś na policję. Gliniarze zjawiają się następnego dnia, a dziewczyna mówi im, że poroniła albo że sama próbowała usunąć ciążę. Tak czy siak, nie chce zeznawać, więc policjanci tylko się wkurzają. I to głównie na ciebie, bo to ty do nich zadzwoniłeś.

-I to się rzeczywiście zdarza?

- Tak. Sam byłem dwukrotnie świadkiem czegoś takiego. Dziewczyna wariowała z przerażenia i była przekonana, że umrze. Chciała się zemścić na człowieku, który dokonał aborcji, więc domagała się zawiadomienia policji. Ale rano poczuła się już znacznie lepiej, leżała w czystym szpitalnym łóżku i nagle dotarło do niej, że jej problemy się skończyły.

Więc kiedy zjawili się gliniarze, udała, że zaszła pomyłka.

- Nie przeszkadza ci, że naprawiasz to, co schrzanił ci od skrobanek, a oni za to nie płacą?

- Staramy się przywrócić pacjentom zdrowie. To wszystko. Lekarz nie może wdawać się w oceny moralne. Leczymy również ofiary wielu złych kierowców i agresywnych pijaków, ale nie grozimy ludziom palcem i nie wygłaszamy kazań o szkodliwości picia alkoholu albo o przepisach drogowych.

Nie zamierzałem się z nim sprzeczać; wiedziałem, że nie doprowadziłoby to do niczego dobrego. Zmieniłem więc temat.

- A co z oskarżeniem przeciwko doktorowi Lee? Co się stało?

- Kiedy dziewczyna zmarła, pani Randall wpadła w histerię. Zaczęła krzyczeć, trzeba jej było podać środek uspokajający. Przestała się awanturować, ale wciąż twierdziła, że Karen wskazała doktora Lee jako tego, który wykonał zabieg. No i zadzwoniła na policję.

- Pani Randall?

- Zgadza się.

- A co ze szpitalną diagnozą?

- Wciąż mówi o poronieniu. Z medycznego punktu widzenia jest to dobra interpretacja. Oskarżenie o nielegalne usunięcie ciąży opiera się na innych podstawach. Tak to w każdym razie traktujemy. Dopiero sekcja wykaże, czy rzeczywiście była skrobanka.

- Sekcja właśnie to wykazała - powiedziałem. - Aborcję musiał

przeprowadzić ktoś kompetentny. Została zrobiona prawidłowo, jeśli nie liczyć przebicia błony macicy.

- Rozmawiałeś z Lee?

- Dziś rano. Twierdzi, że to nie on. Na podstawie sekcji zwłok myślę, że można mu wierzyć.

- Błąd...

- Wątpię. Art jest na to za dobry.

Carr wyciągnął z kieszeni stetoskop i zaczął się nim bawić. Wyglądał na zakłopotanego.

- To bardzo skomplikowana sprawa. Bardzo - mruknął.

- Ale musimy ją rozwiązać. Nie możemy po prostu schować głów w piasek i spisać Artura na straty.

- Nie, oczywiście, że nie - przyznał Carr. - Ale J.D. strasznie się wkurzył.

- Wyobrażam sobie.

- O mało nie zabił tego biednego stażysty, kiedy zobaczył, jakie zastosowano leczenie. Byłem przy tym i myślałem, że zadusi faceta gołymi rękami.

- Jak się nazywa ten stażysta?

- Roger Whiting. Nawet fajny dzieciak, tylko ma pecha.

- Gdzie teraz jest?

- Pewnie w domu. O ósmej rano skończył dyżur. - Carr zmarszczył brwi. -

Na pewno chcesz się w to mieszać?

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - odparłem. - Gdybym miał wybór, siedziałbym teraz w laboratorium. Ale nie mam.

- Problem polega na tym, że sprawa wymknęła się spod kontroli. J.D.

naprawdę się wściekł.

- Już to mówiłeś.

- Po prostu próbuję ci wytłumaczyć, jak to tutaj wygląda. - Carr spuścił

wzrok i zaczął porządkować papiery na biurku. W końcu powiedział: -

Teraz zajmie się tym policja, a jak rozumiem, Lee ma dobrego adwokata.

Sprawa jest w dobrych rękach.

-Wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Chcę się upewnić, że nic nie zostanie przeoczone.

- Sprawa jest w dobrych rękach - powtórzył Carr.

- Czyich? Randallów? Czy tych tępaków, których widziałem na

komisariacie?

- Policja bostońska jest naprawdę dobra.

- Gówno prawda. Westchnął ciężko.

- Co więc chcesz udowodnić? - zapytał.

- Że Lee tego nie zrobił. Carr pokręcił głową.

- Nie w tym rzecz.

- Dokładnie w tym.

- Nie - odparł Carr. - Rzecz w tym, że córka J.D. Randalla zmarła z powodu nieudanej aborcji i ktoś musi za to zapłacić. Lee przeprowadza aborcje, nietrudno będzie to udowodnić przed sądem. A w Bostonie ponad połowa przysięgłych będzie prawdopodobnie katolikami. Skażą go dla zasady.

- Dla zasady?

- Wiesz, o co mi chodzi. - Carr poprawił się w fotelu.

- Chodzi ci o to, że Lee jest kozłem ofiarnym?

- Tak, właśnie, Lee jest kozłem ofiarnym.

- Czy to oficjalne stanowisko?

-Mniej więcej.

- A ty co o tym sądzisz?

- Ktoś, kto przeprowadza aborcje, naraża się na ryzyko. Łamie prawo. A kiedy usuwa ciążę córce znanego bostońskiego lekarza...

- Lee mówi, że tego nie zrobił. Carr uśmiechnął się smutno.

- A czy to ma jakieś znaczenie?

Zanim absolwent college'u zostanie kardiochirurgiem, mija trzynaście lat.

Najpierw musi przejść czteroletnią naukę w szkole medycznej, potem rok stażu, trzy lata chirurgii ogólnej, dwa chirurgii klatki piersiowej i następne dwa kardiochirurgii. Gdzieś po drodze przez dwa lata służy dla Wuja Sama*.

Trzeba mieć szczególne predyspozycje, żeby wziąć na barki podobny ciężar i skupić uwagę na tak odległym celu. Kiedy wreszcie nadchodzi czas, gdy kardiochirurg może przeprowadzić pierwszą samodzielną operację, jest już innym człowiekiem, niemal odrębnym gatunkiem, wyobcowanym przez swoje doświadczenie i powołanie. W pewnym sensie jest to część wykształcenia: chirurdzy są ludźmi samotnymi.

Rozmyślałem nad tym, zaglądając przez szybę budki obserwacyjnej do sali operacyjnej numer 9. Budka była wbudowana w sufit i pozwalała śledzić z dogodnego miejsca całą operację. Studenci i rezydenci często tu siadują.

Na sali zainstalowano mikrofon, więc słyszy się właściwie wszystko: brzęk narzędzi, rytmiczny syk respiratora, ściszone głosy. Można też nacisnąć guzik i porozumieć się z ludźmi na dole.

Przyszedłem tu po wizycie w gabinecie J.D. Randalla. Chciałem rzucić okiem na kartę Karen, ale

sekretarka jej nie miała. J.D. wziął ją ze sobą, a teraz przeprowadzał operację. Byłem zaskoczony. Myślałem, że ze względu na okoliczności weźmie przynajmniej dzień wolnego. Jednak widocznie nie przyszło mu to do głowy.

Sekretarka powiedziała, że operacja prawdopodobnie dobiega końca, ale jedno spojrzenie w dół przekonało mnie, że jest inaczej. Klatka piersiowa pacjenta wciąż była otwarta, a serce rozcięte; nie zaczęli go nawet zaszywać. Nie zamierzałem im teraz przeszkadzać, postanowiłem wpaść po kartę później.

Zostałem jednak jeszcze chwilę, żeby popatrzeć. W operacjach na otwartym sercu jest coś zniewalającego - mieszanina fantastycznych marzeń i koszmarów, które spełniają się na jawie. W sali pode mną było szesnaście osób, łącznie z czterema chirurgami. Wszyscy poruszali się bezkolizyjnie i pewnie; operowali, podawali narzędzia, czuwali nad aparaturą-jak w surrealistycznym balecie. Pacjent, okryty zielonym płótnem, wydawał się maleńki w porównaniu z gigantycznym

płucosercem, wielką jak samochód, lśniącą stalą maszyną o poruszających się gładko tłokach i kołach.

* Zob. Dodatek III: Chirurgia i wojna.

Za głową pacjenta stał anestezjolog otoczony swoim sprzętem. Obok krzątało się kilka pielęgniarek, dwóch technicznych czuwało nad funkcjonowaniem całej aparatury, a do tego jeszcze asystenci i chirurdzy.

Starałem się odgadnąć, który z nich to Randall, ale nie potrafiłem: w fartuchach, maskach i czepkach wszyscy wyglądali tak samo, jak

pozbawione indywidualności automaty, które można zastąpić innymi. Było to oczywiście tylko złudzenie. Jeden z tych czterech mężczyzn odpowiadał

za pracę całej szesnastki. A także za życie i zdrowie siedemnastej osoby -

człowieka, którego serce się zatrzymało.

W jednym z rogów stał monitor elektrokardiografu. Normalne EKG to szybko podskakująca linia, a każdy wierzchołek pokazuje jeden skurcz -

falę energii elektrycznej wysyłanej przez mięsień serca. Ta linia była zupełnie prosta. Znaczyło to, że zgodnie z jednym z podstawowych kryteriów medycznych, pacjent nie żyje. Spojrzałem na jego różowe płuca; nie poruszały się. Nie oddychał.

Wszystko robiła za niego maszyna. Pompowała krew, dotleniała ją, usuwała dwutlenek węgla.

Ludzie pode mną nie okazywali niepokoju ani paniki. Po prostu

wykonywali swoją pracę. Może właśnie dlatego wydało mi się to takie fantastyczne.

Przeglądałem się im przez chwilę, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu. Potem wyszedłem. Na korytarzu siedziało dwóch studentów. Wciąż mieli na głowach czepki, a na szyjach zwisały im luźno maseczki. Pili kawę i jedli pączki. I żartowali na temat randki w ciemno.

Roger Whiting mieszkał niedaleko szpitala w dwupiętrowej czynszówce na gorszym zboczu Beacon Hill, gdzie wystawia się śmieci z placu Luis-burg. Drzwi otworzyła jego żona. Była to zwyczajna dziewczyna mniej więcej w siódmym miesiącu ciąży. Wyglądała na zmartwioną.

- Czego pan chce?

- Chciałbym porozmawiać z pani mężem. Nazywam się Berry. Jestem patologiem w Lincolnie.

Obrzuciła mnie chłodnym podejrzliwym spojrzeniem.

- Mąż musi się wyspać. Pracował przez ostatnie dwa dni i jest zmęczony.

- To bardzo ważne.

Za jej plecami pojawił się chudy mężczyzna w białych płóciennych spodniach. „Zmęczony” to mało powiedziane, wyglądał na wycieńczonego i przerażonego.

- O co chodzi? - zapytał.

- Chciałbym z panem porozmawiać o Karen Randall.

- Już to przerabiałem - odparł. - Z tuzin razy. Niech pan się zwróci z tą sprawą do doktora Carra.

- Właśnie od niego wracam. Whiting przeczesał palcami włosy.

- W porządku, kochanie - powiedział do żony. - Zrób mi kawę, dobrze?

Napije się pan?

- Tak, dziękuję - odparłem.

Usiedliśmy w dużym pokoju. Mieszkancko było ciasne, meble tanie i zniszczone. Poczułem się jednak jak w domu; minęło zaledwie kilka lat, od kiedy ukończyłem staż. Wiedziałem wszystko o problemach

finansowych, stresach, koszmarnych porach pracy i obowiązkach ponad siły. Pamiętałem irytujące telefony w środku nocy, bo pielęgniarka koniecznie musi się zapytać, czy może podać Iksińskiemu aspirynę.

Wiedziałem, jak to jest, kiedy człowiek zwleka się przed świtem z łóżka, żeby zbadać pacjenta. Wiedziałem, że popełnia się wtedy głupie błędy. Raz o mało nie zabiłem w takich okolicznościach staruszkę z niewydolnością serca. Po dwóch dniach poprzedzonych trzema godzinami snu człowiek jest w stanie zrobić cokolwiek i w ogóle się tym nie przejąć.

- Wiem, że jest pan zmęczony - zacząłem. - Nie zabiorę panu wiele czasu, przyrzekam.

- Nie, nie - zapewnił szczerze. - Jeśli mogę w czymś pomóc... To znaczy teraz...

Żona wróciła z dwoma kubkami kawy. Popatrzyła na mnie gniewnie.

Dostałem lurę.

- Interesuje mnie - podjąłem - stan pacjentki w chwili przyjęcia. Czy był

pan przy tym, jak ją przywieziono?

-Nie, próbowałem się zdrzemnąć. Zawołali mnie.

- Która to była godzina?

- Prawie punkt czwarta.

- Proszę opisać, co się stało.

- Spałem w pokoiku obok ambulatorium. Dopiero co zasnąłem, kiedy mnie wezwali. Właśnie udało mi się uporać z pacjentką, która przez cały czas wyciągała sobie kroplówkę. Twierdziła, że tego nie robi, ale robiła.

-Zrezygnowany westchnął. - W każdym razie, kiedy mnie wezwali, ledwo kojarzyłem, co się dzieje. Wstałem, wsadziłem głowę pod kran z zimną wodą, wytarłem się i pobiegłem na izbę przyjęć. Kiedy tam dotarłem, właśnie wnosili na noszach dziewczynę.

- Czy była przytomna?

- Tak, ale bardzo dezorientowana. Była blada, straciła dużo krwi. Miała gorączkę i zaczynała majaczyć. Nie mogliśmy zmierzyć jej temperatury, bo cały czas zaciskała zęby, więc uznaliśmy, że musi mieć około trzydziestu dziewięciu stopni i pobraliśmy krew do zbadania.

- Co jeszcze zrobiliście?

- Pielęgniarki narzuciły na nią koc i ułożyły wyżej nogi. Następnie zbadłem obrażenia. Był to wyraźny krwotok pochwowy i

zdiagnozowaliśmy go jako poronienie.

- Czy razem z krwią wypływało coś jeszcze? Pokręcił głową.

- Nie. Sama krew.

- Żadnych fragmentów tkanki? Na przykład łożyska?

-Nie. Ale krwawiła od dłuższego czasu. Jej ubranie... - Rozejrzał się po pokoju, jeszcze raz w

myślach oglądając całą scenę. - Jej ubranie było ciężkie od krwi. Pielęgniarki z trudem je zdjęły.

- Czy w tym czasie dziewczyna powiedziała cokolwiek spójnego?

- Raczej nie. Mamrotała coś o „starym”, o ile pamiętam. O ojcu albo po prostu o jakimś starym. Ale trudno ją było zrozumieć, poza tym nikt nie zwracał na to szczególnej uwagi.

- Mówiła coś jeszcze? Pokręcił głową.

- Tylko kiedy pielęgniarki rozcinały ubranie. Próbowwała je powstrzymać.

Raz powiedziała: „Nie możecie mi tego zrobić”. A potem: „Gdzie jestem?”

Ale uznaliśmy to za zwykłe bredzenie. Nie powiedziała właściwie nic sensownego.

- A co zrobiliście z krwotokiem?

- Próbowaliśmy zlokalizować jego źródło. Było trudno, zwłaszcza w takim pośpiechu. Poza tym nie mogliśmy ustawić lamp pod właściwym kątem.

W końcu postanowiłem założyć opatrunek i skupić się na uzupełnieniu poziomu krwi.

- Gdzie była wtedy pani Randall?

- Czekwała za drzwiami. Wydawała się spokojna, dopóki nie

powiedzieliśmy jej, co się stało. Wtedy się załamała. Po prostu załamała.

- A co z kartą szpitalną Karen? Czy kiedykolwiek wcześniej przyjęto ją do Memorialu?

- Nie miałem jej karty - odparł. - Dopiero... później ją przeczytałem.

Trzeba ją było ściągnąć z archiwum. Ale była wcześniej przyjmowana. Co roku, od kiedy skończyła piętnaście lat, robiono jej wymaz. I co dwa lata badanie krwi. Była pod dobrą opieką medyczną, to oczywiste.

- Czy w aktach było coś niezwykłego? Oprócz uczulenia na penicylinę, rzecz jasna.

Uśmiechnął się smutno.

- To mało?

Wezbrała we mnie złość na Whitinga. Zaczynał się rozklejać, użalał się nad sobą. Chciałem mu powiedzieć, żeby lepiej przyzwyczaił się do myśli, że ludzie będą umierali na jego oczach, i to często. I niech lepiej oswoi się z myślą, że będzie popełniał błędy. Czasami dość błahe, czasami poważniejsze, ale będą się zdarzały. Chciałem mu powiedzieć, że gdyby zapytał panią Randall o uczulenia pasierbicy, a ona stwierdziłaby, że można podać penicylinę, byłby w porządku i nikt nie

miałby do niego pretensji. Jego błąd polegał nie na tym, że zabił Karen Randall, ale na tym, że nie zapytał najpierw o zgodę.

Mimo to niczego nie powiedziałem.

- Czy w karcie było coś, co wskazywałoby na problemy psychiczne?

-zapytałem.

-Nie.

- W ogóle nie było tam niczego niezwykłego?

-Nie. - Zmarszczył brwi. - Zaraz. Jedna rzecz wydała mi się dziwna. Pół roku temu zamówiono rentgen czaszki.

- Widział pan zdjęcia?

-Nie. Czytałem tylko diagnozę radiologa.

-I co?

- Wszystko w normie. Żadnych śladów patologii.

- Dlaczego zamówiono zdjęcia?

- Tego nie napisano.

- Czy Karen miała jakiś wypadek? Upadła, potrącił ją samochód?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Kto zlecił zdjęcia?

- Pewnie doktor Randall. Peter Randall. Był jej lekarzem prowadzącym.

-I nie wie pan, dlaczego zlecił rentgen?

-Nie.

- Ale musiał mieć jakiś powód - zauważyłem.

- Tak - odparł bez większego zainteresowania. Wlepił wzrok w kawę, a po chwili podniósł kubek do ust. Wreszcie powiedział: - Mam nadzieję, że dorwą tego od skrobanki i przygwożdżą go do ściany. Każdy wyrok i tak będzie dla niego za łagodny.

Wstałem. Chłopak był zestresowany i z trudem powstrzymywał się od płaczu. Widział tylko jedno:

obietującą karierę, która stała się pod znakiem zapytania, ponieważ popełnił głupi błąd w leczeniu córki ważnego chirurga. Ogarnięty złością i żalem nad sobą, też szukał kozła ofiarnego.

Potrzebował go bardziej niż ktokolwiek inny.

- Zamierza pan osiąść w Bostonie? - spytałem.

- Zamierzałem. - Uśmiechnął się krzywo.

Kiedy wyszedłem z mieszkania Whitinga, zadzwoniłem do Lewisa Carra.

Teraz już koniecznie musiałem zobaczyć kartę Karen Randall. Musiałem się dowiedzieć czegoś więcej na temat zdjęć czaszki.

-Lew, znowu potrzebuję twojej pomocy.

- Tak? - wydawał się zachwycony.

-Tak. Muszę przeczytać jej kartę. To absolutnie konieczne.

- Myślałem, że już o tym rozmawialiśmy.

- Wyskoczyło coś nowego. Ta sprawa robi się z minuty na minutę coraz bardziej podejrzana. Dlaczego zlecono rentgen czaszki...

- Przykro mi - odrzekł Carr. - Nie mogę ci pomóc.

- Lew, nawet jeśli Randall ma kartę, to nie może jej przetrzymywać do końca świata...

- Przykro mi, John. Przez następne dwa dni jestem strasznie zajęty. Nie będę miał czasu.

Mówił oficjalnym tonem, odmierzał precyzyjnie słowa, jakby powtarzał w myślach zdania, nim je wypowiedział.

- Co się stało? Randall nakazał ci milczenie?

- Myślę - odrzekł Carr - że sprawa powinna pozostać w rękach tych, którzy są do tego powołani. Ja do nich nie należę i wydaje mi się, że to samo dotyczy innych lekarzy.

Wiedziałem, co chce przez to powiedzieć. Art Lee często nabijał się z elokwencji, z jaką lekarze wycofują się z wcześniejszych zobowiązań.

Nazywał to taktyką Piłata.

- Dobra, skoro takie jest twoje zdanie...

Odłożyłem słuchawkę.

Właściwie powinienem był się tego spodziewać. Lewis Carr zawsze gra zgodnie z regułami. Grzeczny chłopczyk. Zawsze taki był i zawsze będzie.

Idąc od Whitinga do szkoły medycznej, minąłem szpital Lincolna. Przy postoju taksówek zauważyłem Franka Conwaya, który stał zgarbiony i z rękami w kieszeniach wpatrywał się w chodnik. Coś w jego pozie wyrażało głębokie przygnębienie i zmęczenie. Zatrzymałem się przy krawężniku.

- Podwieźć cię?

- Jadę do Dziecięcego - powiedział. Wydawał się zaskoczony, że pytam.

Nie jesteśmy bliskimi znajomymi. To dobry lekarz, ale trudny człowiek.

Był po dwóch rozwodach, druga żona miała go dość już po sześciu miesiącach.

- Mam po drodze - odparłem.

Było inaczej, ale uznałem, że mogę go podrzucić. Chciałem z nim porozmawiać. Conway wgramolił się do środka i ruszyliśmy.

- Po co jedziesz do Dziecięcego? - zagadnąłem.

- Konferencja. Spotykamy się tam co tydzień. A ty?

- Jadę po prostu w odwiedziny - odparłem. - Umówiłem się na obiad z kolegą.

Pokiwał głową i zagłębił się w fotelu. Conway jest młody, ma dopiero trzydzieści pięć lat. Przebojem kończył asystenturę za asystenturą, pracując pod okiem najlepszych chirurgów w kraju. Teraz był lepszy od nich, a w każdym razie takie chodziły słuchy. W przypadku ludzi takich, jak Conway trudno jednak o wyważoną opinię. Jest jednym z garstki lekarzy, którzy tak szybko zyskali wielką sławę, że stali się podobni do polityków albo gwiazd kina: mają wiernych wielbicieli i nieprzejednanych krytyków. Ludzie albo ich kochają, albo nienawidzą. Jeśli chodzi o wygląd, Conway emanuje władczością i siłą. Jest krzepkim, dobrze zbudowanym mężczyzną o szpakowatych włosach i głębokich,

przeszywających, błękitnych oczach.

- Chciałem cię przeprosić - powiedział. - Za rano. Straciłem nad sobą panowanie.

-Nie ma sprawy.

- Muszę też przeprosić Herbiego. Za ostro go potraktowałem...

- Na pewno zrozumie.

- Czuję się naprawdę podle - wyznał. - Ale jak patrzysz, jak pacjent umiera ci na stole... Nie wiesz, jak to jest.

- Nie wiem - przyznałem.

Przez jakiś czas jechaliśmy w ciszy.

- Mogę cię prosić o przysługę? - zagadnąłem w końcu.

- Jasne.

- Opowiedz mi o J.D. Randallu.

- Dlaczego o niego pytasz? - zdziwił się.

- Z ciekawości.

- Kręcisz.

- Właściwie tak - przyznałem.

- Aresztowali Artura Lee, zgadza się?

-Tak.

- Zrobił to?

-Nie.

-Jesteś pewien?

- Wierzę mu. Conway westchnął.

- John, nie jesteś głupi. Przypuśćmy, że ciebie by o to oskarżyli. Nie wyparłbyś się?

- To nie ma związku ze sprawą.

- Jasne, że ma. Każdy by się wyparł.

- To niemożliwe. Art nie mógł tego zrobić.

- To nie tylko możliwe, ale wręcz prawdopodobne.

- Doprawdy? Conway pokręcił głową.

- Zapominasz o tym, jak to działa. J.D. to wieka szycha. Stracił córkę. Tak się akurat składa, że w okolicy jest Chińczyk, o którym wiadomo, że wykonuje brudną robotę. Idealna sytuacja.

- Słyszałem już tę teorię. Nie kupuję jej.

- W takim razie nie znasz J.D. Randalla.

- To akurat prawda.

- J.D. - powiedział Conway - to najbardziej upierdliwy kutas na ziemi. Ma pieniądze, władzę i prestiż. Może mieć, co zechce, nawet głowę biednego Chińczyka.

-Ale dlaczego miałby jej chcieć?-zaoponowałem. Conway roześmiał się cynicznie.

- Kurde, na jakim ty świecie żyjesz? Musiałem wyglądać na zaskoczonego.

- Co ty? Nie wiesz o... - Urwał, zorientowawszy się, że nie mam o niczym pojęcia. Następnie skrzyżował ręce na piersiach i nie odzywając się, spojrzał przed siebie.

- O czym? - zapytałem.

- Lepiej zapytaj Arta.

- Pytam ciebie.

- Zapytaj Lew Carra - poradził Conway. - Może on ci powie. Boja nie.

- No, dobra. W takim razie opowiedz mi o Randallu.

- Jako chirurgu.

-Niech będzie, jako o chirurgu. Conway skinął głową.

- Jako chirurg Randall jest do kitu. To przeciętniak. Traci pacjentów, choć nie powinien. Młodych, silnych. A do tego straszny z niego skurwysyn.

Pastwi się nad rezydentami, poniża ich, robi im piekło. Ma pod sobą wielu zdolnych młodych ludzi i właśnie tak utrzymuje nad nimi władzę. Wiem to, bo przez dwa lata robiłem u niego chirurgię klatki piersiowej, zanim pojechałem do Houston na chirurgię serca. Miałem dwadzieścia dziewięć lat, kiedy go poznałem. On miał czterdzieści dziewięć. Robi na ludziach wrażenie swoimi garniturami z Bond Street, znajomymi, którzy mają pałacyki na południu Francji. To oczywiście wcale nie znaczy, że jest dobrym chirurgiem. Ale przez to ma dobrą opinię. Otacza go nimb sukcesu, na który wszyscy się nabierają.

Milczałem. Conway się rozkręcił, mówił podniesionym głosem i gestykulował z przejęciem. Nie zamierzałem mu przerywać.

- Problem polega na tym - ciągnął - że J.D. jest ze starej szkoły. Zaczynał

pracę w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, z Grossem, Char-trissem, Shacklefordem i spółką. Chirurgia była wtedy inna; liczyła się przede wszystkim zręczność, a nie wiedza. Nikt nie słyszał

jeszcze o elektrolitach, nie uczono chemii, więc Randall nie czuje się w tych sprawach zbyt pewnie. Co innego młodzi, ci mają głowy napakowane wiedzą o enzymach i surowicy antylimfocytarnej. Ale dla starego to czarna magia.

- Ma jednak dobrą reputację - zauważyłem.

- John Wilkes Booth też miał dobrą reputację - sarknął Conway. -Przez jakiś czas.

- Czyżbym wyczuwał zawodową zazdrość?

- Byłbym od niego lepszy, nawet gdybym operował lewą ręką - zapewnił

Conway. -Z zamkniętymi oczami. Uśmiechnąłem się.

-I na kacu - dodał. - W niedzielę rano.

- A jaki jest w kontaktach osobistych?

- Kutas. Po prostu kutas. Rezydenci mawiają, że chodzi z młotkiem i sześcioma gwoździami w kieszeni i wciąż rozgląda się, kogo by tu ukrzyżować.

- Daj spokój, nie może być aż tak straszny.

- No - przyznał Conway -jak każdy dupek czasami daje sobie siana. Ale rezydenci mówią o nim jeszcze co innego.

-Tak?

- Tak. Mówią, że J.D. Randall lubi rozcinać ludziom serca, bo nigdy nie miał własnego.

Żaden Anglik przy zdrowych zmysłach nie wybrałby się nigdy do

Bostonu, a już zwłaszcza w 1630 roku. Żeby ruszyć w długą morską podróż na dziki i niebezpieczny ląd, trzeba było nie tyle odwagi, ile desperacji i fanatyzmu. Przede wszystkim zaś wymagało to radykalnego i nieodwołalnego zerwania z angielskim społeczeństwem.

Na szczęście historia osądza ludzkie czyny, a nie motywacje. Tylko dzięki temu bostończycy mogą z czystym sercem myśleć o swoich przodkach jak o pionierach wolności i demokracji, rewolucyjnych bohaterach,

liberalnych artystach i pisarzach. Boston to miasto Adamsa i Revere'a, miasto, które wciąż czci pamięć Starego Kościoła Północnego i Bunker Hill.

Miasto majednak również inne, ciemniejsze oblicze, o którym świadczą pręgierze, dyby i polowania na czarownice. Mało kto ze współczesnych bierze te narzędzia tortur za to, czym rzeczywiście są dowodami obsesji, neurozy i perwersyjnego okrucieństwa. Są to świadectwa społeczeństwa opętanego strachem przed grzechem, potępieniem, ogniem piekielnym, chorobą i Indianami - w takiej

mniej więcej kolejności. Społeczeństwa przerażonego i podejrzliwego, czyli mówiąc wprost, społeczeństwa reakcyjnych fanatyków religijnych.

Trzeba również wziąć pod uwagę czynnik geograficzny. Boston powstał na bagnach. Niektórzy mówią, że stąd bierze się nieprawdopodobnie zła pogoda i niezmiennie wilgotny klimat. Inni twierdzą, że nie ma to najmniejszego znaczenia.

Bostończycy chętnie zapominają o niechlubnej przeszłości. Jak pucybut, który dorobił się fortuny, miasto odcięło się od swoich korzeni i postarało się ukryć. Jako kolonia równych obywateli rozwinęło nietytułowaną arystokrację, która może się śmiało równać z arystokracją społeczeństw starożytnych lub najbardziej konserwatywnych krajów Europy. Miejsce religii zajęło z czasem środowisko naukowe przewyższające siłą i wpływem wszystkie kulturalne centra Wschodniego Wybrzeża. Boston jest poza tym niesłychanie narcystyczny - cechę tę dzieli z San Francisco, miastem o równie szemranym rodowodzie.

Niestety ani jedna, ani druga aglomeracja nie jest w stanie uciec od historii. San Francisco nie może się w pełni pozbyć ducha gorączki złota i stać się normalnym miastem Wschodu. Zaś bostończycy bez względu na to, jak się starają, nie potrafią otrząsnąć się z purytanizmu i zmienić w porządných Anglików.

Wszyscy jesteśmy związani z naszą przeszłością, zarówno indywidualnie, jak i zbiorowo. Przeszłość przejawia się w naszych kościach,

owłosieniu, kolorze skóry, a także w sposobie, w jaki chodzimy, stoimy, jemy, ubieramy się. I myślimy.

Miałem to w pamięci, idąc na spotkanie z Williamem Harveyem Shattuckiem Randallem, studentem medycyny.

Każdy młody człowiek ochrzczony na cześć Williama Harveya*, by nie wspomnieć o Williamie Shattucku, musi się czuć jak skończony dureń. To tak, jakby się miało na imię Napoleon albo Cary Grant. Dziecku trudno dorosnąć do tak wygórowanych ambicji rodziców. Z wieloma sprawami w życiu niełatwo się pogodzić, nic jednak nie stawia większych przeszkód niż imię lub nazwisko.

Doskonałym przykładem jest George Gali**. Po ukończeniu szkoły

medycznej, gdzie był przedmiotem niezliczonych niewybrednych żartów, został chirurgiem specjalizującym się w chorobach wątroby i woreczka żółciowego. Z takim nazwiskiem trudno było o gorszy wybór, jednak George przyjął go z dziwną cichą pewnością siebie, jak gdyby szedł za głosem przeznaczenia. W pewnym sensie miał rację. Wiele lat później, kiedy dowcipy przestały śmieszyć i wzbudzały już tylko gorycz, zaczął

marzyć o zmianie nazwiska. Niestety, było to niemożliwe***.

Wątpię, by William Harvey Shattuck Randall kiedykolwiek zdecydował

się na zmianę nazwiska. Mimo obciążeń stanowiło ono wielki kapitał, zwłaszcza gdyby jego

właściciel zdecydował się pozostać w Bostonie.

Poza tym odniosłem wrażenie, że dobrze sobie z nim radzi. Był

przystojnym blondynem o przyjaznym uśmiechu i szczerym spojrzeniu.

Wyglądał jak gwiazda futbolu amerykańskiego, bożyszcze nastolatek, a pokój, w którym mieszkał, zupełnie do niego nie pasował.

William Harvey Shattuck Randall miał pokój na parterze Sheraton Hali, akademika szkoły medycznej. Pokoje były przeważnie jednoosobowe, taki też był pokój Randalla, chociaż wydawał się większy od innych. W

każdym razie na pewno był bardziej przestronny od dziupli na trzecim piętrze, w której przemieszkałem całe studia. Pokoje na górze są tańsze.

* Angielski lekarz królewski, który w 1628 roku odkrył, że układ krążenia jest zamknięty.

** Gali (ang.) - żółć (przyp. tłum.).

*** W Stanach Zjednoczonych lekarz nie może zmienić nazwiska, bo równa się to unieważnieniu tytułu magistra medycyny. Dlatego pod koniec studiów wielu przyszłych lekarzy przypuszcza szturm na sądy, aby zmienić nazwisko jeszcze przed otrzymaniem dyplomu (przyp. autora).

Od moich czasów zmienił się kolor farby. Wtedy królowała

przygnębiająca szarość, teraz ściany pomalowano na zielono. Odcień był

jednak fatalny, dość jednoznacznie kojarzył się z wymiocinami. Poza tym akademik wyglądał tak samo: te same mroczne korytarze, brudne schody, smród przeпоconych skarpet i heksachlorofenu.

Randall nieźle się urządził. Umieblował pokój antykami, które wyglądały, jakby zostały zakupione na aukcji w Wersalu. Miały w sobie nostalgiczny urok przygasłego splendoru - wytartą tapicerkę z czerwonego aksamitu i poobtłukiwane złocone drewno.

Randall odsunął się, żeby zrobić mi przejście.

- Proszę - powiedział. Nie zapytał, kim jestem. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zwąchał lekarza. Kiedy człowiek obraca się dostatecznie długo w kręgach medycznych, wie, z kim ma do czynienia.

Wszedłem do pokoju i usiadłem.

- Chodzi o Karen? - Wydawał się raczej czymś pochłonięty niż smutny.

Jakbym przeszkodził mu w jakimś ważnym zajęciu albo jakby się dokądś spieszył.

- Tak. Wiem, że to nieodpowiednia pora...

-Nie, nie, proszę się nie krępować.

Zapałem papierosa i wrzuciłem zapalną do pozłacanej popielniczki z weneckiego szkła. Była brzydka, ale droga.

- Chciałbym o niej z panem porozmawiać.

- Jasne.

Wciąż czekałem, aż zapyta, kim jestem, ale zdawało się go to w ogóle nie obchodzić. Usiadł w fotelu naprzeciwko mnie, założył nogę na nogę i zapytał:

- Co chce pan wiedzieć?

- Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

- W ostatnią sobotę. Przyjechała autokarem z Northampton i odebrałem ją z dworca w porze obiadu. Miałem parę godzin wolnego. Zawiozłem ją do domu.

- Jakie sprawiała wrażenie? Wzruszył ramionami.

- Dobre. Wydawała się bardzo szczęśliwa. Opowiadała o college'u. Zdaje się, że mieszkała z dość zabawową dziewczyną. Gadała o ciuchach i takich tam.

- Czy była przygnębiona? Rozdrażniona?

- Nie. Wcale. Zachowywała się tak, jak zwykle. Cieszyła się z powrotu do domu. Chociaż myślę, że martwiła się trochę nauką w Smithie.

Rodzice traktowali ją jak dziecko, a ona chyba uważała, że w nią nie wierzą. Była trochę... jak by to powiedzieć... zbuntowana.

- A przedtem? Kiedy ją pan widział?

- Boja wiem? Chyba w pierwszej połowie sierpnia.

- Więc spotkaliście się po dość długiej rozłące.

- Tak - odparł. - Zawsze lubiłem jej towarzystwo. Tryskała energią, miała szalone pomysły i umiała świetnie parodiować ludzi. Potrafiła udawać przyjaciół i znajomych tak, że boki zrywać. Zresztą właśnie dzięki temu dostała samochód.

- Samochód?

-Na sobotni wieczór. Jedliśmy wszyscy kolację: Karen, ja, Ev i wujek Peter.

-Ev?

- Moja macocha - wyjaśnił. - Wszyscy nazywamy ją Ev.

- A więc wszyscy pięcioro spotkaliście się na kolacji...

-Nie, byliśmy we czwórkę.

-A pański ojciec?

- Musiał zostać w szpitalu - odpowiedział zdawkowo. - W każdym razie -

podjął - Karen poprosiła o samochód na weekend, ale Ev odmówiła, bo nie chciała, żeby Karen balowała do późna w nocy. Więc Karen zwróciła się do wujka Petera, który jest bardziej łagodny, i zapytała, czy może pożyczyć jego brykę. Wahał się, ale kiedy postraszyła, że zacznie go przedrzeźniać, od razu się zgodził.

- Jak Peter wrócił do domu?

- Podwiozłem go w drodze do akademika.

- Więc spędził pan z Karen kilka godzin w ostatnią sobotę.

- Tak. Od pierwszej do dziewiątej albo dziesiątej wieczorem.

- A potem odwiózł pan wujka do domu?

-Tak.

- A Karen?

- Została z Ev.

- Czy wyszła tamtego wieczoru z domu?

- Tak mi się wydaje. Przecież po to był jej potrzebny samochód.

- Mówiła, dokąd się wybiera?

- Do Harvardu. Miała tu sporo znajomych.

-I nie widzieliście się w niedzielę?

- Nie. Tylko w sobotę.

- A jak wyglądała? - zapytałem. - Inaczej niż zwykle? Pokręcił głową.

-Nie. Jak zawsze. Oczywiście, przybrała trochę na wadze, ale chyba dla dziewczyn w college'u to dość normalne. W lecie dużo się ruszała, grała w tenisa, pływała. Kiedy poszła do college'u, przestała uprawiać sporty i utyła parę kilo. - Uśmiechnął się lekko. - Nabijaliśmy się z niej z tego

powodu. Narzekała na żarcie w stołówce, a my żartowaliśmy, że mimo to wsuwa go tyle, że aż utyla.

- Czy wcześniej miała problemy z nadwagą?

- Karen? Skądże. Jako dziecko była chuda jak patyk. W wieku dojrzewania szybko się zaokrągliła. Jak poczwarka, która zmienia się w motyla.

- To był pierwszy raz, kiedy miała nadwagę? Wzruszył ramionami.

-Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie zwracałem na to specjalnej uwagi.

- Czy zauważył pan coś jeszcze?

-Nie, nic.

Rozejrzałem się po pokoju. Na biurku, obok egzemplarza Patologii i anatomii chirurgicznej Robbinsa stało zdjęcie ich dwojga. Byli opaleni, tryskali zdrowiem. Zauważył, że patrząc na fotografię i powiedział:

- To było zeszłej wiosny na Bahamach. Po raz pierwszy od bardzo dawna udało nam się wyjechać całą rodziną na tygodniowe wczasy. Było

fantastycznie.

Wstałem i przyjrzałem się dokładniej zdjęciu. Karen wyglądała na nim bardzo korzystnie. Brązowa opalenizna kontrastowała z jej błękitnymi oczami i blond włosami.

- Wiem, że to dziwne pytanie, ale czy pana siostra zawsze miała ciemne owłosienie na górnej wardze i ramionach?

- To zabawne. Kiedy pan o tym wspomniał, przypomniało mi się, że rzeczywiście w sobotę miała ciemne włoski na wardze. Peter poradził jej nawet, żeby je utleniła albo usunęła. Karen trochę się za to obraziła, ale potem potraktowała to jako żart.

- A więc to ciemne owłosienie było świeże?

- Chyba tak. Chociaż mogła je mieć już wcześniej, a ja po prostu dopiero wtedy zwróciłem na to uwagę. A dlaczego pan o to pyta?

- A, nic takiego - odparłem.

Jeszcze raz rzuciłem okiem na fotografię.

- Nie wyglądała na dziewczynę, która potrzebowałaby skrobanki

-zauważył. - Była wspaniała, zabawna i pełna życia. Miała złote serce.

Wiem, że to brzmi głupio, ale taka jest prawda. Była naszą rodzinną maskotką. Wszyscy ją uwielbialiśmy.

- Gdzie spędziła ostatnie wakacje?

Pokręcił głową.

-Nie wiem.

-Nie wie pan?

- No, nie dokładnie. Teoretycznie Karen była na Cape. Pracowała w galerii sztuki w Provincetown. - Zawiesił głos. - Ale wątpię, żeby spędzała tam dużo czasu. Podejrzewam, że głównie szwendała się po Hill. Miała tam grupę zblizowanych przyjaciół. Przyciągała do siebie dziwaków.

- Mężczyzn? Kobiety?

- Jedno i drugie. - Wzruszył ramionami. - Ale tak naprawdę nie wiem.

Wspomniała mi o nich raz czy dwa, ale kiedy chciałem się dowiedzieć czegoś więcej, wybuchała śmiechem i zmieniała temat. Umiała kierować rozmową w taki sposób, żeby mówić tylko o tym, o czym chciała.

- Wymieniała jakieś imiona albo nazwiska?

- Pewnie tak, ale nie pamiętam. Zawsze doprowadzała mnie tym do szału, mówiła o wszystkich tak, jakbym ich świetnie znał. Tylko po imieniu. Na próżno przypominałem jej, że nie mam pojęcia, kto to jest Herbie, Su-su albo Allie. - Roześmiał się. - Pamiętam, jak raz udawała dziewczynę, która puszcza mydlane bańki.

- Ale nie przypominasz pan sobie żadnych imion? Pokręcił głową.

- Przykro mi.

Wstałem i ruszyłem do drzwi.

- Cóż, musi pan być bardzo zajęty. Co teraz przerabiacie?

- Chirurgię. Właśnie skończyliśmy ginekologię i położnictwo.

- Jakie wrażenia?

- W porządku - odparł bez entuzjazmu. W drzwiach zapytałem jeszcze:

- Gdzie pan robił położnictwo?

- W Bostońskim Położniczym. - Przyglądał mi się przez chwilę, po czym zmarszczył brwi. - I jeśli o

to chodzi, asystowałem parę razy przy skrobance. Wiem, jak się ją robi. Ale w niedzielę wieczorem miałem dyżur w szpitalu. Do samego rana.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu.

- Nie ma za co.

Kiedy wychodziłem z akademika, zobaczyłem idącego w moją stronę wysokiego mężczyznę o gęstych siwych włosach. Oczywiście,

natychmiast go rozpoznałem, nawet z daleka.

Cokolwiek by o nim mówić, J.D. Randall rzucał się w oczy.

Słońce zaczynało zachodzić i plac przed akademikiem zalało złotawe światło. Zapaliłem papierosa i podszedłem do Randalla. Jego oczy rozszerzyły się lekko, kiedy mnie zobaczył.

- Doktor Berry - powitał mnie z uśmiechem. Był bardzo przyjazny.

Uścisnąłem jego suchą, czystą, szorowaną przez dziesięć minut dłoń. Dłoń chirurga.

- Jak się pan miewa, doktorze Randall?

- Chciał się pan ze mną spotkać? - zapytał. Zmarszczyłem brwi.

- Sekretarka powiadomiła mnie, że zajrzał pan dzisiaj do mojego gabinetu.

W sprawie karty.

- Ach, tak - powiedziałem. - Karta.

Uśmiechnął się dobrodusznie. Był o pół głowy wyższy ode mnie.

- Myślę, że powinniśmy wyjaśnić sobie parę spraw.

- Dobrze.

- Proszę za mną.

Mimo najlepszych intencji, zabrzmiało to jak rozkaz. Przypomniało mi się, że chirurdzy są ostatnimi autokratami w społeczeństwie, ostatnią grupą ludzi, którym pozwala się na absolutną kontrolę nad sytuacją. Chirurdzy odpowiadają za zdrowie pacjenta, podwładnych i wszystko inne.

Ruszyliśmy z powrotem w stronę parkingu. Odniosłem wrażenie, że Randall zjawił się w kampusie wyłącznie po to, żeby się ze mną spotkać.

Nie miałem pojęcia, skąd mógł wiedzieć, że mnie tu znajdzie, ale nie osłabiło to mojego przeczucia. Idąc, machał luźno ramionami. Z jakiegoś powodu przypomniało mi się neurologiczne prawo, które

głosi, że osoba z niedowładem będzie machać zdrową ręką bardziej niż sparaliżowaną.

Przyglądałem się jego nieproporcjonalnie dużym, grubym i owłosionym ramionom. Paznokcie jego czerwonych dłoni były przycięte do

przepisowego jednego milimetra. Miał ostrzyżone na jeża włosy i chłodne szare oczy.

- Kilka osób wspominało mi ostatnio o panu - powiedział.

-O?

-Tak.

Weszliśmy na parking. Randall stanął przy swoim srebrnym porsche i oparł się niedbale o lśniącą karoserię. Coś w jego pozie dało mi do zrozumienia, że nie życzy sobie, żebym zrobił to samo. Przez chwilę przyglądał mi się bacznie, po czym powiedział:

- Ma pan bardzo dobrą opinię.

- Miło mi to słyszeć.

- Jest pan człowiekiem spostrzegawczym i rozsądnym. Wzruszyłem skromnie ramionami. Znowu się do mnie uśmiechnął, a potem zapytał:

- Pracowity dzień?

- Bardziej niż zwykle.

- Pracuje pan w Lincolnie, zgadza się?

-Tak.

- Dobrze tam o panu mówią.

- Staram się pracować jak najlepiej.

- Słyszałem, że pracuje pan wręcz wzorowo.

- Dziękuję. - Wyraźnie mi schlebiał. Nie miałem pojęcia, co chciał osiągnąć. Po chwili jednak wszystko stało się jasne.

- Czy rozważał pan możliwość zmiany szpitala?

- Co ma pan na myśli?

- Inne możliwości... Nowe perspektywy.

-He?

- Właśnie.

- Praca w Lincolnie całkowicie mnie satysfakcjonuje.

- Póki co - zasugerował.

- Tak, póki co.

- Zna pan Williama Sewalla?

William Sewall był ordynatorem patologii w Memorialu. Miał

sześćdziesiąt jeden lat i wybierał się na emeryturę. Poczuję się zawiedziony. Ostatnią rzeczą, jakiej się po J.D. Randallu spodziewałem, była aż taka przewidywalność.

- Tak, znam Sewalla - odrzekłem. - Chociaż niezbyt dobrze.

-Niedługo przejdzie na emeryturę...

-Jego zastępca, Timothy Stone, jest świetnym patologiem.

- Zapewne - przyznał Randall, wznosząc wzrok ku niebu. - Zapewne. Ale wielu z nas współpraca ze Stone'em nie układa się najlepiej.

- Pierwsze słyszę. Uśmiechnął się ironicznie.

- Mało kto o tym wie.

-I te same osoby myślą, że współpraca ze mną układałaby się lepiej?

- Rozglądamy się za kimś nowym - powiedział ostrożnie Randall. -Za kimś z zewnątrz, kto wniósłby świeże spojrzenie. Zmienił to i owo, rozruszał zespół.

-Aha.

- Takie mamy plany - dodał.

- Timothy jest moim dobrym znajomym - oznajmiłem.

-Nie widzę związku.

- Związek jest taki, że nie chcę go wyrolować.

-Nigdy bym czegoś podobnego nie zasugerował.

- Doprawdy?

- Ależ oczywiście.

- W takim razie chyba czegoś tu nie rozumiem - odparłem. Uśmiechnął się przyjaźnie.

-Możliwe.

- To może mi to pan wytłumaczy?

Podrapał się w zamyśleniu po głowie. Zorientowałem się, że chce zmienić taktykę. Zmarszczył brwi.

- Nie jestem patologiem, doktorze Berry - powiedział w końcu - ale mam wśród nich wielu przyjaciół.

-Zdaje się, że Tim Stone do nich nie należy.

- Czasami wydaje mi się, że patolodzy pracują ciężiej od chirurgów, ciężiej od kogokolwiek. Mam wrażenie, że patologia wymaga całkowitego

zaangażowania. To praca na dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Może ma pan rację.

- Dlatego dziwi mnie, że ma pan tak dużo wolnego czasu - wyznał.

- Cóż, wie pan, jak to jest...

Zaczynał mnie wkurzać. Najpierw przekupstwo, a teraz groźba.

Jednocześnie jednak drażniła mnie dziwna ciekawość. Randall nie był

głupcem i wiedziałem, że nie rozmawiałby ze mną w ten sposób, gdyby się czegoś nie obawiał. Przez moment zastanawiałem się, czy sam nie wykonał tej aborcji.

- Ma pan rodzinę? - zapytał. , - Tak.

- Od dawna mieszka pan w Bostonie?

i - Zawsze mogę wyjechać - odparłem -jeśli tutejsze patologie za bardzo mi obrzydną.

Zniósł to bardzo dobrze. Nawet nie drgnął. Spojrzał tylko na mnie szarymi oczami i powiedział:

-Rozumiem.

- Może wyjaśni mi pan wreszcie, o co panu chodzi.

- To proste. Niepokoją mnie pańskie motywy. Potrafię zrozumieć więzy przyjaźni. Podziwiam pańską lojalność w stosunku do doktora Lee, podziwiałbym ją jednak bardziej, gdyby dotyczyła osoby o surowszych zasadach moralnych. Pańskie działania zdają się wykraczać poza zwykłą lojalność. Jakie

są pańskie prawdziwe motywy, doktorze Berry?

- Ciekawość, doktorze Randall. Czysta ciekawość. Zdumiewa mnie, dlaczego wszyscy uwzięli się na niewinnego człowieka i dlaczego przedstawiciele zawodu, w którym powinna się liczyć obiektywna analiza faktów, ignorują całą sprawę lub wręcz kierują się uprzedzeniami.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął srebrną papierośnicę. Wyjął z niej cienkie, przycięte na końcu cygaro i je zapalił.

- Pozwoli pan, że uściślę, o co mi chodzi. Doktor Lee dokonuje aborcji.

Zgadza się?

- Pan mówi - odrzekłem - ja słucham.

- Przerwanie ciąży jest nielegalne. Co więcej, jak każdy zabieg chirurgiczny wiąże się z ryzykiem dla zdrowia pacjenta, nawet jeśli przeprowadza go osoba kompetentna, a nie zapijaczony...

- Obcokrajowiec? - zasugerowałem. Uśmiechnął się.

- Doktor Lee - powiedział - wykonuje zabiegi usuwania ciąży i ma naganne nawyki. Z punktu widzenia etyki lekarskiej jego działania są kontrowersyjne, a w naszym stanie podlegają karze sądowej. O to mi chodzi, doktorze Berry. Chciałbym się w związku z tym dowiedzieć, dlaczego węszy pan wokół tej sprawy i nachodzi moją rodzinę...

- Wątpię, by „nachodzi” było tutaj odpowiednim słowem.

- ... i z zapalem godnym lepszej sprawy wchodzi pan w paradę policji, zamiast zajmować się tym, za co Szpital Lincolna panu płaci. Jak każdy lekarz ma pan swoje obowiązki. Nie wypełnia ich pan jednak, tylko wtrąca się w sprawy mojej rodziny, wprowadza zamieszanie i próbuje bronić zwyrodnialca, człowieka, który złamał wszystkie zasady kodeksu etyki lekarskiej, człowieka, który naigrywa się z przepisów prawa i wyśmiewa moralne normy...

- Panie doktorze - przerwałem mu - spójrzmy na to tylko jak na sprawę rodzinną. Co by pan zrobił, gdyby córka przyszła do pana z wiadomością, że jest w ciąży? Jak by się pan zachował, gdyby przyszła po radę do pana, a nie bezpośrednio do ginekologa? Co by pan zrobił?

- Nie interesuje mnie snucie bezsensownych domysłów - warknął.

- Ale na pewno wie pan, co by pan zrobił.

Jego twarz stała się purpurowa. Nabrzmiały mu żyły. Wydał wargi, a potem odpowiedział:

- Czy o to panu chodzi? O to, żeby spotwarzyć moją rodzinę w płonnej nadziei, że pomoże pan w ten sposób tak zwanemu przyjacielowi?

Wzruszyłem ramionami.

- Wydaje mi się, że to dość normalne i bardzo odpowiednie pytanie

- odrzekłem. -I jest co najmniej kilka możliwości: Tokio - odginałem kolejno palce - Szwajcaria, Los Angeles, San Juan. Albo stary dobry Nowy Jork lub Waszyngton. To by było znacznie wygodniejsze. I tańsze. Obrócił

się na pięcie i otworzył drzwiczki samochodu.

- Niech pan o tym pomyśli - poradziłem. - Niech pan się mocno zastanowi, co by pan zrobił, żeby ocalić dobre imię rodziny. Zapalił silnik i spiorunował mnie wzrokiem.

- A potem niech się pan zastanowi, dlaczego córka nie przyszła po pomoc do pana.

- Moja córka - powiedział drżącym ze złości głosem - moja córka była wspaniałą, uroczą, piękną dziewczyną. W jej głowie nigdy nie powstała żadna zdrożna czy grzeszna myśl. Jak pan śmie ściągać ją do swojego...

- Jeśli była taka słodka i niewinna, to jakim cudem zaszła w ciążę?

Trzasnął drzwiczkami, pchnął dźwignię skrzyni biegów i odjechał, zostawiając za sobą błękitną chmurę oburzenia i spalin.

Kiedy wróciłem, dom był pogrążony w mroku i pusty. Z zostawionego na stole liściku dowiedziałem się, że Judith i dzieci wciąż są u Betty.

Poszedłem do kuchni i zajrzałem do lodówki; byłem głodny, ale zbyt niespokojny, żeby usiąść i zrobić sobie kanapkę. W końcu zdecydowałem się na szklankę mleka i resztkę sałatki, ale panująca w domu cisza działała na mnie przygnębiająco. Zjadłem więc sałatkę i poszedłem do domu Artura. Mieszkał tylko przecznicę dalej.

Z zewnątrz dom wygląda zupełnie przeciętnie; stary masywny budynek z cegły, jakich wiele w Nowej Anglii. Nie różni się niczym od domów sąsiadów. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego ten dom zupełnie nie pasował do Arta.

W środku panował ponury nastrój. Betty siedziała w kuchni ze sztywnym uśmiechem przylepionym do twarzy i karmiła dziecko. Wyglądała na zmęczoną, miała pogniecione ubranie, choć zwykle jest wzorem elegancji.

Judith siedziała obok z Jane, naszą najmłodszą córeczką, uczeponą matczynej spódnicy.

W salonie hałasowali chłopcy, którzy bawili się w policjantów i złodziei i strzelali z pistoletów na kapiszony. Przy każdym hukku Betty drgała nerwowo.

- Wolalabym, żeby przestali -jęknęła - ale nie mam serca... Poszedłem do salonu. Wszystkie meble służyły za barykady. Johnny, nasz pięcioletni syn, pomachał mi zza fotela na biegunach i wystrzelił. Po

drugiej stronie pokoju obaj synowie Arta ukrywali się za kanapą.

Powietrze było ciężkie od gryzącego dymu, a po podłodze wałały się taśmy zużytych kapiszonów.

Johnny oddał następny strzał i zawołał:

- Mam cię!

- Nieprawda - odkrzyknął sześciolatek Andy Lee.

- Prawda. Nie żyjesz!

- Żyję - zaprotestował Andy i wycelował w Johnny'ego. Zabrakło mu jednak kapiszonów i zamiast huków rozległo się tylko ciche pstryknięcie.

Andy przykucnął za kanapą i powiedział do Henry'ego: - Kryj mnie, muszę naładować spłuwę.

- Dobra, partnerze.

Andy zabrał się do ładowania, ale zaplątała mu się taśma i stracił

cierpliwość. Rzucił kapiszony na podłogę, wycelował nienabitym

pistoletem i zawołał: „Pif! Paf!”

- To nie fair - krzyknął Johnny zza fotela. - Nie żyjesz.

- Sam nie żyjesz - powiedział Andy. - Właśnie cię trafiłem.

- Tak? - oburzył się Johnny i oddał trzy następne strzały. - Tylko mnie drasnąłeś.

- Tak? - wrzasnął Henry. - To masz! Strzelanina trwała dalej. Wróciłem do kuchni.

-I jak? - zapytała Betty. Uśmiechnąłem się.

- Kłóć się, kto kogo zastrzelił.

- Czego się dowiedziałeś?

- Wszystko będzie dobrze - zapewniłem. - Nie przejmuj się.

- Tak jest, panie doktorze - odparła, uśmiechając się smutno.

- Serio.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - westchnęła, karmiąc roczną córeczkę musem jabłkowym. Brązowa papka spłynęła dziecku po podbródku, Betty zebrała ją łyżeczką i spróbowała jeszcze raz.

- Dostaliśmy właśnie złą wiadomość - oznajmiła Judith.

-Tak?

- Dzwonił Bradford, prawnik Arta. Nie weźmie tej sprawy.

- Bradford?

- Tak - odparła Betty. - Zadzwoił pół godziny temu.

-I co powiedział?

- Nic. Tylko to, że nie ma czasu, żeby wziąć tę sprawę. Zapaliłem papierosa, próbując zachować spokój.

- Chyba do niego zadzwonię - powiedziałem.

Judith popatrzyła na zegarek.

- Jest wpół do szóstej. Raczej nie będzie go w...

-I tak spróbuję - odparłem.

Poszedłem do gabinetu Artura, a Judith za mną. Zamknąłem drzwi, żeby nie słyszeć huku kapiszonów.

- Co się naprawdę dzieje? - zapytała. Pokręciłem z ubolewaniem głową.

- Bardzo źle?

- Za wcześnie, żeby powiedzieć coś pewnego.

Usiadłem za biurkiem Artura i zacząłem wykręcać numer Bradforda.

-Nie jesteś głodny? Jadłeś coś?

- Tak, przekąsiłem coś niecoś po drodze.

- Wyglądasz na zmęczonego.

-Nic mi nie jest-zapewniłem.

Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

- Aha - powiedziała - dzwonił Fritz Werner. Chce z tobą porozmawiać.

Mogłem się tego spodziewać. Fritz zawsze o wszystkim wiedział. Mimo to mógł mieć jakąś ważną informację.

-Zadzwońię do niego później.

- A, zanim zapomnę - dodała - jesteśmy zaproszeni na imprezę na wtorek.

- Nie chce mi się iść - szepnąłem.

- Musimy. To u George'a Morrisa. Zupełnie wypadło mi to z głowy.

-No, dobra. O której?

-O szóstej. Możemy wcześniej wyjść.

- Dobrze.

Judith wróciła do kuchni, właśnie gdy w słuchawce odezwał się głos sekretarki:

- Kancelaria Bradforda, Wilsona i Sturgesa.

- Poproszę mecenasa Bradforda. - Przykro mi - oznajmiła sekretarka. - Pan Bradford już wyszedł.

- Jak mogę się z nim skontaktować?

- Pan Bradford będzie w pracy jutro o dziewiątej rano.

-Nie mogę tak długo czekać. ' - Przykro mi, proszę pana.

- Niech mnie pani nie przeprasza - odparłem. - Proszę mi tylko znaleźć mecenasa Bradforda. Jestem doktor Berry. -Nie wiedziałem, czy moje nazwisko coś jej powie, ale podejrzewałem, że już o mnie słyszała.

Natychmiast zmieniła ton.

- Proszę chwilę zaczekać, panie doktorze.

Przez kilka sekund słyszałem w słuchawce tylko mechaniczny szum, gdy sekretarka wcisnęła guzik „Czekać”. Zdaniem Arta przycisk ten jest technologicznym ekwiwalentem czyścica. Artur nienawidzi telefonów i nie korzysta z nich, jeśli nie musi.

- Pan Bradford właśnie wychodzi - odezwała się wreszcie sekretarka - ale porozmawia z panem.

- Dziękuję. Mechaniczny trzask.

-George Bradford, słucham.

- Dzień dobry, mówi John Berry.

- Tak, doktorze Berry. W czym mogę panu pomóc?

- Chciałbym porozmawiać z panem o Arturze Lee.

- Doktorze Berry, właśnie wychodzę...

- Sekretarka już mi to powiedziała. Może moglibyśmy się gdzieś spotkać?

Milczał przez moment, a potem westchnął. Zabrzmiało to jak syk

rozdrażnionego węża.

- To nie ma sensu. Przykro mi, ale moja decyzja jest nieodwołalna. Nie mogę się zająć tą sprawą.

- Proszę tylko o krótkie spotkanie. Znowu cisza.

- No, dobrze. Spotkajmy się w moim klubie za dwadzieścia minut. W

Trafalgar. Do zobaczenia.

Odłożyłem słuchawkę. Skurczybyk. Klub jest w centrum. Będę musiał

pędzić jak szatan, żeby zdążyć. Poprawiłem krawat i pobiegłem do samochodu.

Klub Trafalgar mieści się w niedużym zapuszczonym budynku na Beacon Street. Inaczej niż w innych tego typu lokalach w większych miastach, w Trafalgar jest tak cicho, że wielu bostończyków w ogóle nie wie o jego istnieniu.

Jeszcze nigdy tam nie byłem, ale mogłem przewidzieć wystrój wewnątrz.

Ściany wyłożone mahoniem, wysokie zakurzone sufity, ciężkie fotele obite brązową skórą, stare orientalne dywany. Atmosfera klubu oddawała charakter członków - drętwych starzejących się mężczyzn. Kiedy

oddawałem płaszcz do szatni, rzuciła mi się w oczy tabliczka ze zwiędłym napisem:

KOBIETY MOŻNA PRZYJMOWAĆ TYLKO W CZWARTEK OD 16.00

DO 17.30. Bradford czekał na mnie w holu.

Był mężczyzną niewysokim i nienagannie ubranym. Jego grafitowy

prążkowany garnitur wyglądał po całym dniu pracy, jakby dopiero co został wyprasowany, buty lśniły, a mankiety białej koszuli wystawały spod rękawów marynarki dokładnie na przepisową długość. Całości dopełniał

kieszonkowy zegarek ze srebrnym łańcuszkiem, przez który przewleczono znaczek bractwa Phi Beta Kappa. Nie musiałem zaglądać do Who Is Who, żeby wiedzieć, iż mieszka gdzieś w Beverly Farms, skończył college i prawo na Harvardzie, jego żona pobierała nauki w Yassar, wciąż nosi plisowane

spódnice, kaszmirowe sweterki i sznur pereł, a ich dzieci chodzą do szkoły Groton and Concord. Wygląd Bradforda mówił sam za siebie.

- Mam ochotę na drinka - oznajmił, ściskając moją dłoń. - A pan?

-Też chętnie się napiję.

Bar znajdował się na piętrze, w dużej sali z oknami wychodzącymi na Beacon Street. W powietrzu unosił się lekki zapach dymu z cygar.

Siedzący w małych grupkach mężczyźni rozmawiali półgłosem. Barman bez pytania wiedział, co pije każdy z gości. Każdy oprócz mnie.

Usiedliśmy w wygodnych fotelach przy oknie i zamówiłem gibsona.

Bradford po prostu skinął do barmana głową. Kiedy czekaliśmy na drinki, powiedział:

-Na pewno jest pan zawiedziony moją decyzją, ale szczerze mówiąc...

-Nie jestem zawiedziony - odparłem - ponieważ nie staję przed sądem.

Bradford wyjął zegarek, zerknął na jego tarczę i wsunął go z powrotem do kieszeni.

-Nikt - oznajmił obojętnie - nie stoi w tej chwili przed sądem.

-Nie zgadzam się. Myślę, że wielu ludzi stoi przed sądem. Z irytacją zabębnił palcami o stół i odszukawszy wzrokiem barmana, zmarszczył

gniewnie brwi. Psychoanalitycy nazywają to przeniesieniem.

-I co to miałyby oznaczać? - zapytał.

- Że wszyscy w tym mieście zostawili Arta Lee na pastwę losu, jakby dotknął go trąd.

-I podejrzewa pan znowę?

-Nie - odparłem. - Jestem po prostu zaskoczony.

- Jeden z moich znajomych twierdzi, że wszyscy lekarze są w gruncie rzeczy naiwni. Nie sprawia pan wrażenia naiwnego, doktorze Berry.

- Czy to komplement?

- Nie, to tylko taka obserwacja.

- Staram się.

- Cóż, nie kryją się za tym żadne tajemnicze siły. Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że mam wielu

klientów, a pan Lee jest tylko jednym z nich.

- Doktor Lee.

- Tak, właśnie, doktor Lee. Jest tylko jednym z wielu moich klientów, a wobec wszystkich mam zobowiązania, z których staram się wywiązywać najlepiej jak potrafię. Tak się składa, że dziś po południu rozmawiałem z prokuraturą, żeby dowiedzieć się, kiedy sprawa doktora Lee trafi do sądu.

Niestety, okazało się, że w tym samym czasie będę musiał prowadzić sprawę, do której zobowiązałem się już wcześniej. Wy tłumaczyłem to doktorowi Lee.

Barman przyniósł drinki. Bradford uniósł szklanę.

- Na zdrowie - powiedział.

- Na zdrowie.

Łyknął whisky i spojrzał w bursztynowy płyn.

- Doktor Lee zrozumiał moje stanowisko. Zapewniłem go również, że moja kancelaria dołoży wszelkich starań, by zapewnić mu jak najlepszego adwokata. Mam czterech starszych wspólników i całkiem możliwe, że jeden z nich będzie mógł...

-Ale nie pewne? Wzruszył ramionami.

- Nic nie jest pewne na tym świecie.

Łyknąłem swojego drinka. Był niedobry, głównie wermut i tylko kropla wódki.

- Dobrze pan zna państwa Randallów? - zapytałem.

- Znam ich, to prawda.

- Czy miało to wpływ na pańską decyzję?

- Z całą pewnością nie. - Wyprostował się. - Każdy adwokat dość wcześnie uczy się rozdzielać klientów i przyjaciół. W wielu wypadkach to po prostu konieczne.

- Zwłaszcza w małym mieście. Uśmiechnął się.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. - Upił kolejny łyk whisky, po czym dodał: -

Zupełnie prywatnie, doktorze Berry, mogę pana zapewnić, że w pełni sympatyzuję z doktorem Lee. Obaj uważamy, że aborcja jest po prostu życiowym faktem. Ostatnio czytałem, że rocznie wykonuje się w Stanach milion takich zabiegów. Z praktycznego punktu widzenia aborcje są koniecznością. Nasze prawo w tym względzie jest natomiast mgliste, wadliwie sformułowane i absurdalnie surowe. Muszę jednak panu

powiedzieć, że komisje lekarskie wykazują się w tej sprawie jeszcze większą surowością i z lęku przed odpowiedzialnością zakazują aborcji, które w świetle

prawa są uzasadnione i dopuszczalne. W moim przekonaniu musimy

zmienić nastawienie dominujące w środowisku medycznym, a dopiero później możemy się zastanawiać nad zmianą przepisów.

Nie odzywałem się. Rytuał pozbywania się odpowiedzialności ma długą uświęconą tradycję, którą trzeba celebrować w milczeniu. Bradford popatrzył na mnie i zapytał:

-Nie sądzi pan?

- Oczywiście - odparłem. - Ale wydaje mi się, że to dość karkołomna linia obrony.

-Nie proponowałem linii obrony.

- W takim razie musiałem pana źle zrozumieć.

-Nie zdziwiłbym się - zauważył szorstko.

- Ani ja. Ponieważ trudno się doszukać w tym wszystkim sensu. Zawsze wydawało mi się, że prawnicy przechodzą od razu do sedna problemu. Pan natomiast cały czas kluczy i owija w bawełnę.

- Staram się wyjaśnić panu moje stanowisko.

- Pańskie stanowisko jest wystarczająco jasne. Martwi mnie raczej stanowisko doktora Lee.

- Dobrze. Porozmawiajmy o doktorze Lee. Został oskarżony o złamanie liczącego siedemdziesiąt osiem lat przepisu stanu Massachusetts, który stwierdza, że wykonanie aborcji jest przestępstwem podlegającym karze grzywny i pozbawienia wolności do lat pięciu. Jeżeli aborcja skończyła się śmiercią pacjentki, wyrok może wynosić od siedmiu do dwudziestu lat.

- Czy jest to morderstwo drugiego stopnia czy nieumyślne spowodowanie śmierci?

- Z technicznego punktu widzenia ani jedno, ani drugie. Według...

- Więc można wnioskować o zwolnienie za kaucją?

- Teoretycznie tak. Ale nie w tym przypadku, ponieważ prokurator wniesie oskarżenie o morderstwo na podstawie przepisu prawa zwyczajowego, mówiącego, że każda śmierć spowodowana przez czyn przestępczy jest morderstwem.

- Rozumiem.

- Jeśli chodzi o sam proces, oskarżenie przedstawi dowody - na pewno mocne - że doktor Lee wykonywał aborcje. Prokurator wykaże, że

dziewczyna, Karen Randall, odwiedziła doktora Lee, który mimo to nie założył jej karty. Następnie oskarżenie udowodni, że doktor Lee nie ma alibi, i powoła na świadka panią Randall, która zezna, że dziewczyna wskazała doktora Lee jako tego, który wykonał zabieg. Ostatecznie sprowadza się to do dwóch sprzecznych zeznań. Lee, lekarz znany z nielegalnego

usuwania ciąży, będzie twierdził, że jest niewinny. Pani Randall powie, że jest winny. Gdyby był pan przysięgłym, komu by pan uwierzył?

- Nie ma żadnego dowodu na to, że doktor Lee zrobił skrobankę Karen Randall. Sprawa opiera się na samych poszlakach.

- Proces odbędzie się w Bostonie.

- To niech się pan postara o przeniesienie go gdzieś indziej -
powiedziałem.

- Na jakiej podstawie? Że tutejszy klimat moralny jest nieodpowiedni?

- Pan mówi o kruczkach prawnych, a ja o uratowaniu człowieka.

- W tych kruczkach tkwi potęga prawa.

- I jego słabość.

Popatrzył na mnie zamyślony.

- Jedynym sposobem, by „uratować” doktora Lee, jak pan mówi, jest wykazanie, że nie przeprowadził tej aborcji. A to oznacza, że trzeba odnaleźć tego, kto to rzeczywiście zrobił. Obawiam się, że szansę na to są naprawdę znikome.

- Dlaczego?

- Ponieważ po dzisiejszej rozmowie z doktorem Lee odnoszę wrażenie, że Lee kłamie. Uważam, że to on zabił tę dziewczynę, doktorze Berry.

Kiedy wróciłem do domu, okazało się, że Judith i dzieciaki wciąż są u Betty. Przygotowałem sobie następnego drinka - tym razem mocnego - i usiadłem w salonie. Byłem piekielnie zmęczony, ale nie mogłem się rozluźnić.

Mam zły charakter. Wiem to i staram się nad sobą panować, ale prawda jest taka, że w kontaktach z ludźmi zbyt często robię się niezdarny i wybuchowy. Zdaje się, że po prostu nie przepadam za bliźnimi. Może właśnie dlatego zostałem patologiem. Patrząc na miniony dzień, zdałem sobie sprawę, że zbyt często traciłem nad sobą kontrolę. To było głupie; nie mogłem na tym nic zyskać, ale za to wiele stracić.

Zadzwonił telefon.

- Dzwonię ze szpitala - usłyszałem w słuchawce głos Sandersona, ordynatora patologii w Lincolnie.

Każdy telefon w szpitalu jest połączony z co najmniej sześcioma innymi aparatami. Wieczorem właściwie każdy mógł nas podsłuchiwać.

- Jak ci minął dzień? - zapytał Sanderson.

- Ciekawie - odparłem. - A tobie?

- Były niezłe momenty - odrzekł.

Wyobrażałem to sobie - każdy, kto chciał mi dokopać, mógł teraz wyrzucić presję na Sandersona. Był to całkiem logiczny manewr, który można zresztą wykonać dość subtelnie. Wystarczy parę dowcipów: „Hej,

słyszałem, że brakuje ci dzisiaj ludzi". Kilka zadanych ze szczerym zdziwieniem pytań: „Słyszałem, że Berry zachorował, to prawda? Nie? A ktoś mówił, że tak. Ale nie ma go w pracy, prawda?" Parę uwag ze strony ordynatorów: „Sanderson, jak, do cholery, mam trzymać w ryzach swoich ludzi, jeżeli twoi patolodzy wychodzą z pracy, kiedy chcą?" Czy wreszcie upomnienie od dyrekcji: „Prowadzimy szpital, a nie przytułek dla bezrobotnych. Jak ktoś nie pracuje, to do widzenia".

- Powiedz im, że mam zaawansowany syfilis - mruknąłem. - To powinno ich uciszyć na jakiś czas.

Sanderson wybuchnął śmiechem.

-Nie ma problemu - oznajmił. - Póki co. Wytrzymam jeszcze jakiś czas. A propos, jak długo to jeszcze potrwa?

-Nie wiem. Sprawa jest skomplikowana.

- Wpadnij do mnie jutro, to pogadamy - zaproponował.

- Dobra. Może będę już wiedział coś więcej,

-Rozumiem. To do jutra.

-No to cześć.

Odłożyłem słuchawkę. Miałem nadzieję, że zrozumiał, o co mi chodziło.

Sprawa Karen Randall wydawała się mocno podejrzana. Coś tu nie

pasowało. Podobnie czułem się przed trzema miesiącami, kiedy mieliśmy przypadek agranulocytozy, czyli zupełnego braku białych krwinek. To bardzo poważna choroba, ponieważ bez białych ciałek nie

można zwalczyć infekcji. Większość ludzi nosi w organizmach drobnoustroje chorobotwórcze - takie jak

gronkowce i paciorkowce, a czasem dyfteryt lub dwoinki zapalenia płuc - i jeśli układ obronnościowy zanika, może dojść do zakażenia.

W każdym razie pacjent był Amerykaninem, lekarzem pracującym dla publicznej służby zdrowia w Peru. Brał peruwiański lek na astmę i pewnego dnia zachorował. W ustach zrobiły mu się afty, dostał gorączki i w ogóle poczuł się fatalnie. Poszedł więc na badanie krwi do lekarza w Limie. Okazało się, że poziom białych krwinek wynosi sześćset*, następnego dnia spadł do stu, a w dzień później sięgnął zera. Pacjent wsiadł więc w samolot do Bostonu i zgłosił się do naszego szpitala.

* W krwi zdrowego człowieka jest od czterech do dziewięciu tysięcy białych krwinek na centymetr sześcienny. W czasie infekcji liczba ta może się podwoić lub potroić.

Pobrano mu próbkę szpiku kostnego, który następnie zbadałem pod mikroskopem, i odkryłem mnóstwo niedojrzałych komórek granulocytów.

Chociaż nie było to normalne, nie było też bardzo groźne. Pomyślałem, że coś tu nie gra, i poszedłem spotkać się z lekarzem pacjenta.

Lekarz tymczasem rozpracował peruwiański lek na astmę. Okazało się, że lek zawiera substancję wycofaną z amerykańskiego rynku w 1942 roku, która hamuje produkcję białych krwinek. Uznał, że właśnie dlatego pacjent zachorował. Kuracja była zatem prosta: odstawić szkodliwy lek, nic nie robić i czekać, aż poziom leukocytów wróci do normy.

Powiedziałem lekarzowi, że szpik nie wygląda tak źle. Poszliśmy odwiedzić pacjenta, a ten wciąż był chory: miał wrzody w ustach i wysypkę na ramionach i plecach. Gorączkował i bardzo powoli odpowiadał na zadawane pytania.

Zachodziliśmy w głowę, dlaczego, mimo że szpik wydaje się właściwie normalny, stan pacjenta jest tak ciężki. Zastanawialiśmy się nad tym przez pół popołudnia. W końcu, około czwartej, zapytałem lekarza, czy w miejscu, z którego pobrano szpik, nie było przypadkiem infekcji. Lekarz powiedział, że nie wie. Poszliśmy więc jeszcze raz do pacjenta, żeby mu się przyjrzeć.

Ku naszemu zaskoczeniu odkryliśmy, że w ogóle nie zrobiono mu żadnej biopsji. Ktoś z obsługi medycznej - pielęgniarka lub rezydent - schrzanił

robotę i posłał mi źle oznaczony szpik kostny pobrany od chorego z podejrzeniem białaczki. Natychmiast zrobiliśmy naszemu pacjentowi biopsję i wkrótce przekonaliśmy się, że jego szpik rzeczywiście nie zawiera białych krwinek.

Pacjent wyzdrowiał, ale nigdy nie zapomnę, jak łamaliśmy sobie głowy nad wynikami badań.

Teraz miałem to samo uczucie: coś nie grało, coś było nie tak. Odnosiłem wrażenie, że ludzie powiązani z tą sprawą kierowali się innymi motywami, tak jakbyśmy rozmawiali na zupełnie różne tematy. Moje stanowisko było jasne: Art jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się przestępstwa. Jak dotąd nikt tego nie zrobił.

Zdawało mi się jednak, że nikogo poza mną nie interesuje, czy Art jest winny czy nie. Problem, do którego przykładałem tak wielką wagę, inni postrzegali jako nieistotny.

Tylko dlaczego?

Wtorek, 11 października

Obudziłem się przygotowany na spotkanie kolejnego normalnego dnia.

Byłem wykończony, a na zewnątrz mżyło, było szaro, zimno i

nieprzyjemnie. Zdjąłem piżamę i wzięłem gorący prysznic. Kiedy się goliłem, do łazienki weszła Judith, pocałowała mnie, a potem poszła zrobić śniadanie. Uśmiechnąłem się do lustra, zastanawiając się, co też mnie czeka w laboratorium.

Nagle uświadomiłem sobie, że dzisiaj nie idę do szpitala. Przypomniała mi się ta cała koszmarna sprawa.

To nie będzie normalny dzień.

Podszedłem do okna i spojrzałem na krople deszczu na szybie. Po raz pierwszy dopuściłem do siebie myśl, by rzucić to wszystko w diabły i wrócić po prostu do laboratorium. Perspektywa dojazdu do pracy, zaparkowania przed szpitalem, zawieszenia płaszcza na wieszaku, przebrania się w fartuch i włożenia gumowych rękawiczek wydała się nagle bardzo pociągająca. To była moja robota, dobrze się w niej czułem, nie czekały tam na mnie żadne stresy i niespodzianki. Nie widziałem powodu, by zabawiać się w detektywa amatora. W zimnym porannym

świecie sam pomysł wydał mi się absurdalny.

Wtedy przypomniały mi się twarze ludzi, z którymi wczoraj rozmawiałem: Arta, J.D. Randalla i pewnego siebie Bradforda. I zdałem sobie sprawę, że jeśli ja nie pomogę Arturowi, nie zrobi tego nikt.

Myśl ta przejmowała mnie lękiem. Byłem przerażony.

Judith zjadła ze mną śniadanie. Dzieciaki jeszcze spały, byliśmy sami.

- Jakie masz na dzisiaj plany? - zapytała.

- Trudno powiedzieć.

Zadawałem sobie dokładnie to samo pytanie. Musiałem się dowiedzieć więcej, znacznie więcej. Zwłaszcza o Karen i pani Randall. Wciąż miałem o nich za mało informacji.

- Chyba zacznę od dziewczyny - odparłem.

- Dlaczego?

- Z tego, co do tej pory słyszałem, wynika, że była wspaniałą, energiczną i kochaną dziewczyną. Wszyscy ją uwielbiali, była cudowna.

- Może to prawda?

-Może, ale myślę, że powinienem zasięgnąć opinii jeszcze kogoś, nie tylko jej ojca i brata.

-Jak?

- Na początek spróbuję w College'u Smitha.

College Smitha w Northampton, na kompletnym odludziu w stanie

Massachusetts, to miejsce, w którym dwa tysiące dwieście dziewcząt otrzymuje ekskluzywne wykształcenie. Po dwóch godzinach podróży zjechałem z autostrady przy Holyoke, przez następne trzydzieści minut tłukłem się po wąskich drogach, aż wreszcie minąłem tory kolejowe i znalazłem się w Northampton. Nigdy nie lubiłem tego miasta. Panuje tu szczególnie represyjna atmosfera; w powietrzu czuć niemal irytację i frustrację, ciężką woń rozczarowania i buntu dwóch tysięcy ładnych dziewcząt, skazanych na czteroletni pobyt w tej głuszy, oraz rozdrażnienie mieszkańców, którzy muszą z nimi przez ten czas wytrzymywać.

Sam kampus jest prześliczny, zwłaszcza jesienią, kiedy opadają żółte liście. Jest tu ładnie, nawet kiedy pada deszcz. Udałem się prosto do biura informacji o pracownikach i studentach college'u i odszukałem w książce adresów Karen Randall. Zaopatrzone mnie w plan miasta i ruszyłem w stronę jej akademika, Henley Halli.

Był to biały budynek na Wilbur Street, w którym mieszkało czterdzieści dziewcząt. Na parterze mieścił się duży salon o śmiesznie kobiecym wielobarwnym wystroju. Wszędzie kręciły się ubrane w dzins długowłose nastolatki. Przy wejściu znajdowała się recepcja.

- Chciałbym się zobaczyć z Karen Randall - powiedziałem do dziewczyny za biurkiem.

Popatrzyła na mnie spłoszona, jakby wzięła mnie za podstarzałego gwałciciela.

- Jestem jej wujkiem - wyjaśniłem. - Doktor Berry.

-Nie było mnie przez cały weekend i nie widziałam Karen od powrotu -

zaczęła się tłumaczyć przepaszającym tonem. - W piątek miała pojechać do Bostonu.

Los mi sprzyjał; dziewczyna najwyraźniej o niczym nie wiedziała.

Zastanawiałem się, czyjej koleżanki także tkwią w niewiedzy.

Prawdopodobnie ich opiekunka otrzymała już informację o śmierci Karen albo otrzy-mają wkrótce. Musiałem więc omijać opiekunkę szerokim łukiem.

- Oo! - zawołała dziewczyna przy biurku - tam jest Ginnie. Mieszka z Karen w pokoju.

Przez hol szła ciemnowłosa dziewczyna. Miała na sobie ciasne džinsy i obcisły sweterek, ale mimo to sprawiała wrażenie osóbkki dość poważnej.

W dziwny sposób jej twarz odciągała uwagę od reszty ciała.

Moja rozmówczyni przywołała Ginnie do biurka i powiedziała:

- To doktor Berry. Szuka Karen.

Ginnie zrobiła zdumionąminę. Wiedziała. Czym prędzej chwyciłem ją za ramię i wprowadziłem do salonu.

- Ale Karen... - zaczęła, kiedy posadziłem ją w fotelu.

- Wiem, ale chciałbym z tobą porozmawiać.

- Chyba lepiej zapytam pannę Peters o zgodę - odparła Ginnie, wstając.

Łagodnym ruchem posadziłem ją znowu na fotelu.

- Zanim to zrobisz, powinnaś wiedzieć, że wczoraj uczestniczyłem w autopsji Karen.

Zakryła usta dłonią.

- Przepraszam za obcesowość, ale mam kilka ważnych pytań, na które tylko ty możesz odpowiedzieć. Oboje wiemy, jak by na to zareagowała panna Peters.

- Zabroniłaby mi z panem rozmawiać. - Ginnie patrzyła na mnie

podejrzliwie, ale zauważyłem, że wzbudziłem jej ciekawość.

- Chodźmy w jakieś bardziej odosobnione miejsce - zaproponowałem.

-No, nie wiem...

- Zajmę ci tylko kilka minut.

Wstała i skinęła głową w stronę korytarza.

- Mężczyznom nie wolno zwykle odwiedzać nas w pokojach - oznajmiła -

ale pan jest krewnym, prawda?

- Tak - zapewniłem.

Ginnie i Karen mieszkały na parterze, na tyłach budynku. Pokój był mały i ciasny, zarzucony

dziewczęcymi drobiazgami - zdjęciami chłopaków, listami, kartkami z życzeniami, programami uniwersyteckich rozgrywek futbolowych, wstążeczkami, planami zajęć, flakonikami perfum, pluszowymi maskotkami. Ginnie usiadła na łóżku i wskazała mi krzesło przy biurku.

- Wczoraj wieczorem panna Peters powiedziała mi, że Karen... zmarła w wypadku - wyznała Ginnie.
- Poprosiła, żebym przez jakiś czas nikomu o tym nie mówiła. Zabawne, nie znałam do tej pory nikogo, kto umarł... to znaczy, nie w moim wieku. To dziwne, ale nic nie czuję. Jestem dosyć wrażliwa, a tu nic. Pewnie jeszcze to do mnie nie dotarło.

-Znałaś Karen, zanim razem zamieszkałyście?

- Nie. Uczelnia przydzieliła nam pokoje.

- Dogadywałyście się?

Wzruszyła ramionami. Każdy jej gest miał w sobie młodzieńczą energię.

Było to jednak trochę nienaturalne, jakby wyćwiczyła wszystko przed lustrem.

- Raczej tak. Karen nie była typową studentką pierwszego roku. Nie przerażała jej college i często wyjeżdżała na weekendy. Zwykle nie chodziła na zajęcia i ciągle opowiadała o tym, jak nienawidzi

Northampton. Dziewczyny często tak mówią, ale myślę, że u Karen to było szczere. Naprawdę nienawidziła tego college'u.

- Dlaczego tak myślisz?

- Wystarczyło popatrzeć na jej zachowanie. Nie chodziła na zajęcia, często wyjeżdżała. Wpisywała się na listę wyjeżdżających, tłumacząc, że chce odwiedzić rodzinę. Ale nigdy jej nie odwiedzała, tak mi powiedziała.

Nienawidziła rodziców.

Ginnie wstała i otworzyła szafę. Na wewnętrznej stronie drzwi wisiało duże błyszczące zdjęcie J.D. Randalla. Jego twarz była usiana małymi białawymi punkcikami.

- Wie pan, co Karen robiła? Rzucała w to zdjęcie strzałkami. To jej ojciec, jest chirurgiem czy kimś takim. Co wieczór przed zaśnięciem rzucała w niego strzałkami.

Ginnie zamknęła szafę.

- A co z matką?

- Kochała mamę, ale tę prawdziwą. Umarła kilka lat temu. Teraz ma macochę. Karen za nią nie przepadała.

- O czym jeszcze Karen ci opowiadała?

- Głównie o chłopakach - odparła, siadając ponownie na łóżku. - Wszystkie gadamy tylko o jednym. O chłopakach. Karen chodziła do prywatnej szkoły gdzieś niedaleko i знаła mnóstwo chłopaków. Studenci z Yale często ją odwiedzali.

- Chodziła z którymś z nich?

- Raczej nie. Miała facetów na pęczki. Wszyscy się za nią uganiali.

- Była popularna?

- Coś w tym stylu - odparła Ginnie, marszcząc nos. - Chyba nie powinnam o tym mówić, no, wie pan, teraz... Zresztą nie wiem, czy to prawda, może to tylko jeden wielki szpan.

- Co takiego?

- Wie pan, przyjeżdżamy tutaj po liceum, nikt nas nie zna, nikt nawet o nas nie słyszał, więc można poopowiadać dziewczynom różne bzdury, a one uwierzą. Ja na przykład mówiłam, że byłam w szkole cheerleaderką, tak dla zgrywu. Tak naprawdę chodziłam do prywatnego liceum i nie

mieliśmy drużyny cheerleaderek.

-Rozumiem.

-Ale cheerleaderki są takie fajne!

- A jakie historie opowiadała ci Karen?

- Bo ja wiem... Właściwie trudno to nazwać historiami. To były raczej aluzje. W każdym razie chciała, żeby dziewczyny uważały, że jest odlotowa. Że wszyscy jej kumple są odlotowi. To było zresztą jej ulubione słowo: „odlotowe”. I wiedziała, jak sprawić, żeby coś brzmiało prawdziwie. Nigdy nie opowiadała wszystkiego od początku do końca, ze szczegółami. Rzuciła tylko krótkie uwagi. Na przykład o swoich

aborcjach.

-O aborcjach?

- Powiedziała, że jeszcze zanim trafiła do college'u, przeszła dwie. Dosyć niewiarygodne, prawda? Dwie aborcje? Przecież miała dopiero

siedemnaście lat. Powiedziałam, że jej nie wierzę, więc zaczęła mi opisywać, jak wygląda taki zabieg. Wtedy nie byłam już taka pewna.

Dziewczyna z lekarskiej rodziny łatwo mogła zdobyć wiedzę na temat tego, jak się robi skrobankę. Nie stanowiło to jeszcze dowodu, że sama przeszła podobny zabieg.

- Wspominała o jakichś konkretach? Kto i gdzie to robił?

- Nie. Powiedziała tylko, że miała dwie skrobanki. Ciągle mówiła takie rzeczy. Chciała mnie zaszokować, wiem o tym, ale potrafiła być przy tym bardzo bezwzględna. Pamiętam, jak w pierwszy... nie, w drugi weekend po tym, jak tu zamieszkałyśmy, wróciła późno w nocy z jakiejś balangi.

Narobiła hałasu, po ciemku położyła się do łóżka i powiedziała: „Jezu, uwielbiam czarne mięso”. Ot tak. Nie wiedziałam, jak zareagować, nie znałam jej wtedy zbyt dobrze, więc milczałam. Pomyślałam sobie tylko, że chce mnie zaszokować.

- Co ci jeszcze mówiła? Ginnie wzruszyła ramionami.

-Nie pamiętam. To były zawsze oderwane uwagi. Kiedyś wieczorem

przygotowywała się do wyjścia. Gwizdała sobie przed lustrem i nagle powiedziała: „W ten weekend naprawdę zrobię sobie dobrze” czy coś takiego. Nie pamiętam dokładnie słów.

-I co ty na to?

- Powiedziałam: „Miłej zabawy”. A co miałam powiedzieć, kiedy właśnie wyszłam z kąpieli i usłyszałam coś takiego? A ona: „No pewno, no pewno”. Zawsze wyskakiwała z takimi szokującymi uwagami.

-Wierzyłaś jej?

- Po paru miesiącach zaczęłam wierzyć.

- Czy podejrzewałaś, że mogła być w ciąży?

- Tutaj? W szkole? Nie.

-Na pewno?

- Nigdy niczego takiego nie mówiła. Poza tym brała pigułki.

- Jesteś pewna?

-No, tak mi się wydaje. W każdym razie co rano robiła z tego wielkie przedstawienie. Trzymała je tutaj.

-Pigułki? Gdzie? Ginnie pokazała palcem.

- Tu, na biurku. W tym słoiczku.

Wstałem, podszedłem do biurka i wziąłem plastikowy pojemnik. Na nalepce widniała nazwa apteki Beacon, nazwy leku nie było. Wyjąłem notes i zapisałem numer recepty oraz nazwisko lekarza. Potem odkręciłem wieczko i wysypałem tabletki na rękę. Okazało się, że zostały tylko cztery.

- Brała je codziennie?

- Dzień w dzień - potwierdziła Ginnie.

Nie byłem ginekologiem ani farmaceutą, ale wiedziałem o tych sprawach to i owo. Po pierwsze, pigułki antykoncepcyjne sprzedaje się w

plastikowych listkach z oznaczeniami dni tygodnia, żeby kobieta nie pomyliła się i nie musiała się zastanawiać, czy wzięła już danego dnia tabletkę, czy nie. Po drugie tabletki udoskonalono i dawka hormonu została zmniejszona, a co za tym idzie, pigułki były bardzo niewielkie.

Te, które trzymałem właśnie w ręku, były o wiele za duże. Nie miały żadnych oznaczeń, były kredowobiałe i dość kruche. Wsunąłem jedną do kieszeni, a resztę wsypałem z powrotem do słoiczka. Nawet bez

sprawdzania mogłem się domyślić, co to za lek.

- Poznałaś któregoś z chłopaków Karen? - zapytałem. Ginnie pokręciła głową.

- Czy Karen o nich rozmawiała? Opowiadała o randkach?

- Raczej nie. Mówiła tylko, jacy są w łóżku, ale to były same świństwa.

Traktowała ich przedmiotowo, jeśli wie pan, co mam na myśli. Wciąż próbowała mnie zaszokować. Ale zaraz...

Wstała i podeszła do toaletki. W ramę lustra było wetkniętych kilka fotografii. Wyciągnęła dwie z nich i podała mi.

- O tym sporo mi opowiadała, ale chyba już się z nim nie spotykała.

Chodziła z nim w czasie wakacji czy jakoś tak. Studiuje na Harvardzie.

Zdjęcie przedstawiało chłopaka w stroju futbolisty, prężącego się i szczerzącego do obiektywu. Na koszulce widniał numer 71.

- Jak się nazywa?

-Nie wiem.

Wziąłem program rozgrywek Harvard-Columbia i przekartkowałem go w poszukiwaniu składu drużyny. Z numerem 71 grał prawy obrońca, Alan Zenner. Zapisałem nazwisko w notesie i oddałem Ginnie zdjęcie.

- Z tym - oznajmiła, wręczając mi następną fotografię - ostatnio się spotykała. Czasem całowała jego zdjęcie przed snem. Ma na imię Ralph.

Ralph albo Roger.

Zdjęcie przedstawiało młodego czarnego chłopaka w lśniącym obcisłym garniturze, trzymającego w dłoni elektryczną gitarę. Jego uśmiech robił

wrażenie wymuszonego.

- Uważasz, że się z nim spotykała?

- Tak. Należy do zespołu grającego w Bostonie.

-I ma na imię Ralph?

- Jakoś tak.

- Znasz nazwę tego zespołu? Ginnie zmarszczyła brwi.

- Kiedyś mi mówiła. Pewnie nawet więcej niż raz, ale nie pamiętam.

Karen rzadko mówiła o swoich chłopakach. Nie była jedną z tych

dziewczyn, które usiądą z koleżanką i opowiadają wszystko ze

szczełółami. Rzucała tylko drobne uwagi.

- Myślisz, że spotykała się z tym chłopakiem, kiedy wyjeżdżała na weekendy?

Ginnie pokiwała głową.

- A dokąd wyjeżdżała? Do Bostonu?

- Tak mi się zdaje. Do Bostonu albo do New Haven.

Odwróciłem zdjęcie. Z tyłu widniała pieczętka z napisem STUDIO

FOTOGRAFICZNE CURZINA, WASHINGTON STREET.

- Mogę wziąć tę fotkę?

- Jasne. Proszę.

Schowałem fotografię do kieszeni i usiadłem na krześle.

- Poznałaś któregoś z nich?

- Nie. W ogóle nie poznałam żadnych jej znajomych. Chociaż zaraz...

Poznałam jedną jej koleżankę.

- Koleżankę?

- Tak. Pewnego dnia Karen powiedziała, że jedna z jej przyjaciółek przyjedzie z wizytą. Zaczęła mi opowiadać, jaka jest fajna i odlotowa. Tyle mi o niej nagadała, że spodziewałam się kogoś naprawdę niezwykłego. Ale kiedy się zjawiała...

-Tak?

- Okazała się strasznie dziwna - odparła Ginnie. - Była wysoka i miała bardzo długie nogi. Karen przez cały czas rozplýwała się z zachwytu, że też chciałyby takie mieć, a ta dziewczyna tylko siedziała jak kołek i milczała. Była chyba ładna. Ale dziwna. Zachowywała się jak śnięta ryba.

Może coś wzięła, nie wiem. W końcu po godzinie milczenia zaczęła mówić i gadała same dziwne rzeczy.

- Na przykład?

-Nie wiem. Dziwne. „Deszcz w Hiszpanii to dla mnie żaden dreszcz”. I układała wiersz o ludziach biegnących przez pola spaghetti. Raczej kiepsko jej szło. To było naprawdę głupie.

- Jak się nazywała?

- Nie pamiętam. Angie albo jakoś tak.

- Studiowała w college'u?

-Nie. Była młoda, ale pracowała. Wydaje mi się, że Karen mówiła, że jest pielęgniarką.

- Spróbuj sobie przypomnieć jej imię - poprosiłem. Ginnie zmarszczyła brwi i wlepiała wzrok w podłogę, po chwili jednak pokręciła głową.

- Przykro mi - odparła. - Nie zwracałam na to aż takiej uwagi. Chciałem się dowiedzieć o tajemniczej dziewczynie czegoś więcej, ale robiło się późno.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Karen? Była nerwowa? Drażliwa?

-Nie. Zawsze była bardzo spokojna. Wszystkie inne dziewczyny

histeryzują, zwłaszcza kiedy zbliżają się egzaminy, ale jej to nie obchodziło. Przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

- Była energiczna? Rozmowna?

- Karen? Żartuje pan? Cały czas zachowywała się, jakby za chwilę miała umrzeć. Ożywiała się tylko przed randkami, ale głównie narzekała, jaka jest zmęczona.

- Dużo spała?

- Tak. Przesypiała większość zajęć.

-A dużo jadła?

-Nieszczególnie. Obiady też przesypiała.

- W takim razie musiała schudnąć.

- Wręcz przeciwnie - odparła Ginnie. - Przytyła. Niewiele, ale jednak. Po sześciu tygodniach nie mieściła się w swoich sukienkach i musiała kupić nowe.

-Zauważyłaś jakieś inne zmiany?

- No, jedną, ale wątpię, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Dla Karen miało, ale nikt inny się tym nie przejmował.

- Co to za zmiana?

- Wbiła sobie do głowy, że wszędzie zaczynają rosnąć jej włosy. Wie pan, na rękach, na nogach, na górnej wardze. Narzekała, że cały czas musi golić nogi.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwunasta.

-Cóż, nie chciałbym ci dłużej przeszkadzać. Pewnie musisz się uczyć.

- Nieważne - odparła Ginnie. - To bardzo interesujące.

-Co?

- Obserwowanie, jak pan pracuje.

-Na pewno rozmawiałaś już kiedyś z lekarzem. Westchnęła.

- Bierze mnie pan chyba za idiotkę - powiedziała rozdrażnionym głosem. -

Nie urodziłam się wczoraj.

- Uważam, że jesteś bardzo inteligentna - odrzekłem.

- Wezwie mnie pan na świadka?

- Na świadka? Dlaczego?

- W sądzie, na procesie

Patrząc na nią, znowu odniosłem wrażenie, jakby ćwiczyła przed lustrem.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo i tajemniczo jak gwiazda kina.

- Chyba nie rozumiem.

- Może się pan przyznać - odparła. - Wiem, że jest pan prawnikiem.

-Tak?

- Rozgryzłam pana po dziesięciu minutach. Wie pan jak?

-Jak?

- Zorientowałam się, kiedy wziął pan te pigułki i zaczął się im przyglądać.

Zrobił to pan bardzo ostrożnie, zupełnie inaczej niż lekarz. Szczerze mówiąc, myślę, że byłby z pana okropny doktor.

- Pewnie masz rację - przyznałem.

- Powodzenia w sądzie - powiedziała, kiedy wychodziłem, i puściła do mnie oko.

- Dziękuję.

Mieszczący się na drugim piętrze Memoriala pokój rentgenowski nazywał

się bardzo elegancko: DIAGNOZY RADIOLOGICZNE. Mimo to

wyglądał jak każdy inny pokój rentgenowski. Na ścianach wisiały podświetlane ekrany z zaczepami do podtrzymywania kliszy.

Pomieszczenie okazało się dość duże, mogło w nim pracować pół tuzina radiologów naraz.

Wszedłem do środka razem z Hughesem, radiologiem z Memoriala,

którego znam od bardzo dawna. Razem z Judith grywamy z nim i jego żoną w brydża. Dobrzy z nich gracze, chociaż czasami dają się ponieść nerwom. Nie przeszkadza mi to, mnie też się to zdarza..

Nie skontaktowałem się z Lewisem Carrem, ponieważ wiedziałem, że i tak mi nie pomoże. Hughes zajmował niską pozycję w hierarchii i nie obchodziło go, czy chcę zobaczyć zdjęcia Karen Randall czy jakiejś innej sławnej osoby, która przewinęła się przez szpital. Zaprowadził mnie prosto do pokoju rentgenowskiego.

- Jak tam twoje życie seksualne? - zapytałem po drodze.

To popularny żart radiologów. Powszechnie wiadomo, że radiolodzy żyją najkrócej ze wszystkich lekarzy. Przyczyny tego nie są do końca jasne, ale oczywistym wydaje się przypuszczenie, że winne jest promieniowanie.

Dawniej radiolodzy przebywali w tym samym pomieszczeniu co pacjenci, którym robili zdjęcia. Promienie gamma wykańczały ich w ciągu kilku lat.

Poza, tym stare klisze były znacznie mniej czułe i potrzebna była solidna dawka promieni, żeby uzyskać odpowiedni kontrast.

Jednak nawet dzisiaj, choć technika i wiedza poszły naprzód, tradycja nie umarła i radiolodzy są skazani na dowcipy o ołowianych gaciach i pomarszczonych jądrach. Te niewybredne żarty - podobnie jak

promieniowanie - to ryzyko zawodowe. Hughes jednak dobrze sobie z nimi radził.

- Moje życie seksualne - odparł - ma się po prostu świetnie w porównaniu z moją grą w brydża.

Kiedy weszliśmy do pokoju, pracowało tam trzech albo czterech

radiologów. Każdy siedział przed magnetofonem i kopertą wypełnioną zdjęciami. Wyjmowali pojedyncze klisze, czytali na głos nazwisko, numer pacjenta oraz rodzaj zdjęcia - rzut przednio-tylny, boczny lub pielogram

-mocowali je na ekranie i dyktowali diagnozę.

Cała ściana poświęcona była pacjentom z intensywnej terapii. Ponieważ chodziło o ludzi poważnie chorych, ich zdjęć nie przechowywano w kopertach, tylko wieszano na obrotowych stojakach. Wystarczyło nacisnąć guzik i poczekać, aż stojak się obróci. Dzięki temu prawie natychmiast można było przejrzeć odpowiednie zdjęcia.

Hughes poszedł do pomieszczenia tuż obok archiwum i po chwili wrócił

ze zdjęciami Karen Randall. Usiedliśmy naprzeciwko mlecznobiałego ekranu i Hughes zawiesił na nim pierwszą kliszę.

- Boczne zdjęcie czaszki - wyjaśnił, przyglądając mu się. - Wiesz, dlaczego je zamówiono?

-Nie-odparłem.

Ja też wpatrywałem się w ekran, ale trudno mi było cokolwiek rozpoznać.

Rentgen głowy bardzo trudno zinterpretować. Skomplikowana budowa czaszki sprawia, że na zdjęciu widać mało czytelne wzory składające się z jaśniejszych i ciemniejszych plam. Hughes przyglądał się zdjęciu przez dłuższą chwilę, od czasu do czasu kreśląc jakieś linie skuwką pióra.

- Wydaje się w porządku - orzekł w końcu. - Brak pęknięć czy zwapnień wewnątrzczaszkowych,

świadczących o obecności tętniaka czy guza.

Oczywiście dobrze by było mieć arteriogram albo pneumoencefalografię*.

- Rzućmy okiem na pozostałe zdjęcia- powiedział. Zdjął kliszę i powiesił

zdjęcie przedstawiające widok czołowy przednio-tylny. - To też jest normalne - stwierdził. - Zastanawiam się, dlaczego zostały zamówione.

Miała wypadek samochodowy czy co?

-Nic mi o tym nie wiadomo. Przetrzęsnał kopertę.

-Nie - oznajmił. -Nie wykonali zdjęć twarzy. Tylko czaszki. Zdjęcia kości twarzy robi się pod specjalnymi kątami, żeby stwierdzić ich pęknięcia lub złamania.

* Arteriogram to zdjęcie wykonane po wypełnieniu tętnic mózgowych płynem kontrastowym. Pneumoencefalografia polega na odciągnięciu płynu mózgowo-rdzeniowego i wypełnieniu komór powietrzem. Jest to bardzo bolesny zabieg, którego nie można wykonywać pod znieczuleniem.

Obie techniki mają na celu poprawienie kontrastu zdjęcia, uważa się je za drobne operacje chirurgiczne i nie stosuje się ich, o ile nie jest to konieczne.

Hughes przypatrywał się przez chwilę obrazowi przednio-tylnemu, po czym założył znowu widok boczny. Wciąż nie dostrzegał niczego

niezwykłego.

- Nic tu nie ma, do cholery - oznajmił, stukając piórem w ekran.

-Kompletnie nic. Wszystko w normie, jak Boga kocham.

- Dobra - powiedziałem, wstając. - Dzięki za pomoc. Wychodząc,

zastanawiałem się, czy zdjęcia rentgenowskie przybliżyły mnie do rozwiązania zagadki, czy też jeszcze bardziej ją zawikłały.

Zamknąłem się w budce telefonicznej stojącej niedaleko szpitalnego holu.

Wyciągnąłem notes i odszukałem numer telefonu apteki Beacon.

Znalazłem również tabletkę, którą zabrałem z pokoju Karen.

Odlupałem kawałek paznokciem i starłem w dłoni na biały proszek.

Podjrzewałem, co to za lek, ale dla pewności spróbowałem go czubkiem języka.

Nie było wątpliwości. Rozkruszona aspiryna smakuje po prostu okropnie.

Wykręciłem numer.

- Apteka Beacon, słucham?

- Dzień dobry, tu doktor Berry z Lincolna. Chciałbym zapytać o lek...

- Moment, muszę wziąć ołówek. Chwila ciszy.

- Tak, panie doktorze?

- Pacjentka Karen Randall. Numer 1476673. Receptę wypisał doktor Peter Randall.

- Zaraz sprawdzę.

Usłyszałem trzask odkładanej na stół słuchawki, a potem gwizdanie i szelest przierzucanych kartek.

-Tak, mam. Darvon, dwadzieścia tabletek, 75 miligramów. Stosowanie:

„W przypadku bólu jedna tabletkę co cztery godziny”. Klientka kupiła trzy słoiczki. Podać panu daty zakupów?

- Nie - odparłem. - Nie trzeba.

- Czy mogę pomóc w czymś jeszcze?

-Nie, bardzo pani dziękuję.

- Zawsze do usług.

- Do widzenia.

Odwiesiłem ostrożnie słuchawkę. Sprawy komplikowały się coraz

bardziej. Jaka dziewczyna mogła udawać, że bierze pigułki

antykonieczne, a tak naprawdę łykać aspirynę trzymaną w słoiczku po tabletkach na skurcze menstruacyjne?

Śmierć wskutek aborcji zdarza się dość rzadko. Często przeocza się ten prosty fakt w statystykach i alarmujących artykułach prasowych.

Statystyki, podobnie jak artykuły prasowe, są subiektywne i niedokładne.

Szacunkowe liczby różnią się między sobą znacznie, ale wśród ludzi znających się na rzeczy panuje dość powszechna zgoda, że w Stanach Zjednoczonych przeprowadza się milion nielegalnych aborcji rocznie, a w ich wyniku umiera około pięciu tysięcy kobiet. Oznacza to, że

śmiertelność wynosi 500:100 000.

Jest to liczba bardzo wysoka, jeśli wziąć pod uwagę zgony po aborcjach wykonywanych w szpitalach, gdzie umiera od jednej do osiemnastu pacjentek na sto tysięcy. Zatem w najgorszym wypadku operacja usunięcia ciąży jest równie niebezpieczna, co wycięcie migdałków (17:100 000).

Wszystko to oznacza, że prawdopodobieństwo śmierci wskutek nielegalnej aborcji jest ponad dwadzieścia pięć razy wyższe niż w przypadku aborcji dokonywanych w szpitalach. U wielu osób wzbudza to przerażenie.

Jednak Art, który dokładnie zbadał tę kwestię, był wręcz urzeczony tą statystyką. I powiedział coś bardzo interesującego: możliwe, że jednym z powodów tego, iż aborcja pozostaje nielegalna, jest fakt, że jest tak bezpieczna.

- Musisz wziąć pod uwagę natężenie zjawiska- mówił Art. - Milion kobiet to ilość bez znaczenia. Wszystko sprowadza się do jednej nielegalnej aborcji w trzydzieści sekund, dzień w dzień, rok po roku. To sprawia, że jest to bardzo powszechny zabieg, 'a więc - na szczęście lub nieszczęście - bezpieczny.

Z cynicznym uśmiechem zaczął mi tłumaczyć koncepcję „prugu śmierci”.

Żeby społeczeństwo przejęło się problemem, co roku, z błahych powodów, musi umrzeć około 30 000 ludzi. To właśnie jest „próg śmierci”. Tylu Amerykanów ginie rocznie w wypadkach samochodowych.

-Na autostradach Stanów Zjednoczonych - wyjaśnił Art - traci życie osiemdziesiąt osób dziennie. Ale wszyscy się na to godzą, uznając, że tak po prostu musi być. Więc kto może się oburzać faktem, że codziennie wskutek nielegalnych aborcji umiera czternaście kobiet?

* Należy wziąć pod uwagę fakt, iż książka została wydana w 1968 roku, z tego też okresu pochodzą dane statystyczne (przyp. red.).

Próbował mnie przekonać, że aby zmusić lekarzy i prawników do

działania, liczba ofiar musiałaby się zbliżyć do pięćdziesięciu tysięcy rocznie. W obecnych warunkach byłoby to możliwe, gdyby wykonywano dziesięć milionów nielegalnych aborcji każdego roku.

- Jak widzisz, w pewnym sensie - ciągnął - wyrządzam społeczeństwu krzywdę. Żadna pacjentka nie umarła po mojej skrobance, więc zaniżam statystyki. Dla pacjentek to oczywiście dobrze, ale dla społeczeństwa jako całości - źle. Społeczeństwo reaguje tylko ze strachu albo z głębokiego poczucia winy. Przywykliśmy do wysokich liczb, małe przestały robić na nas wrażenie. Kto by się przejął, gdyby Hitler wymordował zaledwie dziesięć tysięcy Żydów?

Zaczął dowodzić, że wykonując bezpieczne aborcje, pomaga utrzymać status quo - osłabia społeczną presję na ustawodawców, by wreszcie zmienili przepisy. A potem powiedział coś bardzo znamiennego:

- Problem z tym krajem polega na tym, że kobiety siedzą tu cicho. Wolą się raczej poddać niebezpiecznej nielegalnej operacji niż upomnieć się o swoje prawa. Ustawodawcami są głównie mężczyźni, a to nie oni rodzą dzieci, więc mogą sobie pozwolić na moralizowanie, mogą być kapłanami.

Gdyby kobiety miały dostęp do kapłaństwa, od razu zmieniłaby się religia.

Ale zarówno polityka, jak i religia są zdominowane przez mężczyzn, zaś kobiety boją się za mocno naciskać. A szkoda, bo aborcja to ich sprawa -

chodzi o ich dzieci, ich ciała, to one podejmują największe ryzyko. Gdyby milion kobiet pisało do swoich kongresmanów po jednym liście rocznie, może coś by się wreszcie ruszyło. Tylko że kobiety tego nie robią.

Sądzę, że ta myśl najbardziej go przygnębiała. Przypomniałem sobie o tym, kiedy jechałem na spotkanie z kobietą, która - z tego, co wiedziałem -

była bardzo odważna, z panią Randall.

Na północ od Cohasset, mniej więcej pół godziny drogi od centrum Bostonu, znajduje się ekskluzywna dzielnica rezydencji, wybudowana wzdłuż kamienistego wybrzeża. Z wyglądu przypomina raczej Newport

-stare dziewiętnastowieczne domy, wypielęgnowane trawniki, okna z widokiem na ocean.

Randallowie mieszkali w olbrzymiej, trzypiętrowej, neogotyckiej budowli z mnóstwem bogato zdobionych balkonów i wieżyczek. Zielony trawnik opadał łagodnie w kierunku morza. Ogród musiał mieć z pięć akrów powierzchni. Wjechałem po wysypanym żwirem podjeździe i

zaparkowałem obok dwóch porsche - czarnego i kanarkowożółtego.

Wyglądało na

to, że cała rodzina jeździ porsche'akami. Po lewej stronie od domu stał

garaż, a w nim szary mercedes sedan. Pewnie dla służby, pomyślałem.

Wysiadłem z auta i zastanawiałem się, jak poradzić sobie z kamerdynerem, gdy frontowe drzwi się otworzyły i po schodkach zbiegła jakaś kobieta.

Wkładała w pośpiechu rękawiczki i zatrzymała się dopiero, kiedy mnie spostrzegła.

- Pani Randall?

-Tak.

Trudno powiedzieć, kogo oczekiwałem, ale z pewnością nie kogoś takiego, jak ona. Zobaczyłem

wysoką kobietę w beżowym kostiumie od Chanel.

Miała kruczoczarne lśniące włosy, długie zgrabne nogi i duże ciemne oczy.

Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat.

Gapiałem się na nią w niemym zdumieniu. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Czuję się jak ostatni bałwan, ale nie potrafiłem się

powstrzymać. Pani Randall zmarszczyła niecierpliwie brwi.

- Czego pan chce? Nie zamierzam tu stać cały dzień. Jej głos był głęboki i dźwięczny, a usta zmysłowe. Miała również odpowiedni akcent, oszczędną modulację i lekko brytyjską intonację.

-No, niechże się pan w końcu odezwie.

- Chciałbym z panią porozmawiać - odparłem. - O pani córce.

- O mojej pasierbicy - poprawiła mnie, ruszając w stronę czarnego porsche.

- Tak, o pani pasierbicy.

- Powiedziała już wszystko policji - odrzekła. - A tak się składa, że śpieszę się na spotkanie, więc niech mi pan wybaczy... - Otworzyła drzwiczki.

-Nazywam się...

- Wiem, kim pan jest - wpadła mi w słowo. - Joshua mówił mi o panu wczoraj wieczorem. Przewidział, że będzie pan chciał się ze mną spotkać.

-I?

-I powiedział, doktorze Berry, żebym dała panu do zrozumienia, że może pan iść do diabła.

Robiła, co mogła, żeby sprawiać wrażenie zdenerwowanej, ale nie dałem się nabrać. Na jej twarzy malowało się coś innego - coś, co mnie zdziwiło

- ciekawość albo strach.

Zapaliła silnik.

- Żegnam, panie doktorze. Pochyliłem się w jej stronę.

- Słucha pani zalecenia męża?

- Jak zwykle.

- Ale nie zawsze.

Już miała odjechać, gdy nagle odwróciła się, wciąż trzymając dłoń na dźwigni skrzyni biegów.

- Słucham? - zapytała.

- Chodzi mi o to, że pani mąż nie zawsze wszystko rozumie.

- Myślę, że się pan myli.

- Wie pani, że nie, pani Randall.

Wyłączyła silnik i popatrzyła na mnie uważnie.

- Daję panu trzydzieści sekund na opuszczenie posesji - zagroziła - a potem dzwonię na policję. -
Była blada, głos jej drżał.

- Zadzwoń pani na policję? To raczej mało rozsądne.

- Po co pan tutaj przyszedł? - pewnością siebie wyraźnie ją opuszczała.

- Chcę, żeby opowiedziała mi pani o tym, co wydarzyło się w niedzielę w nocy. O tym, jak zabrała pani Karen do szpitala.

- Jeżeli naprawdę chce pan wiedzieć, co się stało, to niech pan zajrzy do tamtego samochodu. -
Skinęła na żółte porsche.

Podszedłem do auta i zerknąłem do środka.

To było jak zły sen.

Tapicerka, która była kiedyś beżowa, teraz była czerwona. Właściwie wszystko było czerwone. Fotel kierowcy, fotel pasażera, tablica rozdzielcza, skrzynia biegów. Nawet na kierownicy widniały czerwone plamy. Dywanik na podłodze pokrywała zakrzepła skorupa krwi.

- Proszę otworzyć drzwiczki - powiedziała pani Randall - i dotknąć siedzenia.

Wykonałem polecenie. Obicie wciąż było mokre.

- Minęły trzy dni, a ciągle nie wyschło. Tyle krwi straciła Karen. Tak ją urządził ten rzeźnik.

Zatrzasnąłem drzwiczki.

- Czy to jej samochód?

- Nie. Karen nie miała samochodu. Joshua uważał, że najpierw powinna skończyć dwadzieścia jeden lat.

- To w takim razie czyj?

- Mój - odparła pani Randall.

Wskazałem głową czarne porsche, w którym siedziała.

-Aten?

- Jest nowy. Wczoraj go kupiliśmy.

-My?

- Ja. Joshua się zgodził.

- A ten żółty?

- Policja prosiła, żebyśmy się go nie pozbywali, bo może się przydać w procesie. Ale gdy tylko to się skończy...

- Co dokładnie wydarzyło się tamtej nocy? - zapytałem.

-Nie muszę panu nic mówić - odparła, zaciskając wargi.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnąłem się grzecznie. Wiedziałem, że ją mam; w jej oczach wciąż czaił się strach.

Odwróciła wzrok i spojrzała prosto przed siebie przez szybę samochodu.

- Byłam sama - zaczęła. - Joshuę zatrzymała w szpitalu ważna operacja.

William wrócił na uniwersytet. Było wpół do czwartej, a Karen pojechała na randkę. Usłyszałam dźwięk klaksonu. Wstałam z łóżka, włożyłam szlafrok i zeszłam na dół. Klakson nie umilkł. Zobaczyłam swój samochód, silnik pracował, paliły się światła. Wyszłam na zewnątrz... i zobaczyłam ją.

Zemdlała i opadła na kierownicę. Wszędzie była krew.

Wzięła głęboki oddech i sięgnęła do torebki. Wyciągnęła paczkę

francuskich papierosów. Podałem jej ogień.

- Proszę mówić.

-Nie ma właściwie o czym. Posadziłam ją na drugim fotelu i zawiozłam do szpitala. - Palila, nerwowym ruchem wkładając papierosa do ust i głęboko się zaciągając. - Po drodze próbowałam się dowiedzieć, co się stało.

Widziałam, skąd płynie krew, bo jej spódnica była mokra, a bluzka nie. A ona powiedziała: „To Lee mi to zrobił”. Powtórzyła to trzy razy. Nigdy tego nie zapomnę. Tego słabego piskliwego głosu...

- Była przytomna? Mogła rozmawiać?

-Tak. Zemdlała, kiedy dojechaliśmy do szpitala.

- Skąd pani wiedziała, że to aborcja, a nie poronienie?

- Powiem panu - odparła pani Randall. - Ponieważ kiedy zajrzałam do jej torebki, znalazłam książeczkę czekową. W sobotę podjęła trzysta dolarów gotówką. Stąd wiedziałam, że to aborcja.

- Dowiadywała się pani, czy czek został zrealizowany?

- Oczywiście, że został zrealizowany - oburzyła się. - Facet, który dostał

pieniądze, siedzi teraz w areszcie.

-Rozumiem.

- To dobrze. A teraz muszę już iść.

Wysiadła z wozu i pobiegła z powrotem do domu.

- Myślałem, że jedzie pani na spotkanie - zawołałem. Zatrzymała się i odwróciła głowę.

- Idź pan do diabła!

Wróciłem do samochodu, zastanawiając się nad przedstawieniem, jakie przede mną odegrała. Było bardzo przekonujące. Doszukałem się tylko dwóch błędów. Po pierwsze, nieprawdopodobna ilość krwi w żółtym porsche. Zauważyłem, że na siedzeniu pasażera było jej więcej niż na siedzeniu kierowcy.

Poza tym pani Randall nie zdawała sobie najwyraźniej sprawy, że Art brał

za aborcję dwadzieścia pięć dolarów - tylko tyle, żeby zwróciły mu się koszty. Nigdy nie życzył sobie więcej. Uważał, że w ten sposób pozostaje uczciwy.

Pod starym neonem STUDIO CURZINA wisiał szyld z żółtym napisem: FOTOGRAFIE NA WSZYSTKIE OKAZJE. ZDJĘCIA DO

PASZPORTÓW i REKLAM, DLA

PRZYJACIÓŁ I RODZINY. ODBITKI W GODZINĘ.

Atelier mieściło się w narożnym budynku na północnym końcu ulicy Washington, z dala od krzykliwych świateł kin i supermarketów.

Wszedłem do środka i ujrzałem parę drobnych staruszków stojących za kontuarem.

- Tak? - zapytał mężczyzna uprzejmym, wręcz unizonym tonem.

- Mam szczególnie problem... - zacząłem.

- Paszport? Żaden problem. Za godzinę może mieć pan gotowe odbitki.

Nawet wcześniej, jeśli się panu śpieszy. Robiliśmy to tysiące razy.

- Tak - potwierdziła kobieta, kiwając energicznie głową. - Tysiące razy.

- Chodzi mi o coś innego. Widzicie państwo, urządzam córce przyjęcie na szesnaste urodziny i...

- Nie pracujemy w terenie - oznajmił mężczyzna. - Przykro nam.

- Naprawdę nie - dodała staruszka.

- Absolutnie wykluczone - podkreślił staruszek.

- Kiedyś obsługiwalismy imprezy - wyjaśniła kobieta. - Ale byliśmy młodszy. Tyle z tym zawsze roboty. Wziąłem głęboki oddech.

- Potrzebuję informacji - powiedziałem. - Córka szaleje za zespołem rockowym, który robił sobie u państwa zdjęcia. To ma być niespodzianka, więc pomyślałem...

- Pana córka ma szesnaście lat? - zapytał podejrzliwie fotograf.

- Tak. W przyszłym tygodniu ma urodziny.

-I my fotografowaliśmy ten zespół?

- Tak. - Podałem mu zdjęcie. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- To nie jest zespół, tylko jeden muzyk - powiedział w końcu.

- Wiem, ale należy do zespołu.

-Ale jest sam.

- Fotografię zrobiono w tym zakładzie, więc pomyślałem, że może...

Staruszek odwrócił odbitkę.

- To my zrobiliśmy to zdjęcie - oświadczył. - Proszę zobaczyć, na odwrocie jest nasza pieczęć. „Studio fotograficzne Curzina”. To my.

Istniejemy od 1931 roku, mój ojciec założył ten zakład, Panie świeć nad jego duszą.

- Tak - potwierdziła kobieta.

- Mówi pan, że to zespół? - zapytał staruszek, wymachując fotografią przed moim nosem.

- Członek zespołu.
- Całkiem możliwe - mruknął, podając zdjęcie kobiecie. - Mieliśmy tu takich?
- Możliwe - stwierdziła. - Zawsze mi się mieszają.
- Myślę, że to fotografia reklamowa - zasugerowałem.
- Jak się nazywa ten zespół?
- Nie wiem. Właśnie dlatego przyszedłem. Na zdjęciu jest wasza pieczętka.

- ..
- Widziałem, nie jestem ślepy - zaskrzeczał. Pochylił się i zajrzał pod ladę.
 - Muszę sprawdzić w dokumentacji. Wszystko archiwizujemy.

Zaczął wyciągać sterty fotografii. Zaskoczył mnie - rzeczywiście robili zdjęcia wielu zespołom.

- Zona nie potrafi ich spamiętać - mruczał, przeglądając błyskawicznie odbitki. - Ale ja pamiętam, wystarczy, że spojrzę na zdjęcie. Rozumie pan?

To Jimmy i Chłopaki. Wyjce. Trumny. Klika. Skunksy. Zabawne, jak nazwy tkwią człowiekowi w pamięci. Wszy. Kosy. Wacek i Wacki.

Jaguary.

Próbowałem przyjrzeć się twarzom na zdjęciach, ale za szybko je przerzucał.

- Zaraz - powiedział, pokazując palcem jedną z fotografii. - To chyba oni.

Zmarszczył brwi.

- Zefiry. - Nie krył niesmaku. - Tak, to Zefiry.

Spojrzałem na pięciu młodych Murzynów. Wszyscy mieli na sobie takie same lśniące garnitury i uśmiechali się z przymusem, jakby uważali pozowanie za stratę czasu.

- Pamięta pan, jak się nazywają?

Odwrócił zdjęcie i przeczytał nagryzmołone imiona:

- Zeke, Zach, Roman, George i Happy.
- Świetnie-powiedziałem. Wyciągnąłem notes i zapisałem wszystkie dane.
- Wie pan, gdzie mogę ich znaleźć?

- Na pewno chce ich pan wynająć na przyjęcie dla córki?

- Czemu nie?

Staruszek wzruszył ramionami.

- Są dosyć ostrzy.

- Myślę, że na jeden wieczór będą w porządku.

-No, nie wiem - odparł pełnym wątpliwości tonem. - Są dosyć ostrzy.

- Wie pan, gdzie ich mogę znaleźć?

- Jasne. Grają co wieczór w Elektrycznym Winogronie. Wszystkie smoluchy tam łążą.

- Dziękuję - powiedziałem i ruszyłem do wyjścia.

- Niech pan na siebie uważa - poradziła staruszka.

-Dziękuję.

- Udanego przyjęcia - zawołał staruszek. Pokiwałem głową i zamknąłem za sobą drzwi.

Alan Zenner okazał się niemal olbrzymem. Był z niego naprawdę kawał chłopca, chociaż ustępował nieco wymiarami profesjonalnym obrońcom.

Na oko miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu i grubo ponad sto kilo wagi.

Złapałem go, kiedy wychodził z Dillon Field House po zakończeniu treningu. Było późne popołudnie; słońce świeciło nisko nad horyzontem, rzucając złoty blask na stadion Soldiers' Field, Hockey Rink i halę tenisową. Na jednym z boisk wciąż trenowała drużyna

pierwszoroczników, wzbijając w powietrze tumany brązowego kurzu.

Zenner właśnie wyszedł spod natrysku. Jego krótkie ciemne włosy wciąż były wilgotne i wycierał je dłonią, jakby pamiętając przestrożę trenera, żeby nie wychodzić na dwór z mokrą głową.

Oświadczył, że śpieszy się na obiad, a potem musi się uczyć, więc rozmawialiśmy, idąc w kierunku mostu Larsa Andersena i kampusu Har-varda. Zacząłem od towarzyskiej pogawędki. Zenner był na ostatnim roku i pisał licencjat z historii, chociaż temat wcale mu się nie podobał. Chciał

się dostać na prawo, ale trochę się bał, bo na prawie nikt nie odpuszcza sportowcom. Liczą się tylko oceny. Może więc zdecyduje się ostatecznie na Yale. Tam jest podobno łatwiej.

Przeszliśmy przez Winthrop House, kierując się w stronę Yarsity Club.

Alan powiedział, że w sezonie futbolowym jada dwa posiłki dziennie: obiad i kolację. Żarcie jest w porządku, w każdym razie lepsze od zwykłego gówna.

Wreszcie zagadnąłem o Karen.

- Co, pan też?

-Nie rozumiem.

- Jest pan dzisiaj już drugi. Wcześniej był tu Mydłek.

-Mydłek?

- Jej stary. Tak go nazywała.

- Dlaczego?

-Nie wiem. Po prostu taką dała mu ksywkę i tyle.

- Rozmawiałeś z nim?

- Przyszedł się ze mną zobaczyć - odrzekł ostrożnie Zenner.

-I?

Wzruszył ramionami.

- Powiedziałem, żeby zostawił mnie w spokoju.

- Dlaczego?

Doszliśmy do Massachusetts Avenue. Na ulicy panował duży ruch.

- Ponieważ - odparł - nie chcę się w to mieszać.

- Już jesteś wmieszany.

- Bzdura. - Ruszył na drugą stronę jezdni, manewrując zręcznie między samochodami.

- Wiesz, co się z nią stało? - zapytałem.

-Niech pan posłucha - odrzekł. - Wiem więcej od kogokolwiek. Więcej od jej rodziców.

- Ale nie chcesz się w to mieszać.

- Otóż to.

- To bardzo poważna sprawa. Może dojść do procesu sądowego. Musisz mi opowiedzieć wszystko, co wiesz.

-Niech pan posłucha. To była fajna dziewczyna, ale miała problemy. Oboje mieliśmy problemy. Na początku było w porządku, ale potem zrobiło się nieciekawie i zerwaliśmy. To wszystko. A teraz niech mnie pan zostawi.

- Podczas procesu obrona wezwie cię na świadka. Będziesz musiał zeznawać pod przysięgą.

-Nie interesuje mnie żaden proces.

- Nie będziesz miał wyboru - wyjaśniłem. - Chyba że sprawa w ogóle nie trafi do sądu.

- To znaczy?

-To znaczy, że byłoby dobrze, gdybyśmy jednak porozmawiali.

Przy Massachusetts Avenue znajdowała się mała brudna tawerna z rozregulowanym telewizorem nad barem. Zamówiliśmy po piwie i, czekając aż nam je podadzą, obejrzeliśmy prognozę pogody. Meteorolog, zażywny grubasek z szerokim uśmiechem, oznajmił, że jutro i pojutrze czekają nas obfite opady deszczu.

- Dlaczego pan się tym w ogóle interesuje? - zapytał Zenner.

-Myślę, że Lee jest niewinny.

- To jest pan jedyny - zauważył ze śmiechem. Dostaliśmy piwo.

Zapłaciłem, a Zenner zaczął pić.

- Dobra - powiedział, oblizując pianę z ust. - To było tak. Poznałem ją na imprezie w kwietniu albo w maju. Od razu świetnie się dogadywaliśmy.

Było po prostu w dechę. Nic o niej nie wiedziałem, traktowałem ją po prostu jak ładną laskę. Wiedziałem, że jest młoda, ale nie, że aż tak.

Wygadała się dopiero następnego ranka. Kurczę, szesnaście lat... Ale podobała mi się. Nie była tania.

Wychylił pół kufła jednym haustem.

- Więc zaczęliśmy się spotykać i stopniowo dowiadywałem się o niej coraz więcej. Miała taką manierę, że zamiast normalnie o sobie opowiedzieć, rzucała tylko zdawkowe uwagi. Było w tym coś

fascynującego, jak w starych serialach: ciąg dalszy w następną sobotę. Całkiem nieźle jej to wychodziło.

-Kiedy przestaliście się spotykać?

-Na początku czerwca. Kończyła liceum i powiedziałem, że przyjdę na uroczystość rozdania dyplomów. Nie zgodziła się. Zapytałem dlaczego, i wtedy wyszła sprawa jej rodziców i tego, że do nich nie pasuję. Widzi pan, wcześniej nazywałem się Zemnick i pochodzę z Brooklynu. No więc przestaliśmy się spotykać. Nieźle się wtedy wkurzyłem, ale teraz mi to zwisa.

-I nigdy później jej nie widziałeś?

- Tylko raz. Jakoś pod koniec lipca. Dorabiałem wtedy na budowie na Cape. Fucha była łatwa i dobrze płatna, więc sporo moich kumpli też się zgłosiło. I wtedy usłyszałem o niej rzeczy, o których nie wiedziałem, kiedy chodziliśmy ze sobą. Okazało się, że kolekcjonuje facetów, ma problemy z rodzicami i nienawidzi swojego starego. To, co nie miało wcześniej sensu, zaczęło się układać w całość. Krążyła również plotka, że miała skrobankę i rozpowiadała, że to moje dziecko.

Dopił piwo i skinął na barmana. Też zamówiłem drugą kolejkę.

- Pewnego dnia wpadłem na nią przy Scusset. Tankowała wóz na stacji, a ja właśnie podjechałem. Więc pytam ją, czy to prawda z tą skrobanką. Ona na to, że tak. To ja zadaję następne pytanie: czy dzieciak był mój? A Karen bardzo spokojnym, obojętnym tonem oświadcza, że tak naprawdę nie wie, kto był ojcem. To mówię jej: „Spadaj na drzewo” i odchodzę. Tymczasem ona biegnie za mną i bardzo mnie przeprosza, i prosi,

żebyśmy znowu mogli być przyjaciółmi. Ja jej na to, że nic z tego. To ona w płacz. Kurczę blade, becząca dziewczyna na stacji benzynowej to mało przyjemny widok. Więc umówiłem się z nią na wieczór.

- Naprawdę?

- Tak. Było okropnie. Ciągle tylko „Alan, zrób to”, „Alan, zrób tamto,

„Szybciej, Alan, teraz wolniej”, „Alan, tak strasznie się pocisz”. W ogóle się nie zamykała.

- Czy w czasie wakacji mieszkała na Cape?

- Mówiła, że tak. Pracowała w galerii sztuki czy gdzieś. Ale słyszałem, że głównie siedziała na Beacon Hill. Miała tam jakichś zwariowanych znajomych.

- Jakich znajomych?

-Nie mam pojęcia. Po prostu znajomych.

-Poznałeś ich?

- Tylko jedną dziewczynę. Na imprezie na Cape ktoś przedstawił mnie dziewczynie o imieniu Angela, która była podobno przyjaciółką Karen.

Angela Harley albo Hardy, coś w tym stylu. Cholernie ładna laska, ale strasznie odjechana.

- Jak to?

-No, dziwna. Kiedy ją poznałem, była na haju. Wciąż rzucała jakieś durne teksty typu: „Nos Boga ma moc tworzenia zapachów”. W ogóle nie dało się z nią gadać, po prostu kompletny odpał. Szkoda, naprawdę niezła laska.

- Spotkałeś kiedyś jej rodziców?

- Tak - odparł, - Raz. Niezła parka. Stary sztywniak i młoda laseczka. Nic dziwnego, że ich nienawidziła.

- Skąd wiesz, że ich nienawidziła?

- A jak pan myśli, o czym rozmawialiśmy? Ojej starych. Nie cierpiała Mydłka. Macosze też nadawała przezwiska, i to jakie - nie uwierzyłby pan, gdybym panu powiedział. Najzabawniejsze, że Karen była bardzo

związana z matką. A ta zmarła, kiedy Karen miała czternaście, piętnaście lat. Myślę, że wtedy to wszystko się zaczęło.

-Co?

- Jej bunt. Narkotyki i faceci. Chciała być odlotowa, chciała szokować.

Jakby musiała coś komuś udowodnić. Brała mnóstwo prochów, zresztą głównie w towarzystwie, żeby wszyscy widzieli. Niektórzy mówią, że była uzależniona od amfy, ale nie wiem, czy to prawda. Wielu ludziom na Cape nieźle dopiekła, więc krążą o niej rozmaite wredne historie. Mówiło się, że Karen Randall może się wszystkim najebać i każdemu dać wyjechać.

-Skrzywił się lekko.

- Lubieś ją- zauważyłem.

- Tak - przyznał. - Tak długo, jak mogłem.

- Czy wtedy na Cape spotkaliście się po raz ostatni?

-Tak.

Przyniesiono piwo. Zenner gapił się w kufel, obracając go w dłoni.

-Nie - powiedział po kilku sekundach. - To nieprawda.

- Widziałeś ją jeszcze później? Zawahał się.

-Tak.

-Kiedy?

- W niedzielę - odparł. - W ostatnią niedzielę.

- Dochodziła pora obiadu - ciągnął Zenner. - Miałem gigantycznego kaca po całonocnej imprezie. Bałem się, że się nie wykuruję do

poniedziałkowego treningu, zwłaszcza że w sobotę spieprzyłem kilka zagrywek. Chodziło o ten sam manewr, cały czas się spóźniałem. Więc byłem w nerwach.

W każdym razie siedziałem u siebie w pokoju i starałem się ubrać.

Zawiazywałem krawat. Węzeł wyszedł mi dopiero za trzecim razem.

Byłem potwornie sponiewierany i strasznie bolał mnie łeb. A tu nagle wkracza Karen. Bez pukania, jakbym ją zaprosił.

- A zaprosiłeś?

- Jasne, że nie. W ogóle nie chciałem mieć z nią do czynienia. Ledwie udało mi się pozbierać, a ona znowu się zjawia i wygląda lepiej niż kiedykolwiek. Trochę gruba, ale wciąż sexy. Wszyscy kumple z pokoju poszli już na lunch, więc byliśmy sami. Zapytała, czy zabiorę ją na obiad.

-I co ty na to?

- Powiedziałem, że może to sobie wybić z głowy.

- Dlaczego?

- Bo nie chciałem jej znać. Była jak zaraza. Nie miałem zamiaru wpadać drugi raz w te same sidła. Więc poprosiłem, żeby sobie poszła. Ale nic z tego. Usiadła, zapaliła papierosa i oznajmiła, że wie, że między nami wszystko skończone, ale musi z kimś pogadać. Słyszałem ten tekst już wcześniej i nie miałem zamiaru dać się nabrać. Tylko, że Karen nie chciała wyjść, wciąż siedziała na kanapie i paliła szluga. Oświadczyła, że jestem jedyną osobą, z którą może porozmawiać. Więc w końcu dałem za

wygraną. Usiadłem i powiedziałem: „Dobra, mów”. Wiedziałem, że głupio robię i że potem pożałuję tego, tak samo jak ostatnio. Niektórych ludzi trzeba po prostu omijać szerokim łukiem.

- O czym chciała porozmawiać?

- O sobie. Jak zawsze. O sobie, o rodzicach, bracie...

- Była związana z bratem?

- Dostyc. Ale uważała, że jest zbyt prostoliniowy. Wdał się w Mydłka, poszedł na medycynę i tylko ona zaczęła się dla niego liczyć, więc Karen wołała mu nie mówić o wielu sprawach. Na przykład o narkotykach i facetach. Po prostu rozmawiała z nim o czym innym.

-Mów dalej.

- Więc usiadłem i zamieniłem się w słuch. Na początku gadała o szkole, potem o jakimś mistycznym stanie ducha, który osiąga, medytując po półtorej godziny dwa razy dziennie. Miało to oczyścić umysł, zanurzyć ją w atramencie czy jakoś tak. Właśnie zaczęła to praktykować i uważała, że jest super.

- Jak się zachowywała podczas rozmowy?

- Nerwowo - odparł Zenner. - Wypaliła całą paczkę papierosów i bez przerwy bawiła się sygnetem Concorda, który miała na palcu. Zdejmowała go, wkładała, obracała. I tak przez cały czas.

- Powiedziała, dlaczego przyjechała na weekend ze Smitha?

- Zapytałem ją o to - odparł Zenner - i przyznała mi się.

- Do czego?

- Że wybiera się na skrobankę. Zapaliłem papierosa.

-I jak na to zareagowałeś? Pokręcił głową.

-Nie uwierzyłem. - Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Zenner spuścił

wzrok i sięgnął po kufel. - W ogóle jej wtedy nie wierzyłem. Na tym polegał problem. Wyłączyłem się, nie zwracałem na nią uwagi. Nie mogłem sobie na to pozwolić, bo wciąż... na mnie działała.

- Zdawała sobie z tego sprawę?

- Zawsze zdawała sobie ze wszystkiego sprawę - odrzekł. - Nic jej nie umykało. Była jak kocica: kierowała się instynktem i nigdy się nie myliła.

Mogła wejść do pokoju, rozejrzeć się i natychmiast wszystko o wszystkich wiedziała. Doskonale wyczuwała emocje.

- Poruszyłeś temat tej aborcji?

-Nie, ponieważ jej nie uwierzyłem. Po prostu olałem sprawę. Tyle że sama wróciła do tego po jakiejś godzinie. Powiedziała, że się boi, że chce ze mną być. Wciąż powtarzała, że się boi.

- A w to uwierzyłeś?

-Nie wiedziałem już, w co wierzyć. Ale nie, nie uwierzyłem. - Wlał w siebie resztę piwa i odstawił pusty kufel. - Ale niby co miałem zrobić?

Ta dziewczyna była naprawdę szalona. Wszyscy to wiedzieli. Nie

dogadywała się ze starymi, z nikim się właściwie nie dogadywała. Miała nierówno pod sufitem.

- Jak długo rozmawialiście?

- Jakies półtorej godziny. Potem powiedziałem, że muszę iść na obiad, a później do biblioteki, więc niech już sobie idzie. No i poszła.

- Wiesz dokąd?

-Nie. Zapytałem, ale tylko się roześmiała. Stwierdziła, że nigdy nie wie, dokąd idzie.

Kiedy pożegnałem się z Zennerem, było już późno, ale i tak zadzwoniłem do gabinetu Petera Randalla. Nie zastałem go, ale powiedziałem, że chodzi o bardzo ważną sprawę, i pielęgniarka poradziła mi, żebym spróbował w jego laboratorium. Pracował tam we wtorki i czwartki wieczorem.

Nie zatelefonowałem, tylko od razu pojechałem na miejsce.

Peter był jedynym członkiem rodziny Randallów, którego wcześniej poznałem. Wpadłem na niego raz czy dwa na środowiskowych imprezach.

Trudno było go nie zauważyć - po pierwsze ze względu na wygląd, a po drugie dlatego, że uwielbiał się bawić i chodził na każdą imprezę, o jakiej usłyszał.

Był wielkim jowialnym grubasem o tubalnym śmiechu i rumianej okrągłej twarzy. Odpalał papieros od papierosa, pochłaniał niesamowite ilości alkoholu, bez przerwy żartował i był duszą towarzystwa. Potrafił rozkręcić albo ponownie ożywić każdą imprezę. Berty Gayle, żona ordynatora z Lincolna, zapytała mnie kiedyś: „Czyż Peter nie jest wspaniałym zwierzęciem towarzyskim?” Berty ciągle wygaduje takie rzeczy, ale tym razem miała rację. Peter Randall był zwierzęciem towarzyskim

-
ekstrawertycznym, rozluźnionym, radosnym i zabawnym. Dzięki

charakterystycznemu żartobliwemu sposobowi bycia na wiele mu

pozwalano.

Peter mógł na przykład opowiedzieć najbardziej obrzydliwy i świński dowcip, a wszyscy i tak się śmiali, z kobietami włącznie. W głębi duszy człowiek zdawał sobie sprawę, że żart przekracza granice dobrego smaku, ale mimo to śmiał się wraz z innymi. Peter mógł również flirtować z twoją żoną, wylać na ciebie drinka, obrazić gospodynię lub narzekać, że na przyjęciu jest nudno i nikomu to nie przeszkadzało, nikt się do niego nie zrażał.

Ciekawiło mnie, co będzie miał do powiedzenia na temat Karen.

Jego laboratorium mieściło się na dziewiątym piętrze biochemicznego skrzydła szkoły medycznej. Ruszyłem w głąb korytarza, wdychając specyficzną laboratoryjną woń - mieszaninę acetonu, palników Bunsena, mydła i odczynników. Zapach sterylnej czystości. Za biurkiem siedziała dziewczyna ubrana w biały fartuch i pisała na maszynie. Była niezwykle atrakcyjna, ale zdaje się, że mogłem się tego spodziewać.

- Tak? W czym mogę pomóc? - Miała lekki obcy akcent.

- Szukam doktora Randalla.

- Czy pan doktor pana oczekuje?

- Nie jestem pewien. Dzwoniłem wcześniej, ale możliwe, że nie

przekazano mu mojej wiadomości.

Otaksowała mnie spojrzeniem i uznała, że jestem klinicystą. W jej oczach pojawiło się lekkie lekceważenie, jakim wszyscy naukowcy obdarzają klinicystów. Bo widzicie, klinicyści nie wykorzystują swoich umysłów.

Obchodzą ich takie brudne nienaukowe sprawy, jak zdrowie pacjentów.

Naukowiec zamieszkuje natomiast uporządkowany świat czystego i

schludnego intelektu.

- Proszę za mną - powiedziała. Wstała zza biurka i ruszyła w głąb korytarza. Nosila chodaki - to tłumaczyło akcent. Idąc za nią,

obserwowałem jej poruszające się pośladki. Żałowałem, że ma na sobie laboratoryjny fartuch.

- Doktor Randall zaczyna nową inkubację - rzuciła przez ramię. - Będzie bardzo zajęty.

- Poczekam.

Weszliśmy do laboratorium. Okna skąpo umeblowanego pomieszczenia wychodziły na parking, który o tej porze był już prawie pusty.

Randall pochylał się nad białym szczurem. Kiedy dziewczyna otworzyła drzwi, powiedział:

- Ach, Brigit. W samą porę. - Zauważył mnie. - No, no, kogo my tu mamy?

- Nazywam się Berry...

- Oczywiście, oczywiście. Dobrze pana pamiętam. - Puścił szczura i uścisnął mi rękę. Zwierzątko

pobiegło po stole, ale zatrzymało się nad krawędzią blatu, patrząc w dół i węsząc.

- John, zgadza się? - upewnił się Randall. - Tak, spotkaliśmy się kilka razy.

- Chwytał szczura i zachichotał. - Zresztą brat właśnie do mnie dzwonił, przestrzegając mnie przed panem. Nieźle zagrał mu pan na nerwach.

Nazwał pana wścibskim upierdliwcem, jeśli się nie mylę.

Wydawał się tym bardzo rozbawiony. Roześmiał się znowu i dodał:

- Tak to jest, jak się nachodzi jego najdroższą. Wygląda na to, że nieźle ją pan zdenerwował.

- Przykro mi.

- Niech się pan nie przejmuj - powiedział radośnie Peter, po czym zwrócił

się do Brigit: - Idź po resztę, dobrze? Musimy zaczynać.

Brigit zmarszczyła nos, a Randall puścił do niej oko. Kiedy wyszła, zauważył:

- Uwielbiam ją. Utrzymuje mnie w formie.

- W formie?

- Otóż to - odparł, klepiąc się po wydatnym brzuchu. - Jednym z wielkich niebezpieczeństw naszego łatwego nowoczesnego życia są słabe mięśnie oczu. To wina telewizji; siedzimy na czterech literach i nie ćwiczymy wzroku. W rezultacie dochodzi do prawdziwej tragedii - zaniku mięśni oczu. Ale Brigit temu zapobiega. Lek profilaktyczny najwyższej jakości.

- Westchnął z ukontentowaniem. - Ale co mogę dla pana zrobić? Trudno mi sobie wyobrazić, w czym mógłbym okazać się pomocny. Brigit i owszem, aleja?

- Był pan lekarzem Karen - powiedziałem.

- W rzeczy samej, w rzeczy samej.

Wziął szczura i włożył go do małej klatki. Następnie rozejrzał się po rzędzie większych klatek w poszukiwaniu następnego.

- Te cholerne dziewczuchy. Ciągle powtarzam im, że farba jest tania, ale nigdy nie nakładają jej w dostatecznej ilości. O! - Włożył rękę do klatki i wyciągnął drugiego szczura. - Bierzemy wszystkie z zabarwionymi ogonami - wyjaśnił. Odwrócił zwierzę, żeby móc zobaczyć fioletową plamkę. - Wczoraj rano wstrzyknęliśmy im paratyrynę. Przykro mi to mówić - dodał - ale teraz spotkają swego Stwórcę. Zna się pan na zabijaniu szczurów?

- Trochę.

-Nie wyręczyłby mnie pan? Nie lubię pozbawiać ich życia.

-Nie, dziękuję. Westchnął.

- Tak myślałem. Ale wracając do Karen. Tak, rzeczywiście byłem jej lekarzem. Co pana interesuje?

Sprawiał wrażenie przyjaznego i otwartego.

- Czy w lecie leczył ją pan z powodu wypadku?

- Z powodu wypadku? Nie.

Weszły laborantki. Razem z Brigit było ich trzy. Wszystkie bardzo atrakcyjne i dziwnym zbiegiem okoliczności jedna okazała się blondynką, druga brunetką, a trzecia była ruda. Ustawiły się w rzędzie przed Peterem, który uśmiechnął się do każdej dobrotliwie, jakby za chwilę miał zamiar obdarować je prezentami.

-Dzisiaj mamy sześć-oznajmił-a potem możemy iść do domu. Czy sprzęt sekcyjny jest gotowy?

- Tak - odparła Brigit. Wskazała długi stół z trzema krzesłami. Przed każdym z nich leżała korkowa podkładka, szpilki, para szczypiec, skalpel oraz miska z lodem.

- A kąpiel pobudzająca? Przygotowana?

- Tak - odrzekła inna dziewczyna.

- Dobrze - oświadczył Peter. - W takim razie zaczynamy. Laborantki zajęły miejsca przy stole. Randall popatrzył na mnie i powiedział:

- Zdaje się, że sam będę to musiał zrobić. Naprawdę tego nienawidzę.

Pewnego dnia tak się przejmę biednymi zwierzakami, że razem z ich łebkami odrąbię sobie palce.

- Czego pan używa?

- O, to długa historia. - Uśmiechnął się szeroko. - Ma pan przed sobą specjalistę od ukatrupiania szczurów. Próbowałem wszystkiego:

chloroformu, łamania karków, duszenia. Nawet gilotynki, za którą tak bardzo przepadają Anglicy. Mam znajomego w Londynie, który mi jedną przysłał. Przysięgał, że jest świetna, ale ciągle zatykała się futrem. Więc

-powiedział, podnosząc szczura i przyglądając mu się w zamyśleniu -

postawiłem na prostotę. Używam tasaka.

- Żartuje pan.

- Och, wiem, jak paskudnie to brzmi. Okropnie też wygląda, ale to najlepszy sposób. Widzi pan, śmierć musi nastąpić szybko. Eksperyment tego wymaga.

Zaniósł szczura do zlewu, na którym stała duża deska do krojenia. Położył

na niej zwierzątko, a w zlewie rozłożył foliową torebkę. Następnie podszedł do szafki i wyciągnął z szuflady tasak - ciężkie narzędzie z rączką z litego drewna.

- W sklepach ze sprzętem naukowym można kupić tasaki, ale są za małe i szybko się tępią. Ten kupiłem z drugiej ręki. Od rzeźnika. Jest doskonały.

Ostrzył go przez chwilę osełką, po czym przeciął nim na próbę kartkę papieru.

Właśnie w tym momencie zadzwonił telefon i Brigit poderwała się, żeby odebrać. Pozostałe dziewczyny rozluźniły się, wyraźnie zadowolone z opóźnienia. Peter również wyglądał, jakby mu ulżyło.

Brigit ze słuchawką przy uchu oznajmiła:

- To wypożyczalnia samochodów. Dostarczą wóz.

- Dobrze - odparł Peter. - Powiedz im, żeby zostawili go na parkingu, a kluczyki dali woźnemu.

Kiedy Brigit przekazywała instrukcje, Randall zwrócił się do mnie:

- Cholerny pech, wczoraj ukradli mi samochód.

-Ukradli?

- Tak. Bardzo nieprzyjemne doświadczenie.

- Jaki to był wóz?

-Mały mercedes sedan. Wysłuzony gruchot, ale lubiłem go. Jeśli o mnie chodzi - uśmiechnął się szeroko - oskarżyłbym złodziei o porwanie.

Naprawdę się do niego przywiązałem.

- Zgłosił pan kradzież policji?

- Tak. - Wzruszył ramionami. - Chociaż wątpię, czy go znajdą. Brigit odłożyła słuchawkę i wróciła na swoje miejsce. Peter westchnął, podniósł

tasak i powiedział:

- Cóż, trzeba się z tym uporać.

Przytrzymał szczura za ogon. Zwierzę próbowało się wymknąć, wbijając pazurki w deskę. Peter

szybkim ruchem uniósł tasak, a potem opuścił.

Rozległo się głośnie „prast!”, gdy ostrze uderzyło o drewno. Dziewczyny odwróciły wzrok. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, jak Peter przytrzymuje drgające bezgłowe ciało nad zlewem. Odsączywszy krew, podszedł do Brigit i położył martwego szczura na korkowej podkładce.

- Numer jeden - obwieścił. Wrócił do zlewu, wrzucił łypek do foliowej torebki i wyciągnął drugie zwierzątko.

Obserwowałem pracę Brigit. Zręcznymi wyćwiczonymi ruchami

przewróciła ciało na grzbiet i przypięła do korkowej podkładki. Następnie rozcięła łapki, oczyściła kości ze skóry i mięśni, a na koniec wrzuciła je do miski z lodem.

- Mały triumf- oznajmił Peter, przytrzymując drugiego szczura na desce. -

Udało nam się opracować pierwszą kulturę kości in vitro. Potrafimy utrzymać tkankę przy życiu przez trzy dni. Problem polega na tym, żeby wyciągnąć kości ze zwierzęcia i włożyć do lodu przed obumarciem komórek. Teraz mamy to już opanowane.

- Czym właściwie pan się zajmuje?

- Metabolizmem wapnia, a zwłaszcza paratyryną i tyreokalcytoniną. Chcę się dowiedzieć, jak te hormony wpływają na uwalnianie się wapnia z kości.

Paratyryna była mało poznaną substancją wydzielaną przez cztery nieduże gruczoły - przytarczyce. Wiedzano o niej tylko tyle, że prawdopodobnie regulowała poziom wapnia we krwi oraz że ten poziom musi być

ściśle określony - znacznie dokładniej niż na przykład poziom cukru lub wolnych kwasów tłuszczowych. Wapń we krwi jest konieczny do

prawidłowego przesyłania sygnałów nerwowych i normalnej pracy mięśni.

Jedna z teorii na ten temat głosi, że wapń jest składowany w kościach, skąd uwalnia się do krwi, kiedy zachodzi taka potrzeba. Jeśli masz we krwi za dużo wapnia, organizm składowuje go w tkance kostnej. Jeśli masz go za mało, czerpie go właśnie z kości. Nikt jednak nie wie dokładnie, na czym polega ten proces.

- Upływ czasu jest tutaj kluczowy - ciągnął Peter. - Przeprowadziłem raz bardzo interesujący eksperyment. Założyłem psu bypass tętniczy. Dzięki temu byłem w stanie usunąć chemicznie wapń z jego krwi, a potem znowu ją wtoczyć. Ciągnąłem to przez kilka godzin, zbierając mnóstwo wapnia.

Jednak jego poziom we krwi pozostawał taki sam. Organizm czerpał go z kości w nieprawdopodobnie szybkim tempie.

Tasak znowu błysnął w powietrzu. Szczur zadrgał, a potem znieruchomiał.

Peter przekazał go następnej dziewczynie.

- Zainteresowałem się tym problemem - kontynuował. - Łatwo stwierdzić, że organizm składa się z wapnia w kościach, a w razie czego uwalnia go do krwi. Tylko że kość jest twarda, ma trwałą i ściśle określoną krystaliczną strukturę. Wygląda na to, że możemy ją rozkładać i odbudowywać w ułamku sekundy. Chcę się dowiedzieć, jak to jest możliwe.

Sięgnął do klatki i chwycił następnego szczura z fioletowym ogonem.

- Więc postanowiłem założyć kulturę in vitro tkanki kostnej, żeby ją lepiej zbadać. Wszyscy mówili, że nigdy mi się to nie uda, bo kość ma zbyt wolny metabolizm. Ale udało się. Po poświęceniu kilkuset szczurów.

- Westchnął. - Jeżeli szczury zapanują kiedyś nad światem, skażą mnie za te zbrodnie przed swoim trybunałem.

Ułożył zwierzę na desce.

- Wie pan, próbowałem znaleźć dziewczynę, która wykonywałaby tę robotę zamiast mnie. Szukałem jakiejś twardej Niemki albo sadystki. Niestety, na próżno. Wszystkie moje panie - pokiwał głową w stronę trzech asystentek

- zgodziły się na współpracę, dopiero kiedy obiecałem, że nigdy nie będą musiały zabić żadnego zwierzątka.

- Od jak dawna prowadzi pan te badania?

- Od siedmiu lat. Zaczynałem bardzo powoli, pół dnia w tygodniu.

Wkrótce zajmowało mi to już cały wtorek. Później doszedł do tego czwartek, a teraz pracuję także w weekendy. Ograniczyłem praktykę lekarską tak bardzo, jak mogłem. Naprawdę mnie to wciągnęło.

- Podoba się to panu?

- Jeszcze jak. To gra, wielka wspaniała gra. Układanka, której nikt nie potrafi ułożyć, pytanie, na które nikt nie zna odpowiedzi. Trzeba tylko uważać, żeby nie dostać na tym punkcie obsesji. Niektórzy biochemicy pracują więcej niż praktykujący lekarze. Wykańczają się. Ale nie pozwolę, żeby ze mną stało się coś podobnego.

- Skąd pan wie?

- Ponieważ kiedy wyczuwam nasilenie objawów, chcę, by pracować

dwadzieścia cztery godziny na dobę, zostać w laboratorium do północy albo przyjechać o piątej rano, mówię sobie: to tylko gra, tylko gra.

Powtarzam to w myślach tak długo, aż się uspokoję.

Zabił tasakiem trzeciego szczura.

- A, jesteśmy już w połowie drogi - obwieścił Peter. - Ale dość o mnie. -

Podrapał się po brzuchu. - A co z panem?

- Interesuje mnie Karen.

- Hm. Pytał pan o wypadek? Nie miała żadnego wypadku. W każdym razie niczego takiego nie pamiętam.

- Dlaczego zrobiono jej rentgen czaszki?

- A, o to chodzi. - Poglaskał czwartą ofiarę i ułożył na desce. - To było typowe dla Karen.

-Nie rozumiem.

- Przyszła do mojego gabinetu i oświadczyła, że ślepnie. Strasznie się tym przejęła na swój dziewczęcy sposób. Wie pan, jak to jest z

szesnastolatkami, traciła wzrok i cierpiała na tym jej gra w tenisa. Chciała, żebym koniecznie coś zrobił. Więc pobrałem jej krew i zleciłem kilka badań. Pobranie krwi zawsze robi na nich wrażenie. Poza tym zmierzyłem ciśnienie, wysłuchałem jej i generalnie wykazałem jak największe zainteresowanie.

-I zlecił pan rentgen czaszki.

- Tak, to była część leczenia.

-Nie rozumiem.

- Problemy Karen miały podłoże czysto psychiczne - wyjaśnił. - Była jak dziewięćdziesiąt procent kobiet, które do mnie przychodzą. Coś im nie wychodzi, na przykład przegrywają mecz tenisowy, i mamy problem medyczny. Trzeba się skonsultować z lekarzem! Ten oczywiście niczego nie znajduje. Ale czy to takiej kobiecie wystarcza? A skąd! Idzie do następnego lekarza, a potem do następnego, aż wreszcie trafi na takiego, który poklepie ją po ramieniu i powie: „Tak, jest pani bardzo chora”. -

Roześmiał się.

- Więc te wszystkie badania były tylko dla pozorów?

- W znacznym stopniu - odparł. - Ale nie całkowicie. Lubię być ostrożny, a kiedy chodzi o sprawę tak poważną, jak zaburzenia wzroku,

trzeba się temu bliżej przyjrzeć. Sprawdziłem dno oczu. Normalne.

Przebadałem pole widzenia. Też nic nie wykryłem, ale mówiła, że raz widzi dobrze, a innym razem

źle. Więc pobrałem krew i zleciłem badania poziomu hormonów oraz tarczycy. Wszystko w normie. No i rentgen czaszki. Też normalny. Widział pan zdjęcia?

- Tak - odparłem. Zapaliłem papierosa, gdy następny szczur pożegnał się z życiem. - Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego...

- Cóż, wystarczy złożyć wszystko do kupy. Była młoda, ale nie można było tego wykluczyć: zaburzenia wzroku, bóle głowy, lekki przybór wagi ciała, senność. Mogło chodzić o niewydolność przysadki mózgowej z uciskiem nerwu wzrokowego.

- To znaczy o guz przysadki?

-Czemu nie? Zachodziło takie podejrzenie. Stwierdziłem, że badania wykażą niewydolność. A rentgen czaszki pozwoli potwierdzić lub nie podejrzenie. Ale wszystko wypadło negatywnie. Objawy miały podłoże psychiczne.

- Jest pan pewien?

-Tak.

- W laboratorium mogło dojść do pomyłki.

- To prawda. Dlatego miałem zamiar powtórzyć badania. Tak dla świętego spokoju.

- Dlaczego pan tego nie zrobił?

- Ponieważ do mnie nie wróciła - odparł Peter. - Właśnie w tym rzecz.

Jednego dnia wpada do gabinetu bliska hysterii, bo uważa, że traci wzrok.

Mówię, żeby przyszła za tydzień, pielęgniarka ją zapisuje. Ale po tygodniu w ogóle się nie zjawia, tylko gra w tenisa i świetnie się bawi. To wszystko było w jej głowie.

- Czy miała problemy z menstruacją, kiedy do pana przyszła?

-Mówiła, że nie. Oczywiście, jeżeli w chwili śmierci była w czwartym miesiącu, to do zapłodnienia musiało dojść mniej więcej wtedy, kiedy ją ostatni raz badałem.

- Ale nie przyszła już na żadną wizytę?

-Nie. Była zresztą dosyć roztrzępana.

Zabił ostatniego szczura. Wszystkie dziewczyny pracowały teraz w skupieniu. Peter zebrał porozcinane ciała trzech pierwszych zwierząt, zapakował je do torebki i wyrzucił do kosza.

- No - oświadczył. - Nareszcie. Zabrał się do mycia rąk.

- Cóż - powiedziałem - dziękuję za pomoc.

-Nie ma za co. - Wytarł dłonie w papierowy ręcznik, po czym zadarł

głowę. -Zdaje się, że jako jej krewny powinienem wydać jakieś oficjalne oświadczenie.

Czekałem.

- J.D. nigdy by się do mnie nie odezwał, gdyby dowiedział się, że z panem rozmawiałem. Proszę o tym pamiętać, kiedy będzie pan wypytywał

innych.

- Dobrze - obiecałem.

- Nie wiem, co pan robi - dodał - i nie chcę tego wiedzieć. Zawsze wydawał mi się pan bardzo rozważny i roztropny, dlatego zakładam, że nie traci pan czasu.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie rozumiałem, do czego zmierza, ale zdawało mi się, że próbuje naprowadzić mnie na jakiś trop.

- W tym momencie mój brat nie jest ani rozważny, ani roztropny. Popadł w paranoję, nie można mu niczego wyperswadować. Rozumiem jednak, że był pan obecny przy sekcji zwłok.

- Zgadza się.

- Jaka diagnoza?

-Na razie żadna. Nie wiadomo nic pewnego.

-A badanie mikroskopowe?

- Jeszcze nie widziałem wyników.

- A jaka jest pańska opinia?

Po krótkim wahaniu podjąłem decyzję. Był ze mną szczery, więc

postanowiłem odwdzińczyć się tym samym.

-Nie była w ciąży - odrzekłem.

- Hm. - Podrapał się po brzuchu, a następnie wyciągnął do mnie rękę. -

Bardzo intrygujące.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Kiedy wróciłem do domu, przy krawężniku stał radiowóz z migającym kogutem. Ostrzyżony najeża twarziel, kapitan Peterson, opierał się o karoserię i patrzył na mnie spode łba, gdy wjeżdżałem na podjazd.

Wysiadłem z samochodu i rozejrzałem się po okolicznych domach.

Sąsiedzi zauważyli światła i wyglądali teraz przez okna.

- Mam nadzieję - powiedziałem - że nie musiał pan na mnie zbyt długo czekać.

- Nie - odrzekł Peterson, uśmiechając się lekko. - Właśnie przyjechałem.

Zapukałem do drzwi i pańska żona powiadomiła mnie, że jeszcze pan nie wrócił, więc postanowiłem poczekać na zewnątrz.

W błyskach czerwonego i niebieskiego światła jego twarz emanowała chełpliwą pewnością siebie. Wiedziałem, że włączył koguta tylko po to, żeby mnie zirytować.

- Jakiś problem? - spytałem. Przesząpił z nogi na nogę.

- Cóż, w rzeczy samej, tak. Dostaliśmy na pana skargę, doktorze Berry.

-O?

-Tak.

-Od kogo?

- Od doktora Randalla.

- Jaka to skarga? - zapytałem niewinnie.

- Wygląda na to, że nachodzi pan rodzinę doktora Randalla. Jego syna, żonę, a nawet koleżanki jego córki.

-Nachodzę?

- Tak - odparł, ostrożnie dobierając słowa. - Doktor Randall właśnie tak się wyraził.

- A co pan na to?

- Powiedziałem, że zobaczę, co da się zrobić.

-I przyjechał pan tutaj.

Skinął głową i znów się uśmiechnął.

Migające światła zaczynały grać mi na nerwach. Kilkanaście metrów dalej dwoje dzieci stało na

ulicy, przyglądając się w milczeniu rozwojowi wypadków.

- Czy złamałem prawo? - spytałem.

- Jeszcze nie zostało to rozstrzygnięte.

- Bo jeżeli tak, to doktor Randall może się ze mną spotkać w sądzie. O ile oczywiście zdoła przedstawić materiał dowodowy, który świadczyłby o moim rzekomym przestępstwie. Pan to wie, on to wie - uśmiechnąłem się cierpko - i ja też.

- Może powinniśmy udać się na komisariat, żeby to przedyskutować?

Pokręciłem głową.

-Nie mam czasu.

- Mogę pana zabrać na przesłuchanie, wie pan o tym.

- Tak, ale nie byłoby to zbyt roztropne.

- Przeciwnie, byłoby to bardzo roztropne.

- Wątpię. Jako obywatel działałem w zgodzie z przysługującymi mi

prawami. Nie zmusiłem nikogo do rozmowy ze mną, nikogo nie

zastraszyłem. Każda osoba, z którą się spotkałem, mogła odmówić odpowiedzi na moje pytania.

- Wtargnął pan na teren prywatny. Na posesję państwa Randallów.

- To fałszywa interpretacja faktów. Zabłądziłem i chciałem zapytać o drogę. Zauważyłem duży budynek, tak duży, że w ogóle nie przyszło mi do głowy, że to prywatny dom. Myślałem, że to jakaś instytucja.

- Instytucja?

- Tak. Na przykład dom dziecka albo dom spokojnej starości. Więc wjechałem przez otwartą bramę i proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy okazało się, że zbiegiem okoliczności...

- Zbiegiem okoliczności?

- Może pan udowodnić, że było inaczej?

Peterson wydał z siebie dość udaną imitację dobrodusznego śmiechu.

- Jest pan bardzo sprytny.

- Nieszczególnie - odrzekłem. - A teraz może wyłączy pan te światła i przestanie drażnić sąsiadów?

Bo inaczej złożę skargę, że nadużywa pan swoich praw i bezpodstawnie mnie nachodzi. Poskarżę się naczelnikowi policji, prokuratorowi okręgowemu i burmistrzowi.

Niezdarnie sięgnął ręką do wnętrza samochodu i wyłączył światło.

- Pewnego dnia - oświadczył- ta sprawa może się panu odbić czkawką.

- Tak. Mnie albo komu innemu.

Podrapał się po głowie w taki sam sposób, jak w swoim biurze.

- Czasami - powiedział - wydaje mi się, że jest pan albo bardzo uczciwy, albo bardzo głupi.

- Może jedno i drugie. Pokiwał powoli głową.

- Może. - Otworzył drzwiczki i usiadł za kierownicą.

Kiedy zamykałem za sobą drzwi domu, usłyszałem, jak odjeżdża.

Nie chciało mi się specjalnie iść na bankiet do Morrisa, ale Judith nalegała.

Kiedy jechaliśmy do Cambridge, zapytała:

- O co w tym wszystkim chodziło?

- W czym?

- No, w tej sprawie z policją.

- Chcieli mnie zmusić, żebym przestał interesować się śmiercią Karen Randall.

-Najakiej podstawie?

- J.D. złożył skargę, że nachodzę jego rodzinę.

- Uzasadnioną?

- Raczej tak.

Opowiedziałem jej pokrótce o ludziach, z którymi tego dnia rozmawiałem.

Kiedy skończyłem, orzekła:

- Skomplikowana sprawa.

- Co gorsza, obawiam się, że to dopiero wierzchołek góry lodowej.

- Myślisz, że pani Randall kłamała na temat czeku na trzysta dolarów?

- Możliwe - przyznałem.

Jej pytanie dało mi do myślenia. Nagle zdałem sobie sprawę, że sprawy potoczyły się tak szybko, że nie miałem czasu zastanowić się nad informacjami, które zdołałem zebrać. Wiedziałem, że niektóre wypowiedzi są sprzeczne, a inne niejasne, jednak nie podjąłem jeszcze żadnej próby, żeby ułożyć to wszystko w logiczną całość.

- Jak tam Betty?

-Nienajlepiej. Wdzisiejszej gazecie był artykuł...

- Tak? Nie widziałem.

- Właściwie niewielka wzmianka. Aresztowanie lekarza pod zarzutem przeprowadzania aborcji. Nie podano żadnych szczegółów, oprócz

nazwiska. Dostała kilka anonimowych telefonów.

- Bardzo złych?

- Dość paskudnych. Teraz ja odbieram.

- Dobra dziewczyna.

- Betty bardzo dzielnie to znosi, próbuje zachowywać się tak, jakby wszystko było normalnie. Nie wiem, czy to dobrze, bo niespecjalnie jej się to udaje. To po prostu nie jest normalna sytuacja i tyle.

- Pójdiesz do niej jutro?

-Tak.

Zaparkowałem na cichej uliczce Cambridge, nieopodal Szpitala

Miejskiego. Była to spokojna okolica zabudowana zadbanymi starymi domkami, przed którymi rosły klony. Właśnie kiedy wyłączyłem silnik, nadjechał Hammond na swoim motocyklu.

Norton Francis Hammond III jest nadzieją medycyny. Na szczęście nie zdaje sobie z tego sprawy, inaczej byłby nie do zniesienia. Hammond pochodzi ze starej kupieckiej rodziny z San Francisco i wygląda jak chodząca reklama kalifornijskiego stylu życia - wysoki przystojny blondyn z brązową opalenizną. Jest świetnym lekarzem, drugi rok pracuje jako rezydent w Memorialu, gdzie ceni się go tak wysoko, że zwierzchnicy przymykają oczy na jego sięgające prawie do ramion włosy i gęste, długie i podkręcone wąsy.

W wypadku Hammonda i kilku innych młodych lekarzy najbardziej liczy się to, że przełamują schematy, nie buntując się przeciwko

establishmentowi. Hammond nie stara się zniechęcić do siebie nikogo swoimi włosami, nawykami

czy motocyklem. Po prostu nie obchodzi go, co myślą o nim inni. Ponieważ przyjmuje taką postawę, nikt nie może mu niczego zarzucić - w końcu zna się na medycynie. Chociaż więc starszych lekarzy drażni jego wygląd, nie mają podstaw do narzekań.

Dzięki temu Hammond bez przeszkód robi swoje, a jako rezydent ma wpływ na stażystów i studentów. I dlatego wiąże się z nim tak duże nadzieje.

Od drugiej wojny światowej medycyna przeszła wielką przemianę, która dokonała się w dwóch fazach. Po pierwsze, tuż po wojnie nastąpił

ogromny postęp wiedzy połączony z wypracowaniem nowych technik i metod leczenia. Zaczęło się od wprowadzenia antybiotyków, potem zrozumiano znaczenie równowagi elektrolitów, budowy białek i funkcji genów. W większości postępy te miały charakter naukowo-techniczny, zmieniły jednak oblicze medycyny tak drastycznie, że trzy z czterech najczęściej przepisywanych w 1965 roku rodzajów leków - antybiotyki, hormony (głównie „pigulka”) i środki uspokajające - wynaleziono dopiero po drugiej wojnie światowej. W czwartej grupie, środkach

przeciwbólowych, znalazła się przede wszystkim stara dobra aspiryna, którą zsyntetyzowano w 1853 roku. Trzeba jednak przyznać, że aspiryna jest lekiem wręcz cudownym: uśmierza ból, zmniejsza opuchliznę, zbija gorączkę i stosuje się ją przy uczuleniach. Jak dotąd nikt nie wyjaśnił

naukowo jej leczniczych właściwości.

Druga faza nastąpiła później i dotyczyła przede wszystkim przemian społecznych. Prawdziwym problemem stały się choroby cywilizacyjne

-rak i choroby serca - a także sama państwowa służba zdrowia. Niektórzy starsi lekarze uważali taką służbę zdrowia za równie niebezpieczną, jak rak, a młodszy się z tym zgadzali. Jednak w ostatnich czasach stało się jasne, że na dobre czy na złe lekarze będą musieli objąć opieką medyczną większą liczbę ludzi niż dotąd.

Nowości oczekuje się, oczywiście, od młodych, jednak w medycynie okazało się to trudne, ponieważ zawodu uczą starzy, a ich podopieczni stają się zbyt często wiernymi kopiami swoich mistrzów. Poza tym mamy do czynienia z antagonizmem między pokoleniami. Młodzi są lepiej wykształceni niż stara gwardia; zadają dociekliwsze pytania, domagają się bardziej szczegółowych odpowiedzi. A do tego, tak jak to się dzieje w innych profesjach, stanowią dla starych ostrą konkurencję w walce o stanowiska.

Właśnie dlatego Norton Hammond był taki niezwykły. Dokonywał

rewolucji, nie wszczynając buntu.

Zaparkował motocykl, poklepał go czule po baku i strzepnął kurz z fartucha. Kiedy nas zauważył, wykrzyknął:

- Siemanko, dzieciaki! - O ile mi wiadomo, Hammond każdego nazywa

„dzieciakiem”.

- Cześć, Norton, jak leci?

- Pomalutku. - Uśmiechnął się szeroko. - Jakoś się trzymam. - Klepnął mnie po ramieniu. - Hej, słyszałem, że wybrałaś się na wojenkę, John.

-Niezupełnie...

-Masz już jakieś blizny?

-Na razie kilka sińców.

- Szczęściarz. SK to ostry zawodnik.

- SK? - zapytała Judith.

- Stary Kutas. Tak nazywają go dzieciaki z trzeciego piętra.

-Kogo?Randalla?

-Nikogo innego. - Błysnął czarującym uśmiechem. - Twój dzieciak odgryzł mu solidny kawał dupska.

- Wiem.

- Mówią, że SK krąży po trzecim piętrze jak zraniony sęp. Nie potrafi pogodzić się z myślą, że ktoś miał czelność obrazić jego majestat.

- Wyobrażam sobie - mruknąłem.

- Jest w strasznym stanie - poinformował Hammond. - Dobrał się nawet do Sama Carlsona. Znasz Sama? Jest rezydentem u Randalla, uprawia

chirurgiczne lizodupstwo najwyższej klasy. SK za nim przepada, choć nikt nie rozumie dlaczego. Mówią, że to dlatego, że Sam jest tak oślepiająco, druzgocąco, piorunująco głupi.

- A jest? - zapytałem.

- Jeszcze jak! - wykrzyknął Hammond. - Ale wczoraj SK dobrał mu się do dupska. Sam siedział w kafeterii i wsuwał kanapkę z kurczakiem, nie wątpię, że wcześniej zapytał obsługę, co to jest kurczak, a tu Randall wchodzi i pyta: „Co ty tutaj robisz?” A Sam: „Jem kanapkę z kurczakiem”.

Na to SK draży temat: „Dlaczego, do cholery?”

-I co na to Sam?

Hammond wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Z wiarygodnego źródła słyszałem, że Sam powiedział „Nie wiem, proszę pana”, po czym odłożył kanapkę i wyszedł z kafeterii.

- Głodny - zauważyłem. Hammond roześmiał się głośno.

- Najprawdopodobniej. - Pokręcił głową. - Ale trudno nawet winić Starego Kutasa. Facet przeżył w Memorialu ze sto lat i jeszcze nigdy nie miał

żadnych problemów. A tu najpierw to polowanie, a później jego córka...

- Polowanie? - zapytała Judith.

- Ojoj, świat chyli się ku upadkowi. Żony zwykle dowiadują się pierwsze.

W Memorialu rozpętało się piekło z powodu szpitalnej apteki.

- Coś zginęło?

-A jak!

-Co?

- Ampułki z chlorowodorkiem morfiny. To pięć razy mocniejsze od siarczanu morfiny.

-Kiedy?

- W zeszłym tygodniu. Farmaceuta o mało nie trafił pod topór, bo podrywał w tym czasie jakąś pielęgniarkę. Miał przerwę obiadową.

-I nie znaleziono sprawców?

- Nie. Przetrząsnięto cały szpital i nic.

- To pierwszy taki incydent? - zapytałem.

- Wygląda na to, że nie. Parę lat temu zdarzyło się coś podobnego, ale zniknęło tylko kilka ampulek. Teraz świsnęli całe pudło.

- Sanitariusze? - zasugerowałem. Hammond wzruszył ramionami.

- To mógł być każdy. Osobiście stawiałbym na handlarzy. Za dużo zabrali.

Ryzyko było zbyt wysokie. Wyobrażasz sobie siebie wchodzącego do ambulatorium Memoriala i wychodzącego tanecznym krokiem z pudłem morfiny pod pachą?

- Raczej nie.

- Do tego trzeba mieć niezły tupet.
- Musieli działać w grupie - zauważyłem.
- Jasne. Właśnie dlatego uważam, że to dealerzy. Kradzież została dokładnie zaplanowana.
- Przez kogoś z zewnątrz? /
- Ha! Oto jest pytanie.
- A jak brzmi odpowiedź?
- Podejrzewa się, że pomógł im ktoś ze szpitala.

- Jakies dowody?

- Żadnych.

Ruszyliśmy w stronę domu gospodarza.

- To bardzo interesujące, Norton.

- Jak jasna cholera.

- Ktoś podejrzany?

- Z personelu? Nikt. Mówi się, że jedna z pielęgniarek na kardiologii dawała sobie w żyłę, ale rok temu poszła na odwyk. W każdym razie dobrali jej się nieźle do dupy. Rozebrali ją do naga, szukając śladów po igle. Niczego nie znaleźli.

-A co z...

-Lekarzami?

Skinąłem głową. Lekarze i narkotyki to temat tabu. Wielu lekarzy jest uzależnionych, to żaden sekret, tak samo jak to, że w środowisku lekarskim wskaźnik samobójstw jest bardzo wysoki. Mniej znany jest klasyczny psychologiczny mechanizm polegający na tym, że ojciec lekarz dostarcza uzależnionemu synowi narkotyki, co zaspokaja potrzeby obu stron. Nikt jednak nie mówi o tych sprawach głośno.

- Lekarze są czyści - odparł Hammond. - W każdym razie z tego, co wiem.

- Ktoś zwolnił się ostatnio z pracy? Pielęgniarka, sekretarka, ktokolwiek?

Uśmiechnął się.

- Naprawdę cię to wciągnęło, co? Wzruszyłem ramionami.

- Myślisz, że to może mieć jakiś związek z dziewczyną?

- Nie wiem - odparłem.

-Nie ma powodu, żeby łączyć obie sprawy - zauważył Hammond. -Ale byłoby to interesujące.

Tak

- Czysto teoretycznie.

-Oczywiście.

- Zadzwoń do ciebie - zapewnił -jeśli się czegoś dowiem.

- Dzięki.

Doszliśmy do frontowych drzwi. Ze środka dochodziły śmiechy, rozmowy i brzęk kieliszków.

- Powodzenia na wojnie - powiedział Hammond. - Mam cholerną nadzieję, że wygrasz.

- Ja też.

- Uda ci się, tylko nie bierz jeńców. Uśmiechnąłem się.

-To wbrew Konwencji Genewskiej.

- Ale wojna ma bardzo ograniczony zasięg - zauważył Hammond.

Bankiet zorganizował George Morris, starszy rezydent z Lincoln. Miał

wkrótce zakończyć rezydenturę i rozpocząć prywatną praktykę, więc było to właściwie przyjęcie pożegnalne.

Bardzo dobrze je zorganizował, choć raczej nie było go stać na

niewymuszony przepych, jaki zapewnił gościom. Przypomniały mi się luksusowe bankiety wydawane przez przedsiębiorstwa w ramach promocji nowego produktu. W pewnym sensie chodziło o to samo.

George Morris, dwudziestoosmiolatek z żoną i dwójką dzieci, tonął po uszy w długach -jak każdy lekarz w jego sytuacji. Teraz przygotowywał

się do powolnej spłaty zobowiązań, żeby jednak dopiąć celu, potrzebował

pacjentów. Ze skierowania. Na konsultacje. Krótko mówiąc, liczył na dobrą wolę lekarzy z okolicy. Dlatego zaprosił dwustu z nich do swojego domu, żeby napełnić im żołądki najlepszym alkoholem, jaki zdołał kupić, i najlepszymi kanapeczkami, jakie mogła dostarczyć firma cateringowa.

Jako patologowi schlebiało mi jego zaproszenie. Nie mogłem zrobić dla Morrisa niczego, ponieważ

patolodzy zajmują się zwłokami, a zwłoki nie proszą o skierowanie. Morris zaprosił Judith i mnie, ponieważ byliśmy przyjaciółmi.

Mam wrażenie, że byliśmy jego jedynymi przyjaciółmi na tym bankiecie.

Rozejrzałem się po pokoju: zjawili się wszyscy ordynatorzy z

najważniejszych szpitali w mieście. Oraz rezydenci z małżonkami. Żony stłoczyły się w kącie i rozmawiały o dzieciach. Lekarze zbili się w mniejsze grupki, stosownie do miejsca pracy i specjalności. Podział pracy przekładał się idealnie na podział społeczny.

W jednym rogu Emery wychwalał zalety niższej dawki radioaktywnego jodu przy diagnozowaniu nadczynności tarczycy, po drugiej stronie Johnston rozwodził się nad chorobami wątroby, a z jeszcze innego kąta dobiegł mnie głos Lewistona piętnującego jak zwykle stosowanie

elektrowstrząsów w leczeniu depresji. Z gromadki żon co jakiś czas padały takie słowa, jak „świnka” czy „ospa wietrzna”.

Judith stała obok mnie ubrana w prostą niebieską sukienkę. Wyglądała ślicznie i dziewczęco. Piła dużymi łykami szkocką, szykując się najwyraźniej do przyłączenia się do innych żon.

- Czasami chciałabym - wyznała - żeby mówili o polityce albo o czymś podobnym. Byle nie o medycynie.

Uśmiechnąłem się pod nosem, bo przypomniało mi się, że Art uważa lekarzy za „politycznych analfabetów”. Twierdzi, że lekarze nie tylko nie mają żadnych poglądów politycznych, ale wręcz nie są w stanie w ogóle ich sobie wyrobić. „Jak w wojsku”, powiedział raz. „Poglądy polityczne uważa się za przejaw braku profesjonalizmu”. Jak zwykle przesadzał, jednak nie mijał się zupełnie z prawdą.

Myślę, że Art lubi przedstawiać sprawy w zbyt jaskrawym świetle, ponieważ uwielbia drażnić i zaskakiwać. Taki ma charakter. Wydaje mi się jednak, że fascynuje go też cienka linia, która oddziela prawdę od nieprawdy, trafny sąd od błędnej opinii. Często rzuca swoje

kontrowersyjne uwagi i obserwuje reakcję ludzi. Robi to zwłaszcza wtedy, kiedy się upije.

Art jest jedynym znanym mi lekarzem, który się upija. Pozostali potrafią wlać w siebie olbrzymie ilości alkoholu i nic po nich nie widać. Przez jakiś czas są bardziej rozmowni, a zaraz potem robią się senni. Art naprawdę się upija, a kiedy ma w czubie, staje się agresywny i złośliwy.

Nigdy tego nie rozumiałem. Przez jakiś czas wydawało mi się, że jest patologicznie podatny na działanie alkoholu, później jednak doszedłem do wniosku, że kieruje nim raczej przemożna chęć, by stracić nad sobą panowanie, gdy inni starają się za wszelką cenę zachować nad sobą kontrolę. Być może tego potrzebuje, być może nie potrafi się temu oprzeć albo po prostu musi w ten sposób odreagować.

Z całą pewnością czuje wstręt do swojej profesji. Cechę tę dzieli z wieloma lekarzami, z których

każdy ma własne powody: Jones cierpi dlatego, że wciągają go badania naukowe i nie zarabia tyle, ile by chciał.

Andrews dlatego, że przez urologię stracił żonę i szczęście. Tesler, ponieważ na dermatologii oblegają go pacjenci, których uważa za zwykłych neurotyków, a nie chorych. Jednak w przypadku Arta chodzi o coś innego. Art nienawidzi medycyny jako takiej.

Przypuszczam, że w każdym fachu można spotkać człowieka, który

pogardza kolegami i sobą samym. Jednak Art jest przypadkiem skrajnym.

Czasami wydaje mi się, że poszedł na medycynę głównie po to, żeby pogłębić samego siebie.

Są chwile, kiedy odnoszę wrażenie, iż dokonuje aborcji przede wszystkim po to, żeby zirytować innych lekarzy. To oczywiście niesprawiedliwe, ale nie mogę pozbyć się tego wrażenia. Kiedy jest trzeźwy, przytacza rozbudowane, skrzące się inteligencją argumenty przemawiające za aborcją. Pod wpływem alkoholu mówi o uczuciach i osobistym szczęściu.

Myślę, że odczuwa głęboką wrogość do medycyny i upija się, żeby ją wyładować, a przy tym mieć wymówkę - skłonność do pijaństwa. W

każdym razie po alkoholu często wdaje się w gorzkie i zajadłe awantury z innymi lekarzami. Raz powiedział na przykład Janisowi, że usunął ciążę jego żonie. Janis, który o niczym nie wiedział, wyglądał, jakby dostał

kopniaka w jądra. Janis jest katolikiem, a jego żona nie. Artowi udało się w jednej chwili zakończyć zupełnie dobrze zapowiadającą się imprezę.

Byłem przy całym tym zdarzeniu i nie mogłem wybaczyć Arturowi jego zachowania. Przeprosił mnie po kilku dniach, a ja powiedziałem, żeby przeprosił raczej Janisa. I Art rzeczywiście to zrobił. Co najdziwniejsze, bardzo się zaprzyjaźnili, a Janis stał się zagorzałym zwolennikiem aborcji.

Nie wiem, co Art mu powiedział, ani jakich użył argumentów, ale cokolwiek to było, z pewnością poskutkowało.

Ponieważ znam Arta lepiej niż inni, przywiązuję dużą wagę do jego chińskiego pochodzenia. Myślę, że azjatyckie korzenie i wygląd wywarły wielki wpływ na jego osobowość. Wśród lekarzy jest wielu Japończyków i Chińczyków i krąży o nich masa dowcipów - skrywających poczucie zagrożenia złośliwych opowiastek o ich energii, inteligencji i ambicji.

Dokładnie takie same żarty opowiada się o Żydach. Wydaje mi się, że Art jako Amerykanin chińskiego pochodzenia musiał stoczyć bój zarówno z tymi uprzedzeniami, jak i z konserwatywną tradycją, w której go wychowano. Dlatego odbił w drugą stronę i stał się radykalnie liberalny i postępowy. Świadczy o tym na przykład entuzjizm, z jakim przyjmuje wszystko, co nowe. Ma jeden z najnowocześniejszych gabinetów

ginekologicznych w Bostonie. Gdy na rynku pojawia się nowy produkt, Art natychmiast go kupuje. O

tym także krążą dowcipy - o zakochanych w gadżetach Azjatach - ale tu motywacja jest inna. Art walczy z tradycją, rutyną, utartymi praktykami.

Kiedy się z nim rozmawia, można odnieść wrażenie, że tryska pomysłami.

Opracował nową metodę robienia wymazów. Chce porzucić standardowe badanie palpacyjne, bo uważa je za stratę czasu. Jest zdania, że temperatura jako oznaka owulacji sprawdza się w diagnostyce lepiej, niż się powszechnie sądzi. Dowodzi, że nawet przy najtrudniejszych porodach nie należy stosować kleszczy, a znieczulenie powinno się zastąpić dużymi dawkami środków uspokajających.

Kiedy pierwszy raz słyszy się z jego ust podobne teorie i pomysły, trudno wyjść z podziwu. Dopiero później człowiek zdaje sobiesprawę, że Art atakuje tradycję kompulsywnie i ustawicznie szuka w niej wad.

Przypuszczam, że decyzja o wykonywaniu aborcji przyszła naturalnie.

Wiem, że powinienem kwestionować jego motywacje, ale zwykle tego nie robię, ponieważ uważam, iż powody, jakimi się człowiek kieruje, są mniej istotne od wartości działań, które podejmuje. Taka jest historyczna prawda.

Jeśli ktoś robi coś złego z dobrych pobudek, to przegrywa. Ale jeśli robi coś dobrego w niecznych celach, staje się bohaterem.

Jedynym facetem na bankiecie, który mógłby mi pomóc, był Fritz Werner.

Niestety, nie widziałem go, mimo że uważnie się rozglądałem.

Wpadłem natomiast na Blake'a. Blake jest starszym patologiem w Bostońskim Szpitalu Głównym, ale zyskał sławę przede wszystkim dzięki olbrzymiej, okrągłej i gładkiej głowie. Ponieważ ma delikatne dziecięce rysy twarzy, szeroko rozstawione oczy i mały nos, wszyscy uważają, że wygląda jak człowiek przyszłości. Jego chłodny wybujały intelekt sprawia, że czasami irytuje rozmówców. Poza tym uwielbia gry. Od lat, zawsze gdy się spotykamy, gramy w jedną z nich.

Potrząsając szklanką martini, Blake powitał mnie jednym słowem:

- Gotowy?

- Jasne.

- Od „grota” do „mrozi” - rzucił.

Łatwizna. Wyciągnąłem notes i ołówek i zabrałem się do roboty. Na górze napisałem GROTA, a na dole MROZI. Następnie spróbowałem

przekształcić jedno w drugie.

GROTA

WROTA

WRONA

GRONA

GROZA

GROZI

MROZI

Zajęło mi to kilka chwil.

- Ile? - zapytał Blake.

- Siedem - odparłem. Uśmiechnął się.

- Podobno wystarczą cztery. Mnie udało się w pięciu. - Wyjął notes i napisał:

GROTA

GRONA

GROZA

GROZI

MROZI

Sięgnąłem do kieszeni i wręczyłem mu ćwierć dolara. Wygrał trzeci raz z rzędu i przez lata bił mnie zwykle na głowę. Ale Blake wygrywa ze wszystkimi.

- Słyszałem następny argument za aborcją. Znasz ten z DNA*?

- Tak - odparłem. Pokręcił głową.

- Szkoda. Lubię go przedstawiać.

Uśmiechnąłem się do niego, ledwo powstrzymując się od okazania satysfakcji.

* Zob. Dodatek VI: Argumenty :a i przeciw aborcji.

- A znasz ten nowy o eutanazji w Azji? Ten z prawem do odmowy

przyjęcia leku*?

Też już o nim słyszałem. Kiedy powiedziałem to Blake'owi, o mało się nie załamał. Po chwili zniknął w tłumie, żeby spróbować szczęścia z kimś innym.

Blake'a fascynuje filozofia medycyny. Nie posiada się wprost z radości, kiedy może z żelazną logiką wykazać chirurgowi, że ten nie ma prawa operować, albo interniście, że jest moralnie zobowiązany do zabicia każdego pacjenta, który do niego trafi. Blake uwielbia słowa i teorie, zongluje nimi jak dziecko. Robi to bez wysiłku i sprawia mu to wielką frajdę. Dlatego świetnie dogaduje się z Artem. W zeszłym roku wdali się w czterogodzinną dyskusję na temat tego, czy położnik jest moralnie odpowiedzialny za życie dziecka, któremu pomógł przyjść na świat - od urodzenia do śmierci.

Po jakimś czasie wszystkie argumenty Blake'a wydają się równie błahe i bezużyteczne jak wyczyny cyrkowców, ale w chwili, gdy się ich słucha, brzmią naprawdę fascynująco. Blake ma niezwykle wycucie tego, co dobre, a co złe i dlatego bryluje w towarzystwie ludzi uprawiających zawód, w którym trzeba podejmować tak wiele arbitralnych decyzji.

Krążyłem wśród gości, słuchając strzępów rozmów i dowcipów. Typowa impreza lekarska, pomyślałem.

- Słyszeliście o francuskim biochemiku, któremu urodziły się bliźniaki?

Jednego ochrzcił, a drugiego zatrzymał jako grupę kontrolną.

- I tak wszyscy dostają wcześniej czy później bakterię...

- I chodził, powtarzam, chodził z pH krwi siedem przecinek sześć i potasem...

- Więc mówi: „Rzuciłem palenie, ale prędzej zdechnę, niż zrezygnuję z whisky”.

- Jasne, można poprawić wyniki gazometrii, ale to nie pomoże układowi naczyniowemu...

- To taka miła dziewczyna. Bardzo dobrze ubrana. Musieli wydać fortunę na jej ciuchy...

- Jasne, że się wkurzył. Każdy by się wkurzył...

- Jaki tam skąpomocz. Przez pięć dni miał bezmocz i przeżył...

- ...u siedemdziesięcioczerolatka. Wycięliśmy, ile się dało, i puściliśmy go do domu. W tym wieku bardzo wolno rośnie...

- ...wątroba sięgała mu prawie do kolan, ale pracowała...

* Zob. Dodatek VII: Etyka lekarska.

- Powiedziała, że się wypisze, jeśli jej nie zoperujemy, więc naturalnie. ..

- Cóż, wygląda na to, że dziewczyna mu go odgryzła...
- Serio? Harry z tą pielęgniarką z Siódmego? Tą blondynką?
- ...nie wierzę. Pisze więcej artykułów, niż większość jest w stanie przeczytać w ciągu całego życia.
- ...z przerwami do serca...
- W każdym razie, do więzienia na środku pustyni przywożą młodego skazańca i zamykają go w celi ze zrezygnowanym starcem. Młody wciąż gada o ucieczce i po paru miesiącach udaje mu się wydostać na wolność.

Nie ma go przez tydzień, a potem strażnicy wrzucają go ledwo żywego z głodu i wycieńczenia do celi. Chłopak opisuje staruszkowi, jak okropnie jest na zewnątrz: wszędzie tylko piach i piach, żadnej studni ani oazy. Na to stary: „Tak, wiem. Sam próbowałem uciec dwadzieścia lat temu”. A młody pyta: „Jak to? To dlaczego niczego mi nie powiedziałeś? Przecież przez bite dwa miesiące opowiadałem ci o planach uciezki!” A starzec wzrusza tylko ramionami i mówi: „A kto publikuje negatywne wyniki?”

O ósmej zacząłem się nudzić. Zobaczyłem, jak Fritz Werner wchodzi do salonu i wita się ze wszystkimi po kolei. Ruszyłem w jego kierunku, ale nadziałem się na Charliego Franka.

Charlie stał przygarbiony, z wykrzywioną boleśnie twarzą, jakby przed chwilą ktoś dźgnął go nożem w brzuch. Jego oczy były szeroko otwarte i smutne. W sumie robił dość przygnębiające wrażenie, tyle że Charlie zawsze tak wygląda. Odkąd pamiętam, dźwiga na barkach przemożne przecucie kryzysu i nieodwołalnej tragedii, które przytłacza go i przyciska swoim ciężarem do ziemi. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechał.

- Co z nim? - wydusił półgłosem.
- Z kim? - zapytałem.
- Z Arturem Lee.
- W porządku. - Nie chciałem rozmawiać o Arcie z Frankiem.
- Czy to prawda, że został aresztowany?
- Tak.
- O, mój Boże -jęknął.
- Ale myślę, że wszystko dobrze się skończy - pocieszyłem go.
- Naprawdę?
- Tak. Naprawdę.

- O, mój Boże. - Przygryzł wargę. - Mogę jakoś pomóc?

- Raczej nie, dzięki.

Wciąż trzymał mnie za ramię. Spojrzałem w stronę Fritza licząc, że Charlie to zauważy i wreszcie się odczepi. Nic z tego.

-Powiedz, John...

-Tak?

- Słyszałem, że bardzo się w to angażujesz. To prawda?

- Powiedzmy, że mnie to interesuje.

-Muszę cię ostrzec - szepnął Charlie, nachylając się do mojego ucha. - W

szpitalach chodzą słuchy, że interesuje cię ta sprawa, ponieważ sam jesteś w nią wplątany.

- To tylko plotki.

- John, możesz sobie narobić wielu wrogów.

Przebiegłem w myślach listę przyjaciół i znajomych Charliego Franka.

Charlie jest pediatrą i cieszy się wielkim wzięciem, bo martwi się o swoich młodych pacjentów bardziej niż ich matki, które dzięki temu po prostu za nim przepadają.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Mam przeczucie - odrzekł, patrząc mi smutno w oczy.

- A co powinienem twoim zdaniem zrobić?

- Trzymaj się od tego z daleka. John. To paskudna sprawa. Naprawdę paskudna.

- Zapamiętam to sobie.

- Wielu ludzi bardzo stanowczo twierdzi, że należy ją zostawić sądowi.

- Dzięki za radę.

Jego dłoń zacisnęła się wokół mojego ramienia jeszcze mocniej.

- Mówię ci to jako przyjaciel, John.

- W porządku, Charlie, będę o tym pamiętał.

- ~ —
- To naprawdę paskudna sprawa, John./
 - Tak, dzięki.
 - Ci ludzie nie cofną się przed niczym - dodał.
 - Jacy ludzie?

Nagle puścił moją rękę i wzruszył wstydlawie ramionami.

-No cóż, bez względu na okoliczności musisz robić to, co uważasz za słusne.

Odwrócił się i odszedł.

Fritz Werner stał-jak zwykle - przy barku. Był wysokim, przeraźliwie chudym mężczyzną o krótko ostrzyżonych włosach i dużych ciemnych oczach. Miał w sobie coś ptasiego, chodził jak czapla, a kiedy ktoś się do niego zwracał, wysuwał głowę do przodu, jakby niedosłyszał. Cechowało go dziwne skupienie, które mogło wiązać się z jego austriackimi korzeniami albo brać się z artystycznego usposobienia. W wolnych chwilach Fritz malował i rysował, a w jego gabinecie panował zawsze lekki artystyczny nieład. Zarabiał jednak na życie jako psychoterapeuta, wysłuchując cierpliwie wynurzeń znudzonych matron w średnim wieku, które pewnego dnia doszły do wniosku, że z ich głowami jest coś nie tak.

Uśmiechnął się i uściśnął moją rękę.

- No, no, no, czyż to nie podstępny lis?
- Sam zaczynam tak myśleć - odparłem. Rozejrzał się po salonie.
- Ile napomnień usłyszałeś do tej pory?
- Tylko jedno. Od Charliego Franka.
- Tak, zawsze można liczyć na jego złą radę.
- A jak jest z tobą?
- Twoja żona wygląda dzisiaj po prostu czarująco. Niebieski to jej kolor.
- Przekażę jej to, dziękuję.
- Po prostu czarująco. Jak tam rodzina?
- Dobrze, dzięki. Fritz...
- A praca?

- Słuchaj, Fritz, potrzebuję pomocy. Roześmiał się cicho.

-Nie potrzebujesz pomocy, tylko ratunku.

-Fritz...

- Rozmawiałeś ostatnio z wieloma ludźmi. Załóżę się, że poznałeś już wszystkich. Co sądzisz o Bańce?

- O Bańce?

-Tak.

Zmarszczyłem brwi. Nigdy nie słyszałem o żadnej Bańce.

- Masz na myśli Bańkę striptizerkę?

-Nie, Bańkę współlokatorkę.

- Współlokatorkę Karen?

-Tak.

- Ze Smitha?

- Boże, nie. Tę z wakacji, z Hill. Mieszkały we trójkę. Karen, Bańka i jeszcze jedna dziewczyna, która miała coś wspólnego z medycyną. Była pielęgniarką, sanitariuszką czy kimś takim. Tworzyły niezłą grupkę.

- Jak się naprawdę nazywa ta Bańka? Czym się zajmuje?

Ktoś podszedł do barku, żeby nalać sobie drinka. Fritz rozejrzał się po pokoju i powiedział profesjonalnym tonem:

- To brzmi bardzo poważnie. Dobrze by było, gdybyś go do mnie przysłał.

Tak się składa, że jutro o wpół do trzeciej mam wolną godzinę.

- Załatwię to - odparłem.

- Dobrze - rzekł. - Miło cię znowu widzieć, John.

Judith rozmawiała z Nortonem Hammondem, który opierał się o ścianę.

Podchodząc do nich, pomyślałem, że Fritz miał rację, rzeczywiście wyglądała czarująco. I wtedy zauważyłem, że Hammond ęmi papierosa.

Nie było w tym nic złego, poza tym, że Hammond nie pali.

Nie miał w dłoni żadnego drinka i zaciągał się mocno, zatrzymując na długo dym w płucach.

- Nie powinieneś bardziej uważać? - zauważyłem. Roześmiał się.

- To tylko taka mała kontestacja na dziś wieczór.

- Próbowałam mu wytłumaczyć, że ktoś wyczuje ten

zapach - powiedziała Judith.

- Nikt niczego nie wyczuje - odparł Hammond. Pewnie miał rację; powietrze było ciężkie od błękitnego dymu. - Poza tym mogę się powołać na Goodmana i Gilmana*.

- Mimo to radziłbym uważać.

- Pomyśl tylko - zaciągnął się głęboko - żadnego raka oskrzelopochodnego czy owsianokomórkowego, nieżyty oskrzeli, rozedmy, arterio-sklerozy, marskości ani zespołu Korsakowa. To po prostu piękne.

-I nielegalne.

Uśmiechnął się i podkręcił wąsa. /-""

- Jesteś za aborcją, ale nie za maryską?

- Jedna kruczata całkowicie mi wystarcza.

Kiedy patrzyłem, jak pochłania gęsty dym i wydycha czyste powietrze, coś mnie tknęło.

-Norton, mieszkasz na Hill, prawda?

-Tak.

- Znasz dziewczynę o przezwisku Bańka?

* Goodman i Gilman to autorzy The Pharmacological Basis

of Therapeutics, głównego kompendium wiedzy farmakologicznej dla lekarzy. Na stronie 300 tejże książki znajduje się omówienie efektów palenia marihuany, na które często powoływano się w sądach.

Roześmiał się.

- Wszyscy znają Bańkę. Bańka i Klawisz. Zawsze razem.

-Klawisz?

- Tak. Jej obecny facet. Kompozytor. Uwielbia wszystko, co brzmi jak dziesięć wyjących psów.

Mieszkają razem.

- Czy Bańka nie mieszkała z Karen Randall?

-Nie wiem. Może. A dlaczego pytasz?

- Jak się naprawdę ta Bańka nazywa? Wzruszył ramionami.

-Nigdy nie słyszałem, żeby mówili o niej inaczej. Ale ten koleś, Klawisz, nazywa się Sam Archer.

-Gdzie mieszka?

- Gdzieś za Domem Stanowym. W suterenie. Urządzili się tam jak w łonie.

- W łonie?

- Musisz sam zobaczyć - odparł Norton z uśmiechem satysfakcji.

Kiedy jechaliśmy do domu, Judith wydawała się spięta. Siedziała ze ściśniętymi kolanami, wczepiwszy się w nie dłońmi tak mocno, że zbieleły jej palce.

- Coś nie tak?

- Nie - odparła. - Jestem po prostu zmęczona.

- Żony cię wymęczyły? Uśmiechnęła się lekko.

- Stałeś się sławny. Pani Wheatstone tak się przejęła, że z tego, co rozumiałam, spóźniła się na mecz syna.

-Czego się jeszcze nasłuchiłaś?

- Pytały mnie, dlaczego to robisz, dlaczego pomagasz Artowi. Uznały, że to wspaniały przykład wielkiej męskiej przyjaźni. Mówiły, że to takie ludzkie, wzniosłe i napawające otuchą.

-Tak?

-I na okrągło pytały dlaczego.

- Cóż, mam nadzieję, że powiedziałaś, że to dlatego, że fajny ze mnie facet.

Uśmiechnęła się w mroku.

- Szkoda, że nie przyszło mi to do głowy.

W jej głosie pobrzmiwała gorycz, a twarz oświetlana reflektorami przejeżdżających samochodów była smutna. Wiedziałem, że nie jest jej łatwo przez cały czas dotrzymywać Berty towarzystwa. Ale ktoś musiał to na siebie wziąć.

Z jakiegoś powodu przypomniały mi się studia i Fioletowa Nell. Fioletowa Nell była siedemdziesięcioośmioletnią alkoholiczką, która trafiła do naszego prosektorium rok po śmierci. Przeżywalismy ją Nell i

opowiadaliśmy o niej różne dowcipy - żeby tylko znieść jakoś zajęcia.

Pamiętam, że chciałem rzucić to wszystko w cholerę - nie musieć już rozcinać zimnego, mokrego, śmierdzącego ciała i zdejmować kolejnych warstw tkanki. Marzyłem, że pewnego dnia uporam się z Nell, zapomnę o smrodzie i ohydnej, tłustej w dotyku martwej skórze. Wszyscy mówili, że z czasem robi się łatwiej. A ja chciałem po prostu z tym skończyć. Raz na zawsze. Mimo tego nie poddałem się, nie rzuciłem studiów i zrobiłem tyle sekcji zwłok, aż w końcu zapamiętałem, jak biegną wszystkie nerwy i gdzie znajdują się wszystkie tętnice.

Po tak nieprzyjemnych doświadczeniach w prosektorium ze zdziwieniem odkryłem w sobie zainteresowanie patologią. Lubię tę pracę i nauczyłem się ignorować zapach i widok każdego nowego, martwego ciała. Autopsje wydają mi się jednak inne, w jakimś sensie bardziej przydatne, napawające nadzieją. Nie ma się w nich do czynienia z anonimowym trupem, ale z niedawno zmarłym człowiekiem, zna się jego historię. Traktuje się go jak osobę, która stoczyła bardzo osobistą bitwę, jedyną osobistą bitwę w życiu, i przegrała. Moja praca polega na tym, żeby dowiedzieć się, jak i dlaczego tak się stało, i pomóc przez to innym, którym wkrótce przyjdzie mierzyć się ze śmiercią. Daleko tu od krojenia starych trupów, pomocy naukowych, które zdają się istnieć tylko po to, żeby można było dokładnie i profesjonalnie wykazać, że nie żyją. _

Kiedy dojechaliśmy do domu, Judith poszła zobaczyć, co z dziećmi i zadzwonić do Betty, a ja odwoziłem opiekunkę. Była to niska rezolutna dziewczyna o imieniu Sally, cheerleaderka z liceum Brookline. Zwykle rozmawiam z nią na neutralne bezpieczne tematy: jak jej się podoba szkoła, gdzie chce iść na studia i tak dalej. Tego wieczoru miałem jednak w głowie pełno niepokojących pytań, które domagały się odpowiedzi. Czuję się stary, oderwany od rzeczywistości niczym człowiek, który po wielu latach wraca do rodzinnego kraju. Wszystko było inne, nawet dzieciaki, nawet młodzież. Nastolatki musiały sprostać innym wyzwaniom, miały inne problemy, a w każdym razie inne narkotyki. Być może problemy pozostały te same. Chciałem w to wierzyć.

W końcu uznałem, że za dużo wypilem i lepiej będzie, jeśli powściągnę swoją ciekawość. Pozwoliłem więc Sally opowiadać o egzaminie na prawo jazdy. Kiedy mówiła, czułem się jak tchórz, ale jednocześnie trochę mi ulżyło. A potem pomyślałem sobie, że to głupota, bo nie było absolutnie żadnego powodu, żebym interesował się nastoletnią opiekunką do dzieci, a gdybym spróbował poznać ją bliżej, mogłaby to fałszywie odczytać.

Lepiej rozmawiać o prawie jazdy, to bardzo porządny, bezpieczny i szacowny temat.

Wtedy z jakiegoś powodu przypomnieli mi się Alan Zenner. I coś, co powiedział kiedyś Art: „Jeżeli chcesz poznać współczesny świat, włącz telewizor, kiedy idzie program publicystyczny, a potem wyłącz dźwięk”.

Zrobiłem tak parę dni później. Było to bardzo dziwne, żywa mimika, poruszające się usta, gestykulujące ręce. I kompletna cisza. Po prostu nic.

Nie miałem zielonego pojęcia, o czym ci ludzie rozmawiali.

Otworzyłem książkę telefoniczną i znalazłem adres: Samuel F. Archer, 1334 Langdon Street. Wykręciłem numer i usłyszałem głos z taśmy.

- Abonent czasowo niedostępny. Proszę się nie rozłączać, a operator udzieli dalszych informacji.

Po serii rytmicznych trzasków telefonicznego serca odezwała się telefonistka:

- Informacja. Pod jaki numer pan dzwoni?

- Siedemset czterdzieści dwa, czternaście, czterdzieści siedem.

- Telefon został odłączony.

- Ma pani inny numer?

- Nie, proszę pana.

Możliwe, że Samuel F. Archer się wyprowadził, ale może nie. Pojechałem tam. Mieszkanie mieściło się w zapuszczonej czynszówce na wschodnim zboczu Beacon Hill. Na klatce schodowej unosił się smród gotowanej kapusty. Zszedłem po skrzypiących drewnianych stopniach i stanąłem przed oświetlonymi zieloną żarówką czarnymi drzwiami. Widniał na nich napis: TRAWA JEST DAREM BOŻYM.

Zapukałem.

Ze środka dobiegły mnie stłumione pomruki, chrobot i coś, co brzmiało jak jęk. Drzwi otworzyły się i ujrzałem przed sobą dwudziestoparoletniego młodzieńca z gęstą brodą i długimi ciemnymi włosami. Miał na sobie dzinsy, sandały i fioletową koszulę w żółte grochy. Zmierzył mnie wzrokiem, nie okazując zdziwienia ani zainteresowania.

-Tak?

- Jestem doktor Berty. Czy pan Samuel Archer?

-Nie.

- A czy zastałem pana Archera?

- Jest teraz zajęty.

- Chciałbym się z nim zobaczyć.

- Jest pan jego znajomym?

Przypatrywał mi się teraz z nieskrywaną podejrzliwością. Zza jego pleców znowu dobiegły dziwne

dźwięki - zgrzyty, łomotanie i długi przeciągły świst.

- Potrzebuję jego pomocy - powiedziałem. Zdawało mi się, że trochę go uspokoiłem.

- To nie najlepszy moment.

- To bardzo pilne.

- Jest pan lekarzem?

-Tak.

- Ma pan samochód? /

-Tak.

- Jaki?

-Chevroletaz 1965.

- Jaka rejestracja?

-Dwadzieścia jeden, piętnaście, szesnaście. Kiwnął głową.

- Dobra - powiedział. - Przepraszam, ale wie pan, jak to jest. Nikomu nie można ufać*. Proszę. - Odsunął się, żeby mnie przepuścić. - Ale niech się pan nie odzywa, dobrze? Sam mu powiem, że pan przyszedł. Komponuje i ma odlot. Mija już siódma godzina, więc powinno być w porządku. Ale łatwo się denerwuje. Nawet tak późno.

Weszliśmy do pokoju, który pełnił chyba funkcję salonu. Stało w nim parę kanap i kilka tanich lamp. Na białych ścianach wymalowano wijące się fluorescencyjne wzory. Efekt wzmacniało jeszcze ultrafioletowe światło.

- Odlotowo - powiedziałem, próbując znaleźć się w sytuacji.

-Jasne, człowieku.

Przeszliśmy do następnego pokoju. W półmroku siedział na podłodze niewysoki blady chłopak z burzą kręconych blond włosów, otoczony sprzętem elektronicznym. Pod ścianą stały dwie kolumny i włączony magneto-

* Panuje powszechne przekonanie, że federalni agenci do walki z narkotykami w Bostonie jeżdżą chevroletami o numerach zaczynających się na 412 lub 414.

fon. Blady młodzieniec przyciskał jakieś guziki i kręcił gałkami, uzyskując rozmaite dźwięki. Ani na chwilę nie podniósł wzroku. Sprawiał wrażenie bardzo skupionego, ale jego ruchy były niezwykle powolne.

- Niech pan tu poczeka - poprosił brodac. - Powiem mu. Stałem w drzwiach, a on podszedł do blondyna i powiedział łagodnie:

- Sam. Sam... Sam podniósł wzrok.

- Cześć - rzucił.

- Sam, masz gościa.

Sam wyglądał na dezorientowanego.

- Tak? - zapytał. Jeszcze mnie nie zauważył.

- Tak. To bardzo miły człowiek. Bardzo miły człowiek. Rozumiesz, Sam?

Jest bardzo przyjazny.

- Super - wymamrotał Sam.

- Potrzebuje twojej pomocy. Pomożesz mu?

- Jasne.

Brodaty młodzieniec skinął na mnie głową. Zbliżyłem się i zapytałem go:

- Co to?

- Kwas - odparł. - Siódma godzina. Niedługo wróci. Ale musi pan być bardzo łagodny, dobra?

- Dobra - zapewniłem.

Przykucnąłem przed Samem, a ten zaczął mi się przyglądać

nieprzytomnymi oczami.

- Nie znam cię - oświadczył w końcu.

- Jestem John Berry. Sam się nie poruszył.

- Jesteś stary, człowieku - zauważył. - Naprawdę stary.

- Poniekąd - odparłem.

- Tak, człowieku. Rany. Hej, Marvin - spojrzał na brodatego kumpla -

widziałeś tego faceta? Jest naprawdę stary.

- Tak - potwierdził Marvin.

- Rany Julek, ale stary.

- Sam - powiedziałem -jestem twoim przyjacielem.

Wyciągnąłem powoli rękę. Nie uścisnął jej, tylko chwycił za palce i zaczął

je oglądać. Obrócił moją dłoń, przypatrując się najpierw grzbietowi, a potem opuszkom. Pogłaskał je.

-Hej, człowieku - zauważył-jesteś lekarzem.

- Tak - odparłem.

- Masz ręce lekarza. Czuję to.

-Tak.

- Człowieku, jakie piękne ręce.

Milczał przez chwilę, badając moje dłonie - szczypiąc naskórek, gładząc włoski na grzbietach, dotykając paznokci.

- Błyszczą- stwierdził w końcu. - Chciałbym mieć takie ręce.

- Może masz.

Puścił moje dłonie i spojrzał na swoje.

- Nie, moje są inne.

- Czy to źle?

Popatrzył na mnie zdziwiony.

- Dlaczego przyszedłeś?

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Dobra, nie ma sprawy, człowieku. • - Potrzebuję informacji.

Nie zdawałem sobie sprawy, że popełniłem błąd, dopóki nie zbliżył się Marvin. Sam wydawał się pobudzony. Odepchnąłem Marvina na bok.

- W porządku, Sam. W porządku.

- Jesteś gliną-powiedział Sam.

-Nie. Nie jestem żadnym gliną. Nie ma tu żadnych glin, Sam.

- Kłamiesz, jesteś gliną.

- Często dostaję paranoi - wyjaśnił mi Marvin. - Ciągłe się boi, że mu odwali.

- Jesteś gliniarzem, cholernym gliną.

- Nie, Sam, nie jestem gliniarzem. Jeżeli nie chcesz mi pomóc, to sobie pójdę.

- Gliniarz, krawężnik, pies.

-Nie, Sam. Nie, nie.

Uspokoił się, rozluźnił mięśnie i oparł się plecami o ścianę.

Wziął głęboki oddech.

- Sam, masz przyjaciółkę, Bańkę.

/^

-Tak.

- Bańka ma przyjaciółkę o imieniu Karen.

Patrzył nieprzytomnie przed siebie. Minęła dłuższa chwila, nim

odpowiedział.

- Tak, Karen.

- Bańka mieszkała z Karen. W lecie.

-Tak.

- Poznałeś Karen?

-Tak.

Zaczął dyszeć, jego oczy otworzyły się szeroko, klatka piersiowa unosiła się i opadała gwałtownie.

Łagodnie położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, Sam. Spokojnie. Spokojnie. Coś nie tak?

- Karen - wymamrotał, wpatrując się w ścianę naprzeciwko. - Była...

okropna.

- Sam...

- Była okropna, człowieku. Okropna.

- Sam, gdzie jest teraz Bańka?

- Wyszła. Poszła do Angeli. Angela...

- Angela Harding - wyjaśnił Marvin. - Razem z Karen i Bańką

wynajmowały w lecie mieszkanie.

- Gdzie mogę znaleźć Angelę? - zapytałem Marvina.

W tym momencie Sam poderwał się i zaczął wrzeszczeć: „Glina! Glina!”

Zamachnął się na mnie, nie trafił i próbował mnie kopnąć. Złapałem jego stopę i zważył się na jakies elektroniczne urządzenie. Pokój wypełnił

głośny, świdrujący pisk.

- Idę po torazyne* - rzucił Marvin.

- Pieprzyć torazyne - powiedziałem. - Lepiej mi pomóż. - Chwyciłem Sama i przygniotłem go do podłogi.

- Glina! Glina! Glina! - wołał chłopak, przekrzykując elektroniczny jazgot.

Kopał i próbował się wyrwać. Marvin rzucił mi się na pomoc, ale nie wiedział, co robić. Sam zaczął walić głową o podłogę.

- Podłóż mu stopę pod głowę. Nie zrozumiał.

- Szybko! - ryknąłem.

W końcu wykonał rozkaz. Sam wciąż się wił w moim uścisku, ale nie groził mu już wstrząs mózgu. Wreszcie go puściłem. Przestał się rzucać, spojrzał najpierw na własne dłonie, a potem na mnie.

- Hej, człowieku, co jest?

- Możesz się już uspokoić - odparłem.

- Puszczaj, człowieku.

Skinałem na Marvina, który poszedł wyłączyć sprzęt muzyczny. Pisk ustał.

W pokoju zaległa dziwna cisza.

Sam usiadł, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Hej, człowieku. Co jest? Zostaw. Przyjrzał się mojej twarzy.

- Człowieku, jesteś piękny - powiedział, gładząc mnie po policzku. A potem mnie pocałował.

* Torazy na (Thorazine) to środek uspokajający, powszechnie używany jako antidotum na halucynacje po zażyciu LSD.

Kiedy wróciłem do domu, Judith leżała w łóżku. Nie spała.

- Co się stało?

Rozbierając się, powiedziałem:

-Zostałem pocałowany.

- Przez Sally? - Wydawała się rozbawiona.

- Nie. Przez Sama Archera.

- Tego kompozytora?

- Zgadza się.

- Dlaczego?

- To długa historia - odparłem.

-Nieważne, nie chce mi się spać.

Opowiedziałem jej o wszystkim, a potem wsunąłem się pod kołdrę i pocałowałem ją.

- Zabawne - zauważyłem. - Jeszcze nigdy nie całował mnie mężczyzna.

Pogłaskała mnie po szyi.

-I co? Podobało ci się?

-Nieszczególnie.

- Dziwne. Boja to lubię - zamruczała, przytulając się do mnie.

- Założę się, że mężczyźni całowali cię przez całe życie - powiedziałem.

- Niektórzy okazali się lepsi od innych.

- Kto jest lepszy od innych?

-Ty.

- Czy to wyznanie? - zapytałem. Czubkiem języka polizała mój nos.

- Nie - odparła. - To zaproszenie.

Środa, 12 października

Raz w miesiącu Pan Bóg lituje się nad Kolebką Wolności i pozwala słońcu zaświecić nad Bostonem. Właśnie nadszedł taki dzień, chłodny, jasny i rześki. Obudziłem się w dobrym humorze, z silnym przeświadczeniem, że wreszcie nastąpi jakiś przełom.

Przygotowałem sobie solidne śniadanie, na które składały się między innymi dwa jajka, i pożarłem je ze smakiem, z lekkim poczuciem winy rozkoszując się potężną dawką cholesterolu. Następnie poszedłem do gabinetu, żeby ułożyć plan dnia. Zacząłem od rozpisania listy osób, z którymi się spotkałem, aby potem wyłonić spośród nich podejrzanych.

Okazało się, że właściwie nikogo takiego nie mam.

Zazwyczaj w przypadku aborcji podejrzewa się przede wszystkim samą kobietę, ponieważ na to wskazują statystyki. Jednak Karen musiała zostać znieczulona, więc to nie ona była sprawcą.

Jej brat wiedział, jak wykonać zabieg, ale pracował w tym czasie w szpitalu. Mogłem to sprawdzić, ale na razie nie widziałem powodu, żeby mu nie wierzyć.

Peter Randall i J.D. także mieli odpowiednie kwalifikacje, ale jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby którykolwiek z nich podjął się tej operacji.

Zostawał więc Art lub ktoś ze znajomych Karen z Beacon Hill. Albo osoba, której jeszcze nie poznałem i o której istnieniu nawet nie wiem.

Wpatrywałem się przez chwilę w moją listę, a potem zadzwoniłem na patologię do Szpitala Miejskiego. Nie zastałem Alice, więc musiałem rozmawiać z inną sekretarką.

- Czy jest już diagnoza Karen Randall?

- Jaki numer ma przypadek?

- Nie znam numeru.

- Byłoby mi łatwiej, gdyby podał pan numer- powiedziała z irytacją.

- Proszę jednak sprawdzić - odrzekłem.

Doskonale wiedziałem, że na biurku, pod samym nosem, ma kartotekę ze wszystkimi przeprowadzonymi w ciągu ostatniego miesiąca sekcjami zwłok, ułożoną zarówno według numeru, jak i alfabetycznie. Odszukanie odpowiedniej karty nie powinno stanowić żadnego problemu.

Po długiej ciszy odezwała się znowu:

- Jest. Krwotok pochwowy na skutek przebicia ściany macicy podczas abrazji, mającej na celu usunięcie trzymiesięcznej ciąży. Zgon nastąpił z powodu utraty krwi oraz uogólnionej anafilaksji.

- Rozumiem. Jest pani pewna?

- Po prostu czytam panu, co tu jest napisane - odrzekła.

- Dziękuję.

Nie posiadając się ze zdumienia, odłożyłem słuchawkę. Judith podała mi kubek kawy.

- Co się stało? - zapytała.

- Raport z autopsji podaje, że Karen Randall była w ciąży.

-Aha... A była?

- Według mnie, nie - odparłem.

Możliwe, że się pomyliłem. Badanie mikroskopowe mogło rozstrzygnąć tę kwestię, która po oględzinach zwłok nie była jednoznaczna. Wydało mi się to jednak mało prawdopodobne.

Zadzwoiłem do laboratorium Murpha, żeby zapytać, czy są już wyniki badań hormonalnych. Jeszcze nie, będą najwcześniej po południu.

Powiedziałem, że zadzwonię później.

Otworzyłem książkę telefoniczną i odszukałem adres Angeli Harding.

Mieszkała na Chestnut Street - w bardzo dobrej okolicy.

Pojechałem tam.

Chestnut Street biegnie u podnóża Beacon Hill, niedaleko Charles. Jest to spokojna ulica domów mieszkalnych, antykwariatów, restauracyjek i sklepików spożywczych. Mieszkają tu przede wszystkim wykształceni młodzi ludzie - lekarze, prawnicy i urzędnicy bankowi. Zależy im na dobrym adresie, ale nie stać ich jeszcze na to, żeby przenieść się do Newton albo Wellesley. Nie brakuje także ludzi starszych - zamożnych pięć-dziesięcio- i sześćdziesięciolatków, którzy odchowali dzieci i zdecydowali się na powrót do miasta. Jeśli chce się mieszkać w mieście, koniecznie musi to być Beacon Hill.

Oczywiście, trafiali się tu również studenci, gniotący się po trzy lub cztery osoby w ciasnych klitkach, bo tylko w ten sposób mogli uzbierać na czynsz. Starsi mieszkańcy chyba lubili studentów, ponieważ wnosili do sąsiedztwa koloryt i świeżość. To znaczy, lubili ich o tyle, o ile wyglądali schludnie i grzecznie się zachowywali.

Angela Harding mieszkała na pierwszym piętrze kamienicy bez windy.

Zapukałem do drzwi. Otworzyła mi szczupła ciemnowłosa dziewczyna ubrana w mini i sweter. Na nosie miała duże okrągłe okulary, a na policzku wymalowany kwiatek.

- Angela Harding?

-Nie -odparła. - Spóźnił się pan. Wyszła. Ale może niedługo wróci.

-Nazywam się Berry, jestem patologiem.

-Aha.

Dziewczyna przygryzła wargę, przyglądając mi się niepewnie.

- To ty jesteś Bańka?

- Tak. - powiedziała. - Skąd pan wie? - A po chwili pstryknęła palcami. -

Oczywiście. To pan był wczoraj u Klawisza.

- Zgadza się.

- Mówili mi, że pan przyjdzie.

- Właśnie.

- Proszę wejść. - Odsunęła się, żeby mnie wpuścić.

W mieszkaniu prawie nie było mebli. W salonie stała kanapa, a na podłodze leżało parę poduszek; przez niedomknięte drzwi do sypialni dostrzegłem nieposłane łóżko.

- Próbuję dowiedzieć się czegoś o Karen Randall - zacząłem.

- Słyszałam.

- Czy to tutaj mieszkaliście w lecie?

-Tak.

- Kiedy ostatnio widziałaś Karen?

-Nie widziałam jej od miesiący. Tak samo jak Angela.

- Czy Angela ci to mówiła?

- Tak. Oczywiście.

- A kiedy to powiedziała?
 - Wczoraj wieczorem. Rozmawialiśmy o Karen. Bo widzi pan, właśnie dowiedzialiśmy się, że miała... ten, no... wypadek.
 - Kto wam o tym powiedział? Wzruszyła ramionami.
 - Po prostu, wieść się rozniosła.
 - Jaka wieść?
 - Że miała nieudaną skrobankę.
 - Wiesz, kto ją zrobił?
 - Aresztowali jednego lekarza - odparła. - Ale to już pan wie.
 - Tak.
 - To pewnie on. - Wzruszyła ramionami i odgarnęła włosy z twarzy. Miała bardzo bladą cerę. - Ale trudno powiedzieć.
 - Jak to?
 - Bo Karen nie była głupia. Już to przerabiała. Choćby w te wakacje.
 - Miała aborcję?
 - Tak, właśnie. I wpadła potem w niezłego doła. Miała kilka naprawdę strasznych jazd. Bardzo ją to dobiło. Dostała obsesji na punkcie dzieci i wiedziała, że to chore, bo miała te nieciekawe odloty. Chcieliśmy, żeby przez jakiś czas po skrobance nie brała, ale uparła się i było naprawdę okropnie.
 - To znaczy?
 - Raz myślała, że jest nożem. Wyskrobywała pokój i krzyczała, że jest cały we krwi, że wszystkie ściany spływają krwią. I myślała, że okna są dziećmi, które robią się sine i umierają. Naprawdę kiepska jazda.
 - I co zrobiliście?
 - Zajęliśmy się nią. - Bańka wzruszyła ramionami. - Co niby miałyśmy zrobić?
- Sięgnęła po stojący na stole kubek, wyjęła z niego zakończony pętelką drucik i machnęła nim w powietrzu. Pofrunęły mydlane bańki, które zaczęły wolno opadać na podłogę. Dziewczyna patrzyła, jak pryskają jedna po drugiej, lądując miękko na drewnianej klepce.
- Było naprawdę nieciekawie.

- Kto zrobił tę skrobankę w wakacje? - zapytałem. Roześmiała się.

-Nie wiem.

- A jak do niej doszło?

-Normalnie. Zaszła w ciążę i oświadczyła, że się jej pozbędzie. Więc wyjechała na jeden dzień, a potem wróciła uśmiechnięta i szczęśliwa.

-Nie miała żadnych problemów?

- Absolutnie żadnych. - Znowu puściła bańki. Kiedy opadły, powiedziała: -

Przepraszam na momencik.

Poszła do kuchni, nalała sobie szklankę wody i popiła pastylkę.

- Schodziłam na ziemię - oświadczyła - rozumie pan?

-Co to jest?

-Bombki.

-Bombki?

- Tak. No, wie pan. - Machnęła niecierpliwie ręką. - Spid. Samolociki.

Dopalacze.

- Amfetamina?

- Metedryna.

- Cały czas to bierzesz?

- Od razu widać, że lekarz. - Znowu odgarnęła włosy. - Ciągłe tylko pytania.

- Skąd to masz?

Widziałem tabletkę. Co najmniej pięć miligramów. Większość towaru z czarnego rynku ma po jednym miligramie.

- Zmieńmy temat, dobra?

- Jeżeli nie chcesz o tym rozmawiać, to dlaczego pozwoliłaś mi zobaczyć, co bierzesz?

- Uuu, do tego psychoanalitik.

- Pytam z czystej ciekawości.
- Po prostu się popisywałam - odrzekła.
- Może rzeczywiście.
- No właśnie. - Roześmiała się.
- Czy Karen też brała spida?
- Karen wszystko brała. - Bańka westchnęła. - Spida waliła nawet w żyłę.

Musiałem wyglądać na zdezorientowanego, bo przytknęła palec do przedramienia, imitując zastrzyk.

- Nikt inny tego nie robi - wyjaśniła. - Ale Karen to nie zraziło.
- Ajej odloty...
- Kwas. Raz DMT.
- Jak się potem czuła?
- Fatalnie. Zdołowała się. To były naprawdę kiepskie jazdy. Napędziły jej niezłego stracha. Nie mogła się pozbierać.
- Jak długo źle się czuła?
- Całe lato. Przez całe wakacje ani razu nie poszła z facetem do łóżka.

Jakby się bała.

- Jesteś tego pewna?
- Jasne.

Rozejrzałem się po mieszkaniu.

- Gdzie jest Angela?
- Wyszła na miasto.
- Dokąd? Chciałbym z nią porozmawiać.
- Ona też musi z panem porozmawiać i to szybko.
- Dlaczego? Ma jakieś kłopoty?

-Nie.

- W każdym razie chciałbym z nią pomówić. Bańka wzruszyła ramionami.

- Jak uda się panu ją znaleźć, to może porozmawiacie.

- Dokąd poszła?

- Na miasto. Już mówiłam.

- Słyszałem, że pracuje jako pielęgniarka.

- Zgadza się. Dobrze pan...

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła wysoka

dziewczyna, złorzecząc:

- Nie mogę nigdzie znaleźć tego skurwiela, ukrywa się, jeb... Gdy mnie zobaczyła, umilkła w pół słowa.

- Cześć, Ang - powitała ją Bańka. Kiwnęła na mnie głową. - Przyszedł do ciebie przystojniak. Stary, ale jary.

Angela Harding przemaszerowała zamaszystym krokiem przez pokój, usiadła na kanapie i zapaliła papierosa. Na jej ubiór składały się bardzo krótka czarna spódniczka, czarne kabaretki i czarne skórzane kozaki.

Miała długie ciemne włosy i surową piękną twarz o klasycznych, jakby wyrzeźbionych w marmurze rysach, twarz modelki. Trudno mi było

wyobrazić ją sobie jako pielęgniarkę.

- To pan rozpytuje o Karen? Pokiwałem głową.

- Niech pan siada - powiedziała.

- Ang, nie mówiłam mu... - odezwała się Bańka.

- Przynieś mi colę, dobrze? - rzuciła Angela. Bańka pokiwała potulnie głową i poszła do kuchni. - Chce pan colę?

-Nie, dziękuję. Wzruszyła ramionami.

- Jak pan sobie życzy. - Zaciągnęła się głęboko papierosem, po czym wgniotła go w popielniczkę. Jej ruchy były szybkie, ale twarz emanowała spokojem. Ściszyła głos. -Nie chciałam rozmawiać o Karen w obecności Bańki. Bardzo się przejęła.

- Czym? Karen?

- Tak. Przyjaźniła się z nią.

-A ty?

- Nie tak bardzo.

- Dlaczego?

-Na początku wszystko grało. Karen sprawiała wrażenie fajnej

dziewczyny, trochę postrzelonej, ale spoko. Polubiłyśmy się i

postanowiłyśmy zamieszkać we trzy. Później Bańka przeprowadziła się do Klawisza, a ja zostałam z Karen. I zaczęły się problemy.

-Dlaczego?

- Bo była walnięta. Miała świra. Bańka wróciła z colą.

- Nieprawda.

- Przy tobie zachowywała się inaczej.

- Wściekasz się po prostu, dlatego...

- Tak. Jasne. - Angela odrzuciła głowę do tyłu i założyła nogę na nogę.

Odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Bańka ma na myśli Jimmy'ego. To mój znajomy. Był rezydentem na oddziale położniczym.

- Właśnie na tym oddziale pracowałaś?

- Tak - odparła. - W każdym razie łączyło nas coś dobrego. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie, naprawdę było dobrze. Dopóki nie wmieszała się Karen.

Angela zapaliła następnego papierosa i odwróciła ode mnie wzrok. Nie wiedziałem, czy mówi do mnie, czy do Bańki. Było jasne, że dziewczyny nie zgadzają się ze sobą.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że odstawi coś takiego - ciągnęła Angela. -Nieprzyjaciółce. Przecież obowiązują jakieś zasady...

- Podobał się jej - przerwała jej Bańka.

- Podobał się jej? Tak, jasne. Przez krótkie siedemdziesiąt dwie godziny.

Angela wstała z kanapy i zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem.

Spódnica sięgała jej zaledwie do połowy ud. Była wyjątkowo atrakcyjną dziewczyną, o wiele ładniejszą od Karen.

- Jesteś niesprawiedliwa - zauważyła Bańka.

- Bo czuję się skrzywdzona.

- Wiesz, że to nieprawda. Wiesz, że Jimmy...

-Niczego nie wiem - oburzyła się Angela. - Wiem tylko, że Jimmy kończy rezydenturę w Chicago i nie jesteśmy już razem. Może gdybym... -Nie dokończyła.

- Może - przyznała Bańka.

- Może co? - zapytałem.

- Nieważne - mruknęła Angela.

- Kiedy ostatnio widziałaś Karen? - spytałem.

-Nie wiem. To musiało być jakoś w sierpniu. Zanim rozpoczęła naukę.

-Nie widziałaś jej w ostatnią niedzielę?

-Nie - odparła, wciąż chodząc po pokoju. Nie przystanęła nawet na chwilę.-Nie.

- Zabawne. Alan Zenner widział się z nią w niedzielę.

-Kto?

- Alan Zenner. Jej znajomy.

-Hm.

- Karen powiedziała mu, że się tutaj wybiera. Angela i Bańka wymieniły spojrzenia.

- Mała brudna świnią... - mruknęła Bańka.

- To nieprawda? - zapytałem.

-Nie - odrzekła Angela przez ściśnięte gardło. - Nie widziałyśmy się z nią.

- Ale Zenner był przekonany...

- Widocznie zmieniła zdanie. Jak zwykle. Karen tak często zmieniła zdanie, że trudno było stwierdzić, czy w ogóle jakieś miała.

- Ang, posłuchaj... - powiedziała Bańka.

- Przynies mi następną colę, dobra? - rozkazała stanowczo Angela. Bańka wstała i ze zwieszoną głową wyszła do kuchni.

- Bańka jest miła - wyjaśniła Angela - ale trochę naiwna. Chciałaby, żeby wszystko dobrze i szczęśliwie się kończyło. Dlatego tak bardzo przejęła się Karen.

-Rozumiem.

Nagle zatrzymała się. Stała dokładnie przede mną, jej ciało zeszywniało, a potem rozluźniło się powoli. Znow emanował z niej lodowaty spokój.

- Czy chciał mnie pan zapytać o coś szczególnego?

- Tylko o to, czy widziałaś Karen.

-Nie. Odpowiedź brzmi „nie”. Wstałem.

- W takim razie dziękuję za poświęcony mi czas. Angela pokiwała głową.

Poszedłem do drzwi. Wychodząc, usłyszałem głos Bańki:

-Już idzie?

- Zamknij się - warknęła Angela.

Kiedy dochodziło południe, zadzwoniłem do biura Bradforda i

poinformowano mnie, że jeden z pracowników kancelarii podejmie się obrony

doktora Lee. Adwokat nazywał się George Wilson. Połączono mnie z nim.

Przez telefon sprawiał wrażenie gładkiego i pewnego siebie; zgodził się na spotkanie o siedemnastej, ale nie w klubie Trafalgar. Umówiliśmy się w śródmiejskim barze U Tarana Thompsona.

Później zjadłem na mieście lunch i przejrzałem poranne gazety.

Wiadomość o aresztowaniu Arta trafiła już na pierwsze strony, jednak wciąż nikt nie wspominał o śmierci Karen Randall. Artykuły opatrzone zdjęciami Artura- z sadystycznymi cieniami pod oczami, ustami

wykrzywionymi w ponurym uśmiechu i rozczochranymi włosami.

Wyglądał na typowego zwyrodnialca.

Same teksty nie mówiły zbyt wiele, opisywały tylko pobieżnie

okoliczności aresztowania. Zresztą nie musiały nic mówić, zdjęcia wyrażały wszystko aż nazbyt dobitnie. W pewnym sensie było to dość sprytne. Nie można nikogo oskarżyć o uprzedzenia wobec człowieka, który jeszcze nie stanął przed sądem, na podstawie mało pochlebnej fotografii.

Po lunchu wypaliłem papierosa, próbując zebrać wszystko w całość. Nie bardzo mi się to udało. Relacje na temat Karen były sprzeczne, mało konkretne. Nie potrafiłem sobie wyobrazić ani jej samej, ani tego, co mogła wykombinować. A już zupełnie nie wiedziałem, co mogłaby zrobić, gdyby przyjechała na weekend do Bostonu, zdecydowana na skrobankę.

O pierwszej zadzwoniłem znowu do laboratorium Murphy'ego, który osobiście odebrał telefon.

- Hormony, spółka z o. o.

- Cześć, Murph. Jakie wyniki?

- Karen Randall?

-No, no, Murph, widzę, że odrobiłeś pracę domową.

- Niezupełnie - odparł. - Właśnie dzwonił do mnie Weston z Miejskiego.

Pytał, czy przyniosłeś próbkę krwi.

-I co ty na to?

- Że tak.

-I jak zareagował?

-Chciał wiedzieć, jakie są wyniki. Powiedziałem mu.

- A jakie są wyniki?

- Poziom wszystkich hormonów jest całkiem niski. Nie była w ciąży. To absolutnie wykluczone.

-Dzięki.

Murph właśnie tchnął trochę życia w moją teorię. Niewiele, ale jednak.

- Wyłumaczysz mi to, John? - poprosił.

- Nie teraz.

-Obiecałeś.

- Wiem - przyznałem. - Ale nie teraz.

- Podejrzywałem, że mi to zrobisz - poskarżył się Murph. - Sarah mnie znenawidzi. -Jego żona

uwielbiała plotki.

- Przepraszam, ale po prostu nie mogę.
- To tak się postępuje ze starymi kumplami?
- Przykro mi.
- Jeżeli wystąpi o rozwód - odrzekł Murph - obarczę cię

odpowiedzialnością.

O trzeciej po południu zjawiłem się w Budynku Mallory'ego. Pierwszą osobą, na jaką się natknąłem, był Weston. Wyglądał na zmęczonego.

Powitał mnie krzywym uśmiechem.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytałem.
- Wyniki są negatywne - odrzekł. -Nie była w ciąży.
- O?
- Tak. - Wziął teczkę z protokołem z autopsji i zaczął wertować kartki. -

Nie ma wątpliwości.

- Dzwoniłem tutaj wcześniej i powiedziano mi, że sekcja wykazała trzymiesięczną ciążę.
- Z kim rozmawiałeś? - zapytał ostrożnie'Weston.
- Z sekretarką.
- Musiała nastąpić jakaś pomyłka.
- Na to wygląda. Podał mi teczkę.
- Rzucisz okiem na preparaty?
- Tak. Chętnie.

Poszliśmy do podzielonego na boksy pokoju, w którym patolodzy

przechowywali preparaty i badali je pod mikroskopem.~^\"

Zatrzymaliśmy się przy jednym z boksów.

- Są tutaj - oznajmił Weston, wskazując pudełko z preparatami. -Chętnie poznam twoją opinię.

Kiedy zostawił mnie samego, usiadłem przed mikroskopem, włączyłem światło i zabrałem się do pracy. W pudełku znajdowało się w sumie trzydzieści preparatów z tkanek wszystkich najważniejszych organów.

Sześć pochodziło z różnych części macicy. Zacząłem właśnie od nich.

Od razu stało się dla mnie jasne, że dziewczyna nie była w ciąży. Błona macicy nie wykazywała rozrostu. Wyglądała raczej na atroficznej nabłonek był cienki, słabo unaczyniony, z nielicznymi gruczołami.

Obejrzałem kilka innych preparatów, żeby się upewnić. Wszystkie okazały się takie same. Niektóre zawierały zakrzepy po czyszczeniu macicy, ale nie dostrzegłem żadnych innych różnic.

Przyglądając się próbkom, zastanawiałem się nad ich znaczeniem.

Dziewczyna nie była w ciąży, ale wydawało jej się, że jest inaczej. W

takim razie musiała przestać miesiączkować. To by się zgadzało z atroficznym wyglądem błony macicznej. Ale co spowodowało

wstrzymanie cyklu menstruacyjnego? Przebiegłem w myślach diagnozy różnicowe.

W przypadku dziewczyny w jej wieku natychmiast zwracają uwagę

czynniki natury psychicznej. Stres i podniecenie związane z rozpoczęciem nauki w nowej szkole i zmianą środowiska mogły stłumić na jakiś czas miesiączkowanie - ale nie na trzy miesiące i nie z towarzyszącymi temu objawami: nadwagą, zmianami owłosienia, sennością i tak dalej.

Mogło też chodzić o zaburzenia hormonalne. O wirylizację związaną z zespołem nadnerczowo-płciowym, zespół Steina i Leventhala albo

irradiację. Każda z tych diagnoz z tego lub innego powodu wydawała się mało prawdopodobna, ale istniał prosty i szybki sposób, by je

zweryfikować.

Umieściłem pod mikroskopem preparat z tkanką nadnerczy. Znalazłem przekonujące objawy zaniku kory, zwłaszcza w komórkach warstwy

pasmowatej. Warstwa kłębkowata wyglądała normalnie.

To wykluczało zespół maskulinizujący i guz nadnercza.

Następnie przyjrzałem się jajnikom. Tutaj zmiany aż kłuły w oczy.

Pęcherzyki były małe i podwiędłe. Cały organ, podobnie jak błona macicy, miał atroficzny wygląd.

To obalało diagnozę zespołu Steina i Leventhala oraz guza jajników.

Wreszcie zbadałem preparat z tarczycy. Nawet pod małym powiększeniem zanik gruczołu wydawał się oczywisty. Pęcherzyki były skurczone, a liczba komórek nabłonka sześciennego niska. Podręcznikowe objawy niedoczynności.

Oznaczało to, że tarczyca, nadnercza, jajniki i macica wykazywały atrofię.

Diagnoza wydawała się jasna, ale gorzej z etiologią. Otworzyłem teczkę i przekartkowałem oficjalny raport. Styl Westona był zwięzły i precyzyjny.

Zatrzymałem się na wynikach badań mikroskopowych. Weston odnotował, że błona macicy jest cienka i nienormalna, ale uznał, iż pozostałe gruczoły

„wyglądają zdrowo, znak zapytania, ze śladami wczesnych zmian atroficznych”.

Zamknąłem teczkę i poszedłem się z nim zobaczyć.

Weston siedział za starym masywnym biurkiem w swoim dużym,

wypełnionym książkami gabinecie. Palił fajkę i wyglądał uczenie i sędziwie.

- Coś nie tak? - zapytał.

Zawahałem się. Zastanawiałem się, czy nie zatuszował sprawy i nie przyłączył się do ludzi próbujących zrobić Arta. Uznałem to jednak za nedorzecznosc. Westona nie można było kupić - nie w tym wieku i nie przy jego reputacji. Nie czuł się również szczególnie związany z Randallami. Nie miał powodu, żeby fałszować wyniki autopsji.

- Tak - odparłem. - Diagnoza z badań mikroskopowych.

- Tak? - spytał, spokojnie pykając z fajeczki.

-Tak. Właśnie obejrzałem preparaty i dostrzegłem atrofię. Pomyślałem, że może...

- Cóż, John - powiedział Weston, chichocząc - wiem, co zamierzasz powiedzieć. Pomyślałeś, że może zechcę je przejrzeć jeszcze raz.

-Uśmiechnął się do mnie. - Już to zrobiłem, i to dwukrotnie. To ważny przypadek, więc starałem się być jak najbardziej dokładny. Kiedy pierwszy raz badałem preparaty, pomyślałem to samo co ty: niewydolność przysadki mózgowej, która wpłynęła na atrofię trzech organów: tarczycy, nadnerczy oraz jajników. Kierując się tym przeczuciem, obejrzałem powtórnie całe organy. Jak sam stwierdziłeś, nie wydawały się niezdrowe.

- Może dlatego, że niewydolność wystąpiła dopiero niedawno -

podsunąłem.

- Tak - odrzekł - możliwe. Właśnie dlatego tak trudno o diagnozę. Poza tym nie mieliśmy okazji zbadać mózgu. Niestety, już tego nie zrobimy, dziś rano ciało poddano kremacji.

-Rozumiem. Uśmiechnął się.

- Usiądź, John. Denerwuję się, gdy tak nade mną stoisz. - Kiedy siadałem, dodał: - W każdym razie, po oględzinach organów wróciłem do

preparatów. Tym razem byłem już mniej pewny. Nabrałem wątpliwości.

Dlatego przejrzałem starsze przypadki niewydolności przysadki, a potem po raz trzeci rzuciłem okiem na preparaty Karen Randall. Moje

wątpliwości wzrosły, diagnoza niewydolności stała się jeszcze bardziej niepewna. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej się wahałem. Żałowałem, że nie mam do dyspozycji więcej informacji, na przykład o patologii mózgu albo o hormonach we krwi. Dlatego

zadzwoiłem do Murphy'ego.

-O?

- Tak. - Zgasła mu fajka. Zapalił ją ponownie. - Podejrzewałem, że wzięłaś próbkę krwi, żeby zbadać poziom estradiolu, i dałaś ją Murphy'emu.

Chciałem się dowiedzieć, czy poprosiłaś także o sprawdzenie innych hormonów - TSH, ACTH, T4, czegokolwiek, co mogłoby okazać się

pomocne.

- Dlaczego po prostu nie zadzwoniłaś do mnie?

- Zadzwoiłem, ale nikt w twoim laboratorium nie wiedział, gdzie jesteś.

Pokiwałem głową. Wszystko, co powiedział, brzmiało bardzo sensownie.

Poczułem ulgę.

- A tak przy okazji... Podobno kilka miesięcy temu zrobiono Karen Randall rentgen czaszki. Wiesz, co wykazały zdjęcia?

- Nic - odparłem. - Wszystko w normie.

- Szkoda - westchnął.

- Ale mogę powiedzieć ci coś interesującego - oznajmiłem.

-Co?

- Zdjęcia zostały zamówione, ponieważ Karen skarżyła się na zaburzenia wzroku.

Weston znów westchnął.

- Wiesz, John, jaka jest najbardziej powszechna przyczyna zaburzeń wzroku?

-Nie.

- Brak snu - odrzekł. Przesunął fajkę w kąt ust i przygryzł ją mocno.

- Co byś zrobił na moim miejscu? Napisałbyś diagnozę na podstawie skargi pacjentki, której nie potwierdziło prześwietlenie?

- Preparaty wskazują na co innego - przypomniałem mu.

- Ale tylko wskazują. Nie możemy mieć pewności. - Pokręcił głową.

- Ta sprawa jest już i tak dostatecznie zawikłana. Nie zamierzam jeszcze bardziej jej komplikować, dorzucając diagnozę, co do której nie jestem przekonany. W końcu mogą mnie wezwać do sądu, żebym złożył zeznania.

Wolę się nie wychylać. Jeżeli oskarżenie albo obrona znajdzie patologa, który się na to zdecyduje, to nie będę miał nic przeciwko temu. Mogę udostępnić wszystkie materiały. Jednak sam nie zaryzykuję. Moje doświadczenia z sądami nauczyły mnie co najmniej jednego.

-Czego?

-Nigdy nie zajmuj stanowiska, jeżeli nie jesteś przekonany, że zdołasz je obronić w ostrym sporze. Brzmi to jak dobra rada dla generała

-uśmiechnął się - ale sąd nie jest niczym innym, jak tylko bardzo cywilizowaną formą wojny.

Musiałem zobaczyć się z Sandersonem. Obiecałem, że się z nim spotkam, a teraz naprawdę potrzebowałem jego rady. Kiedy jednak wszedłem do holu Szpitala Lincolna, natknąłem się na Harry'ego Fallona.

Wlókł się w stronę korytarza owinięty w płaszcz, kapelusz nacisnął

głęboko na czoło. Harry jest internistą i prowadzi cieszącą się powodzeniem praktykę w Newton. Kiedyś próbował sił w aktorstwie i lubi sobie od czasu do czasu pobłażnować. Kiedy go powitałem, ostrożnym ruchem uniósł rondo kapelusza. Miał przekrwione oczy i bladą twarz.

- Przeziębilem się - oznajmił.

- Do kogo się wybierasz?

- Do Gordona. - Wydobył z kieszeni chusteczkę i wydmuchał głośno nos. -

Z powodu przeziębienia. Roześmiałem się.

- Mówisz, jakbyś połknął watę.

- Bardzo dziękuję. - Pociągnął nosem. - Nie ma się z czego śmiać.

Oczywiście miał rację. Wszyscy praktykujący lekarze obawiali się choroby. Nawet małe przeziębienie było uznawane za szkodliwe dla image'u - dla tego, co nazywa się „zaufaniem pacjenta”. Natomiast każda poważniejsza choroba stawała się natychmiast ściśle tajna. Kiedy starego Henleya dopadło przewlekłe zapalenie nerek, zadał sobie wiele trudu, żeby pacjentom nigdy się o tym nie dowiedzieli. Do lekarza chodził w środku nocy, przemykając ulicami niczym złodziej.

- Nie przejmuj się, nie wygląda mi to na poważną infekcję - pocieszyłem go.

- Tag myślisz? To posłuchaj. - Znowu wydmuchał nos, trąbiąc przy tym jak słoń albo rozsierdzony hipopotam.

- Od jak dawna chorujesz?

- Od dwóch dni. Od dwóch długich okropnych dni. Pacjenci zaczynają zauważać.

- Czym się leczysz?

- Herbadą cydryną i z miodem. To najlepsze na wirusy. Ale świat jest przeciwko mnie, John. Nie dość, że mam katar, to jeszcze dzisiaj wlebili mi mandad.

- -

- Mandat?

- Tak. Za złe barkowanie - pozałił się Harry.

Roześmiałem się, ale gdzieś na skraju świadomości coś nie dawało mi spokoju. Wydawało mi się, że o czymś nie pomyślałem. Że umknęło mi coś istotnego. Było to bardzo nieprzyjemne i drażniące uczucie.

Znalazłem Sandersona w bibliotece patologicznej - kwadratowym

pomieszczeniu z mnóstwem składanych krzeseł, projektorem i ekranem.

Organizuje się tutaj konferencje, na których omawia się i prezentuje wyniki autopsji. Odbywają się tak często, że skorzystanie z bibliotecznego księgozbioru graniczy niemal z cudem.

Na półkach i w pudłach leżały raporty z patologicznych badań każdego pacjenta, który trafił do Lincoln'a po 1923 roku, kiedy to zaczęliśmy przechowywać najważniejsze dane. Przedtem nikt nie

miał większego pojęcia o tym, ile osób umierało i na jakie choroby, ale w miarę postępów wiedzy medycznej informacje te stały się kluczowe. Dowodzi tego chociażby fakt, że raporty ze wszystkich autopsji dokonanych w 1923 roku mieściły się w jednym niedużym pudełku, a w roku 1965 podobne

dokumenty zajmowały pół półki. Obecnie ponad siedemdziesiąt procent pacjentów, którzy umarli w szpitalu, poddawano sekcji zwłok i zaczęło się mówić o potrzebie mikrofilmowania raportów.

W kącie sali stał przenośny ekspres do kawy, cukiernica oraz jednorazowe kubeczki. Obok wisiała karteczka z napisem: 5 centów za kubek. Na honor skauta. Sanderson dłużej przy ekspresie, próbując zmusić go do działania.

Ekspres był prawdziwym, wręcz legendarnym wyzwaniem; panowało

przekonanie, że nikt nie może ukończyć rezydentury patologicznej w Lincolnie, jeżeli nie nauczy się go obsługiwać.

- Pewnego dnia - mruknął Sanderson - zginę porażony prądem przez to cholerne urządzenie. - Włączył ekspres do gniazdka; dał się słyszeć trzask i gulgot. - Albo spotka to jakiegoś innego nieszczęśnika. Ze śmietanką i z cukrem?

- Tak, poproszę - odparłem.

Sanderson napełnił dwa kubeczki, trzymając ekspres na odległość wyciągniętego ramienia. Sanderson zawsze miał kłopoty z wszelkimi mechanizmami. Znakomicie, niemal intuicyjnie rozumiał ludzki organizm, ale przedmioty ze stali i drutu zupełnie go przerastały. Żył w ciągłym strachu, że jego samochód, telewizor albo radio nagle nawali; postrzegał te sprzęty jako potencjalnych zdrajców i dezertersów.

Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, który w młodości

wiosłował w drużynie Harvardu. Jego przedramiona i nadgarstki miały grubość łydki przeciętnego człowieka, a zamyślona poważna twarz nadawała mu wygląd sędziego albo wytrawnego pokerzysty.

- Czy Weston mówił coś jeszcze? - zapytał.

-Nie.

- Sprawiasz wrażenie niezadowolonego.

- Powiedzmy, że jestem zaniepokojony. Sanderson pokręcił głową.

- Myślę, że nie masz powodu - zauważył. - Weston nie sfałszowałby raportu. Dla nikogo. Jeżeli mówi, że nie jest pewien, to tak musi być.

- Może sam powinieneś obejrzeć preparaty?

- Chętnie, ale obaj wiemy, że to niemożliwe.

Miał rację. Gdyby pojawił się w Budynku Mallory'ego i poprosił o pokazanie preparatów, Weston poczytałby to jako osobistą zniewagę.

Takich rzeczy po prostu się nie robiło.

- Może gdyby cię o to poprosił... - podsunąłem.

-Niby z jakiego powodu?

-Nie wiem.

- Weston postawił diagnozę i złożył pod nią swój podpis. To zamyka sprawę, chyba że ktoś podejmie ją w sądzie.

Poczułem się, jakby ziemia rozstała mi się pod stopami. Przez ostatnie dni przywykłem do myśli, że do procesu w ogóle nie dojdzie. Każdy proces, nawet zakończony uniewinnieniem, zepsułby poważnie reputację Arta, jego pozycję i praktykę. Za wszelką cenę trzeba było temu zapobiec.

- Ale uważasz, że miała niewydolność przysadki - odezwał się Sanderson.

-Tak.

- Etiologia?

- Myślę, że nowotwór.

- Gruczolak?

- Tak mi się zdaje. Może przewodziak czaszkowo-gardłowy.

- Od dawna?

- Raczej nie - odparłem. - Rentgen zrobiony cztery miesiące temu nie wykazał ani powiększenia, ani erozji siódła tureckiego*. Ale skarżyła się na zaburzenia wzroku.

- A może rzekome zapalenie opony mózgowo-rdzeniowej?

Rzekome zapalenie opony mózgowo-rdzeniowej to schorzenie spotykane u kobiet i małych dzieci. U pacjentów występują wszystkie objawy guza, mimo że go nie mają. Choroba wiąże się często z zakończeniem terapii sterydowej; kobiety nabawiają się jej czasem, biorąc pigułki

antykonieczne. Jednak o ile wiedziałem, Karen ich nie zażywała.

Powiedziałem o tym Sandersonowi.

- Szkoda, że nie mamy preparatów z mózgu - zauważył. Pokiwałem głową.

- Z drugiej strony, nie możemy zapominać, że wykonano skrobankę

-dodał.

* Siodło tureckie - część kości czaszki, zwrócona do wewnątrz czaszki w jej dole środkowym. W zagłębieniu s.t. leży przysadka (przyp. red.).

- Wiem - odrzekłem. - Ale to jeszcze jeden powód, by wątpić w winę Arta.

Przecież nie wyskrobałby dziewczyny, nie zrobiwszy testu ciążowego, który okazałby się negatywny.

- To tylko poszlaka.

- Wiem, ale to już coś. Jest od czego zacząć.

- Istnieje jeszcze inna możliwość. Jeśli przyjmujemy, że osoba, która przeprowadziła aborcję, uwierzyła Karen na słowo. Zmarszczyłem brwi.

-Nie rozumiem. Art jej nie znał; nigdy wcześniej jej nie widział. Dlaczego miałby...

-Nie mówię o Arturze - odrzekł Sanderson, wpatrując się we własne buty, jakby myślał o jakiejś wstydlivej sprawie.

- To o kim?

- Cóż, to tylko teoretyczna spekulacja... Czekałem.

- Tyle kłamstw krąży już wokół tej sprawy. Wolałbym ich nie mnożyć.

Milczałem.

-Nie zdawałem sobie z tego sprawy - podjął Sanderson. - Myślałem, że jestem całkiem dobrze poinformowany w tej dziedzinie, ale o tym dowiedziałem się dopiero dzisiaj. Jak można było przewidzieć, całe środowisko aż huczy od plotek. Córka J.D. Randalla umarła na skutek aborcji, więc nic nie jest w stanie powstrzymać lekarzy od gadania na ten temat. -Westchnął. - W każdym razie moja żona usłyszała to od żony któregoś z lekarzy. Nawet nie wiem, czy to prawda.

Nie zamierzałem go naciskać. Nie musiał się śpieszyć. Zapaliłem papierosa i czekałem cierpliwie na to, co powie.

- A niech to - mruknął Sanderson. - To pewnie tylko plotka. Nie wierzę, że wcześniej bym o tym nie usłyszał.

- O czym? - zapytałem wreszcie.

- O tym, że Peter Randall przeprowadza aborcje. W wielkiej tajemnicy i dla nielicznych, ale jednak.

- Jezu -jęknąłem, siadając na krześle.

- Trudno w to uwierzyć - pokiwał głową Sanderson.

Palilem papierosa i próbowałem wszystko sobie poukładać. Jeśli Peter robił aborcje, to czy J.D. o tym wiedział? Może próbował go osłaniać?

Czy właśnie to rozumiał przez „sprawę rodzinną”? Jeżeli tak, to dlaczego wplątał w nią Arta?

I dlaczego Peter miałby w ogóle zrobić dziewczynie skrobankę? Przecież zdawał sobie sprawę, że z Karen jest coś nie tak. Był na tyle dobrym lekarzem, żeby pomyśleć o guzie przysadki. Gdyby przyszła do niego, twierdząc, że zaszła w ciążę, na pewno przypomniałby sobie zaburzenia wzroku, i zrobiłby testy.

- Peter nie mógł tego zrobić - oświadczyłem z przekonaniem.

- Może na niego naciskała? Może jej się śpieszyło? Miała na to tylko jeden weekend.

-Nie. Nie ugiąłby się pod presją z jej strony.

- Należała do rodziny.

- Była młodą i rozhisteryzowaną dziewczyną- powiedziałem, przypominając sobie, jak scharakteryzował ją Peter.

- Możesz z absolutną pewnością stwierdzić, że to nie on?

- Nie - przyznałem.

- Przypuśćmy, że to był Peter. I założmy, że pani Randall wiedziała o aborcji wcześniej albo że Karen powiedziała jej o niej w drodze do szpitala. Jak by postąpiła pani Randall w takiej sytuacji? Wydałaby Petera policji?

Rozumiałem, do czego zmierza. Jego hipoteza zdawała się wyjaśniać, dlaczego pani Randail zadzwoniła na policję. Jednak wcale mi się nie spodobała. Powiedziałem to Sandersonowi.

- To dlatego, że lubisz Petera.

- Możliwe.

-Nie stać nas na to, żeby wykluczyć kogokolwiek na takiej podstawie.

Wiesz, gdzie Peter był w niedzielę wieczorem?

-Nie.

- Ja też nie - odrzekł - ale uważam, że warto to sprawdzić.

-Nie. Peter by tego nie zrobił. A nawet jeśli, to nie spałałby zabiegu w taki sposób. Żaden

profesjonalista nie popełniłby takiego błędu.

- Wyciągasz przedwczesne wnioski - zaproponował Sanderson.

- Słuchaj, jeżeli mógł to zrobić Peter, to równie dobrze mógł w ten sposób postąpić Art.

- Tak - przyznał Sanderson cicho. - Przyszło mi to do głowy.

Opuściłem Sandersona zdenerwowany. Nie wiedziałem dokładnie,

dłaczego. Być może Sanderson miał rację; może rzeczywiście

bezpodstawnie i wbrew logice poszukiwałem pewników - ludzi i spraw, co do których nie miałbym żadnych wątpliwości.

Ale nakładał się na to jeszcze inny problem. Istniało niebezpieczeństwo, że w sądzie wyjdzie na jaw rola, jaką odgrywaliśmy w tuszowaniu

działalności Arta, fałszując wyniki badań histopatologicznych. Zarówno Sanderson, jak i ja mieliśmy do stracenia równie dużo, co Art. Nie rozmawialiśmy na ten temat, ale uświadamiałem sobie sytuację i byłem pewien, że Sanderson również zdawał sobie z niej sprawę. A to nadawało całej sprawie zupełnie inny wymiar.

Sanderson miał rację - mogliśmy przycisnąć Petera Randalla. Gdybyśmy to jednak zrobili, nigdy nie dowiedzielibyśmy się, jakie kierowały nami motywy. Oczywiście, moglibyśmy powiedzieć, że wierzyliśmy w winę Petera albo że próbowaliśmy ocalić w ten sposób fałszywie posądzonego człowieka.

Jednak zawsze zastanawialibyśmy się, czy nie zrobiliśmy tego wyłącznie po to, żeby ratować własną skórę.

Postanowiłem, że zanim podejmę jakiegokolwiek działania, muszę zebrać więcej informacji. Argument Sandersona nie uwzględniał tego, czy pani Randall naprawdę wiedziała o aborcji, czy też tylko podejrzewała o nią Petera.

Poza tym trzeba było odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie. Jeżeli pani Randall podejrzewała Petera o wykonanie zabiegu i chciała uchronić go przed aresztowaniem, to dlaczego rzuciła oskarżenie na Arta? Co o nim wiedziała?

Art Lee był człowiekiem rozważnym i ostrożnym. Mało która kobieta w Bostonie wiedziała, czym się zajmuje. Znało go tylko kilku lekarzy i stosunkowo mała liczba pacjentek. Dokładnie wybierał swoich klientów.

W takim razie skąd pani Randall o nim wiedziała? Podejrzewałem, że odpowiedź może znać jeden człowiek: Fritz Werner.

Fritz Werner mieszkał w dwupiętrowym domu przy Beacon Street. Na parterze urządził sobie

bibliotekę, poczekalnię oraz duży wygodny gabinet z biurkiem, fotelem i kozetką. Na obu piętrach znajdowały się jego prywatne pokoje. Wszedłem prosto na samą górę i otworzyłem drzwi do salonu, który wyglądał tak jak zawsze: duże biurko przy oknie zasłane szkicownikami, ołówkami, pastelami i pędzlami, na ścianach rysunki Picassa i Miro, zdjęcie T.S. Eliota, podpisany portret Mariannę Moore rozmawiającej z Floydem Pattersonem.

Fritz siedział w masywnym fotelu ubrany w spodnie od garnituru i luźny sweter. Na uszach miał słuchawki, palił cygaro i płakał. Łzy spływały po jego chudych bladych policzkach. Kiedy mnie zobaczył, przetarł oczy i zdjął słuchawki.

- Ach, John. Znasz Albinoniego?

-Nie-odparłem.

- W takim razie nie wiesz, co to Adaggio.

- Obawiam się, że nie - przyznałem.

- Zawsze przyprawia mnie o łzy. Jest takie słodkie. Spocznij, John, proszę.

Usiadłem. Fritz wyłączył adapter i zdjął płytę. Wytarł ją ostrożnie i wsunął do koperty.

- Dobrze, że przyszedłeś. Jak ci minął dzień?

-Ciekawie.

- Poznałeś Bańkę?

-Owszem.

- Co o niej sądzisz?

- Zagadkowa dziewczyna.

- Dlaczego tak mówisz? Uśmiechnąłem się.

- Daruj sobie psychoanalizę, Fritz. Nigdy nie płacę rachunków za leczenie.

-Nie?

- Opowiedz mi o Karen Randall - poprosiłem.

- To paskudna sprawa, John.

- Mówisz zupełnie jak Charlie Frank.

- Charlie Frank nie jest kompletnym głupcem - odrzekł Fritz. - A propos, mówiłem ci już, że mam nowego przyjaciela?

-Nie.

- Wspaniała istota, bardzo zabawna. Musimy o nim kiedyś pogawędzić.

- Karen Randall - przypomniałem mu.

- Tak, oczywiście. - Fritz wziął głęboki oddech. -Nie znałeś tej dziewczyny, John - zaczął. - Nie była miła. Wcale. Była okrutnym, dwulicowym, antypatycznym dzieckiem z poważnymi neurozami. Na granicy psychozy, według mnie.

Przeszedł do sypialni, zdjął sweter i włożył świeżą koszulę oraz krawat.

- Jej problemy - ciągnął - były natury seksualnej i miały początek w dzieciństwie, kiedy musiała tłumić emocje. Jej ojciec jest najlepiej przystosowanym człowiekiem, jakiego znam. Małżeństwo z tą kobietą doskonale to pokazuje. Poznałeś ją?

- Obecną panią Randall?

- Tak. Upiorna, po prostu upiorna kobieta. Zadrżał, poprawiając przed lustrem krawat.

- Dobrze poznałeś Karen? - zapytałem.

-Niestety tak. Znałem też dobrze jej rodziców. Poznaliśmy się na tym wspaniałym, przepysznym przyjęciu u baronowej de...

- Po prostu mi powiedz - ponagliłem go. Fritz westchnął ciężko.

- Karen Randall - odparł - przedstawiała rodzicom ich własne neurozy. W

pewnym sensie odgrywała ich fantazje.

- To znaczy?

- Buntowała się przeciwko surowemu wychowaniu, była seksualnie

wyzwolona, nie zwracała uwagi na to, co pomyślą inni, romansowała z niewłaściwymi ludźmi. Sportowcami. Murzynami.

- Była twoją pacjentką? Westchnął.

-Nie, na całe szczęście. Kiedyś poproszono mnie, żebym ją przyjął, ale odmówiłem. Miałem w tym czasie trzy nastoletnie pacjentki, które były dostatecznie wyczerpujące.

- Kto cię o to poprosił?

- Oczywiście Peter. On jeden w tej rodzinie zachował zdrowy rozsądek.

- A co z aborcjami Karen?

- Z aborcjami?

-Nie udawaj, Fritz.

Podszedł do szafy, wyjął sportową marynarkę, włożył ją i wygładził klapy.

- Ludzie zwykle nie rozumieją - powiedział - że chodzi o pewien cykl, o pewien wzór, który jest równie łatwo rozpoznawalny i dobrze znany, jak na przykład zawał serca. Uczysz się wzoru, objawów i niebezpieczeństw.

A potem widzisz, jak rozgrywa się przed tobą wciąż od nowa.

Buntownicze dziecko z nieomylną trafnością odkrywa słabość rodziców i zaczyna ją wykorzystywać. Ale kiedy nadchodzi kara, musi ona zostać wymierzona w ten sam sposób, też musi się odwoływać do tej słabości.

Wszystko do siebie pasuje, jeżeli ktoś zadaje ci pytanie po francusku, to odpowiadasz po francusku.

-Nie rozumiem.

- Dla dziewczyny takiej, jak Karen najbardziej liczy się kara. Karen pożądała kary, ale takiej, która podobnie jak sam bunt byłaby natury seksualnej. Pragnęła cierpieć, wydając na świat dziecko, żeby w ten sposób skompensować zerwanie więzi z rodziną, ze społeczeństwem, z moralnością. .. Dylan przepięknie to ujął. Mam tu gdzieś jego wiersz... -

Zaczął przetrząsać półki z książkami.

- Nie przejmuj się - powiedziałem.

- Nie, nie, to wspaniały utwór. Spodoba ci się. - Po kilku chwilach poszukiwań, wyprostował się i mruknął: - Nie mogę go znaleźć. Cóż, nieważne. W każdym razie chodzi o to, że potrzebowała cierpienia, ale nie mogła go doświadczyć. I dlatego wciąż zachodziła w ciążę.

- Mówisz jak psychiatra.

- W dzisiejszych czasach wszyscy tak mówimy.

- Ile razy zaszła w ciążę?

- Z tego, co wiem, dwa. Ale słyszałem o tym tylko od pacjentów. Wiele kobiet czuło się przez nią zagrożonych. Karen uderzała w ich system wartości, w ich wycucie dobra i zła. Prowokowała je, jej zachowanie sugerowało, że są stare, bezpłciowe, zahukane i głupie. Kobieta w średnim wieku nie potrafi sobie poradzić z czymś takim. Musi odpowiedzieć, zareagować, formuje więc sobie opinię,

która przywraca jej wartość, a potępia Karen.

- A więc nasłuchałeś się wielu plotek...

Palił cygaro. Pokój wypełniało słońce i błękitny dym. Usiadł na łóżku i zaczął wkładać buty.

- Szczerze mówiąc, po jakimś czasie sam zniechęciłem tę dziewczynę.

Przesadzała, posuwała się za daleko.

- Może nie potrafiła się powstrzymać?

- Może potrzebowała solidnego lania w tyłek.

- Czy to twoja zawodowa opinia? Uśmiechnął się.

- Nie, dałem po prostu upust zwyczajnej ludzkiej irytacji. Gdybym zliczył

kobiety, które uciekły od mężów i wdały się w katastrofalne romanse tylko z powodu Karen...

- Daruj, ale nie interesują mnie te kobiety - przerwałem mu. - Interesuje mnie wyłącznie Karen.

- Karen nie żyje - przypomniał Fritz.

-Cieszysz się to?

-Nie bądź głupi. Dlaczego tak mówisz?

-Fritz...

- Tak tylko pytam.

- Fritz, ile skrobanek przeszła Karen przed ostatnią niedzielą?

-Dwie.

- Jedną w lecie, w czerwcu. I jedną jeszcze wcześniej?

-Tak.

- Kto wykonał zabieg?

-Nie mam zielonego pojęcia- odrzekł, wydmuchując dym z cygara.

- To musiał być ktoś dobry - zauważyłem - bo Bańka mówiła, że Karen nie było tylko jeden dzień.

- Bardzo prawdopodobne. W końcu była bogata. Patrzyłem, jak siedzi na łóżku i zawiązuje sznurowadła, ciągle paląc cygaro. Jakimś sposobem domyśliłem się, że wie.

- Fritz, czy to był Peter Randall? Fritz chrząknął.
 - Skoro wiesz, to czemu pytasz?
 - Potrzebuję potwierdzenia.
 - Potrzebujesz mocnej pętli wokół szyi, jeśli o to pytasz. Ale tak, to był Peter.
 - Czy J.D. o tym wiedział?
 - Boże broń! Przenigdy! '- A pani Randall?
 - Hm. Jeśli o nią chodzi, trudno mieć pewność. Możliwe, że wiedziała, ale wątpię.
 - Czy J.D. wie, że Peter przeprowadza aborcje?
 - Tak. Wszyscy to wiedzą. Peter wręcz z tego słynie, słowo daję.
 - Ale J.D. nie wiedział, że Karen poddała się aborcji?
 - Zgadza się.
 - A co łączy panią Randall z Artem Lee?
 - Jesteś dzisiaj bardzo spostrzegawczy - zauważył Fritz. Czekałem na odpowiedź. Fritz wydmuchnął chmurę dymu, która spowiła dramatycznie jego twarz, i odwrócił wzrok.
 - Aha - domyśliłem się. - Kiedy?
 - W zeszłym roku. Przed świętami, jeśli się nie mylę.
 - I J.D. o niczym nie wiedział?
 - Przypomnij sobie, że J.D. spędził listopad i grudzień w Indiach, pracując na zlecenie Departamentu Stanu. Chodziło o jakąś inicjatywę charytatywną czy też akcję popularyzującą zdrowy tryb życia.
 - To kto był ojcem?
 - Cóż, krążą na ten temat rozmaite opowieści, ale nikt nie wie niczego na pewno. Zapewne łącznie z panią Randall.
- Znowu odniosłem wrażenie, że mnie okłamuje.
- Daj spokój, Fritz. Pomożesz mi czy nie?

- Drogi chłopcze, jesteś nieprawdopodobnie bystry. - Wstał, podszedł do lustra i wygładził marynarkę. Przesunął dłońmi po koszuli. Była to jedna z jego cech, które od razu rzucały się w oczy: Fritz wciąż dotykał własnego ciała, jakby chciał się upewnić, że nie znikło.

- Często łapię się na myśli - powiedział - że obecna pani Randall mogłaby być matką Karen, ponieważ obie mają niespożyty apetyt seksualny.

Zapaliłem papierosa.

- Dlaczego J.D. w ogóle się z nią ożenił?

Fritz wzruszył bezradnie ramionami i poprawił chusteczkę w kieszonce.

- Bóg raczy wiedzieć - odparł, wyciągając mankiety koszuli spod rękawów marynarki. - Wiele się o tym swego czasu mówiło. Pani Randall pochodzi z dobrej rodziny z Rhode Island, ale posłali ją do szwajcarskiej szkoły. Te szwajcarskie szkoły naprawdę potrafią zniszczyć dziewczynę. W każdym razie stanowiła kiepski wybór dla faceta pod sześćdziesiątkę, który jest do tego zajęty chirurgiem. Bardzo szybko znudziła się siedzeniem w domu.

Zresztą tego przede wszystkim uczą szwajcarskie szkoły -jak się nudzić.

Zapiął marynarkę i odwrócił się od lustra, oglądając się po raz ostatni przez ramię.

- Więc - dokończył - rzuciła się w wir rozrywek.

- Od jak dawna to trwa?

- Od ponad roku.

- Czy to właśnie ona załatwiła Karen skrobankę?

- Wątpię. Trudno mieć oczywiście pewność, ale raczej nie. Stawiałbym raczej na Signe.

- Signe?

- Tak. To kochanka J.D.

Wziętem głęboki oddech, zastanawiając się, czy Fritz się ze mnie nie nabija. Uznałem, że nie.

-J.D. ma kochankę?

- O, tak. Finkę. Pracowała w pracowni kardiologicznej w Memie. Podobno jest bardzo atrakcyjna.

-Poznałeś ją?

- Skądże.

- To skąd wiesz? Uśmiechnął się enigmatycznie.

-I Karen lubiła tę Signe?

- Tak. Przyjaźniły się. Zresztą były w podobnym wieku. Wolałem nie drążyć tego tematu.

- Widzisz - podjął Fritz - Karen była bardzo przywiązana do matki, która umarła dwa lata temu. Na raka odbytu, jeśli się nie mylę. Jej śmierć była dla Karen olbrzymim ciosem. Nigdy nie przepadała za ojcem, ale matkę darzyła wielkim zaufaniem i ze wszystkiego jej się zwierzała. Utrata ukochanej, a do tego zaufanej osoby w wieku szesnastu lat bardzo źle się na niej odbiła. Wiele z tego, co potem robiła, można przypisać złym radom.

-Ze strony Signe?

-Nie. Z tego, co słyszałem, Signe była bardzo porządną dziewczyną.

-Nie rozumiem.

- Jednym z powodów, dla których Karen nienawidziła ojca, było to, że wiedziała o jego skłonnościach. Widzisz, J.D. zawsze miał słabość do kobiet. Szczególnie młodych. Pierwsza była pani Jewett, a potem...

-Nieważne-przerwałem mu. Miałem już wystarczająco jasny obraz sytuacji. - Więc zdradzał również swoją pierwszą żonę?

- Raczej nie dochowywał jej wierności małżeńskiej - odparł Fritz.

- A Karen o tym wiedziała?

-Była bardzo spostrzegawczym dzieckiem.

- Jednego wciąż nie rozumiem. Jeżeli Randall lubi różnorodność, to dlaczego powtórnie się ożenił?

- Och, to dość oczywiste. Wystarczy spojrzeć na obecną panią Randall. To jego trofeum, dekoracja umilająca starość. Rodzaj egzotycznej rośliny doniczkowej, co zresztą mija się z prawdą mniej, niż by się wydawało, jeśli wziąć pod uwagę, ile ta kobieta pije.

- Ale to nie ma sensu - zauważyłem.

Spojrzał na mnie z ukosa, nie kryjąc rozbawienia.

- A ta pielęgniarka, z którąjadasz lunch dwa razy w tygodniu?

- Sandra jest tylko moją znajomą. To miła dziewczyna. - Kiedy to mówiłem, uderzyło mnie, jak dobrze jest poinformowany.

-I nic poza tym?

- Oczywiście, że nie - odrzekłem trochę sztywno.
- Po prostu tak się składa, że w czwartki i w piątki wpadacie na siebie w kafeterii?
- Tak. Nasze godziny pracy,..
- Jak myślisz, co ta dziewczyna do ciebie czuje?
- To tylko znajoma. Jest zresztą ode mnie młodsza o dobre dziesięć lat.
- I nie pochlebia ci to?
- Co masz na myśli? - zapytałem, wiedząc dokładnie, o co mu chodzi.
- Nie czerpiesz satysfakcji z rozmowy z nią? Sandra była pielęgniarką z ósmego piętra. Bardzo ładna - duże oczy, szczupła kibić, a kiedy chodziła...
- Nic między nami nie zaszło - oburzyłem się.
- I nigdy nie zajdzie. A mimo to spotykacie się dwa razy w tygodniu.
- Bo tak się składa, że to miła odmiana w mojej pracy. Dwa razy w tygodniu mamy intymne tete a tete w iskrzącej wprost erotyzmem atmosferze szpitalnej kafeterii.
- Nie ma powodu, żeby podnosić głos.
- Nie podnoszę głosu - odparłem, tym razem ciszej.
- Widzisz - wyjaśnił Fritz - mężczyźni różnie reagują w takich sytuacjach.

Ty nie czujesz przemożnej chęci, by przekroczyć granice przyjaznej rozmowy. Wystarcza ci, że dziewczyna siedzi przy tobie, chłonie każde twoje słowo i wpatruje się w ciebie, lekko zadurzona...

- Fritz...

- Dobrze. Weźmy przykład z mojego doświadczenia. Miałem kiedyś

pacjenta, który odczuwał wielką chęć zabijania ludzi. Uczucie to było tak silne, że trudno mu było nad nim zapanować. Żył więc w ciągłym strachu, że rzeczywiście kogoś zamorduje. Ale w końcu postarał się o pracę na Środkowym Zachodzie na etacie kata. Zaczął zarabiać, uśmiercając skazańców na krześle elektrycznym i okazał się w tym bardzo dobry. Był

najlepszym katem w stanie. Ma nawet kilka patentów; opracował techniki, które ułatwiają mu pracę i czynią śmierć mniej bolesną. Lubi swoją pracę.

Wkłada w nią wiele serca. Traktuje swój zawód zupełnie tak samo, jak lekarz, bo chodzi w niej o

zmniejszenie cierpienia, o niesienie humanitarnej pomocy.

-I co?

- Chodzi mi o to, że pragnienia można zaspokajać na różne sposoby. Jedne są dopuszczalne, a inne nie. Każdy musi sobie z nimi radzić.

- Oddaliliśmy się od Karen - zauważyłem.

- Wcale nie. Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego darzyła matkę tak wielkim uczuciem, a jej kontakty z ojcem były tak oschłe? Zastanawiałaś się, dlaczego, kiedy matka umarła, Karen przyjęła taki, a nie inny model zachowania? Seks, narkotyki, samoponiżenie? A nawet przyjaźń z

kochanką ojca?

Zagłębiłem się w fotelu. Fritz znowu przybrał mentorski ton.

- Ta dziewczyna-ciągnął- wyrobiła sobie pewne reakcje, jedne obronne, inne ofensywne, żeby uporać się z tym, co wiedziała o rodzicach.

Reagowała na to, co działo się w domu. Musiała. W pewnym sensie w ten sposób zachowywała równowagę.

- Niezła mi równowaga.

- To prawda - przyznał Fritz. - Nieprzyjemna, okropna, perwersyjna. Ale może tylko na to było ją stać.

- Chciałbym porozmawiać z tą Signe - stwierdziłem.

- To niemożliwe. Pół roku temu wróciła do Helsinek.

- A Karen?

- Karen stała się zagubioną duszą. Nie miała się do kogo zwrócić, została bez przyjaciół, bez pomocy. Albo tak to odczuwała.

- A co z Bańką i Angelą Harding? Fritz spojrzał na mnie pytająco.

-Co z nimi?

- Mogły jej pomóc.

- Czy tonący może uratować tonącego?

Taran Thompson był w latach pięćdziesiątych zapaśnikiem. Wyróżniała go spłaszczona, przypominająca stożek głowa, którą przyciskał powalonych przeciwników do ziemi, łamiąc im żebra.

Przez kilka lat publiczność uważała to za zabawne, dzięki czemu Thompsonowi udało się uciuć dość grosza, żeby założyć bar, który wkrótce stał się ulubionym miejscem spotkań robiących karierę młodych ludzi. Lokal był dobrze prowadzony; Thompson mimo zniekształconej czaszki nie należał do głupców. Chociaż przy wejściu goście wycierali nogi o zapaśniczą matę, a na ścianach wisiały zdjęcia właściciela, ogólny efekt był miły dla oka.

Kiedy wszedłem, w barze siedziała tylko jedna osoba- dobrze zbudowany, świetnie ubrany Murzyn, który pochylał się nad szklanką martini. Zająłem stołek przy kontuarze i zamówiłem szkocką. Bar obsługiwał sam

Thompson. Miał podwinięte rękawy, eksponujące masywne owłosione przedramiona.

- Znasz George'a Wilsona? - zapytałem.

- Jasne - odparł Thompson, uśmiechając się krzywo.

- Daj mi znać, kiedy przyjdzie, dobrze?

Thompson skinął głową na mężczyznę na drugim końcu baru.

- To ten.

Murzyn podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie. W jego oczach

dostrzegłem rozbawienie i rodzaj zawstydzenia. Podeszedłem i uściśnięłem mu dłoń.

- Przepraszam - powiedziałem. - Jestem John Berry.

- Nie szkodzi - odparł. - Dla mnie to też nowe doświadczenie.

Był młody, nie miał jeszcze trzydziestki. Za jego prawym uchem biegła blada blizna, która zniknęła pod kołnierzem. Ze spokojem w oczach poprawił krawat w czerwone prążki i zaproponował:

-Usiądziemy przy stoliku?

- Dobrze.

Kiedy szliśmy w stronę boksu, Wilson obejrzał się przez ramię i rzucił:

- Dwa razy to samo, Taran.

Emerytowany zapaśnik za barem mrugnął porozumiewawczo.

- Pracuje pan w kancelarii Bradforda, zgadza się? - zagadnąłem.

- Tak. Od roku. Pokiwałem głową.

- Chodziło o to, co zwykle - podjął Wilson. - Dali mi dobry gabinet z widokiem na recepcję, żeby

wchodzący klienci mogli mi się przyjrzeć.

Wiedziałem, o czym mówi, ale mimo to skręciło mnie w żołądku z irytacji.

Miałem kilku znajomych, którzy byli młodymi adwokatami i w ciągu kilku lat od podjęcia pracy nie dostali w ogóle żadnego gabinetu. Według obiektywnych kryteriów Wilson miał szczęście, ale mówienie mu tego wydawało się bezsensowne, ponieważ obaj uświadamialiśmy sobie,

dlatego los tak się do niego uśmiechnął. Wilson był rodzajem cudaka, towarem, który nagle zyskał na rynku pracy wielką wartość - był czarny i był wykształcony. Teraz świat stał przed nim otworem, a przyszłość malowała się w jasnych barwach. Ale wciąż był cudakiem.

- Czym się pan do tej pory zajmował?

- Głównie podatkami. Sporządziłem kilka umów sprzedaży

nieruchomości. Poprowadziłem jedną czy dwie sprawy cywilne.

Kancelaria nie ma zbyt wielu spraw karnych, jak się pan pewnie domyśla.

Ale kiedy zaczynałem pracę w firmie, wyraziłem zainteresowanie pracą w sądzie. Nie przypuszczałem, że zlecą mi obronę doktora Lee.

-Rozumiem.

- Po prostu chcę, żeby wszystko było między nami jasne.

-I myślę, że jest. Obarczyli pana sprawą, której nie można wygrać.

- Może. - Uśmiechnął się. - W każdym razie tak im się wydaje.

- A co pan o tym sądzi?

- Uważam, że to się okaże dopiero na sali sądowej.

- Ma pan linię obrony?

- Pracuję nad nią- zapewnił Wilson. - Będę się musiał postarać, bo potrzebujemy czegoś naprawdę dobrego. Przysięgli zobaczą czarnego adwokata wyciągniętego za uszy ze slumsów i Chińczyka, który przeprowadza aborcje, i wcale im się to nie spodoba.

Sączyłem swoją whisky. Thompson przyniósł nam drugą kolejkę.

- Z drugiej strony - powiedział Wilson - to dla mnie wielka szansa.

- Jeżeli pan wygra.

- Taki mam zamiar - odrzekł z naciskiem.

Nagle uświadomiłem sobie, że Bradford bez względu na powody, jakimi się kierował, podjął bardzo mądrą decyzję. Ten dzieciak naprawdę chciał

wygrać.

- Rozmawiał pan z Arturem?

- Dzisiaj rano.

- Jakie odniósł pan wrażenie?

- Jest niewinny. Bez dwóch zdań.

- Skąd ta pewność?

- Rozumiem go - odparł Wilson.

Przy drugim drinku opowiedziałem, czego udało mi się dowiedzieć przez ostatnie parę dni. Wilson słuchał w milczeniu. Ani razu mi nie przerwał, tylko od czasu do czasu zapisywał coś w notesie. Kiedy skończyłem, powiedział:

- Zaoszczędził mi pan sporo pracy.

- Co pan ma na myśli?

- Z tego, co pan mówi, wynika, że możemy zamknąć sprawę. Bez trudu uda nam się uwolnić doktora Lee od zarzutów.

- Dlatego, że dziewczyna nie była w ciąży? Pokręcił głową.

- W kilku precedensowych procesach, między innymi w sprawie

przeciwko Taylorowi, ustalono, że to, czy kobieta była w ciąży, jest nieistotne. Tak samo jak nie ma znaczenia to, czy płód był martwy przed wykonaniem aborcji.

- Innymi słowy, fakt, że Karen Randall nie była w ogóle w ciąży, nie ma związku ze sprawą?

-Dokładnie.

- Ale czy to nie świadczy o tym, że zabiegu dokonał amator, osoba, która wcześniej nie przeprowadziła testu ciążowego? Art nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

- Czy uważa pan, że to dobra argumentacja? Że doktor Lee jest niewinny, ponieważ ma zbyt duże doświadczenie w przeprowadzaniu aborcji, żeby popełnić tak prosty błąd?

-Nie, raczej nie - przyznałem zawiedziony.

-Nie możemy prowadzić obrony w oparciu o charakter oskarżonego, bo nigdy byśmy nie wygrali. -
Zaczął przerzucać kartki notesu. - Pozwoli pan, że przedstawię panu pokrótce sytuację od strony
prawnej. W 1845 roku w ustawie ogólnej stanu Massachusetts znalazł się zapis, że każde wywołanie
poronienia jest przestępstwem. Jeżeli pacjentka przeżyła, wyrok miał

wynosić do siedmiu lat kary pozbawienia wolności, w przypadku śmierci kobiety zalecono od
siedmiu do dwudziestu lat więzienia. Od tego czasu prawo uległo przekształceniom. Kilka lat później
dodano przepis mówiący, że aborcja wykonana w celu uratowania życia matki nie jest ścigana
prawem. Ale przepis ten nie znajduje w tym przypadku

zastosowania.

-Nie.

- Jeszcze później w sprawie przeciwko Vierze sąd orzekł, że jakiegokolwiek użycie narzędzia w
intencji wywołania poronienia stanowi przestępstwo, nawet jeśli nie nastąpił zgon matki ani płodu.
To może się okazać bardzo ważne. Jeżeli oskarżenie zamierza, w co nie wątpię, wykazać, że doktor
Lee od lat wykonuje aborcje, to prokurator użyje argumentu, że brak bezpośrednich dowodów w
sprawie nie wystarcza, by wydać werdykt uniewinniający.

- Rzeczywiście tak jest?

-Nie. Ale oskarżenie może to wykorzystać, a to poważnie zaszkodzi naszej sprawie.

- Proszę mówić dalej.

- Są jeszcze dwa orzeczenia, które mają dla nas szczególne znaczenie.

Nawiasem mówiąc, pokazują one, jak ostro prawo traktuje osoby

wykonujące aborcje bez względu na dobro pacjentek. W sprawie

przeciwko Woodowi sąd uznał, że zgoda pacjentki na przeprowadzenie zabiegu nie stanowi
usprawiedliwienia aborcji. Ten sam sąd orzekł poza tym, że śmierć kobiety jest tylko okolicznością
obciążającą. Oznacza to, że pańskie śledztwo dotyczące zgonu Karen Randall to z prawnego punktu
widzenia zupełna strata czasu.

-Ale myślałem..

- Tak. Ale powiedziałem, że sprawa jest zamknięta. I nie zmieniłem zdania.

- Jak to możliwe?

- Mamy dwa wyjścia. Po pierwsze, możemy przedstawić Randallom

informacje, które zdobyliśmy, jeszcze przed rozpoczęciem procesu.

Możemy zwrócić uwagę na fakt, że Peter Randall, osobisty lekarz ofiary, wykonywał nielegalne aborcje, a w szczególności co najmniej raz usunął

ciążę samej Karen Randall. Poza tym możemy wyjawić, że wiemy, iż pani Randall poddała się zabiegowi aborcji wykonanemu przez doktora Lee, co mogło stanowić powód złożenia przez nią fałszywych zeznań. Na koniec możemy wykazać, że Karen Randall była niezrównoważoną i rozwiązłą młodą damą, a jej ostatnie słowa łatwo podważyć. Możemy to wszystko przedstawić Randallom w nadziei, że wycofają oskarżenie, nim sprawa trafi do sądu.

Wzięłem głęboki oddech. Ten chłopak umiał ostro grać.

- A drugie wyjście?

- Drugie wyjście jest rozwinięciem pierwszego, tylko że podczas procesu.

Wydaje się oczywiste, iż kluczowe są związki łączące Karen, panią Randall i doktora Lee. Sprawa oskarżenia opiera się teraz na zeznaniu pani Randall. Dlatego musimy zdyskredytować zarówno ją, jak i jej słowa.

Musimy doszczętnie zniszczyć jej wiarygodność. Poza tym trzeba

przedstawić osobowość i zachowanie Karen, wykazać, że była rozwiązłą seksualnie narkomanką i kłamczynią. Musimy przekonać przysięgłych, że wszystko, co Karen mogła powiedzieć macosze albo komukolwiek

innemu, budzi poważne wątpliwości. Możemy także wykazać, że miała już dwie skrobanki, które wykonał Peter Randall, i że najprawdopodobniej przeprowadził on również ostatni zabieg.

- Jestem pewien, że Peter Randall tego nie zrobił - zaprotestowałem.

- Ale to nie ma związku ze sprawą- odparł Wilson.

- Dlaczego?

- Ponieważ to nie Peter Randall staje przed sądem, tylko doktor Lee, a my musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, żeby uwolnić go od

zarzutów.

- Nie chciałbym pana spotkać w ciemnym zaułku - powiedziałem,

przyglądając mu się z niepokojem.

-Nie podobają się panu moje metody? -Uśmiechnął się lekko.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Mnie też - odparł Wilson. - Ale zmusza nas do tego natura przepisów. W

wielu sytuacjach, gdy mamy do czynienia z relacją lekarz-pacjent, przepisy godzą w lekarza. W zeszłym roku mieliśmy sprawę stażysty z kliniki Gorly, który przeprowadził badanie pochwy i odbytu. W każdym razie tak mówił. Pacjentka twierdziła, że ją zgwałcił. Nie było żadnych świadków zdarzenia. Kobietę trzykrotnie leczono w szpitalu dla umysłowo chorych z powodu paranoi i schizofrenii. Ale to ona wygrała sprawę, a lekarz został skazany i stracił prawo do wykonywania zawodu.

- Wciąż mi się to nie podoba.

-Niech pan podejście do sprawy racjonalnie. Prawo jest jasne. Możemy je uznać za słuszne bądź niesprawiedliwe, ale trudno odmówić mu jasności.

Daje ono zarówno oskarżeniu, jak i obronie pewne możliwości, pewne wzory zachowań i taktyki. Niestety, w naszym przypadku sprowadza się to do podważenia wiarygodności świadków. Prokurator będzie się starał

zdiskredytować doktora Lee, a my - Karen, jej macochę i Petera Randalla.

On będzie miał po swojej stronie silne uprzedzenia bostończyków przeciwko aborcji. My natomiast możemy liczyć na to, że każdy

przysięgły z Bostonu chętnie zobaczy klęskę starej i bogatej rodziny.

- Paskudna sprawa.

- Bardzo paskudna - przyznał.

-Nie można tego załatwić w jakiś inny sposób?

- Oczywiście, że można. Trzeba znaleźć osobę, która rzeczywiście wykonała aborcję.

- Kiedy rozpocznie się proces?

- Rozprawa wstępna odbędzie się w przyszłym tygodniu.

- A sam proces?

- Zapewne za trzy tygodnie. Z jakiegoś powodu sprawie nadano

priorytetowy charakter. Nie wiem, jak do tego doszło, ale mogę się domyślić.

- Randall użył swoich wpływów. Wilson pokiwał głową.

- A jeśli sprawca nie znajdzie się przed rozpoczęciem procesu? -

zapytałem.

Wilson uśmiechnął się smutno.

- Mój ojciec - powiedział - był kaznodzieją. W Raleigh, w Północnej Karolinie. Był jedynym wykształconym człowiekiem w całej społeczności.

Uwielbiał czytać. Pamiętam, jak raz zapytałem go, czy wszyscy autorzy, których czyta, jak Keats i Shelley, są biali. Powiedział, że tak, wszyscy bez wyjątku. - Wilson potarł czoło, zakrył dłonią oczy. - W każdym razie, jako kaznodzieja i baptysta wierzył w surowego gniewnego Boga. Wierzył w gromy z nieba karzące grzeszników. Wierzył w ogień piekielny i wieczne potępienie. Wierzył w dobro i zło.

- A pan?

- Ja wierzę, że ogień trzeba zwalczać ogniem.

- A ogień zawsze ma rację?

- Nie - odrzekł. - Ale jest zawsze gorący i ma siłę przekonywania.

- Wierzy pan w zwycięstwo? Dotknął blizny na szyi.

-Tak.

- Nawet bez honoru?

- Honor - odparł -jest w samym zwycięstwie.

-Czyżby?

Wpatrywał się we mnie przez chwilę.

- Dlaczego tak bardzo pragnie pan chronić Randallów?

- Wcale nie.

- Takie odnoszę wrażenie.

- Robię tylko to, czego życzyłby sobie Art.

- Art chce się wydostać z więzienia. Tłumaczę panu, że mogę go stamtąd wyciągnąć. Nikt inny w Bostonie nie odważy się tknąć tej sprawy. Ale mówię panu, że mogę go wyciągnąć.

- Grając nieczysto - zauważyłem.

-Tak, na Boga, bardzo nieczysto. Ale czego pan się spodziewał? Meczku w krykieta? - Dopił drinka i dodał: - Niech pan posłucha, doktorze Berry. Co by pan zrobił na moim miejscu?

- Poczekalbym.

-Na co?

-Na prawdziwego sprawcę.

-A jeśli gonie znajdziemy?

-Nie wiem - pokręciłem głową.

- To niech się pan nad tym zastanowi - powiedział i wyszedł z baru.

Wilson wyprowadził mnie z równowagi, ale dał mi też do myślenia.

Pojechałem do domu, nalałem sobie wódki z lodem, usiadłem i

spróbowałem wszystko poukładać. Jeszcze raz pomyślałem o ludziach, z którymi rozmawiałem, i zdałem sobie sprawę, że nie zadałem im kilku ważnych pytań. W mojej wiedzy były istotne luki. Na przykład, co Karen robiła w sobotę wieczorem, kiedy pojechała na miasto samochodem Petera? Co powiedziała pani Randall następnego dnia? Czy oddała Peterowi wóz, który ukradziono? Kiedy Peter dostał go z powrotem?

Wypiłem wódkę i poczułem, jak ogarnia mnie spokój. Działiałem zbyt pośpiesznie, zbyt często traciłem nad sobą panowanie. Reagowałem raczej na ludzi niż na informacje, bardziej na osobowości niż na fakty.

Obiecałem sobie, że w przyszłości będę bardziej ostrożny.

Zadzwonił telefon. To była Judith. Z domu Arta i Betty.

- Co się dzieje?

- Lepiej przyjdź. Na zewnątrz jest jakaś demonstracja.

- Już idę. Odłożyłem słuchawkę, chwyciłem marynarkę i ruszyłem do samochodu. Zatrzymałem się jednak.

Sytuacja wymagała ostrożności.

Wróciłem do domu i wykręciłem numer redakcji „Globe'a”.

Poinformowałem o zamieszkach przed domem państwa Lee. Mówiłem melodramatycznym, urywanym głosem; byłem pewien, że zareagują.

Kiedy dotarłem na miejsce, na trawniku wciąż żarzył się drewniany krzyż.

Przy krawężniku stał policyjny radiowóz, przed płotem zebrał się spory tłum, głównie dzieciaki z

sąsiedztwa i ich zdumieni rodzice. Było późne popołudnie, szary dym z krzyża wzbijał się ku ciemniejącemu

granatowemu niebu.

Przepchnąłem się w kierunku domu. Wszystkie okna od strony ulicy zostały wybite. Z wewnątrz dobiegał czyjś płacz. Przed drzwiami stał

policjant.

- Kim pan jest?

- Nazywam się doktor Berry. Moja żona i dzieci są w środku.

Pozwolił mi wejść.

Wszyscy siedzieli w salonie. Betty płakała, Judith próbowała uspokoić dzieci. Wszędzie walało się potłuczone szkło. Dwoje dzieci miało głębokie, ale niezbyt poważne rany. Jakiś policjant przepytывał panią Lee.

Zupełnie mu nie szło. Betty powtarzała tylko: „Prosiliśmy o ochronę.

Dzwoniliśmy. Błagaliśmy, ale nikt nie przyjechał.. .”

- Ale proszę pani... - powiedział gliniarz.

- Prosiliśmy. Nie mamy już żadnych praw?

-Ale proszę pani...

Pomogłem Judith opatrywać rany.

- Co się stało?

Nagle policjant odwrócił się do mnie.

-Coś pan za jeden?

-Jestem lekarzem.

- W samą porę - odparł i zajął się znowu panią Lee. Judith była blada i apatyczna.

- Zaczęło się dwadzieścia minut temu - powiedziała. - Od rana

dostawaliśmy telefony i listy z pogrózkami. W końcu podjechały cztery samochody i wysiadła z nich banda wyrostków. Postawili krzyż, oblali go benzyną i podpalili. Musiało ich być ze dwudziestu. Stali i śpiewali Naprzód, żołnierze Chrystusa. Kiedy zobaczyli, że przyglądamy im się przez okno, zaczęli rzucać w nas kamieniami. To był istny koszmar.

- Jak wyglądali? Byli dobrze ubrani? Jakie mieli samochody? Pokręciła głową.

- To było najgorsze. To byli normalni, miło wyglądający chłopcy. Gdyby to byli starzy bigoci, zrozumiałabym, ale nastolatki? A jakie mieli miny...

Opatrzyliśmy dzieci, a potem wyprowadziliśmy je z pokoju.

- Chciałbym obejrzeć te listy - powiedziałem.

Właśnie w tym momencie do salonu wpełzł roczny synek Betty i Artura.

Uśmiechał się i gaworzył radośnie. Błyszczące kawałki szkła na dywanie wyraźnie go intrygowały.

- Hej! - zawołałem na gliniarza stojącego przy drzwiach. - Niech go pan weźmie!

Policjant spuścił wzrok. Od początku obserwował dziecko.

Teraz pochylił się i złapał je za tłuściutką nóżkę.

-Niechże go pan podniesie - powiedziałem. -Nie zrobi panu krzywdy.

Gliniarz z wahaniem wziął dziecko na ręce. Trzymał je w taki sposób, jakby obawiał się zarażenia. Widziałem obrzydzenie na jego twarzy.

Dziecko zwyrodnialca.

Judith podeszła do policjanta, pod jej butami chrzęściło szkło. Maluch uśmiechał się radośnie, bawiąc się błyszczącymi guzikami i śliniąc granatowy mundur. Nie podobało mu się, kiedy Judith wzięła go na ręce.

Nie rozumiał, że obcy człowiek może nim pogardzać.

Usłyszałem, jak drugi gliniarz mówi do pani Lee:

- Niech pani posłucha, cały czas dzwonią do nas ludzie i proszą o ochronę.

Nie możemy reagować na wszystkie doniesienia o pogroźkach. Jest ich zbyt wiele.

- Ale zadzwoniliśmy, kiedy palili to... to coś na trawniku.

- Krzyż.

- Wiem, że to krzyż - odparła. Już nie płakała. Była wściekła.

-Przyjechaliśmy tak szybko, jak się dało- zapewnił policjant. -Naprawdę, proszę pani.

- Zajęło im to piętnaście minut - powiedziała do mnie Judith. - Kiedy się wreszcie zjawili, wszystkie okna były już wybite, a sprawcy zdążyli odjechać.

Podszedłem do stołu i spojrzałem na listy. Leżały ułożone w równy stosik obok ostrożnie otwartych kopert. Większość napisano ręcznie, kilka na maszynie. Wszystkie były krótkie, niektóre tylko jednozdaniowe. Ze wszystkich zionęła nienawiść.

Brudny komuchu, świnię na pasku Murzynów i Żydów, morderco dzieci!

Ty i tobie podobni nie unikniecie zasłużonej kary. Jesteście zakałą ziemi.

Może się wam wydawać, że jesteście w Niemczech, ale to nieprawda!

Pan nasz i Zbawca rzekł: „Błogosławione dziatki skrzywdzone, do mnie one należą”. Zgrzeszyłeś ciężko przeciwko Panu Naszemu Jezusowi Chrystusowi i nie ominie cię kara z rąk Jego. Chwalmy Pana w Jego nieskończonej mądrości i miłosierdziu.

Porządni bogobojni obywatele nie będą się przyglądać z założonymi rękami. Będziemy zwalczać was na każdym polu, w każdej chwili.

Wypędzimy was z waszych domów, wypędzimy was z tej

ziemi. Wypędzimy was wszystkich, aż Ameryka stanie się wreszcie krajem dla porządných ludzi.

Złapaliśmy cię i wyłapiemy was wszystkich. Lekarze myślą, że wszystko im wolno, a) Jeżdżą tymi swoimi wielkimi cadillacami, zdzierają pieniądze z pacjentów, każą chorym czekać w długich kolejkach, ale jesteście źli. Zostaniecie powstrzymani.

Lubisz zabijać dzieci? Zobaczymy, jak się poczujesz, kiedy zabijemy twoje.

Aborcja jest zbrodnią przeciwko Bogu, człowiekowi, społeczeństwu i nienarodzonym dzieciom. Ukażemy cię na tej ziemi, ale Bóg w Swej nieskończonej mądrości będzie cię smażył w ogniu piekielnym po wieczne czasy!

Aborcja jest gorsza od mordu. Co te dzieci tobie zrobiły? Odpowiedz na to pytanie, a przekonasz się, że mam rację. Żebyś zgnił w więzieniu, a twoja rodzina wymarła!

Ostatni list był wykaligrafowany kobiecą ręką.

Przykro mi z powodu Waszego nieszczęścia. Wiem, że musi Wam być teraz bardzo ciężko. Chciałabym tylko powiedzieć, że jestem głęboko wdzięczna za to, co pan doktor zrobił dla mnie w zeszłym roku. Wierzę w pana i w to, co pan robi. Jest pan najwspanialszym lekarzem, jakiego spotkałam. Będziemy panu z mężem dozgonnie wdzięczni za ratunek w trudnej sytuacji. Modlę się za pana każdego dnia.

Allison Banks

Wsunąłem liścik do kieszeni. Nie chciałem, żeby leżał na widoku.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy - usłyszałem za sobą. Odwróciłem się i ujrzałem Petersona.

- Żona do mnie zadzwoniła.

- No, no... - Obrzucił wzrokiem pokój. Zapadał wieczór i przez wybite okna wiał zimny wiatr. - Niezły bałagan, co?

- Można tak powiedzieć.

-Tak, tak. - Przespacerował się po salonie. -Niezły bałagan.

Obserwując go, doznałem nagłej przerażającej wizji umundurowanego mężczyzny przedzierającego się w ciężkich butach przez ruiny. Był to uniwersalny, pozbawiony konkretnych odniesień obraz nieprzypisany do żadnego szczególnego miejsca lub czasu.

Do pokoju wszedł następny człowiek. Miał na sobie długi płaszcz, a w ręku otwarty notatnik.

- Ktoś pan? - zapytał Peterson.

- Curtis. Z „Globe'a", proszę pana.

- A kto tu pana zaprosił?

Peterson rozejrzał się po obecnych. Zatrzymał wzrok na mnie.

-Nieładnie - zauważył. - Bardzo nieładnie.

- To szanowana gazeta. Pan dziennikarz opiszcie tylko rzetelnie fakty. Na pewno nie ma pan nic przeciwko temu.

-Niech pan posłucha - odparł Peterson. - Boston ma dwa i pół miliona mieszkańców, a w policji brakuje ludzi. Nie możemy reagować na każdą histeryczną skargę i ścigać wariatów piszących pogróżki. Nie możemy tego robić, bo inaczej musielibyśmy zaprzestać wykonywania innych obowiązków, na przykład kierowania ruchem i patrolowania ulic.

- Rodzina oskarżonego o aborcję lekarza... - zacząłem. Wiedziałem, że reporter przygląda mi się uważnie. - Rodzina oskarżonego o aborcję lekarza otrzymuje telefoniczne i listowne pogróżki. To słaba kobieta i małe dzieci, na litość boską. Jest przerażona, a wyją ignorujecie.

- Jest pan niesprawiedliwy i doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę.

- Potem dzieje się coś jeszcze gorszego. Chuligani podpalają przed domem krzyż i rzucają w okna kamieniami. Pani Lee dzwoni po pomoc, a wasi chłopcy przyjeżdżają dopiero po piętnastu minutach. Jak daleko stąd znajduje się najbliższy posterunek?

- To nie ma związku ze sprawą. Dziennikarz wszystko notował.

- Stawia to policję w bardzo złym świetle - powiedziałem. - Wielu obywateli miasta jest przeciwko aborcji, ale jeszcze więcej ludzi potępia bezprawne niszczenie prywatnej własności przez bandę

nieletnich chuliganów...

- To nie byli chuligani. Zwróciłem się do reportera:

- Kapitan Peterson wyraża opinię, że nastolatki, którzy podpalili krzyż i wybili wszystkie okna w domu państwa Lee, nie są chuliganami.

- Nie to miałem na myśli - zastrzegł prędko Peterson.

- Ale to właśnie pan kapitan powiedział - stwierdziłem, spoglądając na dziennikarza. - Ponadto opinię publiczną zainteresuje zapewne fakt, że dwoje dzieci zostało poważnie poranionych kawałkami szkła. Są to dwaj chłopcy, w wieku trzech i pięciu lat.

- Przekazano mi co innego - zaprotestował Peterson. - Rany były tylko...

- Jestem tu, o ile się nie mylę, jedynym lekarzem. A może policja przywiozła lekarza, kiedy w końcu raczyła się zjawić? Peterson milczał.

- Czy policja przywiozła lekarza? - zapytał dziennikarz.

-Nie.

- A zawiadomiła służby medyczne?

-Nie.

Reporter wszystko skrzętnie zapisywał.

- Dostaniesz za swoje, Berry - warknął Peterson. -Nie ominie cię to.

- Radzę uważać. Rozmawiamy w obecności prasy. Rzucił mi nienawistne spojrzenie i obrócił się na pięcie.

- A tak nawiasem mówiąc - zapytałem -jakie kroki podejmie policja, żeby zapobiec powtórzeniu się podobnego incydentu? Zatrzymał się.

- Decyzja w tej sprawie jeszcze nie zapadła.

- W każdym razie, radzę panu wyjaśnić temu dziennikarzowi, jak bardzo policja boleje nad zaistniałą sytuacją i że obejmie dom całodobową ochroną.

Zacisnął mocno wargi, ale wiedziałem, że postąpi tak, jak tego chciałem. I tylko na tym mi zależało - na ochronie dla Betty.

Judith zabrała dzieci do domu. Ja zostałem z Betty i pomogłem jej zabić dyktą okna. Zajęło nam to prawie godzinę i przy każdym uderzeniu młotka narastała we mnie wściekłość.

Dzieci Betty były zmęczone, ale nie mogły zasnąć. Wciąż przychodziły do salonu, żaląc się, że boją je skaleczenia, albo prosząc o szklanekę wody.

Mały Henry uskarżał się szczególnie na ból stopy, więc odwinąłem bandaż, żeby sprawdzić, czy nie przeoczyłem jakiegoś kawałka szkła.

Odkryłem, że jeden mały odłamek wciąż tkwił w ranie.

Siedząc na kanapie z jego małą stopką w rękach i słysząc, jak Betty mówi, żeby nie płakał, kiedy oczyszczam ranę, poczułem się nagle bardzo zmęczony. W domu unosił się smród palonego drewna. Wiał zimny wiatr.

Panował straszny bałagan; sprzątanie zajmie ładnych parę dni.

A wszystko zupełnie niepotrzebnie.

Kiedy opatrzyłem Henry'emu stopę, zająłem się listami z pogrózkami. Ich lektura jeszcze bardziej mnie zmęczyła. Zastanawiałem się, jak ludzie mogą wypisywać takie rzeczy. Co wtedy myślą? Oczywiście odpowiedź

brzmiała: w ogóle nie myślą. Po prostu dają upust oburzeniu, tak jak wszyscy inni.

Nagle zapragnąłem, żeby to wszystko wreszcie się skończyło: listy, wybijanie okien, rany, moje śledztwo. Chciałem, żeby wszystko wróciło do normy.

Więc zadzwoniłem do George'a Wilsona.

- Podejrzałem, że wkrótce się pan odezwie - powiedział Wilson.

- Co pan powie na małą wycieczkę?

-Dokąd?

- Do Randallów.

- Po co?

- Żeby wycofali oskarżenie - odparłem.

- Spotkajmy się za dwadzieścia minut - zaproponował i odłożył słuchawkę.

Kiedy jechaliśmy w stronę Południowego Wybrzeża i rezydencji J.D.

Randalla, Wilson zapytał:

- Co sprawiło, że zmienił pan zdanie?

-Wiele powodów.

-Dzieci?

- Wiele powodów - powtórzyłem.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. W końcu Wilson zapytał:

- Wie pan, co to oznacza, prawda? Musimy przycisnąć panią Randall i Petera.

- Tak - odparłem.

- Wydawało mi się, że lubi pan Petera.

- Jestem zmęczony.

- Myślałem, że lekarze nigdy się nie męczą.

- Zostawmy ten temat, dobrze?

Dochodziła dziewiąta. Niebo było już zupełnie czarne.

- Pozwoli pan, że to ja będę rozmawiał z Randallami?

- Nie ma sprawy.

- Gdybyśmy obaj mówili, na niewiele by się to zdało. To musi być jedna osoba.

- Może pan mieć swoje pięć minut- odparłem. Uśmiechnął się.

-Nie bardzo mnie pan lubi, prawda?

-Nie, nie bardzo.

- Ale mnie pan potrzebuje.

- To prawda - przyznałem.

- Tak, żeby nie było między nami nieporozumień - powiedział.

- Niech pan po prostu zrobi, co do pana należy - odrzekłem.

Nie pamiętałem dokładnie, w którym miejscu stoi dom Randallów,

zwolniłem więc, gdy wjechałem w odpowiednią ulicę. W końcu znalazłem go i już miałem skręcić w bramę, kiedy wcisnąłem hamulec. Przede mną pod samym domem stały dwa samochody. Srebrne porsche J.D. Randalla.

I szary mercedes sedan.

- Co się stało?

Zgasiałem światła i wrzuciłem wsteczny bieg.

- Co się dzieje? - dopytywał się Wilson.

- Nie jestem pewien - odparłem.

- To jedziemy tam, czy nie?

- Nie - odpowiedziałem. Wycofałem samochód i zaparkowałem po drugiej stronie ulicy, za kępą krzaków. Miałem stąd dobry widok na podjazd i oba samochody.

-Czemu?

- Ponieważ - odparłem - przed domem stoi mercedes.

-I co z tego?

- Peter Randall ma mercedesa.

- Tym lepiej - zauważył Wilson. - Przyciśniemy ich wszystkich razem.

- Nie - odrzekłem. - Ponieważ Peter Randall powiedział mi, że jego samochód został skradziony.

-O?

- Tak powiedział.

-Kiedy?

- Wczoraj.

Zastanowiłem się. Coś zaczynało mnie drażnić, dopominać się o uwagę.

Nagle uświadomiłem sobie, co: samochód, który widziałem w garażu, kiedy odwiedziłem panią Randall.

Otworzyłem drzwiczki.

- Chodźmy - rzuciłem.

- Dokąd?

- Chcę obejrzyć tego mercedesa - odparłem.

Zanurzyliśmy się w mrok. Powietrze było wilgotne i nieprzyjemne. Idąc po podjeździe, sięgnąłem do kieszeni po małą kieszonkową latarkę.

Zawsze ją noszę - przyzwyczajenie z czasów stażu.

- Zdaje pan sobie sprawę - szepnął Wilson - że to wtargnięcie na prywatną własność?

-Tak.

Zeszliśmy z chrzęszczącego żwiru na miękką murawę i wspięliśmy się po wzgórzu w kierunku domu. W oknach na parterze paliły się światła, ale nie widzieliśmy, co działo się w środku, ponieważ zasłony były zasunięte.

Zbliżyliśmy się do samochodów i nasze buty znowu zachrzęściły o żwir.

Jak najostrożniej podkrađłem się do mercedesa i włączyłem latarkę. Wóz był pusty.

Wstrzymałem oddech.

Fotel kierowcy był brązowy od krwi.

-No, no, no - zauważył Wilson.

Właśnie miałem się odezwać, kiedy usłyszeliśmy głosy i trzask

otwieranych drzwi. Pobiegliśmy chyłkiem na trawnik i schowaliśmy się za gęstym krzewem rosnącym przy podjeździe.

Z domu wyszli J.D. Randall i Peter. Rozmawiali o czymś półszepem.

Dosłyszałem, jak Peter mówi: „to śmieszne”, a J.D.: „zbyt ostrożnym”, ale nie potrafiłem odszyfrować nic więcej. Zeszli po schodkach do

samochodów. Peter wsiadł do mercedesa i zapalił silnik. J.D. powiedział:

„Jedź za mną” i ruszył srebrnym porsche w stronę bramy.

Na ulicy skręcili w prawo, na południe.

- Chodźmy - szepnąłem.

Zbiegliśmy sprintem po podjeździe do mojego samochodu. Porsche i mercedes były już daleko; ledwo słyszeliśmy ich silniki, ale widzieliśmy tylne światła poruszające się wzdłuż wybrzeża.

Ruszyłem za nimi.

Wilson sięgnął do kieszeni i zaczął przy czymś manipulować.

- Co to takiego? - zapytałem. Pokazał mi nieduże srebrne pudełeczko.

- Minox.

- Zawsze nosi pan przy sobie aparat?

- Zawsze.

Zachowywałem dość sporą odległość, żeby Randallowie nie zorientowali się, że są śledzeni. Peter jechał tuż za J.D.

Po pięciu minutach oba samochody wjechały na autostradę południo-wo-wschodnią. A my za nimi.

-Nie rozumiem - mruknął Wilson. - W jednej chwili broni pan tego człowieka, a w następnej tropi go pan jak myśliwski pies.

- Chcę się dowiedzieć, co się naprawdę stało. To wszystko.

Jechaliśmy tak przez pół godziny. Przy Marshfield szosa zwęziła się, teraz miała dwa pasy. Ruch był nieduży. Zwolniłem, zwiększając jeszcze odległość dzielącą nas od mercedesa i porsche.

- Może się okazać, że to zupełnie niewinna wyprawa - zauważył Wilson. -

Cała sprawa może...

-Nie - odparłem. Zdążyłem to przemyśleć. - Peter pożyczył Karen samochód na weekend. Jej brat, William, mi to powiedział. Karen rzeczywiście jechała tym mercedesem. Stąd krew. Później samochód stał

w garażu Randallów, a Peter zgłosił jego kradzież policji. Natomiast teraz...

- Teraz chcą się go pozbyć - dokończył za mnie Wilson.

- Na to wygląda.

- A niech mnie - powiedział. - Teraz naprawdę mamy ich w garści.

Randallowie jechali dalej na południe. Minęli Plymouth i wzięli kurs na Cape. Powietrze stało się rzeńskie i słonawe. Na szosie właściwie nie było ruchu.

- Bardzo dobrze - odezwał się Wilson, wpatrując się w światła przed nami.

-Zachowajmy taką odległość. Niech poczują się bezpiecznie.

Szosa coraz bardziej pustoszała, a porsche i mercedes nabierały coraz większej prędkości. Jechaliśmy teraz prawie sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Po Plymouth minęliśmy Hyannis i zbliżaliśmy się do

Province-town. Nagle spostrzegłem, jak zapaliły się światła hamowania i oba samochody skrzyły w prawo, w stronę wybrzeża.

Podążyłem za nimi piaszczystą drogą. Wokół rosły skarłowaciałe sosny.

Zgasiłem światła. Od oceanu wiał porywisty mroźny wiatr.

- Zupełne pustkowie - zauważył Wilson.

Pokiwałem głową.

Po chwili usłyszeliśmy szum fal. Zjechałem z drogi i zaparkowałem.

Ruszyliśmy pieszo w stronę wody i wkrótce ujrzeliśmy stojące obok siebie porsche i mercedesa.

Rozpoznałem to miejsce. Znajdowaliśmy się na wschód od Cape, przy kilkunastometrowym urwisku. Oba samochody stały przodem do

przepaści. Randall wysiadł z wozu i zaczął rozmawiać z Peterem.

Naradzali się przez chwilę, po czym Peter podprowadził mercedesa na sam skraj urwiska i wysiadł.

Tymczasem J.D. otworzył bagażnik porsche i wyciągnął kanister. Podeszedł do mercedesa i oblał jego wnętrze benzyną.

Usłyszałem obok siebie pstryknięcie. Wilson z malutkim aparatem przytkniętym do oka robił zdjęcia.

- Jest za ciemno - zauważyłem.

-Mam odpowiedni film - odparł.

Spojrzałem znowu przed siebie. J.D. schował kanister. Wsiadł do porsche i ruszył do tyłu. Następnie wykręcił o sto osiemdziesiąt stopni, tak że samochód stanął przodem do drogi.

- Przygotowują się do ucieczki - powiedział Wilson. - Fantastycznie.

J.D. zawołał coś do Petera i wysiadł z wozu. Stał obok brata i zobaczyłem błysk zapalki. Wnętrze mercedesa niemal natychmiast stanęło w płomieniach.

Obaj mężczyźni zaczęli pchać samochód w kierunku oceanu. Kiedy

mercedes stoczył się w dół, odsunęli się, obserwując, jak spada. Rozległ się głośny huk i jaskrawoczerwony blask rozświetlił mrok.

Randallowie rzucili się pędem do ucieczki. Wskoczyli do porsche i odjechali, mijając nas po drodze.

- Chodźmy - szepnął Wilson, ruszając w stronę urwiska. Na dole, tuż przy samej wodzie płonął wrak mercedesa.

Wilson zrobił kilka zdjęć, schował aparat do kieszeni i popatrzył na mnie z szerokim uśmiechem.

-No to wygraliśmy - oświadczył.

W drodze powrotnej zjechałem z autostrady przy Cohasset.

- Hej, co pan robi? - zdziwił się Wilson.

- Jadę do Randallów - oznajmiłem.

- Teraz?

-Tak.

- Zwariował pan? Po tym, co zobaczyliśmy?

- Spotkałem się z panem, żeby doprowadzić do uwolnienia Arta Lee, i wciąż zamierzam dopiąć swego - odrzekłem.

- O, nie - zaprotestował Wilson. -Nie teraz. Nie po tym, co zobaczyliśmy. -

Poklepał miniaturowy aparat. - Teraz możemy poczekać na proces.

-Ale nie ma takiej potrzeby. Mamy żelazne argumenty. Randallowie muszą się ugiąć.

Pokiwałem głową.

- Niech pan posłucha - powiedział Wilson - można zniszczyć zeznania świadka, zdyskredytować go, zrobić z niego idiotę. Ale nie można podważyć wiarygodności zdjęcia. Mamy ich w garści.

-Nieodparłem. Westchnąłem.

- Przedtem to by był tylko blef. Zamierzałem wkroczyć do domu

Randallów, nastraszyć ich i pogrozić dowodami, których naprawdę nie miałem. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Teraz rzeczywiście mamy dowody. Mamy wszystko, czego nam trzeba.

- Jeżeli pan z nimi nie porozmawia, to ja to zrobię.

- Ale w ten sposób odsłonimy karty!

-I nie dojdzie do procesu.

- Pozbawimy się przewagi. To, co przed chwilą widzieliśmy, bardzo ich obciąża. Dlatego będą szli w zaparte.

- W takim razie powiemy im, co wiemy.

- A jeśli dojdzie do procesu? Stracimy element zaskoczenia.

- Nie ma się czym martwić - odparłem. - Nie dojdzie do procesu.^ Wilson znów pogładził palcem bliznę na szyi.

- Nie chce pan wygrać? - zapytał.

- Chcę, ale bez walki.

-I tak do niej dojdzie. Bez względu na to, jak postąpimy, na pewno do niej dojdzie. Mówię to panu.

Skręciłem na podjazd Randallów i zaparkowałem przed samym domem.

-Niech pan tego nie mówi mnie, tylko im - stwierdziłem.

- Robi pan błąd - oświadczył.

- Może. Chociaż wątpię.

Weszliśmy po schodkach i zadzwoniliśmy do drzwi.

Kamerdyner z niepewnym wyrazem twarzy zaprowadził nas do salonu, który okazał się nie większy od zwyczajnej sali gimnastycznej. Przy olbrzymim kominku, w którym huczał ogień, siedziała pani Randall oraz Peter i J.D., obaj trzymali w dłoniach duże kieliszki brandy.

Kamerdyner stanął wyprostowany w drzwiach i oświadczył:

- Doktor Berry i pan Wilson. Powiedzieli, że pan ich oczekuje. J.D.

zmarszczył brwi. Peter poprawił się w fotelu i uśmiechnął się nieznacznie.

Pani Randall wydawała się szczerze rozbawiona.

- Czego panowie sobie życzą? - zapytał J.D. Pozwoliłem Wilsonowi grać pierwsze skrzypce. Młody adwokat uklonił się lekko i odparł:

- Na pewno zna pan doktora Berry'ego, doktorze Randall. Ja nazywam się George Wilson i jestem obrońcą doktora Lee.

- Wspaniale - mruknął J.D. i spojrzął na zegarek - ale dochodzi już północ i spędzam wieczór z rodziną. Nie mam panom nic do powiedzenia, dopóki nie spotkamy się w sądzie. Więc jeśli panowie...

- Wybacz pan - przerwał mu Wilson - ale przyjechaliśmy z bardzo daleka, żeby z panem porozmawiać. Aż z Cape, ściślej mówiąc.

J.D. zamrugał i zeszywniał. Peter odkaszlnął, hamując wybuch śmiechu.

- Co panowie robili na Cape? - zapytała pani Randall.

- Oglądaliśmy fajerwerki - odparł Wilson.

-Fajerwerki?

- Owszem - potwierdził Wilson, po czym zwrócił się do J.D.: - Prosimy o kieliszek brandy i rozmowę.

Tym razem Peter nie powstrzymał się od śmiechu. J.D. spojrzał na niego surowo i zadzwonił po kamerdynera. Zamówił dwie brandy, a kiedy służący odwrócił się do drzwi, dodał: - W małych kieliszkach, Herbercie.

Panowie nie zabawią u nas długo.

Następnie zwrócił się do żony:

- Pozwolisz, moja droga?

Pani Randall skinęła głową i wyszła z pokoju.

- Spocznijcie, panowie, proszę.

- Dziękujemy, postoiimy - odparł Wilson. Kamerdyner wrócił z dwoma kryształowymi kieliszkami. Wilson wznosił toast: - Wasze zdrowie, panowie.

- Dziękujemy - odrzekł J.D. lodowato. - A teraz, panie Wilson, co panów trapi?

- Pewna kwestia prawna. Uznaliśmy, że może zechce pan jeszcze raz przemyśleć wniesienie zarzutów przeciwko doktorowi Lee.

- Przemyśleć?

- Tak. Właśnie tego słowa użyłem.

-Nie ma niczego do przemyślenia-oświadczył J.D. Wilson upił łyk brandy.

- Doprawdy?

-Nie inaczej - odrzekł J.D.

- Wydaje nam się - podjął Wilson - że pańska żona mogła się pomylić, słysząc, iż doktor Lee wykonał zabieg usunięcia ciąży Karen Randall.

Podobnie jak pan Peter Randall pomylił się, kiedy zgłosił policji kradzież swojego samochodu. A może jeszcze tego nie zrobił?

- Ani moja żona, ani brat wcale się nie pomylili - oświadczył J.D. Peter znowu odkaslnął i zapalił cygaro.

- Coś nie tak, Peter? - zapytał J.D.

-Nie, nic.

Wydmuchnął dym i napił się brandy.

- Panowie - zwrócił się do nas J.D. - Obawiam się, że tracicie czas. Nie było żadnej pomyłki i nie ma niczego do przemyślenia.

- W takim razie sprawa musi trafić do sądu - odparł Wilson.

- W istocie - odrzekł Randall, kiwając głową.

-I zostaną panowie wezwani przed sąd, żeby wyjaśnić, co zrobiliście dziś wieczorem - oznajmił Wilson.

- W rzeczy samej. Ale moja żona może zeznać, że graliśmy w szachy. -

Wskazał leżącą na stole szachownicę.

- Kto wygrał? - spytał Wilson z lekkim uśmiechem.

- Ja, na Boga - odezwał się Peter i zachichotał.

- W jaki sposób? - zainteresował się Wilson.

- Gońcem i konikiem - odparł Peter i znowu parsknął śmiechem. -J.D. jest okropnym graczem. Ciągle mu to powtarzam.

- Peter, nie ma się z czego śmiać.

- Piekłisz się, bo przegrałeś - powiedział Peter.

-Zamknij się.

Nagle Peter przestał się śmiać. Złożył ręce na wydatnym brzuchu i milczał.

Po sekundzie martwej ciszy J.D. Randall zapytał:

- Coś jeszcze, panowie?

- Ty sukinsynu - warknąłem na Wilsona. - Spieprzyłeś sprawę.

- Robiłem, co mogłem.

- Zdenerwowałeś go. Dlatego nie chciał odpuścić.

- Robiłem, co mogłem.

- To było najgorsze, najgłupsze...

- Spokojnie - powiedział Wilson, gładząc się po bliźnie.

- Mogłeś go nastraszyć. Mogłeś to rozegrać tak, jak mi to opisałeś w barze.

Mogłeś powiedzieć, że mamy zdjęcia...

- To by tylko zaszkodziło.

-Nieprawda.

- Niestety, prawda. J.D. uparł się, żeby sprawa trafiła do sądu...

- Tak, dzięki tobie. Puszyłeś się przed nimi jak ostatni dupek. Te szczeniackie groźby! I prośba o brandy! Prośba o brandy była po prostu wspaniała!

- Usiłowałem ich przekonać - powiedział.

- Gówno prawda.

Wzruszył ramionami.

- Powiem ci, co zrobiłeś, Wilson. Wmanipulowałeś ich w proces sądowy, bo właśnie tego pragniesz: sceny, na której mógłbyś wystąpić, okazji, żeby zyskać sławę i pokazać wszystkim, jaki z ciebie bezwzględny twardziel.

Obaj doskonale wiemy, że jeśli dojdzie do procesu, Art Lee przegra bez względu na wynik. Straci dobrą reputację, pacjentów, a może nawet prawo wykonywania zawodu. Randallowie też przegrają. Obsmarujesz ich

półprawdami i pikantnymi insynuacjami. Zniszczysz ich. Tylko jedna osoba na tym wygra.

-Kto?

- Ty, Wilson. Tylko tobie przyda się ten proces.

- To tylko twoje zdanie - warknął. Zaczynał się denerwować.

- To fakt.

- Słyszałeś Randalla. Słyszałeś, jak się uparł. To było zupełnie nieracjonalne.

- Mogłeś go zmusić.

- Nie - odparł Wilson. - Ale w sędzie się nie wykręci. - Opadł na oparcie siedzenia i zagapił się przed siebie, rozmyślając nad tym, co się stało. -

Wiesz co? Zaskakujesz mnie, Berry. Powinieneś być naukowcem.

Powinieneś zachować obiektywizm w stosunku do dowodów. Dziś

wieczorem poznałeś ich tyle, że możesz stwierdzić winę Petera Randalla, a wciąż jesteś niezadowolony.

- A zrobił na tobie wrażenie człowieka winnego? - zapytałem.

- Potrafi udawać.

- Odpowiedz na pytanie.

- Właśnie to zrobiłem - odparł Wilson.

- A więc wierzysz w jego winę?

- Tak. I mogę przekonać do tego przysięgłych.

-A jeśli się mylisz?

- To trudno. Tak samo jak w przypadku fałszywych zarzutów pani Randall w stosunku do Arta Lee.

- To tylko wymówka.

- Tak? - Pokręcił głową. - Nie, człowieku. Sam szukasz wymówek. Grasz dobrego, lojalnego doktora. Przyssałeś się do tradycji, do starej dobrej zмовы milczenia. Chciałbyś załatwić sprawę po cichu i układnie, żeby na koniec nikt nie żywił do nikogo urazy.

- A czy tak nie byłoby najlepiej? Adwokat powinien działać w najlepiej pojętym interesie klienta. Na tym polega jego praca.

- Praca adwokata polega na wygrywaniu spraw w sądzie.

- Art Lee jest człowiekiem, a nie sprawą. Ma rodzinę, aspiracje, potrzeby, obowiązki. Twoje zadanie polega na tym, żeby mu pomóc, a nie wygrać wielki proces dla własnej chwały.

-Jesteś jak wszyscy lekarze, Berry. Po prostu nie potrafisz uwierzyć, że któryś z was może się okazać nie w porządku. Tak naprawdę chciałbyś zobaczyć w roli oskarżonego jakiegoś wojskowego sanitariusza albo pielęgniarkę. Albo starą dobrą akuszerkę. Byle tylko nie lekarza.

- Chodzi mi o ukaranie winnego - odparłem - i nikogo innego.

- Wiesz, kto jest winny - oburzył się Wilson. - Wiesz to aż za dobrze.

Odwiozłem Wilsona, a potem wróciłem do domu i nałamałem sobie dużą wódkę. Było zupełnie cicho, minęła już północ.

Siedziałem na kanapie i rozmyślałem o tym, co widziałem. Jak zauważył

Wilson, wszystko wskazywało na Petera Randalla. Krew w jego

samochodzie i sposób, w jaki się go pozbył. Nie miałem wątpliwości, że galon benzyny wylany na przednie siedzenie zniszczył wszystkie dowody.

Teraz Peter był czysty, a w każdym razie byłby, gdybyśmy nie podpatrzyli, jak palił samochód.

Poza tym - czego nie omieszkiał wspomnieć Wilson - wszystko nabrało sensu. Angela i Bańka nie kłamały, twierdząc, że nie widziały Karen, bo ta pojechała w niedzielę wieczorem do Petera. Tylko że Peter popełnił błąd; Karen wróciła do domu, krwawiąc. Powiedziała pani Randall, co się stało, a ta zawiozła ją do szpitala własnym samochodem. Jednak kiedy na miejscu dowiedziała się o śmierci Karen, nie zdając sobie sprawy, że diagnoza mówi o zwykłym poronieniu, wpadła w panikę i żeby uniknąć rodzinnego skandalu, zrzuciła winę na jedyne go lekarza wykonującego aborcje, jakiego jeszcze znała, na Arta Lee. Zadzwoiła na policję i rozpętało się piekło.

Wszystko pasowało.

Oprócz pierwszego założenia, pomyślałem. Peter Randall od lat był

osobistym lekarzem Karen. Wiedział, że dziewczyna jest histeryczką.

Dlatego na pewno zrobiłby jej test ciążowy. Poza tym musiał pamiętać, że skarżyła się na zaburzenia wzroku, co wskazywało na guza przysadki, który mógł dawać objawy podobne do ciąży. Więc na pewno zrobiłby test.

Z drugiej strony, wyglądało na to, że wysłał Karen do Arta Lee. Dlaczego?

Jeżeli uznał, że trzeba usunąć ciążę, mógł to zrobić sam.

Do tego już dwa razy wcześniej wykonał jej aborcję bez żadnych

komplikacji. Dlaczego miałby popełnić błąd - i to bardzo poważny - za trzecim razem?

Nie, pomyślałem, to nie ma sensu.

I wtedy przypomniało mi się, co powiedział Peterson: „Wy lekarze naprawdę trzymacie się razem”. Zdałem sobie sprawę, że zarówno on, jak i Wilson mieli rację. Rzeczywiście chciałem wierzyć, że Peter jest niewinny.

Po części dlatego, że był lekarzem, a po części dlatego, że go lubiłem.

Nawet w obliczu poważnych dowodów pragnąłem wierzyć w jego

niewinność.

Westchnąłem i pociągnąłem solidny łyk wódki. Fakt pozostawał faktem: tego wieczoru zobaczyłem coś bardzo podejrzanego i obciążającego. Nie mogłem tego zignorować. Nie mogłem przypisać tego przypadkowi albo zbiegowi okoliczności. Musiałem to wytłumaczyć.

A najbardziej logiczne wyjaśnienie było takie: to Peter Randall przeprowadził tę fatalną aborcję.

Czwartek, 13 października

Obudziłem się rozdrażniony. Czuję się osaczony, uwięziony. Jak zwierzę w klatce. Nie podobało mi się to, co się działo, i nie widziałem sposobu, żeby temu zapobiec. A najgorsze było to, że nie wiedziałem, jak powstrzymać Wilsona. Udowodnienie niewinności Arta Lee okazało się wystarczająco trudne, dowiedzenie zaś niewinności Petera Randalla graniczyło z cudem.

Judith spojrzała na mnie i od razu zauważyła:

-Nie w sosie.

Prychnąłem i poszedłem wziąć prysznic.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytała.

- Tak. Wilson chce zwalić winę na Petera Randalla. Roześmiała się.

-Na starego wesołka Petera?

- Właśnie - odparłem.

- A może to udowodnić?

-Tak.

- To dobrze.

-Nie, niedobrze.

Zakręciłem wodę i wyszedłem z łazienki, owijając się w ręcznik.

- Nie wierzę, że Peter mógłby coś takiego zrobić - stwierdziłem.

- To ładnie z twojej strony.

Pokręciłem głową.

-Nie - odparłem - po prostu uważam, że oczernianie kolejnego niewinnego człowieka nie rozwiązuje sprawy.

- Ale przyznaj, że to im się należy - orzekła Judith.
- Komu?
- Randallom.
- To niesprawiedliwe.
- Łatwo ci tak mówić. Ty zgłębiałeś techniczne szczegóły, a ja przez ostatnie trzy dni opiekowałam się Betty.
- Wiem, że jest ci ciężko...
- Nie chodzi o mnie, tylko o nią. A może już zdążyłeś zapomnieć, co się wczoraj stało?
- Nie - odparłem, myśląc, że od tego zaczął się cały ten bajzel. Od niefortunnej decyzji, żeby zadzwonić do Wilsona.
- Betty przechodzi teraz piekło - powiedziała Judith. - Nie ma na to usprawiedliwienia, a winni są Randallowie. Niech więc zobaczą, jak to jest. Niech poczują to, co Betty i Art.
- Ale Peter jest niewinny...
- Peter jest bardzo zabawny - odrzekła - ale to jeszcze nie świadczy o jego niewinności.
- Ani owinie.
- Już mnie nie obchodzi, kto jest winny. Chcę tylko, żeby to się wreszcie skończyło i żeby Art mógł wrócić do domu.
- Tak. Wiem, co czujesz.

Podczas golenia przyglądałem się swojej twarzy - dość pospolitej, z trochę zbyt dużą szczęką, za małymi oczami i rzednącymi włosami. Nic

nadzwyczajnego. Z niejakim zdumieniem uświadomiłem sobie nagle, że znalazłem się w centrum wydarzeń, w samym środku kryzysu, który w ciągu trzech dni zawładnął życiem pół tuzina ludzi. Nie byłem na to wszystko przygotowany.

Ubierając się, myślałem o tym, co tego dnia zrobię, i zastanawiałem się, czy rzeczywiście dotarłem do samego sedna. Była to dziwna myśl. Może cały czas krążyłem po peryferiach, wygrzebując same błahe, nic

nieznaczące fakty? Może istota sprawy wciąż pozostawała niezbadana?

Znów starałem się uratować Petera.

Cóż, czemu nie? W końcu był tak samo wart ocalenia, jak ktokolwiek inny.

Uświadomiłem sobie, że Peter Randall zasługiwał na pomoc tak samo, jak Art. Obaj byli renomowanymi lekarzami, interesującymi ludźmi i lekkimi nonkonformistami. W gruncie rzeczy różnice między nimi miały

zupełnie drugorzędny charakter. Peter był zabawny, a Art sarkastyczny.

Peter był gruby, a Art chudy.

Ale ostatecznie wydawali się tacy sami.

Włożyłem marynarkę, próbując zapomnieć o całej sprawie. Nie jestem sędzią, dzięki Bogu. Decyzja nie należy do mnie.

Zadzwonił telefon. Nie odebrałem. Chwilę później Judith zawołała:

- To do ciebie. Podniosłem słuchawkę.

- Halo?

W uchu zadudnił mi znajomy tubalny głos.

- John? Tu Peter. Chciałbym, żebyś wpadł do mnie na lunch.

- Dlaczego? - spytałem.

- Chcę, żebyś poznał alibi, którego nie mam - odparł.

- Co to ma znaczyć?

- O wpół do pierwszej?

- Dobrze. Na razie.

Peter Randall mieszkał w nowoczesnym domu na zachód od Newton. Był

nieduży, ale wspaniale urządzone: krzesła Breuera, kanapa Jacobsena, stolik do kawy Rachmanna. Wszystko awangardowe. Wyszedł mi

naprzeciw z drinkiem w dłoni.

- John, proszę. - Poprowadził mnie przez przedpokój do salonu. -Czego się napijesz?

-Niczego, dzięki.

- Lepiej, żebyś coś wypił. Szkocką?

-Z lodem.

- Siadaj. Wyszedł do kuchni. Usłyszałem brzęk kostek lodu w szklance. -

Co robiłeś dziś rano?

- Nic - odparłem. - Siedziałem w domu i rozmyślałem.

- O czym?

- O wszystkim.

-Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz-oznajmił, wracając ze szklanką whisky.

- Wiesz, że Wilson zrobił zdjęcia?

- Podejrzewałem. Chłopak jest ambitny.

- Tak - przyznałem.

- Czy to znaczy, że znalazłem się w opałach?

- Na to wygląda.

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym zapytał:

- Co o tym sądzisz?

- Sam już nie wiem, co mam myśleć.

- Wiesz na przykład, że robię aborcje?

-Tak.

- Również Karen?

- Dwa razy.

Usiadł na krześle Breuera, a jego krągłe kształty kontrastowały z ostrymi liniami mebla.

- Trzy, mówiąc dokładnie - odparł.

-To znaczy, że...

-Nie, nie. Ostatnią wykonałem w czerwcu.

- A pierwszą?

- Kiedy miała piętnaście lat. - Westchnął. - Widzisz, popełniłem kilka błędów. Jednym z nich było to, że próbowałem się zaopiekować Karen.

Ojciec ją ignorował, aja... lubiłem. Była słodką dziewczyną. Zagubioną i skołowaną, ale słodką. Więc usunąłem jej pierwszą ciążę, tak jak robię to od czasu do czasu w przypadku innych pacjentek. Razi cię to?

-Nie.

- Dobrze. Ale problem polegał na tym, że Karen wciąż zachodziła w ciążę.

Trzy razy w ciągu trzech lat. Dla dziewczyny w jej wieku to mało rozsądne. To było patologiczne, więc w końcu uznałem, że powinna urodzić.

-Dlaczego?

- Ponieważ wyraźnie tego chciała. Potrzebowała wstydu i kłopotów związanych z dzieckiem z nieprawego łoża. Dlatego za czwartym razem odmówiłem.

- Jesteś pewien, że była w ciąży?

-Nie - odparł. - Zresztą wiesz dlaczego. Te problemy ze wzrokiem.

Zachodziło podejrzenie guza przysadki. Chciałem jej zrobić odpowiednie badania, ale się nie zgodziła. Interesowała ją tylko skrobanka, a kiedy oświadczyłem, że nic z tego, bardzo się zdenerwowała.

- Więc wysłałeś ją do doktora Lee.

Tak-

-I on to zrobił? Peter pokręcił głową.

- Art jest na to o wiele za mądry. Na pewno nie wykonałby zabiegu bez testów ciążowych. Poza tym Karen była już rzekomo w czwartym

miesiącu. Więc tym bardziej to nie mógł być on.

-I ty też tego nie zrobiłeś?

-Nie. Wierzysz mi?

-Chciałbym.

- Ale nie przekonałem cię? Wzruszyłem ramionami.

- Spaliłeś swój samochód. Wewnątrz była krew.

- Tak - odparł. - Krew Karen.

- Jak do tego doszło?

- Pożyczyłem jej samochód na weekend. Nie przypuszczałem, że planuje skrobankę.

- To znaczy, że pojechała twoim wozem na skrobankę i wróciła nim do domu, krwawiąc? A potem przesiadła się do żółtego porsche?

- Niezupełnie. Ale lepsze wyjaśnienia możesz uzyskać od kogoś innego -

odrzekł i zawołał: - Kochanie, możesz się pokazać. Uśmiechnął się do mnie.

- Poznaj moje alibi.

Do pokoju weszła pani Randall. Wyglądała bardzo ponętnie. Usiadła na krześle obok Petera.

- Teraz rozumiesz - powiedział Peter - w jakiej sytuacji się znalazłem.

- w niedzielę w nocy...?

- Obawiam się, że tak. - To zawstydzające - zauważyłem - ale też bardzo wygodne.

- W pewnym sensie - przyznał. Poklepał panią Randall po dłoni i podniósł się ciężko z krzesła.

- Spędziliście razem całą niedzielną noc? Nalał sobie następną szklaneczkę whisky.

-Tak.

-Co robiliście?

- Coś, czego wolałbym nie wyjaśniać pod przysięgą- odparł Peter.

- Z żoną własnego brata? - zapytałem. Mrugnął do pani Randall.

- Jesteś żoną mojego brata?

- Słyszałam taką plotkę - odparła. - Ale w nią nie wierzę.

- Widzisz, wyjawiam ci bardzo osobiste rodzinne sprawy - powiedział

Peter.

- Rzeczywiście, bardzo rodzinne.

- Oburza cię to?

- Nie - odrzekłem. - Raczej intryguje.

- Joshua - wyjaśnił Peter -jest głupcem. To oczywiście już wiesz. Podobnie jak Wilson. Dlatego był taki pewny siebie. Ale, niestety, mój brat ożenił się z Evelyn.

-Niestety - potwierdziła Evelyn.

- Teraz mamy związane ręce - podjął Peter. - Ev nie może rozwieść się z moim bratem, żeby wyjść za mnie. To niemożliwe. Dlatego przystaliśmy na obecny układ.

- Musi wam być trudno, jak przypuszczam.

-Nie aż tak - powiedział Peter, siadając z następnym drinkiem w dłoni. -

Joshua bardzo poważnie traktuje swój zawód. Często pracuje do późna w nocy, a Evelyn ma rozliczne zajęcia: wizyty w klubach, na rozmaitych imprezach...

- Wcześniej czy później się dowie.

- Już wie - odparł Peter.

Musiałem mieć dziwny wyraz twarzy, bo dodał prędko:

- Oczywiście nieświadomie. J.D. niczego nie wie świadomie. Ale gdzieś podświadomie musi zdawać sobie sprawę, że ma młodą żonę, którą

zaniedbuje i która... znajduje zaspokojenie gdzie indziej.

- Czy przysięgłaby pani, że Peter był z panią w niedzielę wieczorem?

- Gdybym musiała... - odparła.

- Wilson panią do tego zmusi. Chce doprowadzić do procesu.

-Wiem.

- Dlaczego oskarżyła pani Arta Lee? Odwróciła wzrok i spojrzała na Petera.

- Próbowała mnie chronić - wyręczył ją Peter.

- Artjest oprócz Petera jedynym lekarzem robiącym aborcje, jakiego pani znała?

- Tak - odparła.

- Usunął pani ciążę?

- Tak. W grudniu zeszłego roku.

- Czy była to dobra aborcja? Poprawiła się na siedzeniu.

- Poskutkowała, jeśli o to panu chodzi.

- Tak. Właśnie o to - odrzekłem. - Rozumie pani, że Art nigdy by tego nie ujawnił?

Zawahała się, a potem powiedziała:

- Wpadłam w panikę. Bałam się. Nie wiedziałam, co robię.

- Zrujnowała pani Artowi życie.

- Tak - przyznała. - Tak jakoś wyszło.

- Cóż, teraz może pani naprawić szkody.

-Jak?

- Wycofując zarzuty.

- To nie takie proste - wtrącił się Peter.

- Dlaczego?

- Sam się wczoraj przekonałeś. J.D. zawsze jest gotowy do bitwy, gdy tylko usłyszy wyzwanie. Ma mentalność chirurga. Widzi tylko czerń i biel, dzień i noc. Żadnych szarości. Żadnego półmroku.

-I zrad.

- Zdaje się, że jesteście podobni - roześmiał się Peter. Evelyn wstała i oznajmiła:

- Obiad będzie gotowy za pięć minut. Jeszcze drinka?

- Tak - odparłem, spoglądając na Petera. - Chyba będzie mi potrzebny.

Kiedy wyszła, Peter powiedział:

- Myślisz, że jestem okrutną i pozbawioną serca bestią. Ale to nieprawda.

Popełniłem sporo błędów, które doprowadziły do nieprzewidzianych szkód, ale chciałbym je naprawić...

- Żeby nikt nie żywił do nikogo urazy?

- Mniej więcej. Niestety, mój brat nie okaże się pomocny. Gdy tylko jego żona oskarżyła doktora Lee, przyjął to jako świętą prawdę. Uchwycił się tego jak tonący brzytwy. Teraz się nie wycofa.

-Mów dalej.

- Jednak podstawowy fakt pozostaje ten sam. Wierz mi lub nie, ale nie wykonałem tej aborcji. Mówisz, że nie zrobił jej również doktor Lee. Więc kto?

-Nie wiem - odparłem.

- Możesz się dowiedzieć?

- Prosisz mnie o pomoc?

- Tak - przyznał.

Podczas obiadu zapytałem Evelyn o to, co naprawdę mówiła Karen w drodze do szpitala.

- W kółko tylko powtarzała: „ten sukinsyn, ten sukinsyn”.

-Nie wyjaśniła, kogo ma na myśli?

-Nie.

-A domyśla się pani, o kogo mogło chodzić?

-Niestety, nie.

- Mówiła jeszcze coś?

- Tak. Wspominała o igle. Że nie chce „tej igły”. I żeby ją zabrać.

- Czy chodziło o narkotyk?

- Nie wiem - odrzekła Evelyn.

- A jak się pani wówczas wydawało?

-Nie zwracałam na to uwagi. Wiozłam ją do szpitala, a ona umierała na moich oczach. Obawiałam się, że Peter mógł jej to zrobić, choć

jednocześnie byłam przekonana, że to nieprawdopodobne. Bałam się, że Joshua się dowie. Bałam się wielu rzeczy.

- Ale nie o nią?

-O nią też.

Obiad okazał się wyjątkowo smaczny. Jednak jedząc i patrząc na nich, żałowałem, że tu przyszedłem. Wolałem nie wiedzieć, co ich łączy, nie myśleć o tym.

Gdy piłem z Peterem kawę, z kuchni dochodziły odgłosy zmywanych przez Evelyn naczyń. Trudno mi było wyobrazić ją sobie przy zlewie, ale w obecności Petera zachowywała się jakoś inaczej, prawie

ją polubiłem.

- Pewnie uważasz, że nie powinienem być cię tutaj zapraszać - powiedział

Peter.

- Rzeczywiście.

Westchnął ciężko i poprawił krawat na masywnym brzuchu.

- Jeszcze nigdy nie znalazłem się w takiej sytuacji.

- Jak to?

- Jeszcze nigdy nie zostałem tak przyłapany - wyjaśnił.

Pomyślałem, że sam się o to prosił. Wpakował się w ten romans z szeroko otwartymi oczami i z pełną świadomością konsekwencji. Jednak mimo to nie potrafiłem przestać go lubić.

- Najgorsze jest - ciągnął - powracanie myślą do przeszłości i

zastanawianie się, w którym momencie należało postąpić inaczej. Wciąż to robię. I nigdy nie udaje mi się znaleźć miejsca, którego szukam: tej kluczowej chwili, kiedy zbłądziłem. Pewnie był to związek z Ev. Ale gdybym nawet mógł cofnąć czas i tak dokonałbym tego samego wyboru.

Może o wszystkim przesądziła pierwsza skrobanka Karen? Ale tego też bym nie zmienił. Każdy czyn z osobna wydaje mi się słuszny. Dopiero cały łańcuch. ..

- Przekonaj J.D., żeby wycofał zarzuty - zaproponowałem. Pokręcił głową.

- Między mną i bratem nigdy się nie układało - odparł. - Odkąd pamiętam, nie zgadzamy się ze sobą. Wszystko nas różni, nawet wygląd. Myślimy inaczej, zachowujemy się inaczej. Kiedy byłem dzieckiem, tak bardzo go nienawidziłem, że podejrzewałem, iż w ogóle nie jest moim bratem, tylko został adoptowany. Zapewne on myślał o mnie to samo.

Dopił kawę i spuścił głowę.

- Ev próbowała przekonać J.D., żeby wycofał zarzuty, ale bardzo się uparł, a ona nie mogła...

- Wymyślić żadnego wytłumaczenia?

-Tak.

- Szkoda, że w ogóle rzuciła oskarżenie na Arta.

- Tak - odparł. - Ale teraz nic już na to nie poradzimy. Odprowadził mnie do drzwi. Wyszedłem na blade, poszarzałe słoneczne światło. Kiedy zbliżyłem się do samochodu, powiedział:

- Jeśli uznasz, że nie chcesz się w to mieszać, zrozumieć. Obejrzałem się przez ramię.

- Przecież od razu wiedziałeś, że nie będę miał wyboru.

- Nie - odrzekł. - Ale bardzo na to liczyłem.

Gdy wsiadłem do samochodu, zacząłem się zastanawiać, co mam teraz zrobić. Brakowało mi pomysłów, śladów, informacji. Mógłbym zadzwonić do Zennera i zapytać, czy nie przypomniał sobie czegoś z ostatniej rozmowy z Karen, albo odwiedzić Ginnie w Smithie lub Angelę i Bańkę na Beacon Hill. Wątpiłem jednak, by mi to cokolwiek dało.

Sięgnąłem do kieszeni po kluczyki i natknąłem się na jakąś kartkę.

Wyjąłem ją. Była to fotografia młodego Murzyna w lśniącym garniturze.

Roman Jones.

Zupełnie o nim zapomniałem. Gdzieś po drodze, w całym tym pośpiechu, zniknął mi z pola widzenia, zginął w tłumie innych ludzi. Wpatrywałem się długo w fotografię, próbując wyczytać charakter Romana z rysów jego twarzy. Okazało się to jednak niemożliwe; stał w standardowej pozie, przystojniak w srebrzystym garniturze, z zuchwałą miną okraszoną uśmiechem podrywacza. Była to typowa, nic nie mówiąca poza.

Nie radzę sobie zbyt dobrze ze słowami i zawsze mnie zaskakiwało, że mój synek Johnny tak różni się ode mnie pod tym względem. Kiedy na przykład jest sam, bawi się zabawkami i wymyśla rozmaite gry słowne.

Układa rymowanki albo opowiada sobie zmyślane historie. Ma bardzo wyczulone ucho i często przychodzi do mnie po wyjaśnienia. Raz zapytał

mnie, kto to jest kurtyzana, wymówiwszy słowo dokładnie i powoli, jakby się bał, że coś przekreśli.

Dlatego nie zdziwiłem się specjalnie, gdy podszedł i zapytał:

- Tatusiu, co znaczy „aborcja”?

- A czemu pytasz?

- Jeden z panów policjantów powiedział, że wujek Art robi aborcje. Czy to źle?

- Czasami - odparłem.

Objął moją nogę, opierając podbródek o kolano. Ma duże brązowe oczy.

Po Judith.

- Ale co to znaczy, tato?

- To skomplikowane - odrzekłem, grając na zwłokę.
- Czy to rodzaj operacji? Jak wycięcie migdałków?
- Tak - powiedziałem. Wziąłem go na kolana. Robił się ciężki, sporo ostatnio urosł. Judith nawet coś wspominała, że czas postarać się dla niego o młodszą siostrzyczkę lub braciszka. - Tylko że ma związek z dziećmi.
- To coś takiego jak poród?
- Jak poród? Właściwie tak.
- Jak wyjęcie dziecka z brzucha mamusi?
- Tak - odparłem. - Tylko przy aborcji wyjmuje się dziecko wcześniej, bo czasami dziecko jest chore. Czasami rodzi się takie, że nie umie mówić...
- Dzieci w ogóle nie mówią- zauważył Johnny. - Dopiero później.
- Tak - przyznałem. - Ale czasami dziecko rodzi się bez rąk albo nóg. Jest zniekształcone. Więc pan doktor zabiera je wcześniej.
- Zanim urośnie?
- Tak, zanim urośnie.
- Czyja też zostałem wyjęty wcześniej?
- Nie - odparłem i przytuliłem go mocno.
- Dlaczego niektóre dzieci nie mają rąk albo nóg?
- Przez przypadek - powiedziałem. - Przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności.
- Johnny popatrzył na swoją dłoń i poruszył palcami.
- Ręce są fajne - zauważył.
- Tak.
- Wszyscy mają ręce.
- Nie. Niektórzy nie mają.
- Ale nie znam nikogo takiego.

- To prawda - odparłem - ale czasami ludzie rodzą się bez rąk.

- To jak łapią piłkę, grając w bejsbol?

- Po prostu nie mogą grać.

- To niedobrze - stwierdził. Znowu spojrział na dłoń. Rozprostował palce, przyglądając im się uważnie.

- Dlaczego w ogóle mamy ręce, tato?

- Bo tak już jest. - To pytanie mnie przerosło.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ w naszych ciałach jest taki kod.

-Co to jest kod?

- To są takie instrukcje, które mówią organizmowi, jak ma rosnać.

-Kod?

- Tak, zestaw instrukcji. Plan.

-Aha.

Johnny zamyślił się nad tym, co powiedziałem.

- To tak jak twoje klocki lego. Patrzysz na obrazek i budujesz to, co widzisz. Ten obrazek nazywa się „plan” - wytłumaczyłem.

-Aha.

Nie wiedziałem, czy mnie zrozumiał. Myślał przez chwilę, a potem podniósł na mnie wzrok i zapytał:

- Co się dzieje z dzieckiem, które wyciąga się wcześniej z mamusi?

-Odchodzi.

-Dokąd?

- Po prostu, odchodzi - odparłem, unikając dalszych wyjaśnień.

- Aha- mruknął, schodząc z moich kolan. - Czy wujek Art naprawdę robi aborcje?

-Nie-odrzekłem. Musiałem skłamać. Wiedziałem, że inaczej dostałbym telefon z przedszkola informujący, że mały Johnny chwali się, iż jego wujek wykonuje aborcje. Mimo to poczułem wyrzuty

sumienia.

- Dobrze - zauważył. - Cieszę się. I poszedł.

- Nie jesz - powiedziała Judith. Odsunąłem talerz.

- Nie jestem głodny - odparłem.

Judith odwróciła się do Johnny'ego i poprosiła:

-Jedz, synku.

- Nie jestem głodny - odrzekł, ściskając widelec w swojej małej pięścce, a potem popatrzył na mnie ufnie.

- Jasne, że jesteś - powiedziałem.

- Nie - odparł - nie jestem.

Debby, która dorosła na tyle, żeby jeść przy stole, odrzuciła nóż i widelec.

- Ja też nie jestem głodna - oświadczyła. - A jedzenie jest fuj.

- Myślę, że jest bardzo smaczne - stwierdziłem i z poczucia obowiązku zjadłem kawałek kotleta. Dzieci popatrzyły na mnie podejrzliwie.

Zwłaszcza Debby. Jest bardzo spostrzegawczą i przebiegłą trzylatką.

- Mówisz tak, bo chcesz, żebyśmy jedli, tato.

-Naprawdę mi smakuje - odparłem i wziąłem do ust kolejny kęs.

-Udajesz.

- Wcale nie.

- To dlaczego się nie uśmiechasz? - zapytała Debby. Na szczęście w tej właśnie chwili Johnny postanowił zjeść więcej. Pogładził się po brzuchu.

- Dobrze - szepnął.

- Tak? - upewniła się Debby.

- Tak - odparł Johnny - bardzo dobre.

Debby spróbowała niepewnie. Była bardzo ostrożna. Nałożyła sobie kolejny widelec puree, ale kiedy podniosła go do ust, ziemniaki spadły jej na sukienkę. Wtedy obraziła się na wszystkich. Oświadczyła, że kolacja jest okropna i że nie zamierza już jeść. Judith zwróciła się do niej per

„moja panno”, nieomylny znak, że także zaczęła się denerwować. Debby uspokoiła się, a tymczasem Johnny spałaszował wszystko, jak się patrzy, i z dumą pokazał nam czysty talerz.

Minęło jeszcze pół godziny, nim dzieci poszły spać. Ja zostałem w kuchni.

Gdy Judith wróciła, zapytała:

-Kawy?

- Tak. Chętnie.

- Przepraszam za dzieci - powiedziała. - Ostatnio miały dużo wrażeń.

- Jak my wszyscy.

Nalała kawę i usiadła przy stole naprzeciwko mnie.

- Ciągle myślę o tych listach do Arta i Betty - wyznała. . -Tak?

- O tym, co znaczą. Wokół nas są tysiące głupich, zdewociałych, cia-snogłowych ludzi, którzy tylko czekają na okazję...

- Tak wygląda demokracja - zauważyłem. - Ci ludzie rządzą krajem.

-Nie żartuj sobie ze mnie.

- Wcale nie żartuję - zapewniłem. - Wiem, o co ci chodzi.

- Przeraza mnie to - westchnęła Judith. Przysunęła mi cukiernicę. -Chyba chcę wyjechać z Bostonu. I już nigdy tu nie wracać.

- Wszędzie jest tak samo - odparłem. - Trzeba się do tego przyzwyczać.

Zmarnowałem dwie godziny w gabinecie, przeglądając stare książki i artykuły medyczne. Sporo też rozmyślałem. Próbowałem zebrać wszystko w całość, połączyć Karen Randall, Klawisza, Alana Zennera, Bańkę i Angelę. Staralem się także zrozumieć Westona. Bezskutecznie - nie mogłem w tym wszystkim odnaleźć żadnego sensu.

Weszła Judith.

- Dziewiąta - oznajmiła. Wstałem i włożyłem marynarkę.

- Wybierasz się dokądś?

-Tak.

-Dokąd? Uśmiechnąłem się do niej.

- Do baru - odparłem. - W centrum.

- Po co?

-Nie mam pojęcia.

Elektryczne Winogrono mieściło się tuż obok ulicy Waszyngtona. Z

zewnątrz nie robiło wielkiego wrażenia - stary ceglany budynek z dużymi oknami zaklejonymi papierem tak, że nie było widać, co dzieje się w środku. Na papierze napisano: Co WIECZÓR: ZEFIRY. TANCERKI GO-GO. Podchodząc, usłyszałem dudniący rockowy rytm.

Dziesiąta. Czwartkowy wieczór, mały ruch. Tylko kilku marynarzy, parę dziwek stojących na ulicy i wdzięczących się do nielicznych

przechodniów. Jedna, sunąc powoli w sportowym samochodzie,

zatrzepotała do mnie klejącymi się od tuszu rzęsami. Wszedłem do środka.

Uderzyło mnie gorące, wilgotne od potu powietrze i ogłuszająca wibrująca muzyka. Przystanąłem, żeby przyzwycząić oczy do mroku. Przy jednej ze ścian naprzeciwko baru stały tanie drewniane stoły. Pośrodku, obok podwyższenia dla muzyków, był niewielki parkiet do tańca. Dwaj

marynarze kołysali się na nim z dwiema grubymi dziewczynami. Poza tym lokal był pusty.

Na scenie występowały Zefiry: dwóch gitarzystów, basista, perkusista i wokalista, obściskujący lubieżnie mikrofon. Robili sporo hałasu, ale na ich twarzach malowało się zblazowanie, jakby grając, zabijali tylko czas.

Zespołowi towarzyszyły dwie wijące się tancerki w obszytych frędzlami bikini. Jedna była pulchna, a druga miała piękną twarz i pozbawione wdzięku ciało. W świetle reflektorów ich brzuchy i nogi lśniły kredową bielą.

Podszedłem do baru i zamówiłem czystą szkocką z lodem. Uznałem, że dzięki temu dostanę whisky z wodą, na co właśnie miałem ochotę.

Zapłaciłem i odwróciłem się, żeby obejrzeć muzyków. Roman grał na gitarze i ze spuszczoną głową patrzył na przebierające po strunach palce.

Był muskularnym mężczyzną pod trzydziestkę z gęstymi lśniącymi od brylantyny włosami.

- Są całkiem niezli — rzuciłem do barmana. Wzruszył ramionami.

- Lubi pan taką muzykę?

- Jasne. A pan nie?

- Gównno - odparł - Wszystko to gównno.

- A co pan lubi?

- Operę - odrzekł i odszedł, żeby obsłużyć innego klienta. Żartował czy mówił poważnie? Nie miałem pojęcia.

Stałem, popijając drinka i obserwowałem koncert. Zefiry skończyły piosenkę i marynarze na parkiecie zaczęli klaskać. Nikt inny, tylko oni.

Wokalista, wciąż się kołysząc, pochylił się nad mikrofonem.

- Dzięki, dzięki - rzucił takim tonem, jakby brawa bił mu

rozentuzjasmowany tysięczny tłum.

- Teraz zagramy stary utwór Chucka Berry'ego - oznajmił.

Okazało się, że to Long Tall Sally. Rzeczywiście stary numer. Dostatecznie stary, żebym wiedział, że wykonywał go Little Richard, a nie Chuck Berry.

Dostatecznie stary, żeby przypomniały mi się czasy sprzed małżeństwa, kiedy zabierałem dziewczyny na zwariowane wieczory do miejsc takich, jak to. Czasy, kiedy Murzyni nie byli jeszcze ludźmi, tylko zabawnym przerywnikiem muzycznym. Czasy, kiedy biali chłopcy mogli chodzić do Apolla w Harlemie.

Stare czasy.

Zagrali bardzo dobrze, szybko i głośno. Judith nie lubi rock and roila, a szkoda, mnie zawsze się podobał. Ale kiedy dorastaliśmy, nie był jeszcze modny. Postrzegano go jako ordynarną muzykę dołów społecznych.

Królowali wciąż Lester Lanin i Eddie Davis, a Leonard Bernstein nie nauczył się jeszcze twista.

Czasy się zmieniają.

W końcu muzycy skończyli występ. Podłączyli adapter do głośników i puścili płytę. Zeskoczyli ze sceny i ruszyli w stronę baru. Kiedy się zbliżyli, podszedłem do Romana i klepnałem go po ramieniu.

- Postawić ci drinka? Spojrzał na mnie zaskoczony.

-Dlaczego?

- Jestem fanem Little Richarda. Zlustrował mnie wzrokiem.

- Odczep się, koleś.

- Mówię serio.

- Wódkę - powiedział, siadając obok mnie.

Kiedy barman przyniósł kieliszek, Roman wychylił go jednym haustem.

- Jeszcze jedna kolejka - oznajmił - a potem możemy pogadać o Lit-tle Richardzie, dobra?

- Dobra - odparłem.

Zamówił drugą wódkę i zaniósł ją do stolika na drugim końcu sali.

Poszedłem zanim. Jego srebrzysty garnitur lśnił w mroku. Kiedy

usiedliśmy, wlepił wzrok w kieliszek i powiedział: - Chcę zobaczyć blaszkę.

-Co?

Skrzywił się boleśnie.

- Policyjną odznakę, dzieciно. Nic nie zrobię, dopóki nie zobaczę odznaki.

Musiałem wyglądać na zdumionego.

- Chryste - mruknął - kiedy w końcu zwerbują jakichś bystrych gliniarzy?

-Nie jestem gliną- odparłem.

- Jasne. - Wypił wódkę i wstał.

- Zaraz. Coś ci pokażę.

Wyciągnąłem portfel i pokazałem mu legitymację lekarską. Pochylił się, żeby się jej przyjrzeć.

- Bez jaj - prychnął, ale usiadł.

-Naprawdę jestem lekarzem.

- W porządku - odparł. - Jesteś lekarzem. Śmierdzisz mi gliną, ale jesteś lekarzem. W takim razie wyjaśnijmy coś sobie: widzisz tych czterech facetów przy barze? - Skinął głową w stronę kolegów z zespołu. - Jak coś się stanie, wszyscy zeznają, że pokazałeś legitymację lekarską, a nie odznakę. W sądzie będziesz miał przechłapane. Jasne, dzieciно?

- Chcę tylko porozmawiać.

- Bez jaj. - Uśmiechnął się krzywo. - Wieści szybko się rozchodzą.

-Tak?

- Tak - odparł, obrzucając mnie wzrokiem. - Kto ci o tym powiedział?

- Mam sposoby.

-Jakie?

Wzruszyłem ramionami.

- Po prostu... sposoby.

- Kto chce kupić?

-Ja. Roześmiał się.

- Ty? Nie zalewaj, koleś. Niczego nie chcesz.

- W porządku - powiedziałem. Wstałem i ruszyłem do wyjścia. -Może szukam kogoś innego.

-Moment, dziecino.

Zatrzymałem się. Siedział przy stole, wpatrując się w kieliszek i obracając go w dłoni.

- To dobry towar - oznajmił. - Bez domieszek. Najlepsza jakość i wysoka cena. Chwytasz?

- Tak - odparłem.

Podrapał się nerwowo po ramieniu.

- Ile działek chcesz?

- Dziesięć. Piętnaście. Ile masz.

- Mam, ile trzeba.

- W takim razie piętnaście - odrzekłem. - Ale najpierw chcę obejrzeć towar.

- Tak, tak, spoko. Możesz go sobie oglądać, jest dobry.

Podrapał się znowu przez srebrny materiał, a potem się uśmiechnął.

- Ale najpierw jeszcze jedna sprawa.

- Jaka? - spytałem.

- Kto ci powiedział? Zawahałem się.

- Angela Harding - odparłem.

Wyglądał na zdziwionego. Nie wiedziałem, czy nie palnąłem czegoś głupiego. Poprawił się na krześle, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem spytał:

-Znasz ją?

- Trochę.

-Kiedy ją ostatnio widziałeś?

-Wczoraj.

Pokiwał powoli głową.

- Tam - oznajmił - są drzwi. Dam ci trzydzieści sekund na wyjście, a potem rozwalę ci łeb. Słyszysz, gliniarzu? Trzydzieści sekund.

- Dobra, to nie była Angela - powiedziałem. - Tylko jej koleżanka.

-Kto?

- Karen Randall.

-Nigdy o niej nie słyszałem.

- Podobno bardzo dobrze ją znałeś. Pokręcił głową.

-Nie.

- Mówiono mi co innego.

- To źle ci mówiono, dzieciно.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem jego zdjęcie.

- Znalazłem to w jej pokoju.

Zanim zorientowałem się, co się dzieje, wyrwał mi fotografię z ręki i podarł ją na strzępy.

- Jakie zdjęcie? - zapytał spokojnie. - Nic nie wiem o żadnym zdjęciu. Nie widziałem dziewczyny na oczy.

Opadłem z rezygnacją na oparcie krzesła. Spojrzał na mnie drapieźnie.

- Spadaj - warknął.

- Przyszedłem, żeby coś kupić - odparłem. -I nie wyjdę, dopóki nie dobijemy targu.

- Spieprzaj, bo nie ręczę za siebie.

Znowu drapał się po rękę. Patrzyłem na niego i zdałem sobie sprawę, że niczego od niego nie wyciągnę. Nie zamierzał nic mówić, a ja nie mogłem go do tego zmusić.

- Dobra-powiedziałem. Wstałem, zostawiając na stole swoje okulary. - A tak przy okazji, nie wiesz, gdzie mógłbym zdobyć trochę thiopen-talu?

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Czego? - zapytał po chwili.

- Thiopentalu.

-Nie mam pojęcia, o czym gadasz. A teraz zmiataj. Nim któryś z tych facetów przy barze nie wbije ci głowy w ziemię.

Wyszedłem. Było zimno, znowu zaczęło mżyć. Spojrzałem w stronę ulicy Waszyngtona na jaskrawe światła barów, tancbud, klubów ze strip-tizem.

Odczekałem trzydzieści sekund i wróciłem do środka.

Moje okulary wciąż leżały na stole. Podniosłem je i ruszyłem z powrotem do wyjścia, omiatając wzrokiem salę.

Roman stał w kącie i rozmawiał przez telefon.

Tylko tego chciałem się dowiedzieć.

Za rogiem na końcu uliczki znajdował się tani bar szybkiej obsługi.

Hamburgery po dwadzieścia centów. Przez przeszkloną witrynę

zobaczyłem kilka nastolatek chichoczących przy jedzeniu i paru ponurych mężczyzn w długich, sięgających do kostek zniszczonych płaszczach.

Kiedy

wszedłem do środka, zauważyłem trzech marynarzy klepiących się po plecach, którzy przeżywali jakiś podbój albo planowali nowy. W głębi był

telefon.

Wykręciłem numer Memoriala i poprosiłem Hammonda. Poinformowano mnie, że pan doktor pracuje tego wieczoru na ostrym dyżurze. Po chwili recepcja mnie przełączyła.

- Norton, tu John Berry.

- Cześć, co tam u ciebie?

- Potrzebuję dodatkowych informacji - odparłem. - Z archiwum.

- Masz szczęście - oznajmił. - Zdaje się, że noc będzie spokojna. Na razie mamy tylko parę drobnych wypadków i kilka bójek. Nic więcej. Czego ci trzeba?

- Zapisz - poprosiłem. - Roman Jones, Murzyn w wieku około dwudziestu czterech, dwudziestu pięciu lat. Chcę się dowiedzieć, czy kiedykolwiek przyjęto go do waszego szpitala albo czy odwiedzał którąś klinikę. I potrzebuję dat.

- Jasne - odrzekł Hammond. - Roman Jones. Daty przyjęcia i wizyt. Zaraz to sprawdzę.

- Dzięki - powiedziałem.

- Zadzwoń jeszcze?

-Nie. Wpadnę później na ostry dyżur. To był eufemizm, jak się później okazało.

Zdażyłem zgłodnieć, więc odwiesiłem słuchawkę i zamówiłem kawę i hot doga. Były nie hamburgera, nie w takim lokalu. Po pierwsze, często robi się z końskiego mięsa, zajęcy, wnętrzności albo czegośkolwiek, co akurat kucharz ma pod ręką. A po drugie, jest w nich zazwyczaj tyle patogenów, że wystarczyłoby na otrucie pułku wojska. Weźmy na przykład taką włośnicę - w Bostonie odnotowuje się sześć razy więcej zachorowań na to paskudztwo, niż wynosi średnia krajowa. Dlatego zawsze trzeba uważać.

Mam znajomego, który jest bakteriologiem. Większość życia spędza w szpitalnym laboratorium, gdzie hodują kultury mikroorganizmów, które wykryto u pacjentów. Po kilku latach pracy biedak właściwie przestał się stołować w restauracjach, nawet U Josepha czy Locke-Ober. Nie tknie steku, który nie został dobrze przyrządzony. I ciągle się przejmuję. Raz jadłem z nim kolację. To było okropne - cały czas pocił się ze strachu. Po jego minie było widać, że wyobraża sobie kolonie bakterii porastające całe danie. Przy każdym kęsie przeżywał męczarnie, myśląc o gronkowcach, paciorkowcach i salmonelli.

W każdym razie hot dogi są bezpieczniejsze - nie do końca, ale jednak -

więc zamówiłem sobie jednego i zająłem miejsce przy blacie w pobliżu okna. Jadłem, przyglądając się ludziom przechodzącym ulicą.

Pomyślałem o Romanie. Wcale nie spodobało mi się to, czego się od niego dowiedziałem. Było jasne, że sprzedawał narkotyki i to pewnie mocne.

Marihuana była zbyt łatwa do zdobycia. Santoz nie robił już LSD, ale kwas lizergowy, jej główny składnik, wciąż produkowano we Włoszech na tony, a każdy dzieciak z college'u mógł je z łatwością zsyntetyzować, używając kilku łatwo dostępnych odczynników. Jeszcze łatwiej było uzyskać DMT.

Roman handlował prawdopodobnie opiatami, morfiną i heroiną.

Świadczyła o tym jego reakcja, kiedy wspomniałem o Angeli Harding i Karen Randall. Nie

wiedziałem dokładnie, co ich łączyło, ale

przeczuwałem, że niedługo się tego dowiem.

Zjadłem hot doga, lecz wciąż wolno sączyłem kawę. Kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem Romana. Nie zauważył mnie. Patrzył prosto przed siebie, wyglądał na skupionego i zaniepokojonego.

Dopiłem kawę i ruszyłem za nim.

Spieszył się. Przepychał się między ludźmi, torując sobie drogę łokciami.

Ani na moment nie spuściłem go z oka, kiedy szedł w stronę Stuart Street.

Następnie skręcił w lewo i ruszył w kierunku autostrady. Na tym odcinku ulicy panował mały ruch. Zwolniłem kroku i zapaliłem papierosa.

Postawiłem kołnierz płaszcza, żałując, że nie mam kapelusza. Jeżeli obejrzałby się przez ramię, na pewno by mnie rozpoznał.

Roman dotarł do następnej przecznicy i znowu skręcił w lewo. Wyraźnie kluczył. Nie rozumiałem dlaczego, ale postanowiłem zachować możliwie największą ostrożność. Szedł szybkim krokiem, machając nerwowo

ramionami, jakby przed kimś uciekał.

Byliśmy teraz na Harvey. Mieściło się tu parę chińskich restauracji.

Przystanąłem, żeby spojrzeć na kartę dań wywieszoną w oknie jednej z nich. Roman nie oglądał się za siebie. Przy następnej przecznicy skręcił w prawo.

Na południe od Boston Commons charakter miasta gwałtownie się

zmienia. Na Tremont Street mieszczą się eleganckie sklepy i teatry.

Washington znajduje się przecznicę dalej i tam jest już trochę gorzej: są tu bary, prostytutki i kina porno. Dalej robi się jeszcze mniej przyjemnie.

Potem przechodzi się przez uliczkę z chińskimi restauracjami i koniec. Od tego miejsca zaczyna się dzielnica hurtowni. Głównie z odzieżą.

Właśnie tutaj znajdowaliśmy się teraz.

W oknach zamkniętych na głucho magazynów stały bele tkanin. Mijałem duże bramy z blachy falistej, gdzie zazwyczaj podjeżdżają ciężarówki z ładunkiem. Kilka sklepików z ubraniami, jeden z kostiumami teatralnymi -

ze strojem chórzystki, starym mundurem wojskowym i kilkoma perukami na wystawie. W jednej z

piwnic znajdował się klub bilardowy, z którego dochodził cichy stukot potracających się kul.

Ulice były mokre i mroczne. Ani żywej duszy. Roman dotarł do następnej przecznicy i zatrzymał się.

Schowałem się w bramie i czekałem. Przez chwilę patrzył za siebie, a potem znowu ruszył. Podążyłem za nim.

Kilkakrotnie zawracał z obranej drogi i często oglądał się za siebie. Raz ulicą przejechał samochód. Roman uskoczył w cień i wyszedł dopiero wtedy, gdy wóz zniknął za zakrętem.

Bał się, bez dwóch zdań.

Śledziłem go przez jakieś piętnaście minut. Trudno się było zorientować, czy zwyczajnie sobie spaceruje, czy też upewnia się, że nie jest śledzony.

Kilkakrotnie przystanął, żeby spojrzeć na coś, co trzymał w dłoni -może zegarek, a może coś innego. Z tej odległości nie byłem w stanie tego stwierdzić.

W końcu skierował się na północ, idąc bocznymi uliczkami i omijając siedzibę władz stanowych. Dopiero po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że zmierza na Beacon Hill.

Minęło dziesięć kolejnych minut i musiałem się zagapić, bo go zgubiłem.

Zniknął mi za rogiem, a kiedy doszedłem do zakrętu, okazało się, że ulica jest zupełnie pusta. Przystanąłem, nasłuchując odgłosu kroków. Nic.

Pędem rzuciłem się więc przed siebie, licząc, że jeszcze uda mi się go dogonić.

I wtedy to się stało.

Coś ciężkiego i zimnego uderzyło mnie w głowę. Poczułem ostry ból, a po chwili dostałem pięścią w brzuch. Upadłem na chodnik i świat zawirował

mi przed oczami. Usłyszałem krzyki, odgłos pośpiesznych kroków, a potem ciszę.

To była jedna z tych dziwacznych wizji, jakie czasem się miewa; jak sen, w którym wszystko jest zniekształcone. Budynki były czarne i bardzo wysokie, gięły się i falowały mi nad głową, jakby za chwilę miały się zawalić. Zdawały się piąć coraz wyżej, w nieskończoność. Byłem

zziębnięty

i przemoczony, krople deszczu obmywały mi twarz. Podniosłem głowę i spostrzegłem, że chodnik jest czerwony.

Podparłem się na łokciu. Po moim płaszczu spłynęła krew. Popatrzyłem tępo na czerwone plamy. Cholernie dużo krwi. Mojej?

Scisnęło mnie w żołądku i zwymiotowałem. Kręciło mi się w głowie, a świat na chwilę stał się zielony.

W końcu zdołałem podźwignąć się na kolana.

W oddali usłyszałem syreny. Wstałem niepewnie, opierając się o samochód zaparkowany przy krawężniku. Nie wiedziałem, gdzie jestem.

Ulica była ciemna i cicha. Spojrzałem na zakrwawiony chodnik, zastanawiając się, co robić.

Jęk syren narastał z każdą chwilą.

Potykając się, dobiegłem do skrzyżowania i przystanąłem, żeby złapać oddech. Syreny były już całkiem blisko, w głębi ulicy zamigotały błękitne światła.

Rzuciłem się pędem przed siebie. Nie wiem, jak daleko dotarłem. Nie wiem, gdzie się znajdowałem.

Biegłem tak długo, aż zobaczyłem taksówkę. Stała na postoju z włączonym silnikiem.

- Zawieź mnie do najbliższego szpitala - wy dyszałem. Kierowca spojrzał mi w twarz.

- Nie ma mowy - syknął. Zacząłem wsiadać.

- Spadaj, koleś. - Zatrzasnął drzwiczki i odjechał, zostawiając mnie na deszczu.

W oddali znowu usłyszałem syreny.

Zakręciło mi się w głowie. Przykucnąłem, czekając, aż mi przejdzie.

Znowu mnie zemdlilo. Po twarzy spływała mi krew. Czerwone kropelki kapały na ulicę.

Wciąż padało. Trząsałem się z zimna, ale chłód pomagał mi utrzymać przytomność. Wstałem i spróbowałem wziąć się w garść. Znajdowałem się gdzieś na południe od Waszyngton Street, na najbliższym drogowskim widniał napis Curley Place. Nic mi to nie mówiło. Ruszyłem dalej, słaniając się i zatrzymując, by odpocząć.

Miałem nadzieję, że idę w dobrym kierunku. Wiedziałem, że tracę krew, ale nie wiedziałem jak dużo. Co kilka kroków musiałem przystawać, żeby oprzeć się o samochód i złapać oddech.

Coraz bardziej kręciło mi się w głowie.

Potknąłem się i upadłem. Uderzyłem kolanami o chodnik i poczułem przeszywający ból. Otrzeźwiło mnie to na tyle, że udało mi się wstać.

Przemoczone buty skrzypiały, ubranie przesiąknięte było wodą i potem.

Skupiłem całą uwagę na odgłosie własnych kroków i zmusiłem się do dalszego marszu. Trzy przecznice przed sobą zobaczyłem światła.

Wiedziałem, że mi się uda.

Tylko powolutku, krok po kroku.

Oparłem się o niebieski samochód. Tylko na moment, żeby nabrać tchu.

- Jesteśmy. Dobry chłopak. - Ktoś mnie podnosił. Leżałem w samochodzie i ktoś mnie z niego wynosił. Zarzucił moje ramię za szyję i stanąłem na nogach. Ruszyliśmy z miejsca. Przed nami rażące światło. Napis: POGOTOWIE RATUNKOWE. Błękitne światło. Pielęgniarka przy drzwiach.

-Tylko powoli, chłopcze. Spokojnie.

Głowa opadała mi bezwładnie na piersi. Próbowałem się odezwać, ale zaschło mi w ustach. Strasznie chciało mi się pić, było mi zimno.

Podniosłem wzrok, żeby zobaczyć, kto mi pomaga: starszy mężczyzna z brodą i łysiną. Starąłem się stanąć pewniej, żeby nie musiał mnie podtrzymywać, ale kolana uginały się pode mną, jakby były z gumy, do tego miałem dreszcze.

- Świetnie nam idzie, chłopcze. Wszystko w porządku - uspokoił mnie chrapliwym głosem.

Pielęgniarka wyszła nam na spotkanie, oblana jasnym światłem z tablicy nad wejściem. Zobaczyła mnie i wbiegła z powrotem do środka. W

drzwiach pojawili się dwaj młodzi lekarze, każdy z nich chwycił mnie za ramię. Byli silni, poczułem, jak mnie podnoszą. Szorowałem butami po mokrym chodniku. Gdy głowa opadła mi do przodu, deszcz sieknął mnie po karku. Łysy mężczyzna pobiegł, żeby przytrzymać drzwi.

Wnieśli mnie do środka, gdzie było zdecydowanie cieplej. Położyli mnie na stole i zaczęli ściągać ubranie, ale było mokre od wody i krwi, kleiło się do ciała. W końcu rozcięli je nożycami. Było to bardzo trudne i ciągnęło się godzinami. Zacisnąłem powieki, bo raziło mnie światło z sufitu.

- Hematokryt i grupa krwi - rzucił jeden z lekarzy. - I przygotuj narzędzia do szycia. W dwójce.

Robili coś z moją głową; czułem dotyk rąk i gazę przyciskaną do skóry.

Moje czoło było zimne i odrętwiałe. Zdążyli mnie już rozebrać, wytarli szorstkim ręcznikiem i

zawinęli w koc, a potem przenieśli na wózek.

Ruszyliśmy w głąb korytarza. Otworzyłem oczy i ujrzałem nad sobą zatroskaną twarz łysego mężczyzny z brodą.

- Gdzie go pan znalazł? - zapytał jeden z lekarzy.

-Na samochodzie. Leżał na masce samochodu. Zobaczyłem go i

pomyślałem, że się po prostu upił. Ale leżał od strony jezdni, wie pan, więc pomyślałem, że ktoś może go potrącić. Zatrzymałem się, żeby go przesunąć i wtedy zobaczyłem, że jest dobrze ubrany i cały we krwi. Nie wiedziałem, co się stało, ale źle wyglądał, więc przywiozłem go tutaj.

-Nie ma pan pojęcia, co się wydarzyło? - zapytał lekarz.

- Wygląda mi na pobicie - odparł mężczyzna.

- Nie miał portfela - powiedział lekarz. - Jest panu winien za

podwiezienie?

- Nic nie szkodzi.

- Na pewno będzie chciał panu zapłacić.

-Nie ma o czym mówić. To ja już sobie pójdę.

- Lepiej niech pan zostawi nazwisko w recepcji - powiedział lekarz.

Ale mężczyzna zdążył już zniknąć.

Wwieźli mnie do sali wyłożonej niebieskimi kafelkami. Włączyli lampę.

Stanęli nade mną. Z maskami na twarzach, gumowymi rękawiczkami na rękach.

- Zatrzymamy krwotok - oznajmił lekarz - a potem na prześwietlenie. -

Spojrzał na mnie. - Jest pan przytomny? Pokiwałem głową i spróbowałem się odezwać.

- Proszę nie mówić. Może pan mieć złamaną szczękę. Zaszyję panu tylko tę ranę na czole, a potem zobaczymy.

Pielęgniarka umyła mi twarz. Najpierw ciepłą wodą z mydłem. Gąbka była nasiąknięta krwią.

- Teraz spirytus - powiedziała. - Może trochę szczypać. Lekarze, dwaj stażyści, rozmawiali, przyglądając się ranie.

-Lepiej zapisz ją jako sześciocentymetrową powierzchowną ranę ciętą na prawej skroni.

Prawie nie poczułem spirytusu. Tylko lekki chłód i mrowienie, nic więcej.

Lekarz wziął zakrzywioną igłę. Pielęgniarka odsunęła się, żeby zrobić mu miejsce. Spodziewałem się bólu, ale to było tylko łagodne szczypanie.

- Cholernie ostre nacięcie. Niemal chirurgiczne - zauważył stażysta, który mnie zszywał.

-Nóż?

- Może, ale wątpię.

Pielęgniarka zacisnęła mi na ramieniu gumową opaskę i pobrała krew.

- Zrób mu zastrzyk przeciwtężcowy - poprosił lekarz. -I penicylinę. -

Popatrzył na mnie i powiedział: - Proszę mrugnąć raz na „tak” i dwa razy na „nie”. Jest pan uczulony na penicylinę?

Mrugnąłem dwa razy.

- Jest pan pewien? Mrugnąłem raz.

- W porządku - powiedział i wrócił do szycia. Pielęgniarka zrobiła mi dwa zastrzyki. Drugi stażysta w milczeniu przyglądał się zabiegowi.

Znowu straciłem przytomność.

Ocknąłem się w innej sali. Pomalowanej na jasną zieleń. Ci sami dwaj młodzi lekarze oglądali pod światło mokre jeszcze rentgenogramy, rozmawiając na ich temat. Potem jeden z nich wyszedł, a drugi zbliżył się do mnie.

- Zdaje się, że nic panu nie jest - oznajmił. - Może pan mieć kilka luźnych zębów, ale nie widzę żadnych złamań ani pęknięć.

Zaczęła mi wracać świadomość. Oprzytomniałem na tyle, żeby zapytać:

- Czy radiolog widział już te zdjęcia?

Wyraźnie zbiłem ich z tropu. Zesztywnieli, myśląc o tym samym, co ja: że rentgeny czaszki są tak trudne do odczytania, iż wymagają wyćwiczonego oka. Tyle tylko że nie potrafili odgadnąć, skąd takie pytanie w ustach pacjenta.

- Nie, radiologa akurat nie ma.

-A gdzie jest?

- Właśnie wyszedł na kawę.

- To niech go pan sprowadzi - zażądałem. Miałem sucho w gardle i bolała mnie szczęka. Dotknąłem policzka i wyczułem dużą opuchliznę. Nic dziwnego, że podejrzewali złamanie.

- Jaki mam hematokryt? - zapytałem.

- Słucham?

Trudno mnie było zrozumieć, miałem opuchnięty język i mówiłem bardzo niewyraźnie.

- Jaki mam hematokryt? - powtórzyłem.

Stażyści popatrzyli po sobie, a potem jeden z nich odparł:

- Czterdzieści, proszę pana.

- Dajcie mi wody.

Jeden z nich poszedł po wodę, a drugi spojrział na mnie dziwnie, jakby przed chwilą odkrył, że jestem ludzką istotą.

- Jest pan lekarzem?

-Nie - sarknąłem. - Dobrze poinformowanym Pigmejem. Wydawał się zagubiony. Wyciągnął notatnik i zapytał:

- Czy był pan wcześniej przyjmowany do tego szpitala?

- Nie - odparłem. -I teraz też nie zamierzam być przyjęty.

- Ale, proszę pana, przywieziono pana z poważną raną ciętą...

- Pieprzyć ranę ciętą. Daj mi pan lusterko.

- Lusterko? Westchnąłem.

- Chcę zobaczyć szwy - wyjaśniłem.

- Proszę pana, jeśli jest pan lekarzem...

-Lusterko!

Z zadziwiającą prędkością znalazło się zarówno lusterko, jak i szklanka wody. Wypiłem jąłapczywie. Smakowała wyśmienicie.

- Niech pan lepiej uważa z tą wodą, proszę pana.

- Hematokryt nie jest zły - odparłem. -I doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Podniosłem lusterko i przyjrzałem się ranie na czole. Byłem zły na stażystów, co pozwoliło mi zapomnieć o bólu. Rana była czysta, biegła łukiem od brwi prawie do ucha.

Założyli mi około dwudziestu szwów.

- Od jak dawna tu jestem? - zapytałem.

- Od godziny, proszę pana.

- Przestań mi mówić „proszę pana”. Zrób drugi hematokryt. Chcę się dowiedzieć, czy nie mam krwotoku wewnętrznego.

- Pański puls wynosi siedemdziesiąt pięć, a kolor skóry...

- Hematokryt - warknąłem.

Pobrali mi następną próbkę krwi. Stażysta nabrał do strzykawki pięć centymetrów sześciennych.

- Jezu - zbeształem go - to tylko hematokryt.

Zrobił przeproszącą minę i szybko wyszedł. Lekarze na ostrym dyżurze są czasami niezdarni. Do zbadania hematokrytu wystarczy zaledwie ułamek centymetra sześciennego krwi. Równie dobrze mogliby pobrać krew, nakłuwając mi palec.

- Nazywam się John Berry - powiedziałem do drugiego stażysty. - Jestem patologiem w Lincolnie.

- Tak, proszę pana.

- Przestań to zapisywać.

- Tak, proszę pana. - Odłożył zeszyt.

- To nie jest przyjęcie do szpitala i nie zostanie oficjalnie zanotowane.

- Ale proszę pana, został pan pobity i okradziony...

- Nieprawda - odparłem. - Potknąłem się i upadłem. Nic więcej. To był

tylko głupi wypadek.

- Proszę pana, obrażenia na pana ciele wskazują...

- Mam w nosie, że nie jestem podręcznikowym przypadkiem. Mówię, co się stało, i koniec.

- Ale proszę pana...

- Nie - warknąłem. - Nawet nie chcę o tym słyszeć. Popatrzyłem na niego.

Miał biały fartuch poplamiony tu i ówdzie krwią, zgadywałem, że moją.

- Nienosisz plakietki z nazwiskiem - zauważyłem.

-Nie.

- To zacznij nosić. My pacjenci lubimy wiedzieć, z kim rozmawiamy.

Wziął głęboki oddech, a potem powiedział:

- Jestem studentem czwartego roku, proszę pana.

- Jezu Chryste.

- Proszę pana...

- Słuchaj, synek, wyjaśnijmy coś sobie. - Wściekłość dodawała mi energii.

- To może dla ciebie świetna sprawa, że możesz sobie miesiąc popracować na ostrym dyżurze, ale nie dla reszty z nas. Wezwij doktora Hammonda.

- Kogo?

- Doktora Hammonda. Jest tu dzisiaj na dyżurze.

- Tak, proszę pana.

Ruszył pośpiesznie do drzwi. Uznałem, że zbyt szorstko się z nim obszedłem. W końcu był tylko studentem i wydawał się dość miły.

- A tak w ogóle - zapytałem - czy to ty mnie zszyleś? Nastąpiła długa, pełna winy cisza.

- Tak, ja.

- Dobra robota - pochwaliłem. Uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję, proszę pana.

- Przestań z tym „proszę pana”. Obejrzałeś ranę przed zaszcieniem?

- Tak, pro... Tak.

- Co o niej sądzisz?

- Wyglądała jak rana po bardzo ostrej brzytwie. Uśmiechnąłem się.

- Albo skalpelu?

-Nie rozumiem.

- Zdaje się, że czeka cię interesujący wieczór - powiedziałem. - Wezwij Hammonda.

Kiedy zostałem sam, nie mogłem myśleć o niczym oprócz bólu. Najgorzej było z żołądkiem. Miałem wrażenie, jakbym połknął kulę do kręgli.

Przewróciłem się na bok i trochę mi ulżyło. Po niedługim czasie zjawił się Hammond z podążającym za nim studentem.

- Cześć, John - powitał mnie Hammond.

- Cześć, Norton. Jak tam sprawy?

- Nie zauważyłem, kiedy cię przywieźli - odparł Norton - inaczej...

-Nieważne. Twoi chłopcy dobrze się spisali.

- Co ci się stało?

- Miałem wypadek.

-Miałeś szczęście-zauważył Norton, pochyliwszy się nad moją raną. - Żyła skroniowa powierzchowna została przecięta. Krwawiłeś jak cholera. Ale hematokryt tego nie pokazuje.

- Mam dużą śledzionę - powiedziałem.

- Możliwe. Jak się czujesz?

- Jakby przejechał mnie buldożer.

-Ból głowy?

- Lekki. Powoli mija.

-Czujesz senność? Mdłości?

- Daj spokój, Norton...

- Po prostu tu poleż - powiedział Hammond. Wyciągnął latarkę i zbadał mi źrenice, a potem sprawdził dno oczu. Na koniec zbadał reakcje nerwowe w obu rękach i nogach.

- Widzisz? Nic mi nie jest.

- Mimo to możesz mieć krwiaka.

- E, tam.

- Zatrzymamy cię na dwadzieścia cztery godziny na obserwację.
- Nie ma mowy. - Usiadłem na łóżku, krzywiąc się z bólu. - Pomóż mi wstać.
- Obawiam się, że twoje ubranie...
- Zostało pocięte na strzępy. Wiem. Przynies mi jakiś lekarski fartuch, okej?
- Lekarski fartuch? Po co?
- Chcę być przy tym, jak przywiozą pozostałych - odparłem.
- Jakich znowu pozostałych?
- Poczekaj, a zobaczysz.

Student zapytał, jaki rozmiar noszę. Kiedy mu powiedziałem, ruszył do drzwi po fartuch. Hammond chwycił go jednak za ramię.

- Chwileczkę. - Zwrócił się do mnie: - Dostaniesz kitel pod jednym warunkiem.
- Norton, na litość boską, nie mam krwiaka. Poza tym, nawet jeżeli miałbym i byłby podtwardówkowy, mogę nie mieć żadnych objawów przez parę tygodni, a nawet miesięcy. Przecież wiesz.

- Może być nadtwardówkowy - odparł.

- Na rentgenie nie widać żadnych pęknięć - powiedziałem. Krwiak nadtwardówkowy powstaje w wyniku nagromadzenia się krwi w czaszce wskutek popękanych naczyń krwionośnych, jego przyczyną jest zwykle złamanie czaszki. Uraz może skończyć się śmiercią, gdy krew zbyt mocno uciska na mózg.

- Sam powiedziałeś, że zdjęć nie obejrzał jeszcze radiolog.

- Norton, na litość boską. Nie rozmawiasz z osiemdziesięcioletnią staruszką. Wiem...

- Dostaniesz fartuch - powiedział spokojnie - jeśli zgodzisz się zostać u nas na noc.

- Ale nie zostanę przyjęty.

- Dobrze. Po prostu posiedzisz tutaj na ostrym dyżurze. Zmarszczyłem brwi.

- W porządku - odparłem w końcu - zostanę. Student poszedł po ubranie.

Hammond stanął nade mną, kręcąc głową.

- Kto cię pobił?

- Poczekaj, a zobaczysz.

-Napędziłeś stażystę i studentowi niezłego stracha.

-Nie chciałem. Ale trochę zlekceważyli sytuację.

- Radiologiem na dzisiejszym dyżurze jest Harrison. Straszny kutas.

- Myślisz, że mnie to obchodzi?

-Wiesz, jak to jest...

- Tak, wiem - odparłem.

Wrócił student z ubraniem. Włożyłem je. Dziwne uczucie. Od lat nie nosiłem białego fartucha. Pamiętam, że kiedyś byłem z niego dumny.

Teraz materiał wydawał się sztywny i drapiący.

Znalazły się także moje buty - całe przemoczone i poplamione krwią.

Wytarłem je i wcisnąłem na nogi. Byłem słaby i zmęczony, ale musiałem się przemóc. Wszystko rozstrzygnie się jeszcze tej nocy. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

Wypiłem trochę kawy i zjadłem kanapkę. Równie dobrze mógłbym

przeżuwać gazetę, i tak nie czułem smaku, ale uznałem, że przyda mi się posiłek. Hammond został ze mną.

- Aha. Sprawdziłem dla ciebie tego Romana Jonesa.

-I?

- Zjawiał się u nas tylko raz. Na urologii. Zgłosił się z objawami kolki nerkowej, więc zrobili mu badanie moczu.

-Tak?

- Krwimocz jak się patrzy. Czerwone ciała miały jądra komórkowe.

-Rozumiem.

Klasyczna historia. Pacjenci często zjawiali się na urologii, skarżąc się na ostry ból dolnej części brzucha i kłopoty z wydalaniem moczu.

Najbardziej prawdopodobna diagnoza w takiej sytuacji to kamica nerek, jedna z pięciu najbardziej bolesnych chorób, jakie znamy. Pacjentowi podaje się morfinę natychmiast po postawieniu diagnozy. Ale żeby uzyskać potwierdzenie, lekarz prosi o próbkę moczu i bada ją na obecność krwi. Kamienie

nerkowe powodują zwykle niewielkie krwotoki w drogach moczowych.

Narkomani, wiedząc o tym, jak łatwo o zastrzyk z morfiny przy kamicy nerek, próbują często udawać kolkę nerkową. Niektórzy są w tym bardzo dobrzy - znają wszystkie objawy i potrafią je bezbłędnie naśladować.

Kiedy prosi się ich o próbkę moczu, idą do ubikacji, a następnie nakłuwają sobie palec i dodają do moczu kropelkę krwi.

Jednak czasami za bardzo kombinują. Zamiast własnej używają krwi zwierzęcej, na przykład kurczaka. Szkopuł w tym, że czerwone krwinki kury mają jądra, a ludzkie nie. Więc obecność takich krwinek w moczu pacjenta podejrzanego o kolkę nerkową prawie zawsze oznacza, że delikwent symuluje, ponieważ jest uzależniony od morfiny.

- Sprawdzono, czy miał ślady po igłach?

-Nie. Kiedy lekarz poinformował go o wynikach badania, Jones uciekł. Już nigdy więcej się nie pojawił.

- Ciekawe. W takim razie jest pewnie narkomanem.

- Tak. Prawdopodobnie.

Po zjedzeniu kanapki poczułem się lepiej. Wstałem z łóżka, chociaż byłem obolały i wycieńczony. Zadzwoiłem do Judith i powiedziałem jej, że jestem w Memorialu i żeby się nie martwiła. Nie wspominałem o pobiciu ani o ranie na czole. Wiedziałem, że dostanie mi się, kiedy wrócę do domu, ale nie zamierzałem jej teraz denerwować.

Szedłem z Hammondem korytarzem, próbując nie krzywić się z bólu.

Norton ciągle pytał, jak się czuję, a ja wciąż powtarzałem, że dobrze. Tak naprawdę było inaczej. Po kanapce zaczęło mnie mdlić, a ból głowy nasilał się, kiedy stałem. Ale najgorsze było wszechogarniające zmęczenie.

Byłem tak wykończony, że ledwo trzymałem się na nogach.

Poszliśmy na podjazd dla karettek. Był to rodzaj otwartego garażu, do którego prowadziły przeszklone automatyczne drzwi. Wyszliśmy na zewnątrz, wdychając chłodne nocne powietrze. Wciąż padał deszcz i wiał

wiatr.

- Jesteś blady - zauważył Hammond.

- Nic mi nie jest - odparłem, czując na twarzy kojący chłód.

-Nie wiemy jeszcze, czy nie masz krwotoku wewnętrznego.

- Nic mi nie jest - zapewniłem.

- Powiedz, kiedy gorzej się poczujesz - poprosił Hammond. - Nie zgrywaj bohatera.

-Nie ma sprawy.

Czekaliśmy. Od czasu do czasu przejeżdżał obok nas jakiś samochód, poza tym panowała zupełna cisza.

- Co się stanie? - zapytał Hammond.

-Nie jestem pewien, ale myślę, że przywiozą Murzyna i białą dziewczynę.

- Romana Jonesa? Jest w to wplątany?

- Tak mi się wydaje.

Prawdę mówiąc, byłem niemal pewny, że to właśnie Roman Jones mnie pobił. Nie pamiętałem tego dokładnie, wydarzenia bezpośrednio

poprzedzające wypadek wydawały się mgliste. Mogłem się zresztą tego spodziewać- Nie miałem, co prawda, niepamięci wstecznej, która dotyka często osoby z urazami głowy i wymazuje z pamięci piętnaście minut sprzed wypadku, ale byłem trochę zdezorientowany.

To musiał być Roman, pomyślałem. Uznałem, że to jedyna logiczna możliwość. Szedł w stronę Beacon Hill. I to też miało tylko jedno logiczne wytłumaczenie.

Będziemy jednak musieli poczekać, żeby się upewnić.

- Jak się czujesz?

- Wciąż mnie o to pytasz, a ja cały czas powtarzam ci, że dobrze.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Bo jestem zmęczony. I to od tygodnia.

-Nie. Chodzi mi o to, że sprawiasz wrażenie sennego.

-Nie przesadzaj - uciąłem. Zerknąłem na zegarek. Od mojego pobicia minęły prawie dwie godziny. Sporo. Więcej niż przewidywałem.

Zacząłem się zastanawiać, czy coś poszło nie tak.

W tym momencie zza zakrętu z piskiem wyjechał policyjny radiowóz na sygnale. Tuż za nim pędziła karetka i jeszcze jeden samochód. Kiedy ambulans zatrzymał się przed nami, z trzeciego auta wyskoczyli dwaj mężczyźni w garniturach: dziennikarze. Rozpoznałem ich po ciekawskich minach.

Jeden miał aparat.

- Żadnych zdjęć - krzyknąłem.

Sanitariusze otworzyli drzwi karetki i wyciągnęli ciało na noszach.

Najpierw rzuciło mi się w oczy ubranie - pocięte i porwane na piersiach i ramionach, jakby rozszarpała je jakaś potworna maszyna. Po chwili w zimnym świetle jarzeniówek rozpoznałem twarz: Roman Jones. Jego czaszka była wgnieciona z prawej strony niczym piłka, z której

wypuszczono powietrze, a wargi miały czarnosiną barwę.

Błysnął flesz.

Hammond bezzwłocznie zabrał się do pracy. Był szybki: jednym ruchem chwycił lewą ręką nadgarstek Jonesa, przyłożył ucho do klatki piersiowej, a prawą ręką sprawdził puls w tętnicy szyjnej. Następnie wyprostował się i bez słowa zaczął robić masaż serca. Jedną dłoń położył płasko na klatce piersiowej, a drugą uderzał w nią mocno i rytmicznie.

- Zawiadomić anestezyjologa - rzucił - i wezwijcie chirurga. Dajcie metaraminol, roztwór jeden na tysiąc i maskę z tlenem. Szybko.

Przewieźliśmy Jonesa na jedną z niedużych sal operacyjnych. Hammond cały czas robił masaż serca. Chirurg już na nas czekał.

- Zatrzymanie akcji serca?

- Tak - odparł Hammond. - Brak pulsu. ,

Chirurg wziął papierowe opakowanie gumowych rękawiczek. Nie

czekając na pielęgniarkę, sam je wyjął i włożył. Ani na chwilę nie spuścił

z oczu nieruchomego ciała Romana Jonesa.

- Otwieramy go - zarządził.

Hammond pokiwał głową, cały czas reanimując pacjenta. Niewiele to pomagało: wargi Romana zrobiły się niemal czarne, a skóra, zwłaszcza na twarzy i uszach, ciemna i plamista.

Założono mu maskę tlenową.

- Ile, doktorze? - zapytała pielęgniarka.

- Siedem litrów - odparł chirurg. Podano mu skalpel. Zdarto z Romana koszulę, która i tak była już w strzępach. Nikt nie tracił czasu, żeby całkowicie go rozebrać. Chirurg z kamienną twarzą podszedł do pacjenta, trzymając w prawej dłoni skalpel z palcem wskazującym na ostrzu.

- Dobra - powiedział i zrobił głębokie ukośne nacięcie po lewej stronie klatki piersiowej. Polała się krew. Ignorując to, chirurg odsłonił białawe lśniące żebra, rozciął tkankę między nimi, a następnie założył retraktory.

Rozsunął je szeroko, dał się słyszeć trzask pękających żeber. Przez powstałą dziurę widać było zapadnięte, pomarszczone płuco i serce - duże i niebieskawe. Nie biło, tylko pulsowało niczym torebka wypełniona robakami.

Chirurg wsunął rękę do klatki piersiowej i rozpoczął masaż. Robił to bardzo płynnie: kurczył najpierw mały palec, a potem po kolei następne aż do palca wskazującego, wypompowując krew z serca. Ścisnął je bardzo mocno, postępując rytmicznie.

Ktoś założył Romanowi opaskę ciśnieniomierza. Hammond napompował ją, a potem spojrzał na wskazówkę.

-Nic-oznajmił.

- Ma migotanie - powiedział chirurg. -Nie podawać epinefryny.

Poczekajmy.

Masaż serca trwał jeszcze minutę, potem dwie. Skóra pacjenta robiła się coraz ciemniejsza.

- Słabnie. Dajcie mi pięć centymetrów w roztworze jeden na tysiąc.

Przygotowano strzykawkę. Chirurg wbił igłę prosto w serce i podjął masaż.

Minęło jeszcze kilka minut. Patrzyłem na ścisane serce i rytmiczny ruch płuc podłączonych do respiratora. Ale stan pacjenta się pogarszał. W

końcu wstrzymali reanimację.

- To koniec - ocenił chirurg. Wyjął rękę z klatki piersiowej Romana Jonesa i zdjął rękawiczki. Obejrzał rany na torsie i ramionach oraz wgniecenie w czaszce.

- Prawdopodobnie pierwotne zatrzymanie oddechu - stwierdził. - Po bardzo mocnym uderzeniu w głowę. - Zwrócił się do Hammonda: -

Wypiszesz akt zgonu?

- Mogę to zrobić.

W tym momencie do sali wpadła pielęgniarka.

- Doktorze Hammond - powiedziała. - Doktor Jorgensen pana potrzebuje.

Mamy dziewczynę ze wstrząsem krwotocznym.

Kiedy wyszedłem na korytarz, zobaczyłem Petersona. Stał przy ścianie ubrany w garnitur. Wyglądał na stropionego, a jednocześnie

poirytowanego. Gdy tylko mnie spostrzegł, podbiegł i chwycił mnie za rękaw.

-Berry...

- Później - warknąłem.

Ruszyłem za Hammondem i pielęgniarką w głąb korytarza. Weszliśmy do następnej sali. Leżała tam dziewczyna, była bardzo blada. Miała zabandażowane nadgarstki. Półprzytomnie kiwała głową, jęcząc.

Jorgensen, stażysta, który mnie przyjął, stał pochylony nad jej nogą, szukając żyły, żeby wbić igłę kroplówki.

- Mamy tu próbę samobójczą- powiedział do Hammonda. - Podcięła sobie nadgarstki. Zatomowaliśmy krwotok, będziemy też podawać krew.

Zrobiliśmy badania i posłaliśmy po krew z banku. Przyjmie co najmniej dwie jednostki. Hematokryt w porządku, ale to nic nie znaczy.

- Dlaczego nakłuwasz nogę? - zapytał Hammond.

- Musieliśmy zabandażować nadgarstki. Wolę nie ruszać górnych kończyn.

Podszedłem bliżej. Miałem przed sobą Angelę Harding. Nie wyglądała teraz tak ładnie. Jej twarz przybrała barwę kredy z szarawym odcieniem wokół ust.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Hammond Jorgensena.

- Odratujemy ją- odparł stażysta. - Chyba że coś pójdzie nie tak.

Hammond obejrzał zabandażowane nadgarstki.

- To te rany?

- Tak. Na obu rękach. Pozaszywaliśmy je.

Obejrzał dłonie. Na opuszkach palców widniały ciemnobrązowe plamy.

Podniósł na mnie wzrok.

- Czy to dziewczyna, o której mówiłeś?

- Tak - odparłem. - Angela Harding.

- Musi dużo palić - zauważył Hammond.

- Sprawdź jeszcze raz.

Hammond schylił się i powąchał palce.

- To nie tytoń - zdziwił się.

- Zgadza się.

- W takim razie...

- Zgadza się. - Pokiwałem głową.

- Jest pielęgniarką.

-Tak.

Plamy pochodziły od jodyny, żółtobrazowego płynu dezynfekującego, który zabarwia tkankę, z którą wchodzi w styczność. Jodyny używa się między innymi przy operacjach chirurgicznych, przemywa się nią miejsce na skórze, które ma zostać nacięte, jak również przy zakładaniu kroplówki.

Uniosłem jej dłonie. Kciuki i opuszki dłoni były usiane drobnymi nacięciami, tak płytkimi, że nie krwawiły.

- Co o tym sądzisz?

-Nacięcia próbne. - U osób, które podrzynają sobie żyły, znajduje się często próbne nacięcia, tak jakby samobójca chciał sprawdzić ostrze noża lub żyłki bądź intensywność bólu, jaki go czeka.

-Nie-odparłem.

- To co?

- Widziałeś kiedyś osobę, która walczyła na noże?

Hammond pokręcił głową. Bez wątplenia nigdy takiej nie widział. Tego typu doświadczenia nabywają z reguły tylko patolodzy: drobne rany na dłoniach stanowią znak rozpoznawczy właśnie walki na noże. Ofiara unosi ręce, żeby osłonić się przed agresorem, co kończy się z reguły takimi nacięciami.

- To to?

-Tak.

- To znaczy, że walczyła na noże?

-Tak.

-Ale dlaczego?

-Powiem ci później -odrzekłem.

Poszedłem z powrotem do Romana Jonesa. Leżał wciąż na tej samej sali.

Obok niego stał kapitan Peterson i jeszcze jeden mężczyzna w garniturze, który przyglądał się oczom ofiary.

- Beny - mruknął Peterson - zawsze pojawia się pan, kiedy dochodzi do nieszczęścia.

- Zupełnie tak samo, jak pan.

- Tak - odparł - ale taką mam pracę. Skinął głową na drugiego mężczyznę.

- Ponieważ ostatnio tak pan się przejął, tym razem przywiozłem ze sobą lekarza. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że teraz sprawa należy do koronera?

-Tak.

- Facet nazywał się Roman Jones. Wiemy to z jego portfela.

-Gdzie go znaleźliście?

-Leżał na ulicy. W miłej spokojnej okolicy na Beacon Hill. Z wgniecioną czaszką. Musiał upaść na głowę. Jedno z okien nad nim było wybite. W

mieszkanium należącym do Angeli Harding. Ona też tu jest.

-Wiem.

- Dysponuje pan zadziwiająco rozległą wiedzą.

Zignorowałem tę uwagę. Ból głowy coraz bardziej się nasilał. Czułem się, jakby ktoś wiercił mi dziurę w czaszce. Byłem zmęczony. Najchętniej położyłbym się do łóżka i zasnął. Ale nie potrafiłem się rozluźnić, skręcało mnie w żołądku.

Pochyliłem się nad ciałem Romana Jonesa. Ktoś zdjął z niego całe ubranie, odsłaniając liczne rany cięte na tułowiu i ramionach. Nogi były nietknięte. Bardzo charakterystyczne, pomyślałem.

Koroner wyprostował się i spojrzał na Petersona.

- W tej chwili trudno stwierdzić przyczynę zgonu - oznajmił. Skinął głową na rozciętą klatkę piersiową i odsłonięte serce. - Nieźle przy nim namieszali. Ale stawiałbym na uraz głowy. Mówisz, że wypadł z okna?

- Na to wygląda - odparł Peterson, łypiąc na mnie z ukosa.

- Wypiszę formularz - powiedział lekarz policyjny. - Daj portfel.

Peterson wręczył mu portfel Romana Jonesa. Koroner stanął z boku i zajął

się spisywaniem danych. Ja wciąż przyglądałem się ciału. Interesowała mnie szczególnie czaszka. Dotknąłem wgniecenia.

- Co pan robi? - zapytał Peterson.

- Badam ciało.

- Jakim prawem?

- A na jakie powinienem się powołać? Wyraźnie zbiłem go z tropu.

- Poproszę o zgodę na przeprowadzenie pobieżnych oględzin zwłok, panie kapitanie - odezwałem się po chwili.

Mówiąc to, zerknąłem kątem oka na koronera. Był zajęty pisaniem, ale wiedziałem, że nas słucha.

- Będzie autopsja - odrzekł Peterson.

- Proszę o pańską zgodę - nalegałem.

- Nic z tego.

W tym momencie wtrącił się policyjny lekarz:

- Och, do kurwy nędzy, Jack.

Peterson spojrział na koronera, potem na mnie i znowu na koronera.

- Dobrze, Berry. Może go pan zbadać. Tylko niech pan niczego nie rusza -

powiedział w końcu.

Pochyliłem się znowu nad czaszką. Wgniecenie miało kształt i rozmiar odpowiadający mniej więcej męskiej pięści, ale to nie pięść tak zgruchotała Jonesowi głowę. Musiał to być raczej koniec kija albo rury.

Przyjrzałem się ranie dokładniej i dostrzegłem drobne drewniane drzazgi przyklepione do okrwawionej skóry. Nie dotknąłem ich.

- Mówi pan, że zmiążdżenie czaszki nastąpiło na skutek upadku?

- Tak - odparł Peterson. - A co?

- Tak tylko pytam.

- Dlaczego?

- A skąd się wzięły rany na tułowi i rękach? - zapytałem.

- Uznaliśmy, że nabawił się ich w tym mieszkaniu. Wygląda na to, że walczył z tą dziewczyną, Angelą Harding. Znaleźliśmy u niej

zakrwawiony kuchenny nóż. Musiała go zaatakować. W każdym razie, wypadł przez okno albo został wypchnięty. Roztrzaskał sobie czaszkę, no i teraz nie żyje.

Umilkł i popatrzył na mnie.

- Proszę mówić dalej - zachęcałem.

- Właściwie to już wszystko.

Pokiwałem głową, wyszedłem z sali, po czym wróciłem z igłą i

strzykawką. Pochyliłem się nad zwłokami i wbiłem igłę w szyję. Uznałem, że lepiej nie dotykać w tej chwili ramion.

- Co pan robi?

- Pobieram krew - odparłem, odciągając kilka milimetrów fioletowawej krwi.

- Po co?

- Chcę sprawdzić, czy nie został otruty - odrzekłem. To była pierwsza myśl, pierwsza odpowiedź, jaka przyszła mi do głowy.

- Otruty?

-Tak.

- Dlaczego uważa pan, że został otruty?

-Przeczenie.

Schowałem strzykawkę do kieszeni i ruszyłem do drzwi.

- Zaraz - powiedział Peterson, przyglądając mi się podejrzliwie.

Przystanąłem.

- Chciałbym zadać panu parę pytań.

-O?

- Wydaje nam się, że ten facet i Angela Harding stoczyli walkę. Potem Jones wypadł przez okno, a dziewczyna próbowała się zabić.

- Już mi to pan mówił.

- Jest tylko jeden problem - przyznał Peterson. - Jones to kawał chłopca.

Musiał ważyć z osiemdziesiąt kilo. Myśli pan, że dziewczyna taka, jak Angela Harding mogła go wypchnąć?

~ Może sam wypadł?

- A może ktoś jej pomógł?

Popatrzył na moją spuchniętą twarz i obandażowane czoło.

- Miał pan dzisiaj jakieś kłopoty?

-Tak.

- Co się stało?

- Upadłem na mokrej ulicy.

- W takim razie ma pan stłuczenie.

-Nie. Upadłem na jeden z naszych wspaniałych miejskich parkometrów.

Mam ranę ciętą.

-O nierównym kształcie.

- Nie, o dość równym.

- Jak Roman Jones?

-Tego nie wiem.

- Spotkał pan już wcześniej Jonesa?

- Tak.

-O? Kiedy?

- Dzisiaj. Jakies trzy godziny temu.

- Ciekawe - zauważył Peterson.

- Niech pan to wykorzysta jak najlepiej. Życzę szczęścia.

- Mogę pana zatrzymać na przesłuchanie.

- Jasne - odrzekłem. - Ale pod jakim zarzutem? Wzruszył ramionami.

- O współudział. Właściwie o cokolwiek.

- Ja w takim razie wniosę przeciwko wam pozew do sądu tak szybko, że nawet się pan nie obejrzy. I skasuję policję na dwa miliony dolarów.

-Z powodu zwykłego przesłuchania?

- Zgadza się. Z powodu narażenia na szwank reputacji lekarza. Dla lekarza reputacja to życie, wie pan. Cokolwiek, nawet cień podejrzenia jest potencjalnie szkodliwy. Finansowo. Bardzo łatwo mógłbym wykazać te szkody przed sądem.

- Art Lee traktuje to inaczej. Uśmiechnąłem się.

- Chce się pan założyć? Ruszyłem znowu do drzwi.

- Ile pan waży, panie doktorze? - zapytał Peterson.

- Siedemdziesiąt osiem kilo. Tyle samo, co osiem lat temu.

- Osiem lat temu?

- Tak - odparłem - kiedy byłem gliniarzem.

Głowa pękała mi jak ściskana w imadle. Czułem nieznośny świdrujący ból. Kiedy szedłem korytarzem, ogarnęły mnie mdłości. Wbiegłem do ubikacji i zwymiotowałem kanapkę i kawę. Zrobiło mi się słabo i oblał

mnie zimny pot. Odpocząłem chwilę, po czym wróciłem do Hammonda.

- Jak się czujesz?

- Robisz się nudny - zauważyłem.

- Wyglądasz jak siedem nieszczęść. Jakbyś miał się za chwilę rozchorować.

-Nic mi nie jest.

Wyjąłem z kieszeni strzykawkę z krwią Jonesa i położyłem na stole.

- Możesz mi znaleźć mysz? - zapytałem.

- Mysz?

-Tak. Zmarszczył brwi.

- W laboratorium Cochraha są szczury. Może jest jeszcze otwarte.

- Potrzebuję myszy.

- Mogę spróbować - odparł.

Udaliśmy się w stronę piwnicy. Po drodze Hammonda zatrzymała

pielęgniarka. Poinformowała go, że zawiadomiono rodziców Angeli Harding. Hammond powiedział, żeby dali mu znać, kiedy przyjadą albo kiedy dziewczyna odzyska przytomność.

Zeszliśmy do podziemi i zaczęliśmy się przedzierać przez labirynt korytarzy, schylając głowy, żeby nie obijać się o rury. W końcu dotarliśmy do pomieszczeń, w których trzymano zwierzęta. Podobnie jak w

większości dużych szpitali związanych z uniwersytetem, w Memorialu mieściły się pracownie badawcze, a w eksperymentach często

wykorzystywano zwierzęta. Mijając kolejne drzwi, słyszeliśmy szczekanie psów i cichy łopot ptasich skrzydeł. Wreszcie dotarliśmy do tabliczki z napisem: GRYZONIE. Hammond nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Całe pomieszczenie, od podłogi po sufit, było zastawione klatkami ze szczurami i myszami. Uderzył mnie w nozdrza charakterystyczny smród.

Każdy młody lekarz zna ten zapach - i dobrze, bo miało to swoje kliniczne znaczenie. Oddech pacjentów z niewydolnością wątroby miał specyficzną woń zwaną *jetor hepaticus*, która bardzo przypominała odór pokoju pełnego myszy.

Wybraliśmy jedno ze zwierząt i Hammond wyjął je z klatki w przepisowy sposób, czyli trzymając za ogon. Mysz zaczęła się wić, próbując ugryźć Hammonda w rękę, ale bezskutecznie. Hammond położył ją na stole i chwycił za fałd luźnej skóry na karku.

-I co teraz?

Wziąłem strzykawkę i wstrzyknąłem zwierzęciu krew pobraną od Romana Jonesa. Następnie Hammond wrzucił mysz do szklanego słoika. Przez długi czas myszka tylko biegała w kółko.

-I co? - zapytał Hammond.

-Nie jesteś patologiem, więc pewnie nie wiesz. Słyszałeś o teście na myszy?

-Nie.

- To bardzo stara próba biologiczna. Kiedyś nie było innych.

- Próba biologiczna? Na co?

- Na morfinę - odparłem.

Mysz wciąż biegała dookoła w słoiku. Po chwili jednak zwolniła, jej mięśnie zaczęły się napinać, a w końcu ogon podskoczył pionowo w górę jak antenka.

- Wynik pozytywny - oświadczyłem.

- Na obecność morfiny?

-Tak.

Teraz używa się lepszych testów, na przykład nalorfiny, ale dla zmarłego próba na myszy była równie dobra, jak każda inna.

- Był uzależniony? - zapytał Hammond.

-Tak.

- A dziewczyna?

-Niedługo się dowiemy - odrzekłem.

Kiedy wróciliśmy, Angela Harding zdążyła odzyskać przytomność. Była zmęczona i osowiała po przyjęciu trzech jednostek* krwi, ale nie czuła się na pewno gorzej ode mnie. Ogólna słabość i wycieńczenie coraz bardziej dawały o sobie znać. Najchętniej zapadłbym w głęboki sen.

- Jej ciśnienie podniosło się do stu na sześćdziesiąt pięć - oznajmiła pielęgniarka.

- Dobrze - powiedziałem. Zwalczyłem zmęczenie i podszedłem do łóżka.

- Jak się czujesz, Angelo? - zapytałem, klepiąc ją po dłoni.

- Okropnie - odparła słabym monotonnym głosem.

- Wylizesz się.

- Nie udało mi się - wymamrotała.

-Nie rozumiem.

Po jej policzku spłynęła łza.

- Nie udało mi się, to wszystko. Próbowałam i wszystko na nic.

- Teraz jesteś bezpieczna.

- Tak. Nie udało się.

- Chcielibyśmy z tobą porozmawiać - powiedziałem. Odwróciła głowę.

- Zostawcie mnie w spokoju.

- Angelo, to bardzo ważne.

- Do diabła z wami lekarzami. Dlaczego po prostu nie zostawiliście mnie w spokoju? Chciałam tego. Dlatego to zrobiłam. Żeby mnie zostawiono w spokoju.

- Policja cię znalazła. Zaśmiała się chrapliwie.

- Lekarze i gliny.

- Angelo, potrzebujemy twojej pomocy.

- Nie. - Uniosła zabandażowane ręce i spojrzała na nie. - Nie. Nigdy.

- Przykro mi. - Odwróciłem się do Hammonda i powiedziałem: -Dajcie mi nalorfinę.

Byłem pewien, że mnie słyszała. Ale nie zareagowała.

* Półtora litra.

-Ile?

- Dziesięć miligramów - odrzekłem. - Bardzo dobra dawka. Angela wzdrygnęła się lekko, ale wciąż milczała.

- Odpowiada ci to, Angelo?

Podniosła wzrok. Jej oczy przepelniała złość i coś jeszcze - nadzieja.

Wiedziała, o co pytam. Bez dwóch zdań.

- Co pan powiedział?

- Pytam, czy odpowiada ci dziesięć miligramów nalorfiny.

- Jasne. Nic mnie to nie obchodzi.

Nalorfina to antagonistka morfiny. W małych dawkach działa jak morfina, ale podana w większej ilości osobie uzależnionej, powoduje objawy głodu narkotykowego. Jeśli dziewczyna była

uzależniona, sprowadzi ją na ziemię z brutalną- być może śmiertelną- siłą.

Weszła pielęgniarka. Nie rozpoznawszy mnie, zatrzepotała ze zdziwienia powiekami, ale szybko się opanowała.

- Panie doktorze, przyjechała pani Harding. Policja ją wezwała.

- W porządku. Porozmawiam z nią.

Wyszedłem na korytarz. Czekał tam, przestępując z nogi na nogę, wysoki mężczyzna. Musiał się ubierać w wielkim pośpiechu - jego skarpetki były nie do pary. Obok stała przystojna kobieta. Patrząc na jej zatroskaną twarz, odniosłem dziwne wrażenie, że ją znam, chociaż na pewno nigdy

wcześniej się nie spotkaliśmy. Było w niej coś bardzo, wręcz niepokojąco znajomego.

- Jestem doktor Berry.

- Tom Harding. - Mężczyzna uściśnął mocno moją dłoń, potrząsając nią nerwowo. - A to moja żona.

Przyjrzałem im się dokładniej. Wydawali się miłymi pięćdziesięcioletnimi ludźmi, zaskoczonymi faktem, że znaleźli się w szpitalu o czwartej nad ranem z córką, która podcięła sobie żyły.

Pani Harding przełknęła z wysiłkiem ślinę.

- Pielęgniarka wyjaśniła nam, co się stało. Z Angelą- powiedziała.

- Opanowaliśmy sytuację - oznajmiłem. - Państwa córce nic już nie grozi.

- Możemy ją zobaczyć? - zapytała pani Harding.

- Nie teraz. Przeprowadzamy badania.

-Czyli że...

- Nie - odparłem. - To rutynowe testy. Tom Harding pokiwał głową.

- Mówiłem żonie, że wszystko będzie dobrze. Angela pracuje w tym szpitalu jako pielęgniarka, więc powiedziałem, że na pewno znalazła się pod dobrą opieką.

- Tak - odrzekłem. - Bardzo się staramy.

-Na pewno nic jej nie grozi?

- Na pewno.

- Tom, lepiej zadzwoń do Lelanda - zwróciła się pani Harding do męża - i powiedz, że nie musi przyjeżdżać.

- Pewnie już jest w drodze.
- Ale spróbuj - poprosiła pani Harding.
- W recepcji jest telefon - oznajmiłem. Tom Harding poszedł zadzwonić.
- Powiadomiliście państwo rodzinnego lekarza? - zagadnąłem.
- Nie - odparła - mojego brata. Jest lekarzem i zawsze bardzo lubił Angelę, od kiedy była małym dzieckiem. On...
- Leland Weston - powiedziałem, rozpoznając jej twarz.
- Tak. Zna go pan?
- Od bardzo dawna.

Nim zdążyła odpowiedzieć, wrócił Hammond ze strzykawką i nalorfiną.

- Naprawdę uważasz, że powinniśmy... - zaczął.
- Doktorze Hammond, to pani Harding - wpadłem mu w słowo. -Doktor Hammond jest starszym rezydentem -wyjaśniłem.
- Doktorze. - Pani Harding kiwnęła lekko głową, ale w jej oczach pojawiła się nagle nieufność.
- Pani córka niedługo wróci do siebie - zapewnił Hammond.
- Miło mi to słyszeć - odparła chłodno. Przeprosiliśmy panią Hammond i wróciliśmy do Angeli.
- Mam cholerną nadzieję, że wiesz, co robisz- mruknął Hammond, kiedy szliśmy korytarzem.
- Wiem. - Zatrzymałem się przy kraniku z wodą i nalałem sobie kubek.

Napiwszy się, ponownie napełniłem naczynie. Mój ból głowy był teraz bardzo silny i ogarniało mnie coraz większe zmęczenie. Marzyłem o tym, żeby położyć się do łóżka, zapomnieć o wszystkim, zasnąć...

Ale nie przyznałem się do tego. Doskonale zdawałem sobie sprawę, co zrobiłby Hammond, gdybym mu powiedział.

- Wiem, co robię - zapewniłem.
- Mam nadzieję - odparł - bo jeżeli coś pójdzie nie tak, to ja za to beknę.
- Wiem. Nie przejmuj się.
- Jak mam się nie przejmować? Dziesięć miligramów tego cholerstwa sprowadzi jąna ziemię tak

szybko, że...

-Nie przejmuj się.

- Może ją zabić. Powinniśmy stopniować dawki. Zacząć od dwóch

milimetrów, a jeśli nie podziała, podać po dwudziestu minutach pięć i tak dalej.

- Tak, ale stopniowane dawki jej nie zabiją. Hammond popatrzył na mnie z przerażeniem.

- Oszalałeś?

-Nie-odparłem spokojnie.

Weszliśmy do pokoju Angeli. Leżała na boku, odwrócona do nas plecami.

Wziąłem od Hammonda nalorfinę i położyłem ją razem ze strzykawką na stoliku obok łóżka. Chciałem mieć pewność, że Angela przeczyta etykietę.

Obszedłem łóżko dookoła, stanąłem za Angelą i sięgnąłem po lek i strzykawkę, którą następnie, jak najszybciej, napełniłem wodą z kubeczka.

- Możesz się obrócić, Angelo?

Położyła się na plecach i wyciągnęła rękę. Hammond był zbyt zdumiony, żeby się ruszyć. Założyłem gumową opaskę i potarłem żyłę, aż

nabrzmiała. Wbiłem igłę i wstrzyknąłem płyn. Angela patrzyła na mnie w milczeniu.

Cofnąłem się o krok.

-No, już.

Jej wzrok pobiegł do Hammonda, a potem znowu do mnie.

-Niedługo zacznie działać - oznajmiłem.

-Ile mi pan dał?

- Dość.

-Dziesięć? Dał mi pan dziesięć?

Zaczęła się denerwować. Poklepałem ją uspokajająco po ręce.

-Nie masz się czym martwić.

-Dwadzieścia?

-Tylko dwa. Dwa miligramy.

-Dwa!

-Nie umrzesz od tego - powiedziałem łagodnie. Jęknęła i odwróciła się od nas.

- Zawiedziona? - zapytałem.

- O co panu chodzi?

- Znasz odpowiedź na to pytanie, Angelo - odrzekłem.

- Ale dwa miligramy. To...

- Tylko tyle, żeby wystąpiły objawy. Zimny pot, skurcze, ból. Tylko początkowe oznaki głodu.

- Jezu.

- Nie umrzesz od tego - powtórzyłem. - I doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

- Sukinsyny. Nie prosiłam, żeby mnie tu przywieziono, nie prosiłam, żeby...

- Ale tu jesteś, Angelo. A w twoich żyłach zaczyna krążyć nalorfina.

Niedużo, ale wystarczy. Zaczęła panikować.

- Przestańcie -jęknęła.

- Możemy podać morfinę.

- Przestańcie, proszę. Nie chcę...

- Opowiedz nam o Karen - poprosiłem.

- Najpierw to powstrzymajcie.

-Nie.

Hammond stracił zimną krew. Ruszył w stronę łóżka. Odepchnąłem

go-

- Powiedz.

-Niczego nie wiem.

Zadrżała, najpierw lekko, a potem coraz bardziej, aż wreszcie całym ciałem wstrząsnęły niepohamowane drgawki.

- Zaczyna się, Angelo. Zacisnęła zęby.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Wkrótce zrobi się jeszcze gorzej, Angelo.

-Nie... nie... nie...

Wyjąłem ampułkę morfiny i położyłem ją przed nią na stole.

- Powiedz.

Dostała spazmów, miotając się pod pościelą tak mocno, że aż łóżko zaczęło się chybotać. Zrobiłoby mi się jej żal, gdybym nie wiedział, że sama wywołuje tę reakcję - że nie wstrzyknąłem jej żadnej nalfiny.

- Angelo.

- Dobrze -jęknęła, rozpaczliwie chwytając powietrze - Zrobiłam to.

Musiałam.

- Dlaczego?

- Bo zrobiło się gorąco. W szpitalu. Zrobiło się gorąco.

- Podkradałaś morfinę z chirurgii?

- Tak... niedużo, tylko trochę... ale wystarczało...

- Od dawna?

- Od trzech lat... może czterech...

-I co się stało?

- Roman okradł szpitalną aptekę. . . Roman Jones.

-Kiedy?

- W zeszłym tygodniu.

-I?

- Zrobiło się gorąco. Wszystkich sprawdzali. . .

- Więc musiałaś przestać podkradać morfinę?

- I co zrobiłaś?

- Próbowałam kupić od Romana.

-I?

- Zażądał pieniędzy. Mnóstwa pieniędzy.

- Kto zasugerował skrobankę?

- Roman.

- Żeby zdobyć pieniądze?

-Tak.

-Ile chciał?

Znałem już odpowiedź.

- Trzysta dolarów.

- Więc to zrobiłaś?

-Tak... tak... tak...

- Kto znieczulił?

-Roman. Było łatwo. Miał thiopental.

- I Karen zmarła?

- Nic jej nie było, kiedy wychodziła. . . Zrobiliśmy to na moim łóżku. ..

wszystko. . . Było w porządku, naprawdę. . . na łóżku. . .

- Ale później umarła.

- Tak. . . O, Boże, dajcie mi coś. . .

- Dobrze - powiedziałem.

Napełniłem strzykawkę wodą, wycisnąłem powietrze, po czym zrobiłem zastrzyk dożylny. Poprawa nastąpiła natychmiast. Angela rozluźniła się, wrócił równy spokojny oddech.

- Angelo - zapytałem - czy przeprowadziłaś aborcję?

-Tak.

- I zakończyło się to śmiercią Karen?

- Tak - wymamrotała.

- Dobrze. - Poklepałem ją po ramieniu. - Możesz teraz odpocząć.

Wyszliśmy na korytarz. Tom Harding czekał razem z żoną. Palił papierosa, chodząc w tę i z powrotem.

- Czy nic jej nie jest, panie doktorze? Czy badania...

- Wszystko jest w najlepszym porządku - zapewniłem. - Niebawem wróci do zdrowia.

- Co za ulga - westchnął.

- Tak - potwierdziłem.

Norton Hammond posłał mi ukradkowe spojrzenie. Odwróciłem wzrok.

Czułem się naprawdę źle. Ból głowy narastał i chwilami przestawałem widzieć. Zwłaszcza na prawe oko.

Ktoś jednak musiał im to powiedzieć.

- Panie Harding - zacząłem - obawiam się, że państwa córka ma kłopoty z prawem.

Spojrzał na mnie w osłupieniu. Po chwili jednak jego twarz przybrała wyraz dziwnej, zrezygnowanej akceptacji. Jakby od początku zdawał sobie ze wszystkiego sprawę.

- Narkotyki - powiedział głucho.

- Tak - odparłem. Czułem się paskudnie.

- Nie wiedzieliśmy - dodał prędko. - To znaczy, gdybyśmy wiedzieli...

- Ale podejrzewaliśmy - dokończyła za niego żona. - Nigdy nie mieliśmy na nią wpływu. Zawsze była uparta i niezależna. I taka pewna siebie.

Nawet jako dziecko.

Hammond otarł rękawem pot z czoła.

- Cóż - mruknął - więc to już koniec.

-Tak.

Mimo iż szedł blisko mnie, wydawał się być gdzieś daleko. Jego głos stał

się nagle niewyraźny i pozbawiony znaczenia. Wszystko wokół stało się bez znaczenia. Ludzie sprawiali wrażenie malutkich i spowitych mgłą.

Czaszka pękała mi z bólu. Musiałem przystanąć, żeby odpocząć.

- Co się stało?

-Nic. Jestem po prostu zmęczony. Pokiwał głową.

- Cóż - powiedział - to już koniec. Powinieneś być zadowolony.

Weszliśmy do małego pokoiku z dwoma krzesłami i stołem, gdzie lekarze przychodzili czasem, żeby się skonsultować. Na ścianach wisiały tablice przypominające, jak reagować w najbardziej nagłych wypadkach: wstrząsu krwotocznego, obrzęku płuc, zawału, oparzeń, urazów powypadkowych.

Usiedliśmy i zapaliłem papierosa. Lewa ręka

zaczęła odmawiać mi posłuszeństwa. Ledwo udało mi się uruchomić zapalniczkę.

Hammond wpatrywał się dłuższą chwilę w tablice. Milczeliśmy. W końcu zapytał:

-Napijesz się?

- Tak - odparłem. Skręcało mnie w żołądku. Robiło mi się niedobrze i byłem poirytowany. Drink postawi mnie na nogi, ukoi nerwy. Albo spowoduje, że poczuję się jeszcze gorzej.

Hammond otworzył szafeczkę i wyciągnął z głębi butelkę.

- Wódka - oznajmił. - Bezzapachowa. Na bardzo nagłe wypadki. -Zdjął

zakrętkę i pociągnął solidny łyk. Podał mi flaszkę. Kiedy piłem, powiedział:

- Chryste. Ale afera.

-No.

Oddałem mu butelkę.

-I to taka miła dziewczyna.

-No.

- A ten efekt placebo. Wprowadziłeś ją w stan głodu, a potem z niego wyprowadziłeś samą wodą.

- Wiesz dlaczego - powiedziałem.

- Tak - odparł. - Uwierzyła ci.

- Właśnie, uwierzyła mi.

Spojrzałem na tablicę ilustrującą objawy i postępowanie w przypadku ciąży pozamacicznej. Dotarłem do miejsca, gdzie była mowa o

nieregularnych miesiączkach i bolesnych skurczach w prawej dolnej części podbrzusza, gdy słowa zaczęły się rozmazywać.

-John?

Długo trwało, nim odpowiedziałem. Zdawało mi się, że dopiero po dłuższej chwili usłyszałem słowa. Byłem senny, wolno myślałem, wolno reagowałem.

-John?

- Tak - mruknąłem. Miałem głuchy głos, jak z krypty. Odbijał się echem od ścian.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, w porządku.

Słowa dzwoniły mi w głowie, jakbym śnił: w porządku, w porządku, w porządku...

- Okropnie wyglądasz.

-Nic mi nie jest...

Nie jest, nie jest, nie jest...

- John, nie denerwuj się...

-Nie denerwuję się - wymamrotałem i zamknąłem oczy. Powieki były takie ciężkie. Nie chciały się otworzyć. - Jestem szczęśliwy.

- Szczęśliwy?

-Co?

- Jesteś szczęśliwy?

-Nie - odparłem. Gadał bzdury. Co za nonsens. Jego głos był piskliwy i wysoki, jak u dziecka. U gaworzącego, plotącego głupstwa dziecka. -Nie, wcale się nie denerwuję.

-John...

- Przestań mówić do mnie „John”.

- Tak masz na imię - powiedział Norton. Wstał z krzesła, bardzo powoli, jak na filmie puszczanym w

zwolnionym tempie i patrząc na niego, poczułem się bardzo zmęczony. Sięgnął do kieszeni. Wyjął latarkę.

Zaświecił mi w oczy. Odwróciłem głowę - światło było takie jaskrawe i raziło. Zwłaszcza prawe oko.

- Spójrz na mnie.

Głos był głośny i rozkazujący. Głos musztrującego sierżanta. Jak irytujące szczekanie.

- Odpierdol się - powiedziałem.

Silne dłonie na mojej głowie, podtrzymujące mnie. I znowu to światło w oczy.

- Przestań, Norton.

- Nie ruszaj się, John.

- Przestań. - Zamknąłem oczy. Byłem zmęczony. Bardzo zmęczony.

Chciałem usnąć na milion lat. Sen jest piękny, jak ocean obmywający piasek, szumiący kojąco w uszach, oczyszczający...

-Nic mi nie jest, Norton. Jestem tylko zdenerwowany.

-Nie ruszaj się, John. Nie ruszaj się, John. Nie ruszaj się, John. Nie ruszaj się, John.

-Norton, na litość boską...

- Zamknij się - powiedział.

Zamknij się, zamknij się.

Wyciągnął ten swój gumowy młoteczek. Opukiwał mi nogi, które

podskakiwały i opadały. Denerwowało mnie to. Pragnąłem zanurzyć się w głęboki, głęboki sen.

- Norton, ty skurwysynu.

- Zamknij się. Jesteś taki sam, jak wszyscy.

Sam jak wszyscy, sam jak wszyscy. Słowa tłukły mi się po głowie. Jaki sam? Jacy wszyscy? - zastanawiałem się. I wreszcie sen, podpływający do mnie, wyciągający palce, plastikowe, gumowe palce, zamykające mi oczy...

- Jestem zmęczony.

-Wiem. Widzę.

- Ja nie. Nic nie widzę. Spróbowałem otworzyć powieki.

- Kawy. Potrzebuję kawy.

-Nie-odparł.

- Daj mi płód - poprosiłem i zacząłem się zastanawiać, dlaczego to powiedziałem. To nie miało sensu. Miało? Nie miało? Byłem skołowany.

To wszystko takie skomplikowane. I bolało mnie prawe oko. Jakby w mojej głowie siedział mały człowieczek i tłukł mnie młotkiem w gałkę oczną.

- Człowieczek - pożałowałem się.

-Co?

- Mały człowieczek - wyjaśniłem. Przecież to oczywiste. Norton był głupi, że nie zrozumiał. To przecież zupełnie oczywiste. Sensowne zdanie zdrowego rozsądnego człowieka. Norton po prostu się ze mną droczył, udawał, że nie rozumie.

- John - powiedział. - Chcę, żebyś policzył od stu w tył. Odejmij od stu siedem. Możesz to zrobić?

Zastanowiłem się. Łatwizna. Zobaczyłem w głowie kartkę papieru, białego błyszczącego papieru, a na niej ołówek. Sto minus siedem, równa się.

- Dziewięćdziesiąt trzy.

-Dobrze. Odejmuj dalej.

To już było trudniejsze. Potrzebowałem nowej kartki papieru. Musiałem wydrzeć starą zeszytu. A kiedy już to zrobiłem, zapomniałem, co na niej napisałem. Skomplikowana sprawa.

-No, John. Dziewięćdziesiąt trzy.

- Dziewięćdziesiąt trzy odjąć siedem. - Zamyśliłem się. - Osiemdziesiąt pięć. Nie. Osiemdziesiąt sześć.

-Dalej.

- Siedemdziesiąt dziewięć.

-Tak.

- Siedemdziesiąt trzy. Nie. Siedemdziesiąt cztery. Nie, nie. Zaraz, moment.

Wyrywałem kartkę za kartką. Takie trudne. I skomplikowane. Tak ciężko było mi się skoncentrować.

- Osiemdziesiąt siedem.

-Nie.

- Osiemdziesiąt pięć.

-John, jaki mamy dzień?

-Dzień?

Co za głupie pytanie. Norton zadawał tyle głupich pytań.

- Dzisiaj - odparłem.

- A data?

- Data?

- Tak. Jaką mamy datę?

- Maj - powiedziałem. Przecież był maj.

- John, gdzie jesteś?

- W szpitalu - odparłem, spoglądając na swój fartuch. Otworzyłem oczy tylko odrobinę, bo powieki były takie ciężkie, a światło tak raziło.

Chciałem, żeby przestał gadać i dał mi zasnąć. Chciałem zasnąć.

Potrzebowałem tego. Byłem bardzo, bardzo zmęczony.

-W jakim szpitalu.

- W tym.

-W jakim?

- W... - zacząłem coś mówić, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, co.

Naprawdę strasznie bolała mnie głowa, zwłaszcza po prawej stronie, za okiem. Co za okropny ból.

- Unieś lewą rękę, John.

-Co?

-Unieś lewą rękę, John.

Słyszałem go, słyszałem, ale słowa wydawały się takie głupie. Nikt nie zwracałby na nie uwagi. Bo po co.

-Co?

Poczułem dziwne wibracje. Na głowie, z prawej strony. I takie śmieszne buczenie. Otworzyłem oczy i zobaczyłem dziewczynę. Była ładna, ale wyczyniała ze mną dziwne rzeczy. Z głowy spadały mi brązowe puszyste płatki. Norton mnie obserwował i wołał coś, ale nie rozumiałem słów. Już prawie spałem, wszystko było dziwne. Po spadających płatkach była piana.

I maszynka do golenia. Spojrzałem na nią i na pianę i nagle zrobiło mi się niedobrze. Zwymiotowałem na Nortona, a on mówił: „Szybciej, już”.

I wtedy przynieśli wiertło. Ledwo je widziałem, zamykały mi się oczy i znowu mnie mdliło.

Powiedziałem jeszcze tylko: „Żadnych dziur w głowie”.

Powiedziałem to bardzo powoli, głośno i wyraźnie.

Chyba.

Piątek, sobota i niedziela, 14, 15 i 16 października

Czułem się tak, jakby ktoś próbował mi odciąć głowę i spartaczył robotę.

Kiedy się obudziłem, zadzwoniłem po pielęgniarkę i poprosiłem o więcej morfiny. Obdarzywszy mnie uśmiechem zarezerwowanym dla trudnych pacjentów, oznajmiła, że nic z tego, na co ja zasugerowałem, żeby poszła do diabła. Nie spodobała jej się ta propozycja, ale z drugiej strony ona nie spodobała się mnie. Obmacałem bandażę na głowie i poczyniłem kilka uwag. One też nie przypadły jej do gustu i tym lepiej, bo wyszła. Wkrótce potem zjawił się Norton Hammond.

- Ale mnie urządziłeś - wycharczałem, poddając czaszkę dalszym oględzinom.

- Myślę, że poszło nam całkiem dobrze.

- Ile dziur?

- Trzy. Po prawej stronie kości ciemieniowej. Zebrało się tam sporo krwi.

Pamiętasz cokolwiek?

-Nie-odparłem.

- Byłeś senny, wymiotowałeś i miałeś rozszerzoną jedną źrenicę. Nie czekaliśmy na rentgen, od razu zaczęliśmy wiercić.

- Aha. A kiedy zamierzacie mnie wypuścić?

- Za trzy, najwyżej cztery dni.

- Żartujesz? Za trzy albo cztery dni?

- Krwiak nadtwardówkowy - odparł - to poważna sprawa. Musisz odpocząć.

- Mam jakiś wybór?

- To prawda, co mówią- zauważył. - Lekarze rzeczywiście są najgorszymi pacjentami.

- Dajcie mi więcej morfiny - poprosiłem.

-Nie.

- Darvonu.

-Nie.

- To może chociaż aspirynę?

- Dobra - zgodził się. - Możesz dostać aspirynę.

- Ale prawdziwą, a nie te cukierki.

- Uważaj - zagroził - bo wezwiemy psychologa.

-Nie odważyłbyś się.

Hammond roześmiał się i wyszedł.

Potem zasnąłem i obudziłem się dopiero, kiedy przyszła Judith. Na początku udawała obrażoną, ale niezbyt długo. Wyjaśniłem jej, że to nie była moja wina, a ona powiedziała, że jestem głupi, i mnie pocałowała.

Później zjawili się policjanci, ja jednak udawałem, że śpię, dopóki nie wyszli.

Wieczorem pielęgniarka przyniosła mi kilka gazet. Próbowałem znaleźć jakieś informacje o Arturze.

Bezskutecznie. Były tylko jakieś upiorne historie o Angeli Harding i Romanie Jonesie, ale nic poza tym. Judith przyszła drugi raz i powiedziała, że Berty i dzieciaki mają się dobrze, a Art nazajutrz wychodzi z aresztu.

Stwierdziłem, że to wspaniała wiadomość, a ona tylko się uśmiechnęła.

W szpitalu traci się poczucie czasu. Jeden dzień zlewa się z następnym i wszystko sprowadza się do tej samej nuzającej rutyny: mierzenie

temperatury, posiłek, obchód, znowu temperatura, znowu posiłek. I tak bez końca. Sanderson przyszedł mnie odwiedzić. I Fritz, i jeszcze inni ludzie.

Zjawili się także policjanci, tylko że tym razem nie mogłem udawać, że śpię. Opowiedziałem im wszystko, co wiedziałem, a oni słuchali i robili notatki. Pod koniec drugiego dnia czułem się już lepiej. Zacząłem odzyskiwać siły, myślałem jaśniej, mniej spałem.

Zwierzyłem się z tego Hammondowi, ale on tylko mruknął i powiedział, że trzeba poczekać jeszcze jeden dzień.

Po południu odwiedził mnie Art Lee. Miał ten sam ironiczny uśmiech, co zawsze, ale wyglądał na zmęczonego. Jakby się postarzał.

- Cześć - powitałem go. - Jak ci się podoba na wolności?

- Bardzo - odparł.

Popatrzył na mnie, stojąc w nogach łóżka, i pokiwał głową.

- Boli? - zapytał.

-Już mniej.

- Przykro mi, że do tego doszło - powiedział.

-Niepotrzebnie. To na swój sposób interesujące przeżycie. Mój pierwszy krwihak nadtwardówkowy.

Umilkłem. Chciałem go o coś zapytać. Ostatnio zastanawiałem się nad wieloma sprawami i uzmysłowiłem sobie, że popełniłem kilka

idiotycznych błędów. Najbardziej dręczył mnie ten telefon do gazety.

Okropnie głupie posunięcie. Inne rzeczy też nie dawały mi spokoju.

Zamiast jednak zapytać go prosto z mostu, powiedziałem:

- Pewnie policja zdążyła już wszystko rozpracować. Pokiwał głową.

- Tak. Roman Jones sprzedawał Angeli narkotyki i zmusił ją do zrobienia Karen skrobanki. Kiedy Karen umarła - a ty zainteresowałeś się sprawą-

poszedł do Angeli. Pewnie po to, żeby ją zabić. Po drodze zorientował się, że ktoś go śledzi. Dlatego cię napadł. Następnie zjawił się w mieszkaniu Angeli i zaatakował ją brzytwą. Tą samą, którą rozciął ci czoło.

-Jak miło.

- Angela złapała kuchenny nóż i zaczęła się bronić. Trochę go

pokieroszowała. To musiała być ładna scena: on z brzytwą, a ona z nożem.

W każdym razie ostatecznie udało jej się zdzielić go krzesłem tak, że wypadł przez okno.

- Powiedziała to?

- Tak, najwyraźniej.

Pokiwałem głową.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

- Dziękuję ci za pomoc - powiedział.

-Nie ma sprawy. Jesteś pewien, że to rzeczywiście była pomoc?

Uśmiechnął się.

-Jestem wolnym człowiekiem.

- Nie o to mi chodziło.

Wzruszył ramionami i usiadł na brzegu łóżka.

- Nagłośnienie sprawy w gazetach to nie twoja wina - powiedział. -Poza tym i tak Boston zaczął mnie nudzić. Jestem gotowy na zmiany.

- Dokąd się przeniesiesz?

- Chyba z powrotem do Kalifornii. Chciałbym zamieszkać w Los Angeles.

Może będę odbierał dzieci gwiazd filmowych.

-Gwiazdy filmowe nie mają dzieci. Tylko agentów.

Parsknął śmiechem. Przez chwilę był to ten sam dawny śmiech:

natychmiastowy odruch, którego nawet nie próbował powstrzymać, kiedy usłyszał coś zabawnego. Już miał coś powiedzieć, ale zamknął usta i wbił wzrok w podłogę. Spoważniał.

- Byłeś już w swoim gabinecie? - zagadnąłem.

- Tylko, żeby go zlikwidować. Jestem w trakcie załatwiania przeprowadzki.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- W przyszłym tygodniu.

- Tak szybko? Wzruszył ramionami.

- Nie zależy mi specjalnie na tym, żeby zostać tu dłużej.

-Nie dziwię ci się.

Przypuszczam, że wszystko, co nastąpiło później, wynikało z mojej złości.

Cała sprawa i tak była już dostatecznie paskudna i byłoby pewnie lepiej, gdybym zapomniał o niej i zostawił ją w spokoju. Judith chciała zorganizować przyjęcie pożegnalne dla Arta, ale nie zgodziłem się.

Powiedziałem, że raczej by mu się to nie spodobało.

To też mnie zezłościło.

Trzeciego dnia tak bardzo marudziłem, że Hammond w końcu zgodził się mnie wypuścić. Pielęgniarki również narzekały. Wypisał mnie więc o 15.10 po południu, a Judith przyniosła ubrania.

- Przy następnej przecznicy skreć w prawo - poprosiłem, gdy wiozła mnie do domu.

- Dlaczego?

- Daj spokój, Judith, tylko krótki postój.

Zmarszczyła brwi, ale spełniła moją prośbę. Kazałem się zawieźć na Beacon Hill, na ulicę, przy której mieszkała Angela Harding. Przed domem stał radiowóz. Wsiadłem i poszedłem na pierwsze piętro, gdzie natknąłem się na pilnującego wejścia gliniarza.

- Doktor Berry z Laboratorium Mallory'ego - powiedziałem oficjalnym tonem. - Pobrano już próbki krwi? Policjant zrobił niewyraźną minę.

- Próbki krwi?

- Tak. Zeskrobane z mieszkania. Suche próbki. Do badań na dwadzieścia sześć czynników. Rozumie

pan.

Pokręcił głową. Nie miał pojęcia, o czym mówię.

- Doktor Lazare bardzo się o nie martwi - oznajmiłem. - Prosił, żebym to sprawdził.

- Nic o tym nie wiem - przyznał gliniarz. - Wczoraj byli tu jacyś ludzie z laboratorium. To o nich panu chodzi?

- Nie - odparłem. - Tamci byli z dermatologii.

- Ooo. Aha. Cóż, może pan wejść i sprawdzić osobiście. - Otworzył drzwi.

- Tylko niech pan niczego nie dotyka. Zbierają odciski.

Wszedłem do mieszkania. W środku zastałem straszny bałagan:

poprzewracane meble, poplamiona krwią kanapa i stoły. Trzej mężczyźni zbierali na klęczkach odciski palców. Posypywali je proszkiem, który następnie zdmuchiwali, i robili zdjęcia. Jeden podniósł głowę.

- Pomóc w czymś? - zapytał.

- Tak - powiedziałem. - Krzesło...

- Jest tam - odparł, pokazując kciukiem krzesło stojące w kącie. - Tylko niech pan go nie dotyka.

Podszedłem i przyjrzałem mu się dokładnie. Był to ciężki drewniany mebel. Pozbawiony wdzięku, ale porządnie zrobiony. Na nóżce widniały plamy krwi.

- Zdjęliście już z niego odciski? - zapytałem.

- Tak. Zabawna rzecz. W całym pokoju jest mnóstwo odcisków. Kilkunastu różnych osób. Ale w dwóch miejscach nie znaleźliśmy żadnych śladów.

Na krzesle i na gałce drzwi wejściowych.

- Jak to?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Zostały wytarte.

- Wytarte?

- Tak. Ktoś je wyczyścił. W każdym razie tak to wygląda. Cholernie dziwne. Nie wytarto niczego innego, nawet noża, którym podcięła sobie żyły.

Pokiwałem głową.

- Chłopcy od krwi byli?

- Tak. Już zdążyli pójść.

- Dobra - powiedziałem. - Mogę zadzwonić? Chcę poinformować laboratorium.

Wzruszył ramionami.

- Jasne.

Podszedłem do telefonu, podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer pogodynki.

- Proszę z doktorem Lazare'em - powiedziałem, kiedy odezwał się nagrany głos.

- Słonecznie i chłodno, w południe pochmurnie z przejaśnieniami...

- Fred? Tu John Berry. Jestem właśnie na miejscu.

-... spodziewane opady deszczu...

- Tak. Próbki zostały pobrane. Jeszcze ich nie dostałeś?

-.. .jutro chłodniej, ciśnienie...

- Aha, rozumiem. Dobrze. To na razie. Odłożyłem słuchawkę.

- Dzięki - powiedziałem do ekipy od odcisków palców.

-Nie ma sprawy.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, kiedy wychodziłem. Nikogo tak naprawdę to nie obchodziło. Faceci, którzy tam pracowali, wykonywali po prostu swoją robotę tak samo, jak dziesiątki razy wcześniej. Rutyna.

Zakończenie

Poniedziałek, 17 października

W poniedziałek miałem kiepski nastrój. Przez większość przedpołudnia siedziałem w domu, pijąc kawę, paląc papierosy i czując niesmak.

Powtarzałem sobie, że mogę sobie dać spokój i nikt w ogóle się tym nie przejmie. Było po wszystkim. Nie mogłem pomóc Artowi i nie mogłem cofnąć tego, co się stało. Mogłem tylko jeszcze bardziej pogorszyć sprawę.

Poza tym tak naprawdę Weston wcale tu nie zawinił. Mimo że chciałem zwalić na kogoś odpowiedzialność, nie mogłem zrzucić jej na niego.

Zresztą był już starym człowiekiem.

To byłaby strata czasu. Piłem kawę i powtarzałem to sobie raz za razem.

Strata czasu.

Ale i tak to zrobiłem.

Wkrótce przed południem pojechałem do Mallory'ego i wkroczyłem do gabinetu Westona. Oglądał właśnie preparaty mikroskopowe i nagrywał

swoje uwagi na magnetofon. Przerwał, kiedy wszedłem.

- Witaj, John. Co cię sprowadza?

- Jak się czujesz? - zapytałem.

- Ja? - Roześmiał się. - Dobrze. A ty? - Skinął głową na moje bandażę. -

Słyszałem, co się stało.

- W porządku - odparłem.

Popatrzyłem na jego dłonie. Trzymał je pod blatem, na kolanach. Schował

je, gdy tylko zobaczył mnie w drzwiach.

- Boli? - spytałem.

-Co?

- Ręka.

Zrobił zdziwioną minę, a w każdym razie spróbował ją zrobić. Nie dałem się nabrać. Skinąłem głową na jego dłonie. Wyjął je spod biurka. Dwa palce lewej ręki były obwiązane bandażem.

-Wypadek?

- Tak. Straszna ze mnie niezdara. Kroilem w domu cebulę i skaleczyłem się. To powierzchowna rana, ale wstydliva. Można by pomyśleć, że po tylu latach nie nauczyłem się obchodzić z nożem.

- Sam ją zabandażowałeś?

- Tak. To tylko małe skaleczenie.

Usiadłem na krześle naprzeciwko biurka i zapaliłem papierosa. Widziałem, że przygląda mi się uważnie. Wydmuchnąłem dym. Jego twarz była

zupełnie spokojna, utrudniał mi zadanie. Ale nie miałem mu tego za złe, chyba miał do tego prawo. Pewnie na jego miejscu postąpiłbym tak samo.

- Chciałeś ze mną o czymś porozmawiać? - zapytał.

-Tak.

Patrzyliśmy na siebie przez moment, a potem Weston odsunął mikroskop i wyłączył magnetofon.

- Chodzi ci o diagnozę dotyczącą Karen Randall? Słyszałem, że cię zaniepokoiła.

- To prawda - odrzekłem.

- Poczulbyś się lepiej, gdyby ktoś inny rzucił okiem na preparaty? Na przykład Sanderson?

-Nie. Zresztą teraz nie ma to już znaczenia. W każdym razie z prawnego punktu widzenia.

- Pewnie masz rację.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nie wiedziałem, jak podjąć temat, ale cisza doprowadzała mnie do szaleństwa.

- Krzesło zostało wytarte - oznajmiłem. - Wiedziałeś o tym? Zmarszczył

brwi i przez moment wydawało mi się, że będzie szedł w zaparte. Ale w końcu dał za wygraną. Pokiwał głową.

- Tak - odparł. - Mówiła mi, że je wytrze.

-I gałkę od drzwi.

- Tak. i gałkę.

- Kiedy się tam zjawiłeś? Westchnął.

- Było późno - odrzekł. - Pracowałem do wieczora w laboratorium i właśnie jechałem do domu. Po drodze wstąpiłem do Angeli, żeby

sprawdzić, jak się czuje. Często to robiłem. Po prostu wpadałem do niej, żeby mieć pewność, że nic jej nie jest.

- Pomagałeś jej w walce z nałogiem?

- To znaczy, czy dostarczałem jej narkotyki?

-Nie. Czy ją leczyleś?

- Nie. Wiedziałem, że to mnie przerasta. Oczywiście, rozważałem taką możliwość, ale zdałem sobie sprawę, że nie poradziłbym sobie, a tylko mógłbym jeszcze bardziej zaszkodzić. Prosiłem, żeby poddała się terapii, ale...

Wzruszył ramionami.

- Więc w zamian często ją odwiedzałeś.

- Po prostu starałem się jej pomagać w najcięższych chwilach.

Przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić.

- A co się wydarzyło w czwartek?

- On już tam był, kiedy przyjechałem. Usłyszałem krzyki i odgłosy walki, więc otworzyłem drzwi i zobaczyłem, jak goni ją z brzytwą po pokoju.

Angela miała nóż - taki długi, do krojenia chleba - i broniła się. Chciał ją zabić, ponieważ była świadkiem. Cały czas powtarzał: „jesteś świadkiem, dziecińo”. Nie pamiętam dokładnie, co stało się później. Powiedział coś do mnie, nie wiem co, a potem ruszył na mnie z brzytwą. Wyglądał okropnie.

Angela zdążyła już pociąć go nożem, a w każdym razie jego ubranie...

- Więc podniosłeś krzesło.

- Nie. Wycofałem się, a on rzucił się znowu na Angelę. Stał tyłem do mnie. I wtedy chwyciłem krzesło. Skinąłem najego palce.

-A te skaleczenia?

-Nie pamiętam. Pewnie to on mi to zrobił. Kiedy wróciłem do domu, odkryłem również rozdarcie na rękawie płaszcza. Ale niczego nie pamiętam.

- A kiedy uderzyłeś go krzesłem...

- Upadł. Stracił przytomność i upadł.

- Co wtedy zrobiłeś?

- Angela się o mnie bała. Powiedziała, żebym uciekał, a ona wszystkim się zajmie. Obawiała się, że zostanę w to wszystko wplątany, więc...

- Uciekłeś - dokończyłem za niego.

-Tak.

- Czy kiedy wychodziłeś, Roman był już martwy?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Leżał koło okna. Musiała go przez nie wyrzucić, a potem wytrzeć ślady. Ale nie jestem tego pewien. Po prostu nie wiem.

Patrząc na jego poraną zmarszczkami twarz i siwe włosy, przypomniałem sobie, jaki był jako nauczyciel. Jak nas zachęcał, zadawał pytania, zmuszał

do wysiłku, jak bardzo go szanowałem. Jak w każdy czwartek po południu zapraszał rezydentów do pobliskiego baru na drinka i pogawędkę. Jak co roku na urodziny przynosił wielki tort, którym częstował wszystkich na piętrze. Wszystko to teraz powróciło: żarty, dobre i złe chwile, problemy i wyjaśnienia, długie godziny w prosektorium, ściśle rozdzielanie faktów i przypuszczeń.

- Cóż - powiedział ze smutnym uśmiechem - to chyba wszystko.

Zapaliłem następnego papierosa, pochylając głowę i osłaniając go dłońmi, jakby w pokoju panował przeciąg. Powietrze było gorące, wilgotne i duszne jak w szklarni dla delikatnych okazów roślin.

Weston nie zapytał, co zamierzam zrobić. Nie musiał.

- Mógłbyś powiedzieć, że to w samoobronie - podsunąłem.

- Tak - odparł powoli. - Mógłbym.

Zimne jesienne słońce oblewało nagie gałęzie drzew rosnących wzdłuż alei Massachusetts. Kiedy schodziłem po schodkach gmachu Mallory'ego, przejechała obok mnie karetka, wioząc kogoś na ostry dyżur do Szpitala Miejskiego. Gdy mnie minęła, zerknąłem na twarz majaczącą w tylnym okienku. Sanitariusz przyciskał do niej maskę tlenową. Nie byłem w stanie rozpoznać rysów; nie potrafiłem nawet stwierdzić, czy to kobieta czy mężczyzna.

Kilku przechodniów zatrzymało się na chwilę, spoglądając w stronę odjeżdżającego ambulansu. Ich miny wyrażały zmartwienie, ciekawość albo litość. Ale wszyscy przystanęli na moment, żeby zobaczyć, co się dzieje, i o tym pomyśleć.

Zastanawiali się zapewne, kim jest chory, co mu dolega, czy wyzdrowieje.

Nie wiedzieli, jak odpowiedzieć na te pytania. Ja wiedziałem.

Karetka jechała na światłach, ale z wyłączoną syreną. Nie pędziła.

Znaczyło to, że pasażer nie jest poważnie chory.

Albo już nie żyje. Obie możliwości wydawały się równie prawdopodobne.

Na chwilę poczułem dziwną, niepohamowaną ciekawość, niemal

obowiązek, żeby pójść na ostry dyżur i dowiedzieć się, kim jest pacjent i jakie są rokowania.

Ale nie zrobiłem tego. Wsiadłem za to do samochodu i pojechałem do domu. Próbowałem zapamiętać o karetce. Są ich na świecie miliony, a do szpitali każdego dnia trafiają miliony pacjentów. I w końcu rzeczywiście zapomniałem. Od razu poczułem się lepiej.

Dodatek i Kuchnia patologa

Część pracy patologa polega na szybkim i precyzyjnym opisie tego, co widzi, zaś dobry raport patologiczny powinien sprawić, że czytelnik zobaczy w myślach dokładnie to samo, co oglądał patolog. Żeby osiągnąć ten cel, niektórzy patolodzy przy opisie chorych narządów uciekają się do kulinarnych metafor, czym zasłużyli sobie na miano „patologów kuchennych”.

Niektórzy z ich kolegów po fachu brzydzą się tą praktyką, z niesmakiem stwierdzając, że raporty patologiczne wyglądają jak karty dań w restauracjach. Jednak sposób ten jest tak wygodny i praktyczny, że prawie każdy patolog korzysta z niego od czasu do czasu.

Tak więc mówi się o grudkach porzeczkowej galaretki i o pośmiertnych oczkach rosołowych. Są też malinowe błony śluzowe i truskawkowa błona śluzowa woreczka żółciowego, która świadczy o obecności cholesterolu.

W literaturze przedmiotu spotyka się również rozrosty błony macicy porównywane do szwajcarskiego sera i wątroby wyglądające jak gałka muszkatołowa. Nawet coś tak nieprzyjemnego jak nowotwór można

opisać jako jedzenie; jest tak choćby w przypadku owsianokomórkowego raka płuc.

Dodatek ii Lekarze i policjanci

Lekarze nie ufają zazwyczaj policjantom i starają się unikać kontaktów z nimi. Niestety, mają ku temu powody. Podam jeden przykład.

Młody, dobrze zapowiadający się lekarz pracujący na stanowisku

rezydenta w Bostońskim Szpitalu Głównym został pewnej nocy wyrwany z łóżka do zbadania przywiezionego przez policję pijanego aresztanta.

Policjanci zdają sobie sprawę z tego, że niektóre choroby - takie jak śpiączka cukrzycowa - mogą dawać objawy bardzo przypominające

pijaństwo, nawet łącznie z tak zwanym alkoholowym oddechem. Było to więc działanie rutynowe. Mężczyzna został zbadany, uznany za zdrowego i odwieziony do aresztu, gdzie zmarł jeszcze tej samej nocy.

Sekcja zwłok wykazała pęknięcie śledziony. Rodzina więźnia pozwała rezydenta do sądu, zaś policja wykazała niezwykłą gorliwość w

wyszukiwaniu dowodów jego winy. Ostatecznie sąd orzekł, iż lekarz zaniedbał swoje obowiązki, ale nie zasądził żadnego odszkodowania.

Później ten sam lekarz starał się o uzyskanie pozwolenia na wykonywanie zawodu w stanie Wirginia i udało mu się to dopiero po pokonaniu wielu trudności. Incydent z czasów rezydentury będzie się za nim włókł do końca życia.

Możliwe, że podczas badania nie zauważył powiększonej lub pękniętej śledziony, wydaje się to jednak mało prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę naturę obrażenia i wysokie kwalifikacje lekarza. Pracownicy szpitala uznali więc, że już po zbadaniu aresztant otrzymał od któregoś z policjantów solidnego kopniaka w brzuch.

Nie było na to oczywiście żadnych dowodów. Jednak podobne incydenty zdarzają się na tyle często, że lekarze wolą nie ufać policji.

Dodatek III Chirurgia i wojna

Na przestrzeni dziejów chirurgia i wojna były ze sobą ściśle związane.

Nawet w dzisiejszych czasach młodzi chirurdzy najrzadziej ze wszystkich lekarzy protestują przeciwko wysyłaniu na pole bitwy. Bo właśnie tam chirurgia czyniła zawsze największe postępy, rozwijała się i dojrzewała.

Pierwsi chirurdzy nie byli zresztą w ogóle lekarzami, tylko balwierzami posługującymi się prymitywnymi metodami leczenia. Ich umiejętności ograniczały się głównie do amputacji, puszczenia krwi i opatrywania ran.

Balwierze towarzyszyli armiom podczas najważniejszych kampanii i stopniowo doskonalili sztukę chirurgiczną. Jednak przez długi czas dokuczał im brak środków znieczulających. Do 1890 roku pacjentom musiał wystarczyć pocisk ściskany w zębach i whisky w żołądku.

Prawdziwi medycy patrzyli na chirurgów z góry, ponieważ brzydzili się rozcinaniem ciał i krwią, sami zaś przyjmowali bardziej intelektualne i zdystansowane podejście. Uprzedzenia te utrzymują się do pewnego stopnia do dzisiaj.

Teraz oczywiście chirurdzy nie są już balwierzami. Jednak ci ostatni zatrzymali symbol swej dawnej profesji - drzewce pomalowane w biało-czerwone pasy, które reprezentują pokrwawiony bandaż.

O ile chirurdzy porzucili fryzjerskie rzemiosło i nie golą już ani nie strzygą, o tyle wciąż towarzyszą idącym do walki żołnierzom. Wojna pozwala im zdobyć szerokie doświadczenie w leczeniu urazów, ran i poparzeń, a także dostarcza okazji do innowacji. Większość technik stosowanych dzisiaj powszechnie w chirurgii plastycznej opracowano w czasie drugiej wojny światowej.

Oczywiście, wszystko to nie oznacza, że chirurdzy automatycznie opowiadają się za wojną, a przeciwko pokojowi. Jednak historyczne korzenie ich zawodu dają im na tę sprawę nieco inne spojrzenie niż lekarzom innych specjalności.

Dodatek IV Skróty

Lekarze uwielbiają skróty i pewnie w żadnej innej profesji nie używa się ich tak wiele. Skróty są bardzo ważne, ponieważ oszczędzają czas. Jednak wydaje

się, że oprócz tego pełnią jeszcze inną funkcję — stanowią swego rodzaju kod, tajemny język, kabalistyczną symbolikę środowiska lekarzy.

Na przykład: „PMI korespondujący z LBCD jest umiejscowiony w piątej ICS dwa centymetry od MCL”. Czyż nie brzmi to tajemniczo dla osoby postronnej?

Najważniejszą literą lekarskiego alfabetu jest „X”, ponieważ występuje w wielu skrótach. Miewa przy tym dość proste zastosowania, jak na przykład w wyrażeniu „3 x polio”, które oznacza tyle, co trzy szczepienia przeciwko po-lio, ale używa się go także w dość niejasnym wyrażeniu „oddział X”, które jest eufemizmem kostnicy. Oprócz tego stosuje się skróty „dx”

(diagnoza), „px” (prognoza), „sx” (symptomy), „hx” (historia), „mx”

(przerzuty) i tak dalej.

Szczególą skłonność do używania skrótów objawiają kardiolodzy, którzy bez końca rozprawiają o LVH, RVF, AS czy MR, ale lekarze innych specjalności niewiele im pod tym względem ustępują.

Od czasu do czasu skróty stosuje się do notowania uwag, których lepiej nie zapisywać pełnymi zdaniami, ponieważ szpitalna dokumentacja każdego pacjenta może zostać przedstawiona w sądzie. Lekarze muszą więc uważać na to, co mówią, i wypracowali sobie cały wachlarz skrótów i eufemizmów. Na przykład pacjent nie jest obłąkany, tylko „poważnie zdezorientowany”, nie kłamie, ale „konfabuluje”, nie jest głupi, lecz

„otępiały”. Wśród chirurgów ulubionym sformułowaniem wygłaszanym przy wypisywaniu szczególnie dokuczliwego pacjenta, jest SHA, czyli Ship his ass out of here” (Wywieźć stąd jego dupsko). Natomiast w pediatrii używa się bodaj najdziwniejszego profesjonalnego skrótu - FLK, co znaczy po prostu Funny-looking kid (zabawny dzieciak).

Dodatek v Białe fartuchy

Wszyscy wiedzą, że lekarze noszą białe fartuchy, ale nikt, nawet sami lekarze, nie wie dlaczego. Z całą pewnością biel stanowi

charakterystyczną i najlepiej rozpoznawalną cechę medycznego stroju, ale wybór tego akurat koloru niczemu tak naprawdę nie służy. Trudno go nawet nazwać tradycyjnym.

Na przykład na dworze Ludwika XIV wszyscy lekarze byli ubrani na czarno. Ich długie powłóczyste szaty wzbudzały taki sam szacunek i bojaźń, jak współczesne fartuchy.

Zwolennicy bieli zwracają zwykle uwagę, że jest to kolor najbardziej

„higieniczny”. Lekarze chodzą w białych fartuchach po prostu dlatego, że dzięki temu wyglądają czysto i schludnie. Z tego samego powodu na biało maluje się szpitale. Brzmi to dosyć rozsądnie, do momentu, gdy zobaczy się niechlujnego stażystę, który pracuje bez przerwy od trzydziestu sześciu godzin, dwukrotnie zdrzemnął się w swoim ubraniu i obsłużył dziesiątki pacjentów. Jego biały fartuch jest pognieciony, brudny i bez wątpienia pokryty mnóstwem bakterii.

O fałszywości tego mniemania najlepiej świadczy jednak chirurgia. Sale operacyjne stanowią wzór aseptycznych, wolnych od zarazków warunków, jednak rzadko która z nich jest pomalowana na biało. Sami chirurdzy ubierają się zaś raczej na zielono, niebiesko lub szaro.

W związku z tym biały lekarski fartuch trzeba traktować jako zwykły uniform i nie doszukiwać się logiki w doborze koloru - jest on tak samo arbitralny, jak zieleń lub granat mundurów wojskowych. Zresztą

porównanie kitla z mundurem sprawdza się lepiej, niż się ludziom zwykle wydaje. Po fartuchu można rozpoznać nie tylko profesję, ale również miejsce danego lekarza w szpitalnej hierarchii. Wyćwiczony obserwator, wchodząc do szpitala, od razu widzi, kto jest rezydentem, stażystą lub studentem medycyny, a kto tylko sanitariuszem. Wie to, ponieważ potrafi odczytać drobne znaki, które w zasadzie nie różnią się od naramienników i naszywek wojskowych. Wystarczy, że zobaczy, kto nosi stetoskop, kto ma jeden notatnik, a kto aż dwa, albo kto trzyma w ręku czarny neseser.

Czasami można się w ten sposób domyślić również specjalności lekarza.

Na przykład neurologa łatwo poznać po tym, że w lewą klapę ma wpięte trzy lub cztery igły.

Dodatek vi Argumenty za i przeciw aborcji

Powszechnie uznaje się, że istnieje sześć argumentów za aborcją, przeciwko którym można wysunąć tyle samo kontrargumentów.

Pierwszy argument odwołuje się do pojęcia prawa i antropologii. Można mianowicie wykazać, iż w wielu społeczeństwach nagminnie stosuje się aborcję lub zabójstwo noworodków i nie prowadzi to ani do poczucia winy, ani do atrofii zasad moralnych w danej kulturze. Na poparcie tej tezy podaje się zwykle przykłady niedużych społeczeństw żyjących w

nieprzyjnym środowisku naturalnym: afrykańskich Pigmejów albo Buszmenów z Kalahari. Wspomina się także o kulturach, w których ceni się przede wszystkim męskich potomków, a zabija się część niemowląt płci żeńskiej.

Przeciwnicy powyższego poglądu dowodzą, że społeczeństwo zachodnie ma niewiele wspólnego z Pigmejami, a nawet Japończykami, zaś to, co tam wydaje się słuszne i dopuszczalne, nie musi być takie dla nas.

Istnieje także prawny wariant tej argumentacji. Odwołuje się on do faktu, że prawa antyaborcyjne nie są bynajmniej odwieczne, lecz kształtowały się przez wiele stuleci pod wpływem rozmaitych czynników i okoliczności.

Zwolennicy aborcji twierdzą, że obecne przepisy* dotyczące tej materii są arbitralne, głupie

* Książka została napisana w 1968 roku. Uwagi zawarte w Dodatkach dotyczą stanu prawnego z tamtego okresu (przyp. red.)

i boleśnie nie przystają do rzeczywistości. Ich zdaniem dobry system prawny powinien pasować do obecnego stanu rozwoju społecznego i technologicznego, a nie więzić ludzi w okowach martwej tradycji.

Ci, którzy nie zgadzają się z tym argumentem, zwracają uwagę na to, iż nie każde stare prawo musi być złe, natomiast nieprzemyślane zmiany przepisów wprowadzają chaos i niepewność w świecie, który i bez tego zmienia się aż nazbyt gwałtownie. Mniej wyrafinowana postać tego stanowiska głosi, że aborcja jest zła po prostu dlatego, że jest nielegalna.

Do niedawna wielu lekarzy wykazujących w innych kwestiach więcej rozsądku uważało taki punkt widzenia za zupełnie usprawiedliwiony.

Jednak obecnie, kiedy o aborcji dyskutuje się w wielu kręgach, pogląd ten razi myślowym ubóstwem i stanowi raczej powód do wstydu.

Drugi argument rozpatruje aborcję jako metodę kontroli urodzin.

Zwolennicy przerywania ciąży uważają ją za bardzo skuteczny środek racjonalnego planowania rodziny i wskazują na pozytywne rezultaty liberalnych przepisów aborcyjnych. Ich zdaniem nie ma żadnej istotnej różnicy między niedopuszczeniem do zapłodnienia a przerwaniem

naturalnych procesów kształtowania się płodu w łonie matki. (Ci sami ludzie nie widzą różnicy między stosowaniem „kalendaryka” a pigułką antykoncepcyjną, ponieważ obie metody mają identyczny cel). W gruncie rzeczy argument ten można sprowadzić do tezy, że liczy się przede wszystkim intencja, a nie środki.

Przeciwnicy tego stanowiska obstają przy rozróżnieniu metod

zapobiegawczych od samej aborcji. Wierzą oni, że płód ma prawo do życia, zaś usunięcie ciąży jest zabójstwem. Rzecznicy tego poglądu często faworyzują tradycyjne metody antykoncepcyjne. Najwięcej trudności nastrocza im odpowiedź na pytanie, co zrobić, gdy środki te zawiodą i mimo wszystko dojdzie do zapłodnienia.

Trzeci argument bierze pod uwagę czynniki psychiczne i socjalne. Ma on dwa warianty.

Po pierwsze więc mówi się, że fizyczne i umysłowe zdrowie matki jest ważniejsze od życia płodu. Kobieta i jej rodzina mogą ucierpieć finansowo i emocjonalnie, gdy na świat przyjdzie kolejne dziecko, dlatego w takich przypadkach aborcja znajduje dobre usprawiedliwienie.

Drugi wariant głosi, że doprowadzenie do urodzin niechcianego dziecka zasługuje na moralną naganę i potępienie. Jego zwolennicy podkreślają, że w naszym coraz bardziej skomplikowanym społeczeństwie odpowiednie wychowanie dziecka wymaga czasu, pieniędzy i poświęceń od obojga

rodziców. Jeżeli rodzina nie jest w stanie zapewnić dziecku dobrej opieki, to wyrządza mu tym samym wielką krzywdę. Oczywisty przykład stanowi tu niezamężna matka, która nie jest przygotowana do wychowania

potomka ani finansowo, ani emocjonalnie.

Wypowiedzi przeciwników tego argumentu wydają się mgliste. Przebąkuje się w nich o kobietach, które podświadomie pragną zająć w ciąży, stwierdza się istnienie instynktu macierzyńskiego albo mówi się, że „każde dziecko jest chciane”. Czasami zaś spór kwituje się twierdzeniem, że kiedy już dziecko się urodzi, rodzina dostosuje się i je pokocha.

Czwarty argument głosi, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie wolno zmuszać do urodzenia dziecka kobiety, która tego nie chce. Aborcja na życzenie stanowi niezbywalne prawo każdej kobiety. Jest to interesująca teza, chociaż traci siłę przekonywania i pozytywny wydźwięk, gdy sąsiaduje z dość parano-idealnymi przekonaniem, że światem rządzą mężczyźni, po których nie można spodziewać się zrozumienia i sympatii dla płci przeciwnej.

Ci, którzy nie zgadzają się z tym argumentem, zwykle mówią, że

współczesna wyemancypowana kobieta nie musi zachodzić w ciążę, jeśli nie chce, ponieważ ma szeroki dostęp do wielu metod antykoncepcyjnych.

Z tego punktu widzenia trudno jednak poradzić sobie z przypadkami, w których antykoncepcja zawiodła, a także z ciążą będącą wynikiem gwałtu.

Piąty argument mówi, że usunięcie ciąży jest bezpieczne, łatwe, proste i tanie, w związku z czym jej legalizacja nie nastęrcza żadnych

praktycznych trudności.

Przeciwnicy tego poglądu twierdzą, że choć ryzyko śmierci wskutek aborcji może być niewielkie, to jednak istnieje. Stanowisko takie trudno dzisiaj obronić, ponieważ wiadomo że zabieg usunięcia ciąży w szpitalu jest obecnie co najmniej sześć razy bezpieczniejszy od szpitalnego porodu.

Szósty argument jest najnowszy i najbardziej oryginalny. Jego autor, Garrett Hardin, rozpoczyna od zadania kluczowego pytania: Czy aborcja jest morderstwem? Hardin mówi, że nie, ponieważ embrion trudno nazwać istotą ludzką. Na to, żeby dziecko stało się człowiekiem, musi się najpierw urodzić, a potem przejść długi proces kształcenia. Hardin twierdzi, że sam embrion to nic innego, jak tylko nośnik informacji zakodowanych w DNA.

Informacja sama w sobie, przekonuje, nie przedstawia żadnej wartości, przypomina projekt albo plan architektoniczny. Plan zaś można w każdej chwili zniszczyć lub zastąpić innym. Dopiero zburzenie stojącej budowli wymaga głębokiego zastanowienia i ostrożności.

To oczywiście bardzo pobieżne i uproszczone omówienie tego argumentu.

Hardin posiada wykształcenie biologiczne i antropologiczne, a jego punkt widzenia wydaje się

wyjatkowy, ponieważ rozważa on pytanie o to, kiedy powstaje istota ludzka, w kontekście problemu, czym człowiek w ogóle jest. Wracając do analogii projektu architektonicznego i gotowego budynku, można powiedzieć, że plan określa rozmiary, kształt i ogólną strukturę domu, lecz nie przesądza o tym, czy wzniesie się go w Nowym Jorku czy w Tokio, w slumsach czy w bogatej

dzielnicy, czy będzie dobrze służył ludziom, czy też popadnie w ruinę.

Zgodnie z tym Hardin definiuje człowieka nie tylko jako nieopierzone zwierzę poruszające się na dwóch kończynach i posiadające duży mózg, ale bierze też pod uwagę matczyną opiekę i wychowanie, które czynią z jednostki osobę zdolną do funkcjonowania w grupie społecznej.

Przeciwnicy tego stanowiska stwierdzają, że Hardin zakłada, iż DNA zawiera informacje, które można dowolnie odtwarzać, a przecież kod genetyczny każdego dziecka jest wyjątkowy.

Hardin odpowiada, że i tak - za sprawą czystego przypadku — zawsze dokonujemy wyboru między możliwymi kombinacjami DNA. Zauważa,

że przeciętna kobieta ma około trzydziestu tysięcy jajeczek, ale tylko dwa lub trzy spośród nich zostaną zapłodnione, dając życie nowym jednostkom ludzkim. Pozostałe ulegną zniszczeniu nie mniej nieodwołalnemu od tego, z jakim mamy do czynienia w przypadku aborcji. A przecież z któregoś z nich, jak mówi, mógłby się narodzić „super-Beethoven”.

Stanowisko Hardina jest wciąż nowe i wielu osobom wydaje się niejasne i zawile. Jednak bez wątpienia możemy oczekiwać powstania kolejnych argumentów za i przeciwko aborcji, które będą czerpać z osiągnięć nowoczesnej nauki. W każdym razie wiele mówi o współczesnym

człowieku fakt, że musi on uzasadniać swoją moralność, odwołując się do mechanizmów, które zachodzą w pojedynczej komórce jego ciała.

Istnieją również inne argumenty dotyczące problemu aborcji, ale są one błahe lub wymijające. Mówi się na przykład o kosztach przekształcenia szpitali w instytucje masowo usuwające ciążę wszystkim chętnym

kobietom. Niektórzy z paniką w głosie przestrzegają przed rozpasanym libertynizmem tak samo, jak przedtem, używając identycznego mglistego argumentu, sprzeciwiali się wprowadzeniu pigułek antykoncepcyjnych.

Głos w sporze zabierają również liberałowie, którzy podkreślają, że im więcej wolności, tym lepiej, a także ci, którzy uważają, że należy przeciwdziałać nadmiernemu rozmnażaniu się niższych klas społecznych.

Nie ma sensu traktować tych poglądów poważnie. W większości

wyłaszają je ludzie, którzy są bezmyślni i zaciętrzewieni.

Dodatek vii Etyka lekarska

Współczesna medycyna stoi przed czterema wielkimi problemami natury moralnej. Pierwszym z nich jest aborcja. Drugi to eutanazja - uśmiercenie pacjenta cierpiącego na ciężką, lecz nieuleczalną chorobę. Trzeci problem wiąże się ze społecznym obowiązkiem niesienia pomocy lekarskiej tak wielu ludziom, jak to jest możliwe. Czwarte zagadnienie to definicja śmierci.

Co ciekawe, wszystkie te problemy narodziły się bardzo niedawno -

stanowią jeden z efektów postępów nauki i technologii, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich dziesiątków lat.

Na przykład aborcja wykonywana w szpitalu jest dzisiaj stosunkowo niedrogim i bezpiecznym zabiegiem, a ryzyko śmierci w jej wyniku można porównać z ryzykiem utraty życia wskutek wyrwania zęba. Oczywiście, kiedyś było inaczej, ale obecnie musimy przyjąć to do wiadomości i wyciągnąć z tego faktu odpowiednie wnioski.

Eutanazja nie stanowiła w przeszłości zbyt poważnego problemu. W

czasach, kiedy lekarze nie dysponowali tyloma urządzeniami

podtrzymującymi życie i wiedzieli mniej na temat równowagi elektrolitów w organizmie, pacjenci cierpiący na śmiertelne choroby umierali stosunkowo szybko. Obecnie jednak medycyna pozwala na utrzymywanie takich pacjentów przy życiu bardzo długo, mimo że nie ma żadnych szans na ich wyleczenie. W związku z tym lekarz musi zdecydować, czy

zastosować w danym przypadku terapię podtrzymującą życie, a jeśli tak, to na jak długo. Jest to bardzo poważny problem, ponieważ tradycyjnie lekarze uważali, że powinni walczyć o życie pacjenta tak długo, jak się da, przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Teraz jednak moralna wartość

- czy choćby humanitaryzm - takiego podejścia staje się wątpliwa.

Trzeba zatem zapytać: czy nieuleczalnie chory ma prawo odmówić terapii?

Czy ktoś, kogo czekają katusze związane z postęпами nieuleczalnej i śmiertelnej choroby, ma prawo żądać bezbolesnej i lekkiej śmierci? Czy pacjent, który oddał się w ręce lekarza, wciąż ma prawo decydować o swoim życiu i śmierci?

Obowiązek społeczny we współczesnym rozumieniu, a więc obowiązek w stosunku do całego społeczeństwa, a nie jednostki, jest w medycynie czymś stosunkowo nowym. Dawniej ludzi ubogich leczyło się z dobrego serca albo wcale, dzisiaj coraz silniejsze staje się przekonanie, że opieka medyczna jest prawem, a nie przywilejem. Wzrasta również liczba pacjentów, których nie byłoby stać na szpital, gdyby nie wykupili ubezpieczeń zdrowotnych. W związku z tym lekarze zostali zmuszeni do ponownego przemyślenia swojej roli - już nie wobec pacjentów, których stać na leczenie, ale wobec całej społeczności. Stąd też coraz większą uwagę zwraca się na przykład na profilaktykę.

Definicja śmierci stanowi problem z jednego powodu - z powodu

przeszczepów. Im sprawniej chirurdzy potrafią transplantować organy, tym ważniejsza staje się kwestia tego, kiedy dawca rzeczywiście umarł, bo przeszczepiany organ należy jak najszybciej usunąć. „Stare” oznaki zgonu

- brak tętna i oddechu -zastąpiono brakiem aktywności EKG bądź płaską linią EEG, ale kwestia wciąż nie została ostatecznie rozstrzygnięta i prawdopodobnie sytuacja ta nie zmieni się jeszcze przez wiele następnych lat